



JULIE PARSONS
TY JESZCZE NIE WIESZ

Miała
dużo czasu,
by zaplanować
zemstę
doskonałą

Świat Książki

Podczas czytania tej powieści włosy nie raz jeżyły mi się ze zgrozy i ze... wzruszenia. Uznani autorzy tego typu prozy powinni mieć się na baczności - Julie Parsons jest pisarką, z którą należy się liczyć.

„Good Book Guide”

Parsons prowadzi swoją psychologiczną powieść kryminalną ścieżkami, na które rzadko wkracza tego rodzaju proza.

„New York Times”

Przy Julie Parsons powieści Patricii Cornwell wyglądają trochę jak bajki dla dzieci.

„Sunday Independent”

Przez dwanaście długich lat Rachel Beckett przebywała w więzieniu za zamordowanie swego męża Martina, choć uparcie powtarzała, że jest niewinna.

Przez dwanaście długich lat nie miała kontaktu ze swoją jedyną córką Amy. Zwolniona warunkowo, samotna, na nowo ucząca się świata, pozbawiona miłości córki, która oświadcza, że nigdy więcej nie chce jej widzieć – po prostu musi się zemścić na człowieku, który zniszczył jej życie. I dobrze wie, jak to zrobić...

Julie Parsons urodziła się w Nowej Zelandii, lecz większą część dorosłego życia spędziła w Irlandii. Pracuje jako dziennikarka i producentka programów radiowych i telewizyjnych. W wydawnictwie Świat Książki ukazała się jej kolejna powieść *Mary, Mary*.

www.swiatksiazki.pl

ISBN 83-7311-754-7



9 788373 117549

Cena 24,90 zł

Nr 3897

JULIE PARSONS

TY JESZCZE NIE WIESZ

Z angielskiego przełożyła
Anna Dobrzańska-Gadowska

Świat Książki

Tytuł oryginału
BAGER TO PLEASE

Projekt graficzny serii
Małgorzata Karkowska

Projekt okładki
Alina Seroczyńska

Redaktor prowadzący
Ewa Niepokólczycka

Redakcja
Elżbieta Kowalczyk

Redakcja techniczna
Lidia Lamparska

Korekta
Jacek Ring
Tadeusz Mahrburg

Copyright © Julie Parsons 2000 right © for the Polish
translation by Anna Dobrzańska-Gadowska, 2002

Świat Książki
Warszawa 2004
Bertelsmann Media Sp. z o.o.
ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

Skład i łamanie
Kolonel

Druk i oprawa Zakłady Graficzne
im. KEN, Bydgoszcz

ISBN 83-7311-754-7 Nr
3897

Dla Johna, na zawsze

POCZĄTEK

Pamiętała, jak po raz pierwszy zobaczyła więzienie. Przez siatkę, osłaniającą okna policyjnego wozu, w którym przywieziono ją prosto z sądu zaraz po rozprawie. Była zima. Późne popołudnie, właściwie wczesny wieczór. Godzina szczytu w Dublinie. Zapadła ciemność, w każdym razie powinno było być ciemno, ale gęsto ustawione latarnie zalewały asfaltowy podjazd białym światłem. Półciężarówka zatrzymała się przed bramą i wtedy zobaczyła wysoki krzyż oraz kamień nagrobny, sterczący z rudoczarnej trawy.

- Co to jest? - zapytała strażniczkę.

Wysoka, dobrze zbudowana kobieta wzruszyła ramionami.

- Pomnik. Pomnik Kevina Barry'ego.

- Kogo? - Usiłowała przypomnieć sobie to nazwisko. - Kogo?

- Kevina Barry'ego, bohatera wojny o niepodległość. Został tu powieszony, razem z wieloma innymi. Na murze.

Spróbowała wstać, żeby lepiej przyjrzeć się pomnikowi, ale strażniczka pociągnęła za łączący ich przeguby łańcuch.

- Gdzie się wybierasz, co? Siadaj i zachowuj się.

Po wnętrzu wozu przebiegł pogardliwy śmieszek. Spojrzała na nie, na te wszystkie kobiety, które przyjechały tu z sądu razem z nią. Usiłowała trzymać się od nich z daleka, zachować pewien dystans między swoim najlepszym czarnym kostiumem a ich dresami i adidasami, starała się nie wdychać dymu z tkwiących w kącikach ich ust papierosów, które przytrzymały wytatuowanymi palcami. Niestety, w policyjnej półciężarówce było to zupełnie niemożliwe, nie mogła odgrodzić od nich ani siebie samej, ani swojej hańby.

Po chwili samochód znowu ruszył, przejechał przez wysoką metalową bramę, minął potężny budynek z szarego kamienia, trochę podobny do kościoła, szereg aluminiowych toalet i zwolnił na krótkiej drodze, prowadzącej do otaczającej wejście metalowej klatki. Wracając myślami do tamtych chwil, uświadomiła sobie, że zdumiewająco szybko przywykła do metalu, który był dosłownie wszędzie. Stal. Niezwykle użyteczna mieszanka żelaza i węgla, której dzięki odpowiedniej obróbce i hartowaniu można nadać różne stopnie twardości - taka definicja stali znajdowała się w jednym z jej podręczników architektonicznych. Odporna na rdzewienie. Piękna, zwłaszcza w połączeniu ze szkłem. Właśnie w taki sposób posługiwali się stalą mistrzowie: Le Corbusier i Frank Lloyd Wright, najwspanialszy architekt, jakich zna historia. Obaj tworzyli ze stali i szkła pałace pełne światła i przestrzeni. Tu, w więzieniu, stal była brzydka i ponura. Nie nadawała się na nic innego poza bronią - narzędziami ataku i obrony. Interesujące było także to, jak przystosowała się do wszystkich tych twardych powierzchni. Do posadzki z dużych płyt, krat na ścianach, krzesła o niewygodnych, prostych oparciach, do grubych na sześć centymetrów drewnianych drzwi z zamkami i judaszami. Nawet dziwne tworzywo, którym wyłożono izolatkę, było twarde jak kamień. Przypominało skamieniałą gumę. Zamknięto ją tam na pierwszą noc, nie zostawiając nic, czym mogłaby wyrządzić krzywdę sobie lub komuś innemu. Zabrano też wszystkie jej rzeczy. Dostała strój więźniarki - czysty biustonosz i przydział majtek, jakby rzeczywiście miały być jej potrzebne. Dres, jakby kiedykolwiek nosiła coś takiego. Koszulę nocną i szlafrok, zupełnie jakby nie miała własnych, czekających na nią na jej własnym łóżku w jej własnym domu, tam, gdzie miała nadzieję wrócić zaraz po zakończeniu rozprawy.

Nie wątpiła, że tej nocy ułoży się do snu we własnym łóżku. Więcej, była tego pewna. Pewna, że przysięgli jej uwierzą, uwierzą, że nie zrobiła tego, o co oskarżył ją prokurator. Że nie chwyciła pistoletu i nie strzeliła do niego, najpierw

w prawe udo, rozrywając tętnicę, z której krew trysnęła strumieniem na podłogę, a potem, kiedy krzycząc, upadł na ziemię, w podbrzusze, masakrując jego genitalia i zalewając swoje ubranie prysznicem gorącej krwi. I rzeczywiście, niektórzy przysięgli, dokładnie dwoje, uwierzyli jej, nie oskarżeniu. Jedna z kobiet, blada, starsza od Rachel, szlochając, gdy przewodniczący składu ławy przysięgłych wstał i odczytał werdykt.

- Jak brzmi wasz werdykt, sędziowie przysięgli, w sprawie oskarżonej Rachel Kathleen Beckett? Uznaliście ją za winną czy niewinną morderstwa Martina Anthony'ego Becketta?

- Uznaliśmy ją za winną, Wysoki Sądzie, większością głosów w stosunku dziesięć do dwóch.

A jak brzmiał ostateczny wyrok?

Sędzia o czerwonej twarzy i obwisłych policzkach pochylił się nad stołem.

- Wobec tego, że ława przysięgłych uznała oskarżoną za winną popełnienia morderstwa, nie pozostaje mi nic innego, jak skazać ją na przewidziane kodeksem karnym dożywotnie pozbawienie wolności. I taki właśnie wyrok wydaję w sprawie Rachel Kathleen Beckett.

Życie czy śmierć? Co zaczęło się, a co skończyło w tamto zimne, listopadowe popołudnie dwanaście lat temu? Rachel nadal nie potrafiła tego określić.

Formularz P30, tak nazywał się sztywny kawałek tektury, przymocowany do zewnętrznej strony drzwi jej celi. Wszystkie więźniarki je miały. Wypisywano na nim numer więźniarki, nazwisko i wyznanie, datę skazania i wyrok, a także warunki ewentualnego zwolnienia i jego najwcześniejszą możliwą datę. Ta data - dzień, miesiąc i rok - zawsze ujęta była w narysowany grubą kreską kwadrat. Na formularzach kobiet skazanych na dożywocie, tak jak Rachel, nie było daty zwolnienia. Pierwszego dnia stanęła przed drzwiami, spojrzała na tę kartkę sztywnego papieru, wyrwała ją z otworu, w który była wsunięta, podarła na drobne kawałeczki i wepchnęła do kieszeni spodni. Za swoimi

plecami słyszała śmiechy, drwiny i obelżywe okrzyki, a potem wrzask strażniczki, z którą była skuta podczas podróży z sądu.

- Co ty wyprawiasz?! Co ty sobie wyobrażasz, Beckett?!

Kobieta podbiegła do Rachel, chwyciła ją za ramię i pchnęła do swojego biura. Tam wyciągnęła strzępy formularza z kieszeni dzinsów Rachel i wysypała je na biurko.

- Wydaje ci się, że jesteś lepsza od innych, co? Że jesteś jakąś cholerną królową i możesz robić, co ci się podoba? Zastanów się dobrze, zanim znowu zniszczysz rzecz będącą własnością instytucji karnej! A teraz sklej to! Do roboty!

Wręczyła Rachel taśmę klejącą i trzymała ją w ciasnym, dusznym biurze tak długo, aż dokładnie sklepiła podarty formularz. Potem wyprowadziła ją na korytarz. Kobiety stały po obu stronach, krzycząc i głośno drwiąc z Rachel, gdy wchodziła na pierwsze piętro, do swojej celi. Rachel sama umieściła formularz na poprzednim miejscu i z wbitym w podłogę wzrokiem wysłuchiwała tego, co miała jej do powiedzenia strażniczka Macken. Jej krótkie kazanie słyszały także inne więźniarki, ponieważ Macken mówiła głośno i dobitnie.

- Lepiej zacznij korzystać ze swojej inteligencji i wykształcenia, Beckett, żeby się dowiedzieć, jak nas zadowolić. Jeżeli się nie postarasz mnie zadowolić, Beckett, to twoje dożywocie będzie ciągnęło się dłużej niż sądzisz. Słyszysz mnie? Czy wyrażam się dość jasno?

Macken popchnęła Rachel do wnętrza celi i stanęła na progu.

- Zabawna sprawa z tym czasem, co? - dodała. - Dla ciebie czas stoi teraz w miejscu, wskazówki zegara w ogóle się nie poruszają. I ani drgną, dopóki nie zmienisz podejścia do życia. Słyszysz mnie, Beckett? Mówię wystarczająco głośno i wyraźnie?

Miała rację. Suka Macken rzadko się myliła. Pierwszy dzień i noc w więzieniu ciągnęły się bez końca, podobnie jak pierwszy tydzień, miesiąc i rok. Rachel miała wrażenie, że od Bożego Narodzenia, Nowego Roku, Wielkanocy dzieli ją nieskończoność. Czas mijał tak wolno, że o mało nie zapomniała o urodzinach swojej córki, Amy. I o rocznicy śmierci Martina.

O tych dniach, kiedy jedynym jej pragnieniem było siedzieć w celi, z twarzą odwróconą do ściany, i płakać. Bo tęskniła za Martinem i kochała go. Bo straciła go, a wraz z nim całe swoje życie.

Nie zapamiętała zbyt wiele z tego roku ani z następnego. Upływ czasu nie miał teraz dla niej żadnego znaczenia. Liczył się tylko nastrój, atmosfera, przypływ i odpływ uczuć. Często się zastanawiała, jak to się dzieje, że fale napięcia przemieszczają się po piętach, osiągając kulminację w różnych punktach. Obserwowała, jak grupki kobiet zbierają się pod celami, w odległym rogu boiska, w znajdującej się w piwnicy pralni lub w pobliżu kabin prysznicowych. Odwracały się w jej stronę, kiedy przechodziła, czasami śmiały się i żartowały, a na ich twarzach malowała się wesołość, aż przerażająca w swym nadmiarze. Kiedy indziej stały w milczeniu, spięte i gotowe w każdej chwili rzucić się na nią z pięściami. I z igłami, chociaż dla większości igły były zbyt cenne, aby marnować je dla jakiejś obcej. Obcej? Już nie. Nie teraz, gdy każdą noc spędzała za zamkniętymi drzwiami, gdy każdego ranka budził ją zgrzyt klucza w zamku. Kiedy w ciemności leżała na pryczy, miała wrażenie, że jest kawałkiem drewna, unoszącym się na falach gdzieś na środku oceanu, i prawie czuła falowanie rozkołysanego Atlantyku. Słyszała szum wody pod kilem, czuła powiew wiatru na twarzy i nagły trzepot w żołądku, zwiastujący zbyt mocne przechylenie łodzi na jedną burtę. Zdawało jej się, że zaraz wypadnie i zanurzy się w białą pianę, a potem zieloną i wreszcie zupełnie czarną wodę, w głębie, z której nie ma ucieczki. Nie ma ucieczki. Teraz już nie. Nie dla niej.

Świat Na Zewnątrz... Jaki był teraz, jaki mógł być po wszystkich tych latach, spędzonych Wewnątrz? Pamiętała, jak na początku zawsze próbowała znaleźć się możliwie blisko strażniczek, aby poczuć zapach świeżości, który codziennie tu ze sobą wносиły. Czasami pytała, jak jest Na Zewnątrz, za grubymi kamiennymi murami, które nie przepuszczają nawet najjaśniejszych kolorów. Czy pada? Czy świeci słońce?

Z jakiego kierunku wieje wiatr? W pierwszych tygodniach lata chciała wiedzieć, czy rano trawę pokrywa gruba warstwa rosy, a w środku zimy wypatrywała, czy przed wyruszeniem w drogę do pracy musiały zdrapywać szron z szyb swoich samochodów. Początkowo wzruszały ramionami, pełne podejrzeń co do jej motywów, lecz z czasem większość zmiękła i zrozumiała, że zależy jej tylko na obrazach, które jej wyobraźnia będzie mogła wykorzystać i przetworzyć.

Tak, większość zmiękła, a niektóre nawet ją polubiły. Była inna, nie taka jak pozostałe. Te po kilku miesiącach wychodziły na wolność, i wkrótce znowu wracały. Więzienie było dla nich swoistym schronieniem, ucieczką od niebezpiecznego życia ulicy, szansą, żeby odpocząć, wyspać się i najeść, może przez kilka miesięcy pochodzić do szkoły, odzyskać chociaż odrobinę dzieciństwa, jakiego przeważnie zostały pozbawione.

Tak więc niektóre strażniczki rozmawiały o niej między sobą i zastanawiały się, dlaczego zrobiła to, co zrobiła. Pozostałe, zwłaszcza te stojące wyżej w hierarchii, nie pochwalały tego rodzaju zainteresowania. Wysoka, mocno zbudowana kobieta, która eskortowała Rachel w drodze do więzienia, Macken, wyjaśniła koleżankom, w czym rzecz.

- Jesteście w błędzie, jeżeli sądzicie, że którakolwiek z nich jest taka jak my. Nie. One są inne. Myślą w inny sposób, inaczej się zachowują. Żadna z nas nigdy nie skończy w więzieniu. Nie próbujcie myśleć, że też mogłybyście się znaleźć po tamtej stronie. Jeśli chodzi o Rachel Beckett, po prostu o tym zapomnijcie. Zabiła swojego męża. Zamordowała go. Stała nad nim, kiedy się przewrócił po pijanemu, załadowała jego pistolet, wycelowała i pociągnęła za spust. Dwa razy. Trzymajcie się od niej z daleka, mówię wam. I jeszcze coś - czy ona chce się do tego przyznać? Czy chce przyjąć odpowiedzialność za swój czyn? O nie. Nie chce tego zrobić i nie robi. Równie dobrze mogłybyśmy stawiać na to, że przetnie kraty pilnikiem do paznokci.

Wszystkie strażniczki odwróciły się od stołu, przy którym piły herbatę, i popatrzyły na Rachel. Stała razem z innymi

kobietami, oparta o ścianę na półpiętrze, a jej twarz była tak samo obojętna i pozbawiona wyrazu jak twarze pozostałych więźniarek.

Więzienne boisko w nudne, wietrzne popołudnie. Dwadzieścia, może trzydzieści kobiet pod ogrodzeniem. Pałą, plotkują, jęczą, nudzą się i narzekają. W kącie boiska Rachel, pogrążona w lekturze. Nagle jakiś głos zaczyna śpiewać ulubioną pieśń więźniarek, hymn protestu. Wkrótce do tego głosu przyłącza się drugi, trzeci, czwarty... Kobiety stają w kręgu, biorą się za ręce i śpiewają. Głośno, z głębi serca, tak aby pieśń dobiegła wysoko, jak najwyżej, aż do okien sąsiadującego z ich budynkiem więzienia dla mężczyzn.

O nie, nie poddam się,
Przeżyję i wyjdę.
Ten, kto kochać jeszcze śmie,
Jak żyć i przeżyć dobrze wie.

Atakując chóralnym śpiewem grube mury więziennego gmachu, czekają na głosy mężczyzn.

Przede mną jeszcze życie całe,
W sercu miłość i marzenia ocalałe.

Cienie przy oknach i wreszcie śpiew mężczyzn, przytłumiony metalową siatką.

O nie, nie poddam się,
Przeżyję i wyjdę.

Zmienione twarze kobiet, przejęte, pełne radości i uniesienia. Twarze, które Rachel dopiero zaczynała rozróżniać i poznawać, przypisując do nich imiona i historie. Patty, Tina, Lisa, Molly, Denise, Bridget, Theresa. Zerkają na opartą o mur Rachel, śmieją się głośno i rytmicznie klaszczą w dłonie. Rachel za-

czyna klaskać jak one i przytupywać, a po chwili śpiewa razem z nimi.

Wyciągają do niej ręce i włączają ją w swój krąg. Wibracje wprawiają w drżenie jej krtań i przeponę, kiedy krzyczy na całe gardło tak jak one. Wszystkie walą butami o asfalt i ryczą jednym głosem, kołysząc ramionami, aż wreszcie zza pokrytej grubą siatką bramy wypadają strażniczki, pięć, może sześć.

- Dosyć! - krzyczą.
- Ciszej!
- Spokój!
- Do środka!
- Czas na herbatę!

Rachel patrzy, jak kobiety otwierają krąg i zaraz zamykają go wokół strażniczek, śpiewając coraz głośniej i głośniej. Za kratami okien sąsiedniego budynku widać twarze mężczyzn, którzy także śpiewają, niskimi, rezonującymi głosami, wojowniczo i pięknie.

Krąg się kurczy, zamyka coraz bardziej stłoczone strażniczki, które zaczynają się denerwować, usiłując się wyrwać. Nagle widać, że są po prostu kobietami, podobnie jak więźniarki, bezbronnymi i wątpliwymi, ich mundury nie mają żadnego znaczenia, a na twarzach maluje się strach. Śpiew brzmi jeszcze głośniej, a mężczyźni, nie dbając już o podtrzymanie melodii, gromko skandują słowa pieśni.

Wtedy, w tamto wietrzne popołudnie, na więziennym boisku, poczuła to po raz pierwszy - tę falę energii, która wzbiera, gdy grupa się konsoliduje, staje się masą i uświadamia sobie swoją potęgę. Obserwowała ciała innych kobiet i widziała, jak rosną, prostują się. Strażniczki również to dostrzegły. Zdawały sobie sprawę, co się dzieje. Kręciły się bezradnie dookoła więźniarek, na ich pobladłych twarzach malował się lęk. Rachel zauważyła, że starają się zwrócić uwagę poszczególnych kobiet i oderwać je od grupy. Wołały do nich po imieniu.

- Hej, Jackie, Tina, Molly! Hej, Theresa! Słuchaj, do ciebie mówię! Uspokójcie się! Przestańcie, bo będzie źle!

Bo będzie źle? Źle, to znaczy jak, zastanawiała się. Więźniarki nie przerażało bynajmniej, że będzie źle. Często było im nie tylko źle, ale bardzo źle, i wszyscy, również obsługa więzienia, doskonale o tym wiedzieli. Rachel czekała, spięta i niepewna, co wydarzy się za chwilę. Co zrobię, pytała samą siebie. Po której stronie stanę? Czekala. Pięści same zaciskały się coraz mocniej, mięśnie nóg napinały się mocno.

I nagle wszystko się skończyło, równie szybko, jak się zaczęło. Kobiety podjęły decyzję. Zabawiły się i uznały, że nie mają już nic więcej do wygrania, więc rozplotły ramiona i rozeszły się. Przestały śpiewać i spokojnie wróciły do budynku. Rachel z uśmiechem poszła za nimi w to nudne, wietrzne popołudnie, słysząc drwiące okrzyki i gwizdy mężczyzn. Oni nie ustąpiliby tak łatwo, wykorzystaliby sytuację do końca. Tyle że pewnie by ich pobito i rozpędzono, pomyślała Rachel, gdy tymczasem kobiety wzięły z niej to, co najlepsze. Podniosły głowy, pokazały swoją moc, udowodniły, że stać je na bardzo wiele. I mogły zrobić to znowu, za tydzień, za miesiąc, za jakiś czas. Pojedynczo, w grupie, w taki lub inny sposób. Miały jeszcze niejedną szansę, zostawiły ją sobie na później. Szansę, wybór, możliwość. Warto było o tym pamiętać. Zawsze.

Poprosiła o rozmowę z psychologiem. Wtedy, na samym początku, miała jeszcze wiarę, zaufanie do ludzi podobnych sobie, wykształconych, rozsądnych, pełnych zrozumienia dla innych.

- Dlaczego? - Reakcja była uprzejma, lecz obojętna.
- Potrzebuję pomocy.
- Naprawdę?

Czekała dość długo, ponieważ w więzieniu pracował tylko jeden psycholog. Wpisano ją na listę oczekujących. Wreszcie nadszedł ten dzień. Przygotowała sobie krótkie wystąpienie, przemyślała użycie poszczególnych słów, przećwiczyła je, nauczyła się na pamięć.

- Proszę posłuchać, nie powinnam była tu się znaleźć. Nie jestem niebezpieczna ani agresywną. Trafiłam tu przez pomył-

kę. Nie zabiłam swojego męża. To nie ja do niego strzelałam. To prawda, że się pokłóciliśmy. Tak, byłam wściekła. Ale nie zabiłam go. Proszę mnie zrozumieć - nie jestem psychopatką, socjopatką czy kimś w tym rodzaju. Rozumie pan chyba, że nie powinnam tu nadal przebywać...

Raport psychologa podkreślał jej postawę zaprzeczenia, niemożność wzięcia na siebie odpowiedzialności za dokonane czyny, brak wyrzutów sumienia.

Czekała dalej, przekonana, że wkrótce coś się stanie. Czas mijał powoli, nic się nie działo. Poprosiła o rozmowę z dyrektorem więzienia.

- Na pewno psycholog powiedział panu, że jestem niewinna, nie zrobiłam tego i nie powinnam się tu znaleźć.

- Rachel... - Głos dyrektora był miły, serdeczny. - Rachel, odnoszę wrażenie, że nie bardzo rozumiesz, o co w tym wszystkim chodzi. Stałaś przed sądem i ława przysięgłych, składająca się z ludzi równych tobie, uznała cię za winną. Zostałaś skazana na dożywotni pobyt w zakładzie karnym. To jest rzeczywistość, w jakiej żyjesz, twoja jedyna rzeczywistość, Rachel. Cała reszta to tylko marzenia.

Minęło dużo czasu, nim z własnej woli spotkała się z kolejnym specjalistą. Dość często musiała odbywać obowiązkowe rozmowy z ludźmi z zewnątrz. Czasami śmieszyli ją ci wszyscy studenci, przysyłani tutaj na zajęcia praktyczne, tacy poważni i przejęci. I pracownicy organizacji charytatywnych, którym się wydawało, że zdołają złagodzić jej wyrzuty sumienia. Księża i zakonnice, którzy przychodzili, aby ofiarować duchową pomoc. Uśmiechała się do nich i wyobrażała sobie rozmowy, które prowadzili na jej temat po powrocie do domu.

- Nigdy nie zgadniecie, kogo dzisiaj poznałem.
- Pamiętasz ją?
- Tak, tak, tę, która zastrzeliła swojego męża, wszystko się zgadza.
- Dostała dożywocie.
- Czy jest miła? Och, po prostu cudowna. Śliczna, bardzo

uprzejma, inteligentna. Nigdy nie zgadlibyście, że jest morderczynią, nigdy.

Decyzję o tej ostatniej wizycie podjęła głównie dlatego, że była śmiertelnie znudzona codzienną egzystencją w więzieniu, poza tym zaciekawiły ją opinie innych więźniarek.

- Naprawdę powinnaś umówić się na rozmowę z tym facetem, Rachel - mówiły wszystkie. - Jest inny, sympatyczny.

Był starszy od pozostałych. Powiedział, że podjął się tej pracy tylko na pewien czas, ponieważ potrzebował dodatkowych pieniędzy. Uważnie przejrzał jej akta. Obserwowała go spod oka. Wyglądał na zmęczonego, może nawet chorego. Ubranie miał marnej jakości. Palił nałogowo, o czym świadczyły żółte plamy na palcach i zębach. Powoli przewrócił ostatnie kartki, a potem podniósł wzrok i spojrzał jej w oczy.

- Najwyższy czas, żebyś się przyznała do popełnionej zbrodni - stwierdził. - Przebywasz tu już zbyt długo i powinnaś zrobić to dla własnego dobra. Komisja więziennictwa dokonała rewizji twojego wyroku po siedmiu latach i od tego czasu ponawiała próbę każdego roku, lecz zawsze wydawano decyzję przeciwko zwolnieniu warunkowemu. Wiesz, dlaczego?

Skinęła głową.

- Oczywiście że wiesz. Nie jesteś głupia. Powiedziałbym, że jesteś zbyt mądra, aby nadal tu siedzieć. Kiedy następnym razem spojrzysz w lustro, zastanów się nad tym, co widzisz. Pomyśl o bruzdach na twarzy, siwiźnie we włosach i pomarszczonej skórze dłoni. Chociaż raz pomyśl o przyszłości i poproś o widzenie z dyrektorem. Powiedz mu, że jesteś gotowa przyjąć odpowiedzialność za zabicie męża. Przyznaj się do winy i okaż skruchę. Zobaczysz, że te słowa odmienia cię już w chwili, gdy będziesz je wypowiadać. Sprawią, że staniesz się godna współczucia i wybaczenia. Może nie następnego dnia, nie za tydzień, ale w niezbyt odległej przyszłości okaże się, że dzięki nim wyjdiesz na wolność. A teraz idź i przemyśl to, co ci powiedziałem.

Dyrektor więzienia wezwał ją do siebie i oznajmił, że ma

dla niej dobre wiadomości. Komisja zarekomendowała ją do zwolnienia warunkowego. Personel więzienia zacznie przygotowywać ją do wyjścia na wolność.

- Rozumiesz, jak to będzie wyglądało, prawda, Rachel? Wyrok nie zostanie zmieniony na inny, nadal będziesz skazana na dożywocie, ale jeżeli postarasz się dobrze zachowywać i przestrzegać zasad, znowu będziesz mogła żyć jak normalni ludzie. No, może prawie tak jak oni...

Miała się nauczyć, jak robić zakupy i gotować, korzystać ze środków transportu publicznego, opłacać rachunki, prowadzić zwyczajne życie. Dwanaście lat po tym, jak pozbawiono ją niezależności i oddano w ręce instytucji państwowej, miała odzyskać wolność.

Czy pragnęła tego? W nocy leżała na łóżku, bezpiecznie zamknięta, i błdziła wzrokiem po dobrze znanych napisach i rysunkach na ścianach i plamach na suficie. Spędziła w tej celi dziewięć lat, jedenaście miesięcy i dwa dni. Znajdowała się na najwyższym piętrze, w kącie najbliższym drogi. W ciągu dnia i tak nie mogła przebić spojrzeniem murów, ale w nocy było inaczej. W nocy widziała światła lotniska oraz lądujące i startujące samoloty. W dzień mogła dostrzec tylko niewyraźne smugi, czasami błysk światła, odbijającego się od metalowego skrzydła lub fragmentu konstrukcji. W nocy obserwowała, jak światła samolotów wznoszą się coraz wyżej, i wyruszała w podróż wraz z nimi. Do Londynu lub Nowego Jorku, do Paryża lub Rzymu. Do wszystkich miast, które kiedyś zwiedzała. Przywoływała z pamięci nazwy ulic, budynków, które podziwiała, zapach powietrza, ciepło dotyku słońca na powiekach i ramionach, natężenie światła. Teraz wstała, podeszła do okna i otworzyła je przez kraty, starając się popchnąć obie połowy jak najdalej. Było zimno, ale to jej nie zrażało. Podniosła głowę i spojrzała w granatowoczarne niebo. Księżyc był w ostatniej fazie. Dokładnie widziała krater Kopernika i drugi, Keplera. Martin kochał księżyc. Często dawał jej mocną lornetkę, pokazywał księżycowe morza i kratery, i mówił, jakie noszą nazwy.

- Najbardziej fascynuje mnie to, że księżyc zawsze tam jest, nawet w dzień. W blasku słońca wcale go nie widać, ale czeka tam na nadejście nocy, aby znowu pokazać światu swoją twarz. Tak powinien zachowywać się dobry oficer wywiadu - ujawniać się dopiero wtedy, gdy przychodzi odpowiednia pora, ani chwili wcześniej.

Powiedział to wtedy, kiedy jeszcze z nią rozmawiał, dzielił się z nią uwagami na temat swojej pracy. Kiedy mówił jej o wszystkim.

- Na pewno masz jakichś przyjaciół, krewnych, kogoś, z kim mogłabyś odnowić stosunki - powiedziała Jackie, strażniczka wyznaczona do zajmowania się zwalnianymi warunkowo. - Będziesz ich potrzebować. Trudno jest żyć w pełnej samotności. Wiem, że tutaj też byłaś samotna, ale samotność w tamtym świecie to zupełnie co innego.

Czy w więzieniu rzeczywiście była samotna? Próbowwała przypomnieć sobie, jak to było, porównać swoje obecne samopoczucie z tym sprzed aresztowania. Wszędzie dookoła siebie słyszała głosy, głosy kobiet. Znała je wszystkie, wiedziała, jak się nazywają, w jakim są wieku, za co zostały skazane. Siadywała z nimi w kurzu boiska i słuchała historii ich życia. Ona także opowiadała im różne historie, przede wszystkim bajki, które słyszała w dzieciństwie od matki i wiele lat później przekazała własnej córce. O Złotej Kuli, Dwunastu Tańczących Księżniczkach, Pięknej i Bestii, Sino-brodym, Królownie na Ziarnku Grochu. Widziała, jak ich twarze łagodnieją, powieki opadają, jak wygodnie opierają się o sąsiadki i zapadają w stan przyjemnego rozmarzenia. Teraz słyszała, jak ze swoich okien nawołują do mężczyzn, zamkniętych za szarymi murami więzienia po przeciwnej stronie boiska. Do braci, chłopaków, mężów. Do wszystkich tych mężczyzn, których poznała, pomagając kobietom pisać do nich listy, obserwując, jak zastanawiają się nad każdym słowem, ściskając w niezgrabnych, nieprzywykłych do pisania palcach długopisy lub ołówki.

Drogi Johnny, kocham cię. Nie mogą się już doczekać, kiedy wyjdę z pierdla i znowu będę z tobą.

Kochany Mikey, jak leci? Czy czujesz się lepiej? Czy chodzisz na umówione wizyty do szpitala i bierzesz tabletki, jak ci kazałam?

Kochany Pat, przesyłam ci ucałowania i uściski. Tęsknię za tobą. Czy ty też za mną tęsknisz?

- Słyszycie nas? - wołały teraz kobiety. - Słyszycie?

Z czasami miała ochotę przyłączyć się do nich, chociaż nie miała nikogo za okratowanymi oknami po drugiej stronie boiska. Chciała po prostu usłyszeć dźwięk własnego głosu, wykrzyknąć jakieś słowa i poczekać na odpowiedź. Do kogo zawołałaby teraz?

- Słyszysz mnie, świecie? Wracam do ciebie. Słyszysz mnie?

Zapytała, czy może dostać mapę miasta, największą, jaką mieli. Zastępca dyrektora, Dave Brady, miły mężczyzna w średnim wieku, przyniósł jej mapę ze swojego samochodu.

- Proszę, Rachel, możesz ją zatrzymać – powiedział z uśmiechem.

Miał cudowny uśmiech, szczery i ciepły. Kobiety bardzo go lubiły. Pokpiwały z niego i żartowały, nie zawsze subtelnie, lecz on uśmiechał się tylko i wzruszał ramionami, jakby tym jednym gestem zrzucił drwiny ze swoich szczupłych ramion i siwiejących włosów.

Kiedy Rachel przytknęła błyszczącą, tekturową okładkę mapy do nosa, poczuła zapach wosku lub pasty do butów, kurzu i benzyny. Okładka kleiła się do palców. Powąchała ją raz jeszcze. Może lizak albo guma do żucia. Pan Brady zawsze chętnie opowiadał o swoich dzieciach, teraz prawie dorosłych. Dwoje studiowało na uniwersytecie, a najstarszy syn pracował w Dolinie Krzemowej w Kalifornii. Tak w każdym razie

mówił pan Brady. Rachel nie bardzo mogła sobie wyobrazić miejsca o takiej nazwie. Szczerze mówiąc, teraz nie mogła wyobrazić sobie ani Kalifornii, ani nawet Dublina.

Właśnie dlatego zależało jej na mapie. Rozłożyła ją i przykleiła do ściany taśmą, mocno dociskając kciukiem i czując, jak powierzchnia sztywnego papieru przylega do nierównej, źle otynkowanej ściany pod spodem. Potem usiadła na łóżku i przyjrzała się jej. Całe jej życie zawierało się w granicach tej mapy. Wszystkie istotne wydarzenia miały miejsce tutaj, nie gdzie indziej. Podniosła się, zbliżyła twarz do mapy i spojrzała na krzyżujące się linie ulic. Znalazła szpital, w którym się urodziła, dom, gdzie mieszkała jako dziecko, szkołę, uniwersytet, na którym studiowała architekturę, zakrzywione ramiona portu Dun Laoghaire, gdzie nauczyła się żeglować. Miejsca, które odwiedzała z Martinem, kościół, w którym wzięli ślub, łagodny łuk zaułka, w którym mieszkali. Tam umarł, tam opłakiwała jego śmierć.

Od wielu lat nie chciała myśleć o tym, co znajduje się za murami więzienia. Wyobrażała sobie, że żyje na pustyni lub w głębokiej puszczy, w jakimś całkowicie odizolowanym, niezamieszkanym przez ludzi miejscu, poza granicami czasu i przestrzeni. Na zewnątrz nie było nic rzeczywistego, szczególnie odkąd przestała widywać się z Amy. Wystarczyło, by przypomniawszy sobie jej imię i już czuła się chora. Spychała wspomnienia głęboko, jak najdalej, ukrywała je w odległych zakamarkach pamięci, aby nie mogły sprawiać bólu. Znowu spojrzała na mapę i ze słoika stojącego na małym stole wyjęła czerwony cienkopis. Zaczęła zaznaczać na mapie małe czerwone kółka. Czerwony kolor symbolizował wszystko, co wiązało się z jej karą. Znalazła więzienie i obrysowała je starannie, a potem wypełniła jeszcze kółko czerwienią, żeby nie myliło się z żadnym innym miejscem. Zaznaczyła posterunek Garda, gdzie była przesłuchiwana, i gmach sądu, w którym ją skazano. Znalazła siedzibę Departamentu Sprawiedliwości oraz Prokuratury Generalnej. Gdzieś w tych budynkach znajdowały się wszystkie akta dotyczące jej sprawy

i procesu. Potrafiła wyobrazić sobie szafę z aktami i trochę wyblakłe czerwone teczki. Odmówili jej prawa do złożenia apelacji. Skazali ją na dożywocie. Zastanawiała się, kim byli mężczyźni i kobiety, którzy podejmowali te wszystkie decyzje. Czy myśleli o niej czasem, czy pamiętali ją z tamtych dni? Była prawie pewna, że nie.

Wzięła linijkę i równymi kreskami połączyła zaznaczone punkty. Teraz mapa była pocięta jaskrawoczerwonymi zygzakami. Sięgnęła po drugi cienkopis, tym razem niebieski. Niebieski był kolorem Amy. W czasie ostatniego widzenia ubrana była w swoją ulubioną niebieską sukienkę. Nie był to wyblakły, sprany błękit koszul, które nosił personel więzienny, ani tępy, szary błękit nieba nad więzieniem, przesłonięty obłokiem miejskiego, zanieczyszczonego powietrza. Zaznaczyła szpital, w którym urodziła córkę, dom, gdzie mieszkali i dom, w którym teraz mieszkała Amy ze swoją zastępczą rodziną. Znalazła też jej szkoły. Małą szkołę podstawową, do której przez całą pierwszą klasę odprowadzała ją, całując na pożegnanie pod drzwiami sali i gdzie później czekała na nią w porze lunchu. I inne szkoły, do których chodziła jej córka. Zapamiętała ich nazwy, wymienione przez więzienną urzędniczkę.

- Masz prawo do wszelkich informacji o postępach w nauce i rozwoju córki, Rachel. Możemy zorganizować wam widzenia na zewnątrz, nie tutaj. Wiesz o tym wszystkim, prawda?

Ale ona odmówiła. Nie mogła tego znieść. Widziała, w jaki sposób Amy zaczęła Ignąć do kobiety, która teraz budziła ją rano i układała do snu wieczorem. Jak mogła rywalizować z tym codziennym kontaktem?

- Jestem twoją mamą- szeptała do kruchego, miękkiego ucha Amy podczas kilku pierwszych widzeń.

Trzymała ją na kolanach i wdychała słodycz jej dziecięcego zapachu. Opierała policzek na miękkich, brązowych włosach córki. Całowała jej delikatny karczek. Miała ochotę rozebrać Amy i przyjrzeć się jej ciału, aby zapamiętać je na zawsze, takie, jakim wtedy było. Macierzyństwo polegało także i na

tym, że miała prawo dotykać Amy, przytulać ją, całować jej krągły brzuszek, głaskać lekkie wygięcie jej pleców. Pragnęła zapamiętać swoje dziecko, nauczyć się go na pamięć, bo przecież kiedyś było częścią jej ciała, tak samo jak dłoń, ręka, noga, pierś, twarz. Oczywiście w przeszłości. Bo przyszłości nie miały, uświadomiła sobie z zapierającą dech w piersiach rozpaczą.

- Jestem twoją mamą - powtarzała.

Amy kiwała głową i mocno ssała kciuk.

- Moją mamą... - przytakiwała. - Wróc ze mną do domu, mamusiu, wróc ze mną do domu, teraz, dobrze?

Jej oczy biegły w kierunku drzwi. Zaczynała się denerwować i kręcić, rozgarniała palcami włosy, jej drobne ciało napinało się niespokojnie.

- Chcę do domu! Nie podoba mi się tutaj! Chcę już do domu...

Kiedy tupnęła nogą o podłogę, sprzączki jej sandałów zabrzęczały cicho. Nowe buty, zauważyła Rachel, podobnie jak całe ubranie. Amy wyrosła z sukienek, spodni, swetrów i bluzek, które ona dla niej kupiła i teraz nie miała na sobie ani jednej rzeczy, wybranej przez matkę. Zrzuciła skórę, którą dała jej Rachel. Gdy widzenie dobiegło końca i w drzwiach pojawiła się przybrana matka dziewczynki, Amy uniosła ramiona i mocno objęła jej grube uda. Nad głową córki Rachel spojrzała w oczy obcej kobiety. Były dobre, pełne troski i miłości. I triumfu.

Rachel narysowała proste linie między niebieskimi kółkami. Gdzieś tam, na zewnątrz, będzie musiała znaleźć swoje własne miejsce, wiedziała jednak, że nie spocznie, dopóki nie spełni obietnicy, którą złożyła sobie w dniu otrzymania wyroku.

To się tak nie skończy, powiedziała wtedy. To dopiero początek. I niezależnie od tego, co się stanie, doprowadzę tę sprawę do końca. Nigdy się nie poddam.

Patrzyła, jak kobieta o szpakowatych włosach i pociągłej twarzy idzie ku niej przez tłum robiących zakupy w supermarkecie. Poruszała się powoli i ostrożnie, jakby dopiero przed chwilą się ocknęła i jeszcze nie była zupełnie pewna, czy jej ciało rzeczywiście należy do niej. Ubrana była w białą bluzkę koszulową, jasne džinsy i szary sweter, rozpięty i smętnie zwisający z ramion. Jej ramiona wydawały się zupełnie bezwładne, lecz po chwili, na oczach Rachel, uniosła je i objęła dłońmi przedramiona. Potem przystanęła i zamknęła ciemnobrązowe oczy. Głowa opadła na pierś, ramiona zdrząły, wstrząsane szlochem. Zrobiła jeszcze trzy kroki do przodu i oparła zniszczoną twarz o twarz Rachel, odbitą w zakrywającym całą ścianę lustrze. Rachel poczuła chłód szkła na policzku. Otworzyła oczy i spojrzała na kobietę, jaką stała się w ciągu minionych lat, usiłując odnaleźć siebie w tym odbiciu. Po jej twarzy spływały łzy. Odwróciła się do młodszej towarzyszki, która wyciągnęła do niej rękę, najwyraźniej pragnąc ją pocieszyć.

- Proszę cię, Jackie, na razie wystarczy. Chcę już wracać.

Miał to być jej wielki dzień, pierwszy dzień na zewnątrz. Pierwszy krok w programie resocjalizacji, zaleconym przez więzienną komisję do spraw zwolnień. Podano jej dokładną datę, z dwutygodniowym wyprzedzeniem.

Dzień, na który można z przyjemnością czekać, powiedziała Jackie z uśmiechem. Z pieniędzy, które Rachel odłożyła podczas odsiadki, kupiła dla niej nowe ubranie. Szare spodnie o prostych nogawkach i ostrym kantem, szary żakiet, buty z prawdziwej skóry, wsuwane, z czubem w szpic i ładnym obcasem. Rachel miała wrażenie, że jej stopy są zbyt wielkie do tych pantofli. Próbowała chodzić w nich po celi i słuchała, jak skórzane podeszwy lekko stukają o posadzkę. Była przyzwyczajona do sportowych, miękkich sznurowanych butów z zaokrąglonymi czubami i mnóstwem miejsca na palce. Ostrożnie, z wahaniem przymierzyła nowe rzeczy, niechętnie pozbywając się dobrze znanego więziennego ubrania.

Jackie kupiła jej też kosmetyki.

- No, Rachel, wypróbuj je. Na pewno pamiętasz, jak to się robi, prawda?

Zostawiła te drobiazgi w małej plastikowej kosmetyczce w niebieskie kwiaty, zamykanej na suwak. Rachel usiadła przy biurku, przed kieszonkowym lusterkiem ustawionym na Obudowie radia i wysypała na blat zawartość kosmetyczki. Podkład w tubce. Szminkę w metalowej oprawce. Tusz do rzęs, tusz do kresiek, brązowy cień do powiek. Nawet róż, ciemnołososiowy, z lekkim połyskiem. Czubkiem palca wskazującego potarła sprasowaną powierzchnię i naniosiła odrobinę różu na zewnętrzną stronę dłoni. Skóra nabrała takiego odcienia jak po całym dniu spędzonym na słońcu. Wzięła do ręki tubkę i wycisnęła na dłoń mały, beżowy ślimaczek podkładu. Zaczęła rozcierać go na twarzy. Naniosiła go na czoło, kierując palce w górę i na zewnątrz, na grzbiet i boki nosa, na brodę i policzki. Podniosła wysoko głowę, napinając skórę szyi i ostrożnie pokryła ją cieńszą warstwą podkładu. Wytarła palce w papier toaletowy, otworzyła buteleczkę tuszu do kresiek i zanurzyła małe pędzelek w czarnym płynie i wyjęła go. Precyzyjnie obrysowała tuszem kontur najpierw prawego, później lewego oka. Odkręciła tusz do rzęs i powoli wyciągnęła sztywną szczoteczkę. Rzęsy podniosły się i rozdzieliły, gdy pociągnęła je lśniąca, czarna substancja. Powieki pokryła cieniem, uzyskując efekt głęboko osadzonych oczu. Potem podniosła szminkę i odwróciła ją, aby przeczytać nazwę koloru. Szkarłatny mak. Przekręciła srebrzystą oprawkę i z wnętrza wysunął się stożek czerwieni. Mocno przytrzymała lusterko lewą dłonią, Zwilżyła językiem blade wargi, które lekko załśniły w padającym z góry rozproszonym świetle. Przycisnęła je do ich odbicia w lustrze, czując dotyk zimnego szkła na zębach. Od wielu lat nikogo nie całowała. Ssała, lizała i drażniła językiem ukryte wargi innych kobiet, ale nigdy ich nie całowała. Nie chciała patrzeć im w oczy ani pozwolić im zaglądać w swoje. Wołała odłożyć takie przeżycia na inny czas. Teraz narysowała kontur warg czerwonym końcem szminki i wypełniła go, nanosząc szminkę grubą warstwą. Czuła jej zapach i syntetyczną słodycz.

Martin nie znosił, kiedy używała szminki.

- Nie potrzebujesz tego - powiedział kiedyś. - Masz piękne usta. Są blade i bardzo mi się to podoba. Lubię, jak stają się coraz ciemniejsze, gdy cię całuję.

Pamiętała, że kiedy pierwszy raz przyszła do jego mieszkania, zaprowadził ją do łazienki i ręcznikiem stał makijaż z jej twarzy.

- Spójrz. - Pokazywał smugi brązu i czerwieni, wyraźnie odcinające się od jasnej tkaniny. - Widzisz, jakie to paskudne? Bez tych wszystkich świństw jesteś o wiele piękniejsza...

I przygryzł jej wargi, delikatnie szczypiąc zębami cienką skórę, aby szybko poczerwieniały i stały się prawie fioletowe. Przybrały kolor pulsujących krwią membran, tej specjalnej skóry ciemnych, tajemnych miejsc.

Rachel wyprostowała się i spojrzała na twarz w lustrze. Nie należała do niej. Ustawiała lustro pod takim kątem, żeby widzieć w nim swoje ciało. Szary żakiet i spodnie, eleganckie czarne buty w szpic, na niewielkim obcasie... Wstrząsnął nią dreszcz obrzydzenia. Szybko zrzuciła buty, zerwała z siebie ubranie, opinające jej ramiona i nogi, i rzuciła wszystko w kątek obok sedesu. Wymierzyła lustro w swoją nagość i przesunęła nim z dołu do góry. Wyraźnie widziała ostro rysujące się pod skórą żebra i wklęsłą misę brzucha. Skóra na biodrach oznaczona była srebrzystymi smużkami, jak satyna nadwierzona ostrzem nożyczek. Jej piersi były równie małe jak zwykle, lecz teraz wydawały się spłaszczone, wiotkie i obwisłe, co bardziej podkreślało kości obojczykowe. Przesunęła dłonią po kępce włosów na podbrzuszu. Przywarły do jej palców, nie mniej czarne i grube niż dawniej. Przykucnęła i jeszcze raz uważnie przyjrzała się swojej twarzy. Skóra jej ciała była blada, lecz wyżej ciemniał sztuczny brąz podkładu, czerni wokół oczu i żywa czerwień warg. Podniosła się i podeszła do umywalki. Chwilę trzymała ręce pod strumieniem gorącej wody, a potem namydliła dłonie i potarła nimi twarz, czując, jak pieką ją oczy. Podstawiła twarz pod strumień wody i znowu namydliła, trąc i masując tak długo, aż spod jej palców spłynęły

resztki kosmetyków. Oddychała szybko. Zanurzyła twarz w grubym, nieco szorstkim ręczniku i sięgnęła po lusterko. Na rzęsach miała jeszcze drobiny czarnego tuszu, a w drobnych zmarszczkach wokół ust ukryły się cienie czerwieni. Jęknęła cicho i napełniła umywalkę świeżą, parującą wodą. Umyła się jeszcze raz i jeszcze, aż wreszcie jej twarz stała się idealnie czysta i biała.

Tak biała jak ta, której odbicie dostrzegła w bocznym lusterku samochodu Jackie, kiedy parę godzin wcześniej posuwały się zatłoczoną ulicą w kierunku North Circular Road.

- Nie dam rady - powiedziała wtedy. - Nie uda mi się. Kiedy nadejdzie czas, nie będę w stanie opuścić więzienia. Proszę cię, Jackie, nie zmuszaj mnie do tego.

Dlaczego nie będziesz w stanie opuścić więzienia, zapytał jakiś wewnętrzny głos. Dlaczego? Bo wtedy muszę zmierzyć się z tym, co zrobiłam, i znaleźć sposób, aby to naprawić. Odpowiedział ten sam głos. A teraz, po tych wszystkich latach, chyba nie stać mnie na to. Nie udźwignę tego ciężaru.

ŚRODEK

Rozdział pierwszy

Andrew Bowen podniósł się zza biurka i przeszedł korytarzem do kuchni, aby zaparzyć sobie pierwszą tego dnia filiżankę kawy. Pomyślał, że sprawa Rachel Beckett należy do najbardziej interesujących w jego karierze. Rzadko się zdarzało, aby opiekun sądowy przestępców wypuszczanych warunkowo na wolność zajmował się osobą skazaną na dożywocie. Do tej pory miał taką możliwość tylko dwa razy, i nigdy nie była to kobieta. Oczywiście, zajmował się też kobietami, które kogoś zabiły, i to kilkoma. Ich ofiarami byli ich mężowie, przyjaciele, a także dzieci, lecz wszystkie zabijały w afekcie, ze strachu, w samoobronie, reagując na agresję, w chwili szaleństwa. Nie w taki sposób, jak Rachel Beckett - powoli, z rozmysłem, celowo, precyzyjnie, z premedytacją. Teraz zaś Departament Sprawiedliwości w swej niezmierzonej mądrości uznał, że skoro Rachel okazała skruchę i przyznała się do popełnionej zbrodni, to nadszedł czas, aby ją uwolnić. Oczywiście warunkowo. Właśnie dlatego tego dnia, 10 maja o dziewiątej rano, Rachel Beckett miała stawić się w jego biurze.

Skrucha - cóż za interesujące pojęcie. W łacinie rdzeniem rodziny wyrazów, wśród których znajduje się „skrucha”, jest czasownik *remordere* - ugryźć ponownie. Drugi kęs, druga szansa. Możliwość naprawienia zła, popełnionego w przeszłości. A może w ogóle nie ma takiej szansy? Andrew Bowen

często się zastanawiał nad skruchą i jej przejawami. Myślał o energii, jaką przestępca wkłada w zaprzeczanie faktu dokonania zbrodni. O skomplikowanej, starannie przemyślanej linii obrony, którą przygotowuje się w celu przedstawienia jej w sądzie, o opłaconych świadkach, łożawych zeznaniach i identyfikacji dowodów, a także o uroczystych zapewnieniach o niewinności, zwykle składanych przez przestępcę. I po tym wszystkim, wiele lat później, gdy przestępca wtapia się w rzeczywistość więziennego życia i akceptuje ją, na scenę wkracza pan Remordere, świeżutki i pogodny, szczerzy i dobry jak złoto.

Wcale nie chciałem tego zrobić, proszę pana.

Zrobiłem to, ale to był błąd, zwykły przypadek, proszę pana. Nie przyszło mi do głowy, że dojdzie do czegoś takiego.

W porządku, przyznaję się. Zrobiłem to. Zaplanowałem to, proszę pana, wszystko przemyślałem, nie zamierzam zaprzeczać, ale obiecuję, że jeśli mnie wypuścicie, będę się dobrze zachowywał, nigdy więcej nie zrobię nic złego.

O tej porze w kuchni panowała cisza. Chwilę stał bez ruchu i nasłuchiwał. Jego koledzy najczęściej pojawiali się godzinę po nim, winą za spóźnienia obarczając uliczne korki. Andrew odpowiadał wtedy, że wstaje godzinę wcześniej właśnie po to, aby ominąć korki, a oni patrzyli na niego jak na wariata. Nic go to nie obchodziło. Oni mogli rozporządzać swoim czasem, jak chcieli. Nominalnie był ich zwierzchnikiem, ale wszyscy wiedzieli, jaki z niego szef. Łagodny i pobłażliwy do granic możliwości. Naturalnie, wszyscy byli z tego bardzo zadowoleni. Zależało im na lekkim, nieskomplikowanym życiu i Andrew doskonale to rozumiał.

Napełnił szklany dzbanek wodą, wsypał mieloną kawę, kolumbijską, swoją ulubioną, do świeżego papierowego filtra. Podniósł dzbanek, szybkim ruchem wlał wodę do ekspresu i podstawił naczynie pod otwór, z którego spływała zaparzona kawa. Czekał, przysłuchując się cichemu mamrotaniu ekspresu, a potem podszedł do małego sosnowego stolika, aby spojrzeć na zawieszoną nad nim korkową tablicę. Podeszwy jego butów, mlaskając przyjemnie, odrywały się od pokrytej linoleum pod-

łogi. Wyprostował poprzekrzywiane kartki, przypięte pinezkami do tablicy. Na uniwersytecie zaczynała się wkrótce seria wykładów na temat młodocianych przestępców, stanowiąca część obowiązkowego programu wydziału prawa. Wieczorowe kursy dla dorosłych - przy dwóch tematach zauważył swoje nazwisko. „Młodociani przestępcy - podejście terapeutyczne” oraz Młodociani przestępcy - rozpoznanie i próba rozwiązania problemu”. Jezu Chryste, zupełnie wyleciało mu z głowy, że zgodził się poprowadzić te wykłady. Co za głupota, teraz będzie musiał znaleźć kogoś, kto w tym czasie zajmie się Clare. Nie lubiła, kiedy wychodził wieczorami. Nie przeszkadzało jej, że samotnie spędza całe dnie, ponieważ rano Andrew mył ją, karmił i zostawiał jej pod ręką wszystko, czego mogłaby potrzebować, ale z wieczorami było zupełnie inaczej, zawsze mu to powtarzała. Nie znosiła samotności po zmroku. Westchnął i w chwili, gdy wypuszczał oddech, poczuł ulgę. Nie zdawał sobie sprawy, że wstrzymuje oddech, robił to zupełnie nieświadomie, podobnie jak nieświadomie trzymał Wszystkie swoje przeżycia pod kluczem. Nagle zdał sobie sprawę, że oczy ma pełne łez. Ostatnio wzruszał się często i łatwo. Sięgnął do kieszeni po chusteczkę i wydmuchał nos. Nie zaczynaj, pomyślał, nie zaczynaj dnia w taki sposób. Najważniejsze to trzymać wszystko pod kontrolą. Dlatego bardzo lubił wcześniej przychodzić do pracy - mógł oderwać się od domu i od Clare, od jej choroby, cierpienia, rozpacz i śmierci, która wkrótce musiała nadejść. Codziennie się zastanawiał, kiedy to się stanie. Może dziś wieczorem zastanie ją zwiniętą w ciasny kłębek, z mięśniami zesztyniałymi od kilku godzin. Nie ulegało wątpliwości, że próbowałaby do niego zadzwonić, ściągnąć pomoc, nie zdawała sobie jednak sprawy, że Andrew przed wyjściem do pracy wyłączał telefon, więc pomoc i tak by nie nadeszła, ani z jego strony, ani ze strony kogokolwiek innego. Wyglądałoby to na wypadek, nieunikniony skutek choroby, która w ciągu ostatnich dziesięciu lat bezlitośnie niszczyła jej życie. Doskonale wiedział, co pomyśleliby lekarz i policjanci. Dokładnie przemyślał, co

powie. Nic nie rozumiem, oświadczyłby. Kiedy wychodziłem rano, czuła się zupełnie dobrze, jeśli można tak określić stan osoby cierpiącej na stwardnienie rozsiane. Miała zadzwonić, gdyby coś było nie tak, ale nie zadzwoniła. Prawie cały dzień spędziłem w biurze, z wyjątkiem dwóch godzin, może trzech, kiedy byłem w sądzie. Ale Clare miała numer telefonu komórkowego, moja sekretarka zawsze wie, gdzie jestem, zresztą nawet gdyby Clare nie udało się mnie złapać, wezwwałaby pogotowie. Wiedziała, co należy robić.

Na razie było jednak jeszcze za wcześnie na takie rozwiązanie. Andrew wiedział, że Clare ma przed sobą długą drogę. Nie mogła samodzielnie stać ani się poruszać. Pomyślał o wszystkich terminach medycznych, jakie poznał w ciągu minionych dziesięciu lat. Paraesthesia, nienormalne doznania bez zewnętrznej przyczyny, w języku niewtajemniczonych tzw. mrowienie. Propriasaesthesia, niemożność ocenienia pozycji kończyn w stosunku do reszty ciała. Retrobulbar neuritis, zapalenie nerwu wzrokowego, powodujące utratę ostrości widzenia, mroczki oraz ból za oczami, który coraz częściej odgrywał dominującą rolę w życiu Clare. Jakiś czas temu przestała kontrolować pęcherz i miała narastające trudności z przelknięciem, odkasływaniem i oczyszczaniem górnych dróg oddechowych. Co ją czekało? Oboje świetnie to wiedzieli, ponieważ Clare zażądała, aby lekarz dokładnie jej to wyjaśnił. W końcu zabije ją zapalenie płuc lub infekcje dróg moczowych, które już teraz sprawiały jej dużo cierpienia i kłopotów. Ale kiedy? Jak długo jeszcze będą w stanie to znosić?

Kuchnię wypełnił aromat świeżej kawy. Andrew przechylił dzbanek i napełnił duży kubek napojem, dolewając trochę mleka z otwartego kartonu, wyjętego z małej lodówki. Potem wrócił do swojego biura, usiadł i otworzył akta Rachel Beckett. Urodziła się 31 sierpnia 1957 roku. Miała czterdzieści dwa lata, tyle samo co on. I oto teraz otrzymywała od losu drugą szansę. Cóż, była jeszcze wystarczająco młoda, aby ją wykorzystać. Pamiętał, jak wyglądała wiele lat temu, podczas pro-

cesu, w którym uznano ją za winną zamordowania męża i skazano na dożywotni pobyt w więzieniu. Widział ją wtedy kilka razy, na pierwszych stronach gazet, w telewizji i wreszcie w Okrągłej Sali sądu, gdzie siedziała z córką na kolanach, obok swojego ojca, czekając, czekając, czekając... Pracował wówczas w Mountjoy, całymi dniami biegał z jednego sądu do drugiego, a ona była pewnego rodzaju ciekawostką. Wszyscy tak uważali. Pamiętał, że była piękna, taka delikatna uroda, tak, to było najwłaściwsze określenie. Co za kontrast między jej wyglądem a tym, co zrobiła! Tak wszyscy mówili. Andrew zaglądał do IV Wydziału Sądowego, kiedy tylko nadarzała się po temu okazja. I miał szczęście, bo był tam w chwili, gdy sędziowie przysięgli wrócili na salę po dwudziestoczterogodzinnych obradach. Wyrok wydali większością głosów - dziesięć do dwóch. Dokładnie to wszystko zapamiętał. Jedną z kobiet płakała, najwyraźniej to ona była jedną z dwóch osób, które opowiedziały się przeciwko wyrokowi skazującemu. Oczywiście Rachel Beckett były suche. Nie, nie wierzę w to, powiedziała głośno i bardzo wyraźnie, i zaraz opuściła salę. Prawie nie miała czasu, by pożegnać się z najbliższymi. Strażnicy wyprowadzili ją, usunęli z pola widzenia przyzwoitych, uczciwych ludzi.

Interkom na jego biurku zadzwonił raz, potem drugi. Andrew spojrzął na zegarek. Dziewiąta. Doskonale, Rachel Beckett nie straciła tak cennej cechy, jaką była punktualność. Zerknął w umieszczony na ścianie przed nim monitor. Oko kamery wymierzone było prosto w drzwi wejściowe. Obserwował Rachel, kiedy czekała, aż ją wpuszczą. Na podstawie ziarnistego, czarno-białego obrazu trudno było powiedzieć, jak naprawdę wygląda, widział jednak, że włosy ma jakieś inne. Inna też była jej postawa. Przycisnął guzik i jego sekretarka natychmiast podniosła słuchawkę.

- Możesz powiedzieć mojej pierwszej klientce, żeby weszła, Maggie - polecił.

Na ekranie widział, jak Rachel pochyla się do głośnika, żeby usłyszeć, co mówi Maggie. Widział, jak kładzie dłoń na

klamce i popycha drzwi. Potem jej obraz przekazała mu kamera umieszczona na klatce schodowej. Rachel ubrana była w płaszcz, chyba zbyt obszerny, w ręku ścisnęła plastikową torbę. Robiła wrażenie chorej, słabej i zupełnie pozbawionej pewności siebie.

- To twoja druga szansa, głupia krowo - powiedział Andrew głośno, słysząc, jak Rachel puka do drzwi jego biura. - Dostałaś ją i powinnaś ją wykorzystać. Nie masz pojęcia, ile bym dał, by także otrzymać ją od losu.

Wyszedł zza biurka i ruszył na spotkanie Rachel Beckett.

Rozdział drugi

Jej pokój (sypialnia i salonik, dwa w jednym) miał pięć metrów na trzy. Wymierzyła go krokami. Mniej więcej piętnaście metrów kwadratowych. Oparła się plecami o ścianę i spojrzała w górę. Jaki był wysoki? Przeszła na środek pokoju, stanęła dokładnie pod gołą żarówką, przekrzywiła głowę i oceniła wysokość pokoju. Ponad cztery metry. Zupełnie przeciętnie jak na wiktoriański dom w Clarinda Park w Dun Laoghaire, zbudowany koło 1860 roku. Trzy piętra z przodu, cztery z tyłu. Oczywiście natychmiast porównała to ze swoją celą w więzieniu, którą także wymierzyła. Cella miała trzy i pół metra na trzy, ponad dziewięć metrów powierzchni. W tej celi spała, jadła, załatwiała się. Krótko mówiąc, zyskała sześć metrów kwadratowych, nie licząc łazienki z umywalką i starego typu wanną z prysznicem. I zamku w drzwiach.

Wsunęła rękę do kieszeni dżinsów i z satysfakcją dotknęła kluczy, które właściciel domu wręczył jej tamtego ranka.

- Proszę ich nie zgubić - powiedział. - Już przestałem liczyć, ile razy musiałem zmieniać zamek w drzwiach wejściowych na dole. Jeżeli zgubi pani klucze, doliczę cenę wymiany do czynszu, w porządku?

Uśmiechnęła się do niego. Nie miała najmniejszego zamiaru tracić tych kluczy z oka, nawet na chwilę. Teraz wyjęła je z kieszeni i poruszyła nimi, aż zabrzęczały. Był to delikatny,

melodyjny dźwięk, zupełnie niepodobny do paskudnego brzęku dużych, ciężkich kluczy, który przez tyle lat dominował w jej życiu. Codziennie rano budził ją o siódmej trzydzieści. Jedna zasuw podwójnego zamka w grubych drzwiach otwierała się z charakterystycznym, ciężkim tąpnięciem. Potem rozlegał się cichy pisk gumowych podeszew strażników na wypastowanym linoleum w korytarzu. Ale drzwi nadal pozostawały zamknięte, aż do śniadania o ósmej, kiedy otwierała się druga zasuw a w progu stawała strażniczka lub strażnik.

- Czas wstawać, panie! - wołali. - Ruszać się, słoneczka! Śniadanko czeka!

Już za pierwszym razem została ukarana. Straciła wszystkie przywileje. Żadnych listów, żadnych telefonów i wizyt. Dyrektor ze zdumieniem pokręcił głową, a na jego twarzy pojawił się modelowy wyraz raczej smutku niż gniewu.

- Bardzo dziwi mnie twoje zachowanie, Rachel - powiedział tak cicho, że musiała pochylić się do przodu, by usłyszeć, co mówi. - Bardzo mnie dziwi. Kobieta z takim wykształceniem i obyciem... Co cię naszło, na miłość boską?

W gruncie rzeczy było to bardzo proste. Kierowała nią wściekłość i gorące, obezwładniające pragnienie zadania komuś bólu. Ostatni raz czuła coś takiego w dzieciństwie, gdy na szkolnym boisku prześladowali ją chuligani ze starszych klas lub gdy nauczycielka niesprawiedliwie ją potraktowała. Z czasem nauczyła się kontrolować gwałtowny gniew, kierować go na inny obiekt, tłumić, ukrywać za maską chłodnej obojętności. Ale nie tamtego dnia. Wtedy chciała zamknąć własną pięścią głupią gębę tej kobiety, uciąć w pół słowa jej idiotyczne, pobłażliwe żarciki rodem z wakacyjnego obozu dla młodzieży. Inne kobiety nazywały strażniczki kangurzykami. Kangurzyce stały na tylnych łapach, bezpieczne w swoich niebieskich mundurach z symbolizującymi rangę naszywkami, ze swoimi pękami kluczy, z głupimi dowcipami i kumpelskimi odzywkami. Rachel nigdy nie uderzyła kobiety. Teraz zacisnęła pięść i z całej siły uderzyła tamtą w splot słoneczny. Strażniczka przestała na chwilę oddychać, a potem, z poczerwieniałą

twarzą, szlochając i rozpaczliwie chwytając powietrze, zgięta w pół, wycofała się z celi na korytarz. Reakcja pozostałych strażniczek była szybka i brutalna. Jedna chwyciła Rachel za włosy, podrywając jej głowę w górę i do tyłu, druga złapała ją za ręce i szarpnęła je w dół, zamykając smukłe przeguby dłoni Rachel w twardym uścisku.

- Pieprzona mała krowa! Co ty sobie wyobrażasz, do kurwy nędzy?! Kim ty jesteś, co? Jakąś pierdoloną księżniczką?!

Wrzuciły ją do karceru i zatrzęsły drzwi. Więzienie rozbrzmiewało triumfalnymi, pełnymi podziwu okrzykami i gwizdami, radosnymi wrzaskami kobiet, które dotąd śmiały się z niej i drwiły, pogardzały nią i spluwały, gdy przechodziła. Wreszcie stała się jedną z nich, nie miały co do tego cienia wątpliwości.

A teraz była tutaj, w pokoju na najwyższym piętrze starej kamienicy w Dun Laoghaire, z którego okien roztaczał się widok na niebieski bezmiar. Widok - coś, czym nie miała Szans cieszyć się przez dwanaście minionych lat. Co za widok... Tak piękny, że nie śmiała poruszyć się ze strachu, by nie okazał się iluzją lub halucynacją, jak to bywało w więzieniu zaraz po przebudzeniu. Naprzeciwko drzwi znajdowało się wielkie, trój skrzydłowe okno z podpiętymi po bokach zrudziałymi od słońca płóciennymi zasłonami. Szyby były brudne, w każdym rogu zwiślały gęste pajęczyny. Podeszła bliżej, powoli, przystając po każdym kroku. Na parę sekund zamknęła oczy, zacisnęła powieki tak mocno, że pod powiekami zamigotały wężyki jaskrawego światła. Potem otworzyła je i głośno wciągnęła powietrze, porażona zachwytem. Przed nią, aż po horyzont, rozciągało się morze, którego błękit sprawił, że krzyknęła z radości. Był to błękit hortensji, które jej matka hodowała w skrzynkach przed domem, błękit pocięty żyłkami ciemnego i jasnego fioletu.

Zrobiła jeszcze jeden krok i zwróciła głowę najpierw w prawą, potem w lewą stronę. Po prawej, daleko, daleko widziała krokodyle cielsko wzgórza Howth, po lewej gładkie ściany kamieniołomu Dalkey w pobliżu Killiney Hill. Niżej

rozpościerały się czerwone dachy i korony drzew - kasztanowców i jaworów, teraz, na początku lata, olśniewających jasną zielenią. Patrzyła na płynące w dół wzgórza samochody, zatrzymujące się na światłach u jego stóp oraz na pieszych, przechodzących przez szeroką ulicę i nagle poczuła, jak ogarnia ją panika. Nigdy nie stanie się podobna do tych ludzi. Oszukuje samą siebie, myśląc, że zdoła poruszać się między nimi bez obawy, iż jest obserwowana, szpiegowana, a każdy jej gest i krok są starannie odnotowywane i oceniane.

Podobnie czuła się rano, kiedy stała przed wejściem do małego biurowca tuż obok George's Street, gdzie miała spotkać się ze swoim nowym opiekunem sądowym. Przyszła trochę za wcześnie, ponieważ sądziła, że spacer z Clarinda Park do centrum potrwa dłużej. Jak daleko, jak długo, ile czasu? Nie potrafiła odpowiedzieć na te pytania, dlaczego wyszła wcześniej na wypadek, gdyby na ulicach były korki i przejście na drugą stronę miało okazać się skomplikowane, na wypadek, gdyby ulice były zatłoczone i nie mogłaby szybko i sprawnie wyminąć przechodniów. Na wypadek, gdyby to... na wypadek, gdyby tamto... Wymyśliła tysiąc powodów, przez które mogłaby się spóźnić i w rezultacie przyszła co najmniej dziesięć minut za wcześnie. Przystanąła przed grubymi metalowymi drzwiami i natychmiast zauważyła skierowane wprost na nią oko kamery z systemu zabezpieczającego budynek. Odwróciła wzrok. Dobrze знаła tego typu kamery - rozmieszczone były na terenie całego więzienia. Kobiety demonstracyjnie nie zwracały na nie uwagi, gardziły nimi. Teraz jednak, stojąc przed drzwiami, zaczęła się zastanawiać, kto ją obserwuje. W więzieniu wiedziała to doskonale, i czasami miała nawet wrażenie, że kamery przekazują obraz w obie strony. Strażniczki patrzyły na nią, a jej się wydawało, że też je widzi, jak siedzą w małym pokoju, przy biurku zawalonym papierzyskami, kubkami do połowy napełnionymi zimną herbatą oraz innymi przedmiotami. Były to zawsze te same kobiety, dzień w dzień, tydzień w tydzień, miesiąc w miesiąc i rok w rok. Sprawdzały wzrokiem monitory systemu ochrony i poprawiały ustawienie ka-

mer. Rachel znała ich twarze, gesty i sposób zachowania równie dobrze, jak kiedyś swoich najbliższych.

Stała tak i czekała do chwili, kiedy mogła wreszcie zadzwonić, pchnąć drzwi i wejść do środka. U szczytu stromych schodów pojawiła się niska, pulchna kobieta.

- Jestem Maggie Byrne, sekretarka pana Bowena - przedstawiła się. - Gdyby kiedykolwiek potrzebowała pani jakiejś informacji czy rady, proszę do mnie dzwonić. - Jej miętka, biała twarz nosiła wyraz z troskaniem. Wskazała znajdujące się za jej plecami drzwi. - Pan Bowen już czeka.

Lekko zapukała w brązowe, lakierowane drewno i nacisnęła klamkę, aby wpuścić Rachel do pokoju.

W więzieniu obowiązki opiekunów sądowych zawsze pełniły kobiety. Miłe, przyjaźnie nastawione, gotowe pomagać. Rachel obserwowała, jak przez te wszystkie lata przychodziły i odchodziły. Bawiła się z nimi w małe gierki, sprawdzając, jak dużo zdoła się od nich dowiedzieć o ich życiu na zewnątrz, wyznaczając granicę, poza którą nie zdoła się posunąć. W pewnym momencie wszystkie stawiały opór. Ostrzegano je przecież, że należy starannie rozgraniczać życie prywatne i zawodowe.

- Nie pozwólcie, by skazani wiedzieli o was zbyt dużo - powtarzano im w czasie studiów i przed rozpoczęciem pracy. - To zła praktyka. One są w więzieniu, wy w normalnym świecie, na zewnątrz. Nie wolno łączyć tych dwóch światów.

Ale w obecności Rachel tamte kobiety się odsłaniały, traciły czujność. Rachel była inna, mówiła ich językiem, więc czasami zapominały o granicy, której nie należy przekraczać.

Natomiast Andrew Bowen nie zamierzał zapomnieć nawet na chwilę. Rachel zrozumiała to natychmiast po wejściu do jego pokoju. Bez słowa nadal przeglądał jakieś dokumenty i nawet nie poprosił, żeby usiadła. Stała spokojnie, ani drgnęła. Czekala. W końcu podniósł głowę, spojrzal na nią i uśmiechnął się. Wskazał krzesło po drugiej stronie dużego, błyszczącego biurka. Usiadła. Bowen był bardzo szczupły, kołnierzyk białej koszuli wyraźnie odstawał od jego szyi. Palce miał długie

i smukłe, bardzo ruchliwe. Poruszały się bezustannie, obracając ołówki i stukając nim o blat biurka. Mówił cicho, więc musiała się nachylić, żeby usłyszeć jego słowa. Poruszyła się niepewnie. Bowen informował ją, jak będzie wyglądało jej życie. Załatwił jej już pracę w pralni chemicznej na terenie niedawno otwartego wielkiego centrum handlowego. Z pewnością sprosta wymaganiom pracodawcy. Raz na tydzień powinna także przychodzić tu, do biura opiekuna sądowego.

- Mniej więcej po roku, jeżeli wszystko ułoży się zgodnie z naszymi oczekiwaniami, te obowiązkowe wizyty będą od bywać się raz na dwa tygodnie, po kolejnych paru miesiącach raz na miesiąc. A potem, kto wie? - Zawiesił głos i położył palec wskazujący lewej dłoni na górnej wardze. - Kto wie... Oczywiście osoba w twojej sytuacji nie może pozostawać zupełnie bez nadzoru, ale jeśli nie napotkamy żadnych trudności, nasze kontakty mogą stać się nieco mniej formalne. Niewykluczone, że będziemy rozmawiać telefonicznie co miesiąc, a spotykać się co pół roku. Oczywiście, powiadomisz mnie każdorazowo o planowanej zmianie pracy, mieszkania lub nawiązaniu ważnej dla ciebie znajomości, rozumiesz, o co mi chodzi, prawda? Kto wie, jak ułożą się twoje sprawy... Jestem jednak pewny, że oboje chcemy, aby wszystko było jak należy, prawda, Rachel?

Skinęła głową. Nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa, ponieważ nagle ujrzała swoje życie, widziane jego oczami. Wstała.

- Dziękuję - odezwała się wreszcie. - Bardzo dziękuję, panie Bowen, jestem przekonana, że wszystko będzie dobrze.

- Zaczekaj. - Jego głos przybrał nagle na sile. - Zanim wyjdiesz, chciałbym dla porządku przypomnieć ci warunki czasowego zwolnienia. Zależy mi, żebyśmy się dobrze zrozumieli i dokładnie wiedzieli, o co nam obojgu chodzi. Po pierwsze - nie wolno ci spotykać się z nikim, kogo poznałaś w więzieniu. Czy to jasne? Po drugie - nie wolno ci kontaktować się z nikim, kto był w jakikolwiek sposób związany z ofiarą zbrodni, którą popełniłaś. Czy to jasne? Po trzecie -

twoim podstawowym obowiązkiem jest przestrzeganie prawa. Rezultatem pogwałcenia prawa będzie aresztowanie i natychmiastowe odesłanie cię do więzienia. Jasne? I po czwarte - musisz szanować wolną wolę swojej córki. Nie wolno ci kontaktować się z nią bez wcześniejszego uzgodnienia. Czy wszystko zrozumiąłeś?

Jego słowa dudniły w jej głowie. Rozkazy, polecenia, ograniczenia, nakazy. Jej obowiązek, jej odpowiedzialność... Czuli się jak schwytna w pułapkę. Odwróciła się, nim skończył mówić i szybko podeszła do drzwi. Otworzyła je. Klatka schodowa ciągnęła się przed nią jak ciemny tunel. Zbiegła po schodach prosto na ulicę i ruszyła przed siebie, wymijając ludzi i samochody. Serce biło jej bardzo mocno, nie mogła złapać tchu. Zatrzymała się dopiero w swoim pokoju, zamkniętymi drzwiami, z dającym pewne poczucie bezpieczeństwa pękniętymi kluczami w ręku. Pot spływał jej po plecach, ściekał dużymi kroplami szczeliną między piersiami. Przed sobą, w ramie okna, widziała cudowny widok, oświetlony promieniami porannego słońca. Cofnęła się powoli i rozejrzała dookoła. Pokój był zdecydowanie za duży. To nie dla niej. Jeszcze raz wymierzyła powierzchnię krokami. Całe mieszkanie miało prawie trzydzieści metrów kwadratowych. Za dużo. Zaczęła przesuwać meble i sprzęty - wąskie łóżko, stół z dwoma krzesłami, ciężką szafę z niedomykającymi się drzwiami, regał na książki, mały kredens, a w nim jej kubek, talerz i miskę, nóż, widelec i łyżkę, dwa garnki i patelnię. I tekturowe pudło, w którym znajdowały się rzeczy przewiezione z więzienia - zeszyt z wycinkami z gazet, kilka zdjęć Amy, rodziców i Martina oraz folder z oficjalnymi pismami, które zgromadziła w ciągu dwunastu lat i dokumentami dotyczącymi procesu.

Teraz schyliła się i szarpnęła duży prostokątny dywan, sapiąc z wysiłku i kichając od kurzu, aż wreszcie udało jej się przesunąć go ze środka pokoju na bok i odsłonić nagie deski podłogi. Pchając, ciągnąc i szarpiąc, ustawiła wszystkie rzeczy na mniejszej powierzchni, dobrowolnie ograniczając swoje „terytorium”. Na końcu ostrożnie zdjęła ze ściany zabraną

z więzienia mapę i uklękawszy na łóżku, rozpostarła ją na podłodze tuż obok, tak, aby w każdej chwili bez trudu mogła jej dotknąć. Potem się położyła. Miała wybrać się na spacer nad morzem, aż do małej plaży pod Sandycove, zagłębić palce stóp w drobnym białym piasku, popatrzeć, jak matki i dzieci bawią się na brzegu, uskakując przed obmywającymi ich kostki falami. Chciała przypomnieć sobie dni, kiedy brała Amy za rączkę i wchodziła z nią w morze, delikatnie podtrzymując jej unoszące się na wodzie ciało. Ale teraz nie mogła tam pójść. Sama myśl o otwartej przestrzeni i ogromie sięgającego horyzontu morza przyprawiała ją o dreszcz przerażenia. Wspomnienia stłoczyły się pod zamkniętymi powiekami, więc przycisnęła je palcami i przytrzymała, aż przemieniły się w pustą ciemność.

Długo leżała tak bez ruchu, zwinięta w kłębek. Kiedy jej oddech trochę się uspokoił, wyciągnęła rękę i dotknęła gładkiego, sztywnego papieru, na którym wydrukowano mapę. Już po wyjściu z więzienia naniósł na nią kilka innych kółek, tym razem czarnym cienkopisem, lecz teraz nie miała siły na nie patrzeć. Była śmiertelnie zmęczona. Naciągnęła prześcieradło na głowę i dopiero wtedy ośmieliła się otworzyć oczy. Było ciemno, trochę jak w nocy w więzieniu. Prawie zupełnie ciemno, ale nie dość ciemno.

Rozdział trzeci

Minęło już dziesięć dni, odkąd została zwolniona, lecz nadal budziła się punktualnie o siódmej trzydzieści rano. Nasłuchiwała, czekała, starała się zrozumieć dźwięki, które docierały do niej z niższych pięter starej kamienicy. Dom zbudowano mniej więcej w tym samym okresie i z takich samych materiałów co więzienie. Z kamienia, drewna, tynku. Ale więzienie nosiło na grzbiecie twardą skorupę wzmocnionego betonu, i chyba właśnie dlatego oba budynki „brzmiały” zupełnie inaczej, jak różnej wielkości dzwony, umieszczone w próżni.

Ostrożnie zmieniała pozycję pod gniazdem z koców, poruszała rękami i nogami. Było tak cicho, że słyszała tylko własny oddech i bulgotanie wody w mieszkaniu na poddaszu. Najwyraźniej ktoś już wstał, pomyślała. Poza jej kawalerką w kamienicy było jeszcze pięć jednopokojowych mieszkań. Czasami mijala innych lokatorów na szerokiej klatce schodowej. Wszyscy wyglądali na znacznie od niej młodszych. Wyjątek stanowiła starsza pani, właścicielka wiecznie ujadającego kundla, która mieszkała na pierwszym piętrze naprzeciwko drzwi wejściowych. Mieszkanie pod Rachel zajmowała młoda dziewczyna i jej chłopak. Rachel często słyszała dobiegające przez pęknięcia w deskach podłogi odgłosy telewizora i muzykę, którą puszczali. Dwa dni wcześniej w nocy obudziły ją podniesione głosy, krzyki, a potem cisza i głośny szloch. Po paru

chwilach usłyszała śmiech i przerywany krzyk, towarzyszący orgazmowi, odgłosy, których nie można pomylić z żadnymi innymi. Zatkąła sobie uszy palcami i ukryła głowę pod kocem, ale nawet to nie pomogło. W więzieniu nigdy nie słyszała takich dźwięków. Ściany między celami były zbyt grube i chociaż drzwi do wszystkich cel pozostawały otwarte przez cały dzień, kobiety do perfekcji opanowały sztukę milczącego szczytowania.

Z mieszkania tej młodej pary kilka razy doleciał ją też zapach marihuany. Kiedyś przystanęła na ostatnim stopniu kondygnacji, oparła się o poplamioną tapetę i odetchnęła nim głęboko. W więzieniu regularnie kupowała działkę. Była dobrą klientką - płaciła z góry i często dostawała rabaty i bonusy. Oczywiście, duże znaczenie miał też fakt, że była inna, wyjątkowa. Przebywała w więzieniu tak długo, że większość powracających tam co jakiś czas kobiet pamiętała ją od zawsze. Rachel obserwowała, jak dorastają, rodzą i starają się wychowywać dzieci, zakochują się i odkochują, zawierają związki i je zrywają. Pozwalała im się wypłakiwać na swoim ramieniu i słuchała opowieści o tym, jak były bite, wykorzystywane, jak same niszczyły swoje życie.

- Napisz za mnie ten list, Rachel - prosiły. - Powiedz mi, co napisać do sądu. Opieka społeczna zabierze dzieciaki mojej matce i odda je do domu dziecka. Co mam robić? Poradź mi, co robić - błagały. - Podpowiedz mi słowa, których powinienam użyć.

I Rachel mówiła im, co i jak zrobić, przekładała ich język na język urzędowy. Stojąc na schodach i wdychając zapach świeżych skrętów swoich młodych sąsiadów, zastanawiała się, jak radzą sobie teraz bez niej kobiety, które poznała w więzieniu. Pamiętała ten sam gęsty zapach z więzienia - często czuła go na korytarzu. Nagle drzwi mieszkania otworzyły się i dziewczyna wyjrzała na klatkę schodową.

- O co chodzi? - zapytała. - Chce pani czegoś?

- Nie. - Rachel potrząsnęła głową, szybko przypominając sobie warunki zwolnienia. - Nie, trochę się zmęczyłam, to wszystko. Te schody są bardzo strome...

- Tak, to prawda. - Dziewczyna zmierzyła ją obojętnym spojrzeniem, cofnęła się i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Jest mniej więcej w wieku Amy, pomyślała Rachel. Siedemnaście, może osiemnaście lat. Tyle że Amy na pewno nie nosi kolczyka w nosie i pępku, nie ma zmatowiałych od brudu dredów ani paznokci pomalowanych na różne kolory. Amy nie mieszka w ciasnej kawalerce w zniszczonej kamienicy w Dun Laoghaire, nie żyje z zasiłku dla bezrobotnych i nie dorabia sobie handlem narkotykami.

Ale czy rzeczywiście może być tego pewna? Powoli pokonała resztę schodów, z trudem na nosząc, to ciągnąc torbę z zakupami. W jej skórę i włosy wżarł się odór substancji chemicznych używanych w pralni. Wydał jej się tak obrzydliwy, że zaraz po wejściu do mieszkania napełniła wannę ciepłą wodą i moczyła się w niej tak długo, aż skóra na palcach zaczęła się marszczyć, a na ściankach wanny osiadła szara mydlana piana.

Minął już prawie rok od jej ostatniego spotkania z córką. Widziały się w przeddzień siedemnastych urodzin Amy, ponieważ dziewczyna oświadczyła, że nie życzy sobie spotkania z matką w dzień urodzin. Miała inne plany - przyjęcie z udziałem przybranej rodziny i przyjaciół ze szkoły.

- Masz chłopaka? - zapytała Rachel.

Amy wzruszyła ramionami.

- Może.

- Sympatyczny?

- A jak sądzisz?

Spotkały się na neutralnym gruncie, w klasztorze w zachodniej części miasta, zamieszkanym tylko przez garstkę starszych zakonnic, nadal trzymających się swoich tradycji i tego budynku. Rachel czekała w długim, ciemnym holu, przechadzając się po posadzce z kremowych i czerwonych płytek. Minuty mijały, a ona wpatrywała się uważnie w płytki, ostrożnie stawiając jedną stopę przed drugą. Co dziesiąta płytka ozdobiona była małym czarnym krucyfiksem. Dwie strażniczki, które przywiozły tu Rachel, obserwowały ją czujnie.

- Co robisz, Rachel? Bawisz się?

Nie odpowiedziała. Już dawno przestała wdawać się w rozmowy z klawiszami. Nie miała im nic więcej do powiedzenia.

Kiedy Amy i jej przybrana matka w końcu przyjechały, Rachel zapytała, czy nie mogłyby wyjść do ogrodu.

- Jest dość zimno - rzekła tamta kobieta, Pat, opiekuńczym gestem obejmując dziewczynę. - Amy jeszcze nie wydobrzała po grypie...

Matka i córka siedziały w milczeniu naprzeciwko siebie przy pieczolowicie wypolerowanym mahoniowym stole. Rachel wyciągnęła rękę. Gdy jej palce dotknęły błyszczącego drewna, Amy wstała.

- Jest coś, co chciałabym ci powiedzieć.

Rachel objęła ją spojrzeniem. Kiedy Amy była mała, włosy miała miękkie, jasnobrązowe. Rachel robiła z nich niewielką kitkę z tyłu głowy i obwiązywała je wstążką. Teraz Amy miała bardzo ciemne włosy, obcięte krótko, na chłopaka, co doskonale harmonizowało z typem urody. Jej skóra była oliwkowa, tylko oczy jasnoszare, przejrzyste, zupełnie jak oczy Martina.

Rachel czekała. Amy odchrząknęła i wyprostowała się. Była niska, ale miała świetną figurę, trzymała się prosto i sprawiała wrażenie bardzo wysportowanej. Rachel często oglądała jej zdjęcia - Amy wygrywa bieg na sto metrów w szkole, Amy po zwycięstwie w konkursie skoku wzwyż, Amy bierze udział w pokazie gimnastycznym, Amy podczas biegu na przełaj jako reprezentantka swojego klubu lekkoatletycznego.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, jaką podjęłam decyzję. To moja decyzja i nie ma nic wspólnego z moją matką... - Amy przerwała, zawahała się. - Nie ma nic wspólnego z Pat, ani z moją opiekunką społeczną, ani z nikim innym. Nikt nie podsunął mi tego pomysłu. Doszłam do wniosku, że nie chcę się z tobą więcej widywać.

Rachel przeniosła wzrok z twarzy Amy na ogromne francuskie okna w ścianie za jej plecami. Wychodziły na wyłożony kamiennymi płytami taras z małym kamiennym stolikiem,

który pełnił funkcję karmnika dla ptaków. Siedziało na nim kilka sikerek modrych. Rachel patrzyła, jak opuszczają i podrywają główki, pospiesznie pochłaniając okruchy, jak bacznie rozglądają się dookoła i nasłuchują, świadome, że niebezpieczeństwo może pojawić się w każdej chwili, o czym ona niestety zapomniała.

- Przykro mi. - Rachel miała wrażenie, że głos Amy dobiega z dużej odległości. - Wiem, że to dla ciebie bolesne, muszę jednak myśleć o sobie i swojej przyszłości. Bo przecież... - Znowu przerwała, a kiedy się odezwała, w jej głosie brzmiał wyraźny ton hysterii. - Bo przecież wtedy, jedenaście lat temu, ty także myślałaś wyłącznie o sobie. Nie myślałaś o mnie, nie zastanowiłaś się, jaki wpływ będzie miało to wszystko na moje życie, prawda? Jak będę się czuła, dorastając ze świadomością, że moja matka siedzi w więzieniu za zamordowanie mojego ojca. Nie pomyślałaś, co to ze mną zrobi, prawda? Prawda?

Zaczęła płakać. Jej twarz poczerwieniała, lzy tryskały z oczu, zupełnie jak wiele lat temu, gdy zdarzyło się, że upadła, uderzyła się w palec, rozbiła kolano lub zgubiła ulubionego misia. Zupełnie jak wtedy... Rachel wstała, obeszła stół dookoła i stanęła obok córki. Ujęła jej rękę i odwróciła ją dłonią do góry. Pocałowała ciepłą skórę i zgięła szczupłe palce Amy, jakby chciała osłonić miejsce, którego dotknęła wargami. Potem podeszła do ogrodowych drzwi i otworzyła je. Ptaki poderwały się małym obłoczkiem, głośnym świergotaniem i krótkimi gwizdnięciami dając wyraz swemu niezadowoleniu. Przybrana matka Amy miała rację, na dworze było zimno. Za zimno. Gdyby Rachel była matką z prawdziwego zdarzenia, sama doszłaby do takiego wniosku i lepiej zadbała o swoje dziecko.

Dziecko... Amy nadal była jej dzieckiem. Była to pierwsza myśl, z którą Rachel się budziła, ostatnia, która trwała w jej świadomości aż do zapadnięcia w sen. Nic i nikt nie mógł tego zmienić. Powoli wyczołgała się spod koców i zaczęła się ubierać. Dzisiaj miała wolne przedpołudnie. Powiedziano jej, że może przyjść do pracy dopiero o pierwszej trzydzięci.

- To dlatego, że dzisiaj zamykamy później, o dziewiątej. Będzie mi pani potrzebna aż do końca, w porządku?

Kobieta prowadząca pralnię, żona właściciela, zmierzyła Rachel niedbałym spojrzeniem.

- Klientów na pewno nie zabraknie - ciągnęła. - Będzie pani sama, żadnego wychodzenia na kawę, bardzo proszę. O dziewiątej przyjadę zabrać kasę i zamknąć pralnię, słyszy mnie pani?

Rachel świetnie ją słyszała. Znała ten typ - agresywna, gadatliwa kobieta, trochę podobna do tej suki Macken, strażniczki z więzienia. Kiedy mówiła, jej wąskie wargi układały się w nieprzyjemną linijkę o opadających kącikach, a dłonie bezwiednie zaciskały się w pięści.

Spojrzała na stojący na kominku zegar. Dochodziła ósma. Zaparzyła herbatę i szybko łyknęła. Gorący płyn parzył w język. Wypluła go i sięgnęła po szklankę zimnej wody. Nie mogła się przyzwyczaić do herbaty, którą sama robiła. Więzienna zawsze była letnia, podobnie jak wszystkie posiłki. Jedzenie stygło w czasie transportu z kuchni do cel, gdzie więźniarki przełykały je w samotności, za zamkniętymi drzwiami. Doskonale pamiętała brzęk krat i zgrzyt klucza w zamku. Wszystkie odmawiały krótką modlitwę dziękczynną i zaczynały jeść.

Pospieszenie ubrała się w rzeczy, które przygotowała wieczorem. Robiła tak codziennie, by rano uwolnić się od konieczności podejmowania decyzji, w co się ubrać. Dżinsy, biała bawełniana koszulowa bluzka, dżinsowa kurtka. Prawie tak samo ubierała się w więzieniu. Można powiedzieć, że był to jej mundurek, klinicznie czysty i prosty zestaw, dający poczucie bezpieczeństwa. Umyła zęby, uczesała się. Włożyła pieniądze do kieszeni kurtki, wzięła klucze i pochyliła się nad mapą. Przesunęła palcem wzdłuż trasy, jaką miała przebyć. Nie powinna mieć problemów ze znalezieniem tego miejsca, ale musiała się pospieszyć. Jeżeli ma zobaczyć Amy, musi się spieszyć.

Rozdział czwarty

Zwłoki leżały tam, gdzie wyrzucił je przyływ, na gnieździe skał i wodorostów, między kąpieliskiem znanym w okolicy pod nazwą Forty Foot oraz małą zatoczką tuż za Marcello Tower. Jack Donnelly czuł wypełniający powietrze odór, kiedy ostrożnie schodził po śliskich kamieniach, niezgrabnie przeskakując spore kałuże ustanej, nieświeżej wody. Nigdy nie mógł pojąć, dlaczego ludzie przychodzą się tu kąpać. Woda w Forty Foot była zawsze lodowato zimna, nawet w środku lata, i wydawała mu się zwyczajnie brudna. Miasto znajdowało się zbyt blisko i chociaż w czasie burz fale obmywały brzeg, Jack uważał, że wichury przynoszą tu tylko śmieci, które gromadzą się na plaży, zamiast tonąć w ponurych, szarych wodach irlandzkiego morza.

To samo stało się ze zwłokami, które teraz spoczywały u jego stóp. Bóg jeden wie, gdzie dostały się do wody, ale tak czy inaczej nie wymknęły się silnym falom przyboju. Wyjął z kieszeni czystą chusteczkę, przytknął ją do nosa i schylił się, żeby dokładnie przyjrzeć się ciału. Smród wisiał w powietrzu **jak** paskudna mgła. Mocno ścisnął nozdrza kciukiem i palcem wskazującym jednej ręki, starając się nie zwymiotować. Ukląkł obok martwego mężczyzny, bo był to mężczyzna, chociaż na pierwszy rzut oka trudno się było zorientować. Sięgające ramię, szarawe włosy częściowo zasłaniały twarz, noszącą

ślady żarłoczości różnych morskich stworzeń. Z obrzydzeniem zauważył, że fragmenty skóry na policzkach i czole były wyjedzone, podobnie jak wargi i podbródek. Chryste, jak on tego nienawidził... Nie miał już siły, żeby spokojnie znieść nagą prawdę o życiu i śmierci. Miał wszystkiego dosyć.

Podniósł się powoli i jęknął cicho, czując, jak śniadanie przewraca mu się w żołądku. Duffy, policjant w mundurze, prychnął lekkim śmiechem na widok bladej jak prześcieradło twarzy Jacka.

- Utonięcie czy coś innego? - zapytał. - Jak myślisz?

- Wydaje ci się, że jestem jakąś cholerną wróżką? - Jack odwrócił się tyłem do zwłok. - Gdzie patolog? Kiedy przyjedzie?

Odszedł kilka kroków wąską drogą biegnącą wzdłuż brzegu i przysiadł na wielkim suchym głazie. Z tego miejsca dokładnie widział ciało, ale teraz, kiedy uwolnił się od strasznego odoru, mógł jaśniej myśleć. Dorosły mężczyzna, najprawdopodobniej między dwudziestym i dwudziestym piątym rokiem życia, niedożywiony, sądząc po wychudzonych ramionach i nogach, sterczących z podartego ubrania. Jack zauważył, że chłopak miał w okolicy żeber i na goleniach ciemne siniaki. Niewykluczone, że morze rzucało zwłokami o kamienie, możliwe jednak także, że siniaki powstały jeszcze przed śmiercią, w rezultacie pobicia. Jack wiedział, że patolog będzie w stanie ustalić przyczynę i wkrótce udzieli mu wszystkich niezbędnych informacji. Dostrzegł również, że jasna, delikatna skóra na przedramionach i w okolicy krocza zmarłego nosiła ślady ukłuc od igły. Dałby sobie głowę uciąć, że chłopak dawał sobie w żyłę. Nawet śmierć i długotrwałe przebywanie w morskiej wodzie nie zatarły tego szczególnego piętna, typowego dla większości narkomanów.

Siedział spokojnie i obserwował, jak zespół medyczny zabiera się do pracy. Ranek mijał powoli. Tu, nad morzem jest po prostu pięknie, pomyślał. Duże, wspaniałe urządzone i wyposażone domy, z których każdy był wart majątek, zamieszkałe przez cieszące się ogólnym szacunkiem rodziny.

Świetnie ustawieni zawodowo rodzice, dobrze wychowane dzieci, mnóstwo pieniędzy, życie bez trosk. Wszyscy odechną z ulgą, kiedy się dowiedzą, że leżące wśród skał zwłoki zostały wyrzucone przez morze. Dla nich to zwykły śmieć, podobnie jak zużyte plastikowe butelki oraz prezerwatywy, które fale wypychają daleko na brzeg, uwikłane w sieć wodorostów, i zagarniają dopiero w czasie odpływu. W myśli podziękują losowi, że to nie jedno z ich dzieci zakłóciło spokój panujący wśród stojących przy wąskiej drodze domów, w których od wielu, wielu lat mieszkają ci sami ludzie, te same rodziny. Jack przyglądał się przejeżdżającym samochodom, które zwalniały, aby pasażerowie mogli spojrzeć na płachtę z białej folii, przykrywającą teraz martwego chłopca. Będą mieli o czym porozmawiać przy aperitifie przed wykwintną kolacją, pomyślał, lecz zaraz skarcił się za niepotrzebną zgryźliwość. Kimże on był, żeby krytykować bogatych... Wstał i przeciągnął się, unosząc ramiona wysoko nad głowę, prostując plecy i odwracając się twarzą do morza. Mocny wiatr odrzucił do tyłu jego gęste, czarne włosy. Kimże był... Czy nie oddałby wszystkiego, aby zostać jednym z nich, mieszkać w eleganckim domu z widokiem na morze, z najnowszym mercedesem lub bmw, zaparkowanym na podjeździe? Kpił z nich, ponieważ dobrze wiedział, że nie ma szans na takie życie, myślał, idąc za noszami, na których złożono worek ze zwłokami, i patrząc, jak sanitariusze wsuwają go do ambulansu. Musiałby zrobić coś naprawdę drastycznego, żeby wydobyć się z długów, jakie narosły w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy. Ta sytuacja naprawdę pozbawiała go chęci do życia. Wyglądało na to, że wszystko, co posiada i zarabia, należy do Joan i ich dwojga dzieci. Kochał dzieciaki i wiedział, że go potrzebują, ale Joan... Z Joan to zupełnie inna historia.

Oczywiście innym powodziło się jeszcze gorzej. Uświadomił to sobie późnym popołudniem, kiedy czekał na Andrew Bowena w pubie Walsha tuż obok biura Andrew. Młody chłopak, którego trochę nadgryzły morskie rybki, okazał się narkomanem, zgodnie z przewidywaniami Jacka. Jednym

z wielu narkomanów, mieszkających w okolicy Dun Laoghaire. Kiedy ostatnim razem znaleziono przy nim kilkanaście dawek heroiny, otrzymał kuratora sądowego. Sędzia najwyraźniej doszedł do wniosku, że nie ma sensu skazywać na więzienie kogoś tak mało znaczącego, taką plotkę. Jack uważał, że nie było to właściwe podejście. Nie ulegało wątpliwości, że więzienie niweczyło wszelkie szanse rehabilitacji. Gówniarz nauczyłby się tam skuteczniejszych metod ukrywania, przechowywania i sprzedawania narkotyków, niczego więcej, ale z drugiej strony, usunięcie go z jego środowiska, przynajmniej na pewien czas, nie byłoby chyba najgorszym rozwiązaniem. Tak czy inaczej, stało się to, co się stało, i koniec. Na podstawie odcisków palców udało się ustalić, że był to niejaki Karl O'Hara. Eksperci stwierdzili, że przed śmiercią został mocno poturbowany, a następnie wrzucony do morza gdzieś między starym portem i wyspą Dalkey. Wtedy jeszcze żył, ponieważ jego płuca były pełne morskiej wody. Jack miał nadzieję, że może przynajmniej był nieprzytomny, lecz patolog uważał, iż najprawdopodobniej Karl doskonale wiedział, co się z nim dzieje. Był przytomny i bardzo cierpiał. Otrzymał liczne ciosy w okolice nerek i wątroby, miał trzy złamane żebra, paskudnie zmiążdżoną kostkę prawej nogi i złamaną prawą rękę. Biedny dzieciak. Ciało leżało w wodzie trzy lub cztery dni, ale matka Karla, z którą Jack widział się godzinę wcześniej, oświadczyła, że syn nie pokazywał się w domu od kilku tygodni. Jack pospiesznie zakończył tę nieprzyjemną rozmowę. Kobieta wyglądała młodo, o wiele młodziej, niżby się spodziewał, biorąc pod uwagę, że była matką dwudziestolatka. Dobrze ubrana i świetnie umalowana, sprawiała wrażenie równie eleganckiej jak jej dom. Kiedy Jack zapukał do drzwi, musiała być zajęta odkurzaniem, ponieważ stanęła na progu ze ściereczką w rękę i potem przez cały czas omiatała nią niewidzialne drobiny kurzu z błyszczącego stołu i krzesel w pokoju jadalnym. W pewnej chwili Jack z trudem stłumił nieprzyzwoity chichot. Mrugnął do Toma Sweeneya, który przestępował z nogi na nogę przy drzwiach, i pomyślał, że

matka Karla doskonale nadawałaby się na osobę szukającą odcisków palców na miejscu przestępstwa. Nie miał cienia wątpliwości, że żaden nie umknąłby jej uwadze.

Niestety, nie miała im zupełnie nic do powiedzenia na temat syna.

- Nie widziałam go od kilku miesięcy - oświadczyła chłodno. - Od dnia, kiedy ukradł mój nowy telewizor, kuchenkę mikrofalową i odtwarzacz CD. Zabrał też wszystkie płyty z nagraniami Gartha Brooksa. Miałam ochotę zamordować wstrętnego smarkacza, ale tylko wyrzuciłam go z domu. Wcześniej ciągle wymyślałam dla niego jakieś usprawiedliwienia, współczułam mu i starałam się pomóc.

Krótko mówiąc, byłaś matką, pomyślał Jack.

- Ale potem miałam już wszystkiego dosyć. - Kobieta machnęła ściereczką. - Jego ojciec zawsze powtarzał, że go rozpuszczam. Że wszystko mu dam i wyróżniam go, bo był naszym jedynym synem. Najmłodszym dzieckiem, najładniejszym i najzabawniejszym...

Wskazała oprawione w ramki zdjęcia, stojące na komodzie. Zdjęcia rodzinne. Matka z małym dzieckiem na ręku, spowitym w falbaniastą szatę do chrztu. Zdjęcia z pierwszej komunii i bierzmowania. Cztery uśmiechnięte blondasy - trzy śliczne dziewczynki i równie śliczny chłopiec. Miała rację, Karl był kiedyś naprawdę ładnym, zabawnym chłopcem.

Wtedy zaczęła się załamywać, jej gniew ustąpił miejsca poczuciu straty, które od wielu miesięcy czekało, aby je zauważyła i pozwoliła mu zamieszkać w swoim sercu. Zaproponował, że zrobi herbaty, ale ona odprowadziła go do drzwi i otworzyła je mocnym szarpnięciem.

- Nie mam wam nic więcej do powiedzenia - rzekła. - Gdybyście wykonywali swoją pracę jak należy, mój Karl nadal by żył. Byłby normalnym, zdrowym, zadowolonym z życia chłopcem, miałby pracę, samochód i dziewczynę. To wszystko wasza wina. Macie gdzieś takich jak on. Nic was nie obchodzi. Jesteście kompletnie beзуyteczni, do cholery. A teraz się

wynoście - powiedziała, odsuwając się na bok, żeby mogli przejść. - Wynoście się i zostawcie mnie w spokoju.

Nie mówiła bez sensu. Jack wiedział, że miała wiele racji, o tak. Opowiedział o tym Andrew Bowenowi, kiedy czekali, aż piana na ich piwie trochę osiadzie.

- Mało wymagająca, co? - parsknął Andrew. - Na pewno nigdy nie przyszło jej do głowy, że ukochany synalek powinien być wziąć na siebie chociaż odrobinę odpowiedzialności za swoje czyny. Mówiłem mu o tym za każdym razem, gdy przychodził się ze mną zobaczyć, ale wszystkie argumenty sływały po nim jak pieprzona woda po gęsi.

Jack przyglądał się, jak stożek piany na jego kuflu staje się lekko kremowy. Zauważył, że Andrew nie czekał na niego. Zamówił whisky z wodą sodową i już wypił pół szklanki. Jack podniósł kufel w geście toastu i przytknął go do ust.

- Przepraszam... - mruknął Andrew, wyraźnie zażenowany. - Miałem dziś nie najlepszy dzień...

- Tak?

- Tak. - Szczupła twarz Andrew wydawała się dziś jeszcze bardziej ściągnięta niż zwykle. Sięgnął po piwo, pociągnął duży łyk i wierzchem dłoni otarł pianę z górnej wargi. - Szczerze mówiąc, nie chodzi mi nawet o sam dzień, ale wieczór. Powrót do domu po prostu mnie dobija.

- Nie mógłbyś umieścić jej w szpitalu, domu opieki czy w czymś takim?

- Och, na miłość boską, oczywiście że nie mógłbym. - Andrew westchnął. - Nie mogę, Jack. Co by sobie ludzie pomyśleli?

- A czy na tym etapie jesteś jeszcze w stanie się tym przejmować? - zapytał Jack. - Ludzie nie zajmują się Clare codziennie, dzień w dzień i noc w noc, od lat.

- Nie mógłbym jej tego zrobić, Jack. Dom jest wszystkim, co jej zostało, dom i rutynowe zajęcia, do których jest przyzwyczajona. Tylko to trzyma ją przy życiu. Gdyby nie dom, już dawno by się poddała.

- Powiedz mi lepiej, co trzyma ciebie przy życiu, stary.

Andrew wzruszył ramionami i podniósł szklaneczkę whisky.

- Chyba to. - Napił się i ostrożnie odstawił szklanę na błyszczący blat. - A w każdym razie bardzo mi pomaga. I... - przerwał.

- I? No, dalej, mów! - W głosie Jacka brzmiało szczere zainteresowanie.

- I... Sam wiesz, o co mi chodzi. Nie muszę ci tego wyjaśniać.

- Nie musisz, ale to ciekawe i na pewno ożywiłoby naszą rozmowę. - Jack się uśmiechnął, widząc, jak na twarz przyjaciela powoli wypełza krwawy rumieniec.

- Ach, daj spokój. Odczep się, zostaw człowiekowi prawo do odrobiny prywatności. Powiedzmy, że jest to coś, na co z przyjemnością czeka się po nudnym dniu w biurze. Lepiej zmienmy temat. - Andrew uniósł obie dłonie, ignorując protesty Jacka. - Zabawne, ale właśnie dziś w biurze wydarzyło się coś ciekawego.

- Tak? - Jack rzucił mu spojrzenie spod ściągniętych brwi. - Nie gadaj! Zaskakujesz mnie. Coś ciekawego? Nie mówisz chyba o tej paradzie beznadziejnych przypadków, która codziennie defiluje przed twoim biurkiem? Nie nabierzesz mnie, stary.

- No i proszę! - Andrew wyprostował się i założył ręce. - Jeżeli ja miałem marny dzień, to co dopiero powiedzieć o twoim...

- Lepiej, żebyś nie wiedział - mruknął Jack, dopijając piwo i przywołując barmana, aby ponownie napełnił kufel.

- Problemy z żonami? Była, obecna, przyszła, czy jeszcze coś innego?

- Zostawmy to, bo wpadnę w depresję. Opowiedz mi o tym interesującym przypadku z życia kuratora sądowego. Zaskocz mnie, bardzo proszę.

I rzeczywiście, Andrew kompletnie go zaskoczył. Dopiero Wedy spojrział na to z pewnej perspektywy, uświadomił sobie, że nie powinien być zdziwiony. Jeżeli już coś mogło wprawić go w zdumienie, to przede wszystkim fakt, że Departament

Sprawiedliwości nie zawiadomił ich, iż skazana za morderstwo Rachel Beckett została warunkowo zwolniona i ma zamieszkać w tej okolicy. Taka była standardowa procedura, poza tym Rachel Beckett nie była jakąś tam sobie kobietą, która zamordowała męża. Martin Beckett był policjantem, znanym i szanowanym, chłopakiem z „policyjnej” rodziny. W latach osiemdziesiątych, kiedy sytuacja na Północy była naprawdę nieciekawa, pracował w dziale do zadań specjalnych, właściwie na zlecenie wywiadu. Prowadził różne tajne operacje, był wtyczką i wszyscy uważali go za bohatera. Kiedy zginął i Rachel opowiedziała historyjkę o zamaskowanych mężczyznach, którzy włamali się do domu i zabili go, uwierzyli jej. Dopiero po pogrzebie zaczęli coś podejrzewać i wtedy jej starannie spreparowana wersja wydarzeń zupełnie się posypała.

Powiedz nam jeszcze raz, kiedy to się stało, Rachel?

Spróbuj jeszcze raz opisać tych ludzi, dobrze? Jak wyglądali - chodzi mi o wzrost, budowę ciała, także o akcent i tak dalej. Co ci powiedzieli? Co mówili do Martina?

Przez cały czas byliście w domu sami, prawda, Rachel? Poza tymi zamaskowanymi facetami nikogo tam nie było, czy tak? Potwierdzasz to?

Jak układały się sprawy między tobą i Martinem? Czy wszystko było w porządku? Nadal jesteś tego pewna?

Czy aby na pewno nie chciałabyś zmienić swojej wersji wydarzeń? Nie chcesz jej uzupełnić?

Bo widzisz, znaleźliśmy coś. Powiedziałaś nam, że ci ludzie w maskach dwukrotnie strzelili do Martina z jego własnego pistoletu i uciekając, zabrali broń ze sobą. Znaleźliśmy pistolet. Został zawinięty w plastikową torebkę i wrzucony na dno urwiska niecały kilometr stąd.

Wiesz, co jeszcze tam znaleźliśmy? Koszulę nocną całą w plamach. Chcesz wiedzieć, czym była poplamiona? Krwią Martina. Wydaje nam się, że ta koszula należy do ciebie.

I jeszcze coś, Rachel. Na pistolecie są odciski palców, więc chcielibyśmy pobrać twoje, oczywiście, jeżeli nie masz nic przeciwko temu. Naturalnie, tylko po to, żeby wyeliminować cię, z dalszych przesłuchań. Sprawdziliśmy pistolet i

okazało się, że do Martina rzeczywiście strzelano właśnie z niego. Widzisz więc, że miałaś całkowitą rację.

I tak to się ciągnęło, bez końca. Jack dokładnie pamiętał wszystkie szczegóły. Była to jego pierwsza sprawa po otrzymaniu awansu na detektywa. Wprawdzie odgrywał drugorzędną jeszcze rolę w zespole śledczym, ale tak się złożyło, że razem z Michaeliem McLoughlinem pojechał wtedy do domu Rachel i Martina. Widział ciało i mnóstwo krwi na podłodze. I oszalała z przerażenia i rozpacz kobietę, przykutą kajdanami do kaloryfera. O wszystkim, czego sam nie widział i nie słyszał, dowiedział się od innych policjantów, obecnych w czasie przesłuchań, poczynając od nieformalnych rozmów przy kawie i ciasteczkach w jej salonie, z małą Amy drzemiącą obok na kanapie, a kończąc na oficjalnym przesłuchaniu, przeprowadzonym już po aresztowaniu Rachel na posterunku Stillorgan Garda, w sali cuchnącej strachem, papierosami i cierpieniem.

Kiedy przedstawiono jej formalny akt oskarżenia, świętowali przez kilka dni. Aresztowania dokonał stary Michael McLoughlin. Był wtedy w szczytowej formie i nadal świetnie radził sobie ze wszystkimi wyzwaniem, jakie stawiało przed nim życie, włącznie z alkoholem.

- Jak ona teraz wygląda? - zapytał Jack, przypominając sobie, jak wyglądała dwanaście lat temu.

Andrew wzruszył ramionami.

- Jak miałyby wyglądać po tak długiej odsiadce?

- Nie mam pojęcia, ale pomyśl o Nelsonie Mandeli. Kiedy wreszcie opuścił Robbin Island, wyglądał wspaniale. Psychologia nazwała to „syndromem Śpiącej Królowej”, pamiętasz? Czysta rutyna - zero alkoholu czy narkotyków, niewymyślne jedzenie, duża porcja aktywności fizycznej na świeżym powietrzu. Pamiętam, że czytałem o tym artykuł w jakiejś angielskiej gazecie. Ekspertci stwierdzili, że jego organizm był co najmniej dwadzieścia lat młodszy, niż to bywa w jego wieku.

- Wszystko prawda, Jack, ale istnieje jedna poważna różnica

między Nelsonem i Rachel Beckett. Nasz Nelson miał sumienie czyste jak łąza i poparcie połowy świata, z zapalem walczącej o jego uwolnienie. Po jego stronie było prawo, Bóg i co tam jeszcze chcesz. Obawiam się, że miał sporą przewagę nad Rachel, nie sądzisz?

- Więc uroda Rachel nie powala już na kolana?

- Zależy, jak na to spojrzeć. Ma szpakowate włosy, jest bardzo szczupła, jakaś taka krucha, skóra sprawia wrażenie wysuszonej, jak zwykle u ludzi, którzy źle się odżywiają. Ale... - Andrew zawiesił głos i pokiwał głową. - Gdyby dać jej kilka miesięcy i odpoczynek nad morzem, w słońcu, to kto wie...

Jack dopił drugi kufel piwa i obrzucił Andrew uważnym spojrzeniem. Kiedyś, dwanaście lat temu, to właśnie on użył sformułowania, że uroda Rachel powala na kolana. Niektóre z jego wyrażen, będących odbiciem szczerzego zachwytu, były o wiele bardziej dosadne. Wszyscy znali Rachel i w jakimś momencie życia mocno się w niej podkochiwali. Była córka starego Gerry'ego Jenningsa, jego najmłodszym, ukochanym dzieckiem. A jednak zaskoczyło ich, że Martin Beckett padł ofiarą jej uroku. Martin był inny, nie wyglądał na faceta, który chciałby zaangażować się na trwałe.

- Pamiętasz, jak w czasie procesu usiłowała zwalić winę na Dana, brata Martina? - zapytał nagle Andrew.

Żaden z nich nie uwierzył wtedy w ani jedno jej słowo. Michael McLoughlin zlekceważył oskarżenia Rachel od samego początku. Jack pamiętał, jak McLoughlin wrócił na posterunek po rozmowie z Rachel, podczas której pokazał jej pistolet i powiedział, że znalezione na kolbie odciski palców są jej odciskami. Michael wkroczył wtedy do sali i obwieścił, że Rachel wymyśliła kolejną niewiarygodną historyjkę. Całą winą obciążyła brata Martina, Dana. I żeby przynajmniej miała jakieś podstawy do oskarżeń, ale nie, skądże znowu. Jej słowa miałyby jakiś sens, gdyby coś między nimi było, lecz ona z uporem powtarzała, że z Danem łączyła ją jedynie przyjaźń, nic więcej.

Opowiedz nam jeszcze raz, co się wtedy wydarzyło, Rachel.

Wycofujesz się z wersji, w której główną rolę odgrywali „ zamaskowani bandyci”, tak? Zaczynj jeszcze raz, od samego początku. Mówisz, że pokłóciliście się z Martinem. O co? Przed chwilą powiedziałaś, że nie było to nic ważnego. Martin był pijany, czy tak? Ostatnio często bywał pijany, a kiedy dużo wypił, stawał się gwałtowny. Czy właśnie przy takiej wersji zamierzasz teraz obstawać? Dobrze. Co do jednego rzeczywiście miałaś rację - Martin był bardzo pijany.

Więc bałaś się, co zrobi, bałaś się go. I zadzwoniłaś do szwagra z prośbą o pomoc. Ale dlaczego po prostu nie wyszłaś z domu ? Samochód stał w garażu, Martin nie miał prawa cię zatrzymać, więc dlaczego zostałaś w domu, z mężczyzną który, jak twierdzisz, był pijany i nieporządny? Powiedz nam, co wydarzyło się później. Opowiedz mi o Danie Beckettcie.

- Byłeś na procesie, prawda, Andrew?

Twarz Andrew była pozbawiona wszelkiego wyrazu. Wyglądał na całkowicie wyczerpanego. Zdjął okulary i potarł grzbiet nosa. Spojrzał na swoje rozmyte, niewyraźne odbicie w lustrze wiszącym na przeciwległej ścianie. Wiedział, że powinien już iść, że Clare czeka na niego, ale nie mógł stanąć przed nią i spojrzeć jej w oczy. Jeszcze nie teraz.

- Hej, Bernie, jeszcze raz to samo! - zawołał do barmana.

Zerknął na Jacka, który wygodnie rozparł się na kanapce, przeżuując garść orzeszków ziemnych. Znał go od wielu lat, był świadkiem jego kolejnych awansów oraz rodzinnych wzlotów i upadków. Musiał przyznać, że teraz wyglądał bardzo dobrze, chociaż nadal skarżył się na żonę. Schudł, ostrzygł gęste czarne włosy w stylu Brada Pitta i nabral spokojnej pewności siebie, którą zupełnie stracił w miesiącach poprzedzających jego ostateczną wyprowadzkę z domu. Andrew zaczekał, aż barman postawił drinki na stole, schował pieniądze do kieszeni i wrócił za kontuar.

- Na procesie Rachel Beckett? - odezwał się dopiero wtedy. - Tak, kilka razy przysłuchiwałem się zeznaniom.

- Jakie wrażenie zrobił na tobie Dan Beckett?

Andrew wzruszył ramionami.

- Miał alibi. Zapewniła mu je matka, prawda? Jeśli się nie mylę, powiedziała, że przez cały wieczór był razem z nią w domu. Wszyscy uważali, że nigdy nie chroniłaby w ten sposób zabójcy syna, nawet jeżeli miałby nim być jej drugi syn.

- Jej adoptowany syn, Andy. Nie zapominaj o tym.

- No dobrze, niech ci będzie, adoptowany syn, na którego tak czy inaczej padło podejrzenie, że zamordował Martina. Na pewno przede wszystkim zależałoby jej na wymierzeniu sprawiedliwości, nie sądzisz?

- Ale Rachel w końcu się przyznała, że mieli romans, ona i Dan, pamiętasz?

- Mimo to żaden z was nie uwierzył, że Dan był zamieszany w tę sprawę, mam rację? Nie daliście wiary jej zeznaniom i ostatecznie nie wystąpiliście z formalnym oskarżeniem.

- To prawda. Wezwaliśmy go tylko na przesłuchanie, doskonale to pamiętam. Przyjechał z nim ojciec. Tony Beckett, także stary gliniarz. Nie znałem go, ale poza mną wszyscy byli z nim zaprzyjaźnieni. Połowa chłopców z posterunku dorabiała sobie na lewo w jego firmie ochroniarskiej, więc znali także Dana. Często opowiadali, jak woził Tony'ego tym wielkim czarnym mercem, kupował dla niego kubańskie cygara i litrowe butelki Bushmillsa. Jeździł z Tonym na kolacyjki do klubu golfowego, a potem wrzucał go na tylne siedzenie, gdzie Tony natychmiast zasypiał, i odwoził do domu. Oczywiście Tony był zwykle pijany w trupa, a Dan trzeźwiuteńki. Woził go także na spotkania z dziewczynami w salonie masażu, któremu agencja Tony'ego zapewniała ochronę.

- Żartujesz! Do salonu masażu? W jego wieku? Ale szczęściarz!

- Tak, wszyscy policjanci z naszego wydziału o tym wiedzieli. I nic dziwnego, oni znają słabostki co najmniej połowy filarów naszej społeczności. Czasami opowiadają niezłe historyjki, możesz mi wierzyć. Tak czy inaczej, kiedy Dan zjawił się na przesłuchaniu, klepali go po plecach i wspominali dawne czasy. Dawne dobre czasy, partyjki golfa. No i naturalnie nie wyduślił z Dana żadnych obciążających zeznań.

- Tak samo było na procesie - mruknął Andrew. - Powiedział, że kiedy wychodził z ich domu, Martin spał na kanapie. Przysięgli uwierzyli Danowi, nie Rachel.

- No właśnie, nie uwierzyli jej. A ty? Co wtedy o tym myślałeś? I co myślisz teraz?

- Myślę, że jestem już spóźniony, Jack. Zamierzam dokończyć tego drinka, i to szybko, a potem wrócić do domu. Oto, o czym myślę.

Sięgnął po kufel i szybko go opróżnił. Odstawił na podstawkę, wstał, chwycił teczkę, skinął Jackowi głową i ruszył do wyjścia.

Biedak, pomyślał Jack. Co za życie. Pub zaczął się wypełniać ludźmi. To dziwne, że kurator sądowy regularnie uczęszcza do takiego baru, pomyślał. Już na pierwszy rzut oka zauważył, że kręci się tu wielu byłych i obecnych klientów Andy'ego. Mógłby się założyć, że wszyscy nieźle znali nieżyjącego Karla O'Hare. Wiedział, że w najbliższych dniach będzie musiał rozmawiać z niejednym z nich. Serce ścisnęło mu się, gdy pomyślał, w jakim stanie były zwłoki biednego chłopaka. Niespodziewanie przypomniał sobie, jak wyglądał po śmierci Martin Beckett. Nie był to przyjemny widok. Wielka dziura w kroczu, brak połowy podbrzusza, potworny smród. I wszędzie krew - zaschnięta, zgęstniała, kleista.

Ale przynajmniej twarz była nienaruszona. Po sekcji zwłok i dokonaniu wszystkich formalności wymaganych przez zespół medycyny sądowej przewieźli Martina do domu jego rodziców. W przeddzień pogrzebu tłumy składały kondolencje rodzinie. Jack nie miał ochoty zbliżyć się do trumny, ale okazało się, że Martin wygląda zupełnie nieźle. Twarz była bardzo blada, jasne włosy gładko przyczesane, zamknięte powieki zasłaniały intensywnie niebieskie oczy. Ona siedziała tuż obok trumny, milcząca, zeszywniała z rozpacz, w każdym razie tak mu się wtedy wydawało. Jack należał do honorowej eskorty, której członkowie wnosili trumnę do kościoła. Wcześniej ustalili wszystkie szczegóły z Danem Beckettem. Rodzice nie byli w stanie z nikim rozmawiać. A on zawsze dosyć lubił Dana.

Miał wrażenie, że starszy z braci jest spokojniejszy i łatwiejszy w kontaktach niż ostry, trudny, ambitny Martin, lecz teraz ponownie przypomniał sobie, że Dan był adoptowanym synem Beckettów i z Martinem nie łączyły go więzy krwi. Ciekawe, co to za różnica, pomyślał, dopijając piwo i wycierając za-tłuszczone i oblepione solą palce w zgniecioną serwetkę. Ale przecież to musi mieć znaczenie. Musi istnieć jakaś bardziej istotna różnica, niż ta wynikająca z cech charakteru, usposobienia czy wyglądu. Wstał i włożył marynarkę. I nagle przyszło mu do głowy, że być może Dan Beckett nie ma pojęcia, iż jego szwagierka po dwunastu latach znowu jest na wolności.

Rozdział piąty

Dzień, w którym zginął Martin, był bardzo zimny. Początek marca, wszędzie rozkwitały żonkile, jaśniejące obietnicą słońca, które wkrótce powinno zaświecić, lecz wczesnym rankiem ziemię nadal pokrywał szron, a nisko wiszące szare chmury już od tygodnia straszyły śniegiem. Idąc drogą nad morzem w kierunku centrum DART, przypomniła sobie przejmujący chłód tamtego dnia. Dzisiaj wiał wiatr ze wschodu, więc chociaż słońce grzało jej twarz i dłonie, na całym ciele miała gęsią skórę, co chwilę wstrząsał nią dreszcz, a sutki były napięte i twarde jak małe kamyki.

Tamten tydzień, tyle lat temu... Pamiętała czerwone policzki Amy, która niecierpliwie podskakiwała na progu domu, czekając, aż Rachel wyjdzie z domu i otworzy drzwiczki samochodu. Miała zostać na noc u przyjaciółki z przedszkola, Lulu. Rodzice Lulu byli Anglikami. Lulu obchodziła tego dnia urodziny i jej mama zabierała obie dziewczynki do kina, chyba na jakiś film Disneya, a może na E.T. Spielberga, Rachel nie mogła sobie przypomnieć. Zapamiętała jednak radosne podniecenie Amy. Córeczka po prostu nie mogła ustać spokojnie, przez cały czas podskakiwała jak sprężynka, wymachując patchworkową torbą, tą samą, którą Rachel uszyła dla niej na Gwiazdkę. W torbie mieściła się koszulka nocna, pluszowy miś, szczotka do zębów i grzebień.

- Chodź już, mamusiu, pospiesz się! Czekam na ciebie!
Czekam na ciebie!

Rachel prawie słyszała jej głos. Amy ciągle powtarzała to samo i biegła od drzwi wejściowych do furtki i z powrotem, natomiast Rachel sprawdzała, czy włożyła do torby portmonetkę i listy, które chciała wysłać. Nagle przypomniała sobie, że nie wzięły wełnianej czapeczki Amy i zawróciła, aby jej poszukać. Przez cały czas słyszała nawoływanie Amy.

- Czekam na ciebie! Czekam na ciebie! Chodź, mamusiu, zapominalska mamusiu, mamusiu-guzdrało! Czekam na ciebie!
Czekam na ciebie!

Ale Rachel musiała znaleźć czapkę, ponieważ Amy niedawno przeszła zapalenie ucha. Nienawidziła tej czapki i Rachel doskonale wiedziała, co mała powie.

- Nie, mamusiu, nie chcę jej! Głowa mnie od niej swędzi!

Ale wiedziała także, że nie może ustąpić, nawet za cenę wyrzutów i dąsów. Wiał zimny wiatr i Amy mogła nabawić się kolejnej infekcji.

Wreszcie wygrzebała czapkę spod stosu szalików, wetknęła ją do kieszeni, zamknęła drzwi i sprawdziła, czy na pewno są zamknięte. I właśnie w tej chwili zadzwonił telefon. Odwróciła się, zawahała, zamarła bez ruchu. Może to Martin, pomyślała. Miał zadzwonić poprzedniego wieczoru, ale nie dotrzymał słowa. Znowu nie było go w domu. Ostatnio ciągle wyjeżdżał. Teraz poleciał do Los Angeles, na jakąś międzynarodową konferencję ekspertów medycyny sądowej. Była na niego wściekła. Mówił, że na pewno zadzwoni, i co? Była pewna, że to właśnie on. Zawróciła do drzwi.

- Zaczekaj chwilę, skarbie, zaraz wracam. To chyba tatuś. Chciałabyś z nim porozmawiać?

Pospiesznie wyszarpnęła z torebki klucze, otworzyła oba zamki, pchnęła drzwi i pobiegła korytarzem do kuchni. Dopadła do telefonu i podniosła słuchawkę, lecz usłyszała tylko długi, jednostajny sygnał. Martin stracił cierpliwość, pomyślała. W tym samym momencie dobiegł ją inny dźwięk, przerażająco głośny. Zgrzyt hamulców, równie efektowny jak w filmach,

krzyk i tąpnięcie. I jeszcze jeden krzyk. I jęk. Odwróciła się powoli. Przed sobą widziała korytarz, szeroko otwarte drzwi wejściowe, zimne, ostre światło, padające na starannie wypasowane deski podłogi, a dalej chodnik, otwartą furtkę i stojący tuż przed bramą samochód. Wokół niej panowała teraz śmiertelna cisza.

Cały tamten tydzień był bardzo zimny. Pamiętała, że w ogóle nie mogła się rozgrzać. Trzęsła się z zimna także w karetce pogotowia, którą jechała wraz z Amy do szpitala. Siedziała obok córeczki, która właściwie wyglądała zupełnie normalnie - miała tylko małe zadrapanie na policzku i jeszcze mniejszy siniak nad prawym okiem. Nagle usłyszała, jak pielęgniarz klnie pod nosem i zobaczyła, że buzia Amy zmienia kolor, staje się bardzo blada. Dziewczynka oddychała płytko i bardzo szybko. Podniosła wzrok na matkę i jęknęła cicho. Była przerażona. Rachel ujrzała, jak lekarz chwyta rączkę małej, szukając pulsu. Natychmiast zacisnął czarną opaskę na jej przedramieniu i przytknął stetoskop do klatki piersiowej.

- Co się dzieje? - Głos Rachel odbijał się od błyszczącej powierzchni ścian karetki, z trudem pokonując wysokie wycie syreny. - Co jej jest?

Lekarz nie odpowiadał. Szukał pulsu na przegubie dłoni, potem położył palce na szyi dziewczynki. Przez cały ten czas twarz Amy stawała się coraz bledsza. Przez głowę Rachel przemknęła rozpaczliwa myśl, że dziecko lada chwila rozplynie się w powietrzu na jej oczach.

Dygotała z zimna także w poczekalni, kiedy Amy zabrano już do gabinetu zabiegowego. Za każdym razem, gdy ktoś otwierał drzwi, ogarniała ją fala lodowatego powietrza, która uchylała również drzwi, za którymi leżała Amy. Gdy skrzyptały, Rachel instynktownie podnosiła się z krzesła, mając nadzieję, że wreszcie wyjdzie do poczekalni ktoś, kto powie jej, iż Amy nic się nie stało, że wszystko jest w porządku i małej nic nie dolega. Zdawała sobie jednak sprawę, że gdyby rzeczywiście tak było, ona sama siedziałaby teraz przy Amy i trzymała ją za rączkę. Nie musiałaby czekać tutaj, w tym

zimnie. Minęło jeszcze trochę czasu - nie wiedziała, ile - zanim wreszcie stanął przed nią lekarz, młody mężczyzna w zielonym fartuchu poplamionym krwią, z podkrążonymi oczami. Położył jej rękę na ramieniu i powiedział, że Amy ma pękniętą śledzionę i wewnętrzny krwotok. Muszą ją niezwłocznie operować, ponieważ straciła dużo krwi. Czy Rachel podpisze zgodę na operację? Podał jej formularz i długopis. Ręka jej drżała, a kiedy spojrzała na swój podpis, spostrzegła, że użyła panieńskiego nazwiska, Jennings. Rachel Jennings, właśnie tak się podpisała. Pospiesznie przekreśliła nazwisko i napisała właściwe, Beckett. Co za głupota, pomyślała. Przepraszam, pomyliłam się, powiedziała, oddając formularz. Ale młodego lekarza już nie było, chyba w ogóle nie usłyszał jej słów. Zniknął za drzwiami, zza których znowu dmuchnęło zimne powietrze. Rachel próbowała się skoncentrować, lecz nic z tego nie wychodziło. Gdzie był teraz Martin i w jaki sposób miała go zawiadomić, co się stało?

Cztery dni później, kiedy siedziała skulona w garażu, czekając, aż Martin zapadnie w pijacki sen, powalony ilością pochłoniętego alkoholu, który wcześniej czy później musiał przecieć dotrzeć wraz z krwią do mózgu, wciąż było bardzo zimno. Słuchała jego głosu, gdy wrzeszczał na nią i wykrzykiwał obraźliwe słowa. Czekwała na ciszę, która świadczyłaby o tym, że wreszcie się położył, bo wtedy mogłaby wrócić do domu i zadzwonić po pomoc. Nie była jednak pewna, czy tak właśnie się stało. Za każdym razem, gdy już miała otworzyć prowadzące do kuchni drzwi, do jej uszu docierał jakiś dźwięk, odgłos, który mógł oznaczać wszystko. Bała się ryzykować. Zanim uciekła, Martin uderzył ją pięścią w brzuch, a potem, gdy upadła, kopnął w bok. Przy każdym oddechu czuła teraz ból, więc możliwe, że miała złamane żebro. Kiedy próbowała odczołgać się na bok, usiłował zmiażdżyć jej kostkę, ale gwałtowny ruch pozbawił go równowagi i także zwałił się na ziemię. Leżał, nie mogąc się podnieść i wrzeszczał z wściekłości, i wtedy Rachel wykorzystała szansę. Zerwała się i pobiegła do kuchni. Błyskawicznie otworzyła drzwi, łączące

dom z garażem i zamknęła się w nim od środka. Po paru chwilach Martin zaczął się dobijać, ale drzwi ani drgnęły.

Usiadła na cementowej podłodze, opierając się plecami o stojącą w kącie kosiarkę do trawy. Podkuliła pod siebie bose stopy, nocną koszulę naciągnęła mocno na kolana.

Gdy Martin wrócił do domu, była w łóżku. Chciała prześpać się przynajmniej godzinę, ponieważ ostatnie trzy dni i noce spędziła w szpitalu, gdzie Amy leżała na oddziale intensywnej terapii, otoczona stojakami do kroplówek, rurkami i kablami najróżniejszych przyrządów medycznych. Krew spływała do jej żyły wprost z zawieszanej na stojaku plastikowej torebki. Rachel była przy córeczce, gdy po raz pierwszy podniosła powieki, poprosiła o wodę, uśmiechnęła się i znowu zasnęła. Dopiero wtedy uległa naleganiom pielęgniarek i lekarzy, pojechała do domu, wczłogała się pod kołdrę i zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, Martin stał tuż obok łóżka. Wyciągnęła do niego rękę, lecz on się cofnął. Na jego twarzy malował się dobrze jej znany wyraz, który całkowicie go odmieniał. Jego policzki pokrywał ciemny rumieniec, wargi były sinobiałe i wąskie, oczy poszarzałe.

- Krew? - odezwał się, zaciskając dłonie w pięści. - Czyja krew? Bo na pewno nie moja. To nie moja krew.

Potem bardzo dokładnie i spokojnie powtórzył jej wszystko, co powiedział mu lekarz.

- Więc chce pan oddać krew, czy tak, panie Beckett? Doskonale. Jesteśmy szczerze wdzięczni ludziom takim jak pan. Grupa 0 minus? Po prostu świetnie. Zawsze brakuje nam krwi tej grupy, bo w większości przypadków można zastąpić nią każdą inną grupę. - Lekarz spojrział na kartę Amy. - Ale pana córka ma grupę A, więc żona także, ponieważ grupa A jest dominująca. Wiedział pan o tym? - dodał z przemądrzałym, typowym dla lekarzy uśmiechem.

- Tyle że ty nie masz grupy A, Rachel - powiedział teraz Martin. - Pamiętasz, jak niepokoiliśmy się o konflikt krwi, kiedy byłaś w ciąży? Wtedy okazało się, że masz krew 0 plus,

prawda? Usiadłem więc przy łóżku Amy i zacząłem się zastanawiać. Myślałem o tym wszystkim, ale nie mogłem dojść do żadnego konkretnego wniosku, może z powodu długiego lotu i różnicy czasu. I wiesz, co zrobiłem, Rachel? Zadzwo- niłem do mojego starego kumpla, Petera Browne, tego patologa, pamiętasz go? Powiedziałem mu, że prowadzę sprawę, w której niepokoi mnie kwestia grupy krwi ofiary. Wiesz, co mi od- powiedział, Rachel?

Pochylił się, chwycił Rachel za włosy i zwałkił ją z łóżka.

- Mój stary kumpel, Peter Browne, powiedział tak: jeżeli ojciec ma grupę 0 minus, a matka 0 plus, dziecko musi mieć grupę 0, lecz jeśli dziecko ma grupę A, to albo ojciec, albo matka także muszą mieć grupę A, ponieważ ta grupa jest do- minująca. Wiedziałaś o tym, Rachel? Założę się, że nie. - Zrzucił Rachel na podłogę i pociągnął za sobą. - Więc kiedy następnym razem przyjdzie ci do głowy, żeby pieprzyć się z kimś na boku, zapytaj go o grupę krwi. Słyszysz mnie, ty suko?!

Teraz słyszała, jak usiłuje otworzyć metalowe drzwi garażu, te wychodzące bezpośrednio na podjazd. Na szczęście zdążyła zamknąć je od środka. Kilka razy uderzył w nie pięścią, wie- działa jednak, że nie chce robić zbyt wielkiego hałasu. Nie chciał budzić ciekawości sąsiadów w cichym, spokojnym zauł- ku, gdzie mieszkali od ślubu, czyli dokładnie od sześciu lat. Mieli jednopiętrowy dom, kryty czerwoną dachówką, z małym ogródkiem za bramą i sporym, obsadzonym krzewami traw- nikiem na tyłach domu. Było tam także niewielkie oczko wodne, które Rachel sama wykopała, wyłożyła czarną folią i napełniła produkującymi tlen roślinami oraz liliami wodnymi, a potem wpuściła do niego sporo kolorowych rybek. I piękna ciepłarnia, którą zaprojektowała i którą Daniel zbudował tam- tego pierwszego roku zaraz po ślubie, kiedy Martin został przeniesiony do Letterkenny, do służby w przygranicznym posterunku.

Czekała i czekała, aż wreszcie w domu zapadła kompletna cisza. Wtedy otworzyła bagażnik i wyjęła pistolet Martina.

Zawsze powtarzała mu, że nie powinien go tam zostawiać. Było to niebezpieczne, zwłaszcza on powinien to wiedzieć najlepiej.

- Przecież jest nienaładowany, na miłość boską! - odpowiadał ze śmiechem. - Pistolet bez amunicji jest równie nie szkodliwy jak bezzębny pies. Czy ojciec ci tego nie mówił, kiedy uczył cię strzelać?

Gdyby tylko zdołała dotrzeć do szafy w gabinecie Martina, gdzie trzymał naboje. Gdyby udało jej się załadować broń, wziąć go na muszkę i w ten sposób zmusić, by wysłuchał jej wyjaśnień. Musiała mu powiedzieć, co się stało. Że nie miało to żadnego znaczenia i nigdy więcej się nie powtórzy. A oni mogą mieć więcej dzieci. Przecież kochał Amy całym sercem, a ona odwzajemniała to uczucie. Że był jej ojcem, niezależnie od wszystkiego był jej ojcem i tylko to się liczyło.

Gdyby zdołała go zmusić, żeby ją wysłuchał... Błagałaby go o przebaczenie tak długo, aż jego twarz w końcu by złagodniała. Zawsze jej wybaczał, za każdym razem, gdy postąpiła źle czy dała mu powód do gniewu. Wiele razy sprawiła mu przykrość, ale zawsze w końcu potrafiła go przebłagać.

Ostrożnie otworzyła drzwi garażu i na palcach przekradła się przez kuchnię do holu. Wtedy okazało się, że Martin wcale nie śpi. Leżał na sofie w salonie, ze szklaneczką whisky w ręku. Zawołał ją i wybuchnął śmiechem, kiedy stanęła przed nim z pistoletem w ręku.

- Co robisz, ty durna suko? - parsknął. - Nie strzeliłabyś do mnie, nawet gdyby zależało od tego twoje życie. Nie ty - kłamczucha, oszustka i tchórz. No, dalej, powiedz mi, kto to był. Kto? Wyrzuć to z siebie. Mam prawo wiedzieć, skoro przez tyle lat grałem rolę tatusia dzieciaka, którego spłodził ktoś inny. No, gadaj.

Więc powiedziała mu, wyrzuciła to z siebie. Przyszło jej do głowy, że może Martin poczuje się lepiej, gdy się dowie, że nie był to ktoś obcy. Pomyślała, że może jednak jej wybaczy, przyjmie do wiadomości to, co się stało, i wszystko będzie znowu tak jak było. Potem nigdy nie mogła zrozumieć, jak to

się stało, że zupełnie zapomniała, jakiego rodzaju uczucia żywi Martin do Daniela.

- Ten skurwysyn, który uważa się za mojego brata?! Ty i on, razem. Gdzie? Tutaj, w tym domu? W moim łóżku, w moim pokoju? Ty i on? Jak mogłaś?! Przecież wiesz, że gdybym się dowiedział, że cię tknął, nigdy więcej bym się do ciebie nie zbliżył. Nigdy. Dobrze wiesz, jaki z niego drań. To bękart, dosłownie. Matka mówiła mi, że urodziła go jakaś skurwiona piętnastolatka, która wpadła i nie miała pieniędzy na skrobankę. Nie wiadomo, kim był ojciec. Skurczybyk za bawił się z nieletnią laską i dał nogę. Szkoda, że ja nie po stąpiłem tak z tobą, chociaż ty nie byłaś nieletnia, Rachel. Nie mam pojęcia, co mi strzeliło do głowy, żeby się z tobą ożenić. Musiałem być chyba chwilowo niepoczytalny.

Wyciągnął rękę i chwycił lufę pistoletu, pociągając go ku sobie, a razem z nim i Rachel.

- Pozwól, że ci pomogę. Pokażę ci, co ja bym z tym zrobił.

Wyprowadził ją z kuchni do korytarza, z którego wchodziło się do jego gabinetu. Trzymał tam książki, czasopisma i inne prywatne rzeczy, jak je nazywał.

- Proszę bardzo - powiedział.

Otworzył najwyższą szufladę biurka, wyjął pudełko z nabożami, wyszarpnął pistolet z jej ręki, załadował kule do magazynka i podał jej.

- Proszę. - Uśmiechnął się. - Teraz masz w ręku prawdziwy pistolet.

Samochody przemykały obok, kiedy tak stała na rogu Merriion Square i Clare Street. Próbowwała ocenić dzielącą je od niej odległość, ale było to zupełnie beznadziejne. Przez ostatnich dwanaście lat nie musiała sięgać wzrokiem dalej niż do więziennego muru, otaczającego dziedziniec, na którym pojawiali się tylko ludzie. Jak mogła ocenić szybkość przemieszczającego się mechanicznego obiektu i dzielący ją od niego dystans? Postawiła jedną stopę na asfalcie i zawahała się. Zrobiła krok do przodu i zaraz się cofnęła. Przypomniała

sobie odgłos, z jakim tamten samochód uderzył w Amy. I starszego mężczyznę, który rozplakał się na widok leżącego bez ruchu dziecka.

- Wybiegła na drogę tuż przed maską - powtarzał raz po raz. - Nie miałem szans, nie zdążyłem zahamować, nic nie mogłem zrobić...

Rachel czekała, stojąc na brzegu krawężnika. Światła były chyba zepsute, tak długo się nie zmieniały. Inni przechodnie mijali ją bez słowa, w pośpiechu. Od czasu do czasu ktoś rzucał na nią zaciekawione spojrzenie. Miała ochotę chwycić kogoś za rękaw i poprosić o pomoc. Robiło się późno. Amy może w każdej chwili pojawić się na rogu Leeson Street i szybkim krokiem pójść w stronę szkoły. A ona się spóźni, na pewno się spóźni i nie zobaczy Amy, będzie musiała czekać na nią pod szkołą, czekać aż do przerwy na lunch.

Po policzkach spływały jej łzy. Odwróciła się plecami do przejścia. Musi wyglądać strasznie głupio - zapłakana kobieta o szpakowatych włosach i poszarzałej twarzy, z błędnym wzrokiem, robiąca z siebie widowisko pośrodku ruchliwej ulicy. Kilkanaście samochodów przepełnęło obok niej, zwolniło, zatrzymało się. Rozległ się ostry, przenikliwy dzwonek, zabłyśło zielone światło. Rachel wzięła głęboki oddech i pobiegła przed siebie, wymijając samochody. Biegła i biegła, przytrzymując klapy dżinsowej kurtki na piersi, słysząc, jak w kieszeni dzwonią klucze od mieszkania. Sznurówki sportowych butów podskakiwały wysoko. Wbiła wzrok w swoje stopy i nagle zobaczyła wiele par butów wokół siebie, wszelkich rozmiarów i kształtów. Buty z czarnej skóry, błyszczące, drogie. Z klamerkami, naszywanymi wzorami, na szpilkach i na niższych, ściętych obcasach. Z noskami kwadratowymi, wąskimi, zaokrąglonymi. Kiedyś ona również nosiła ładne buty. Martin uwielbiał kupować jej eleganckie, szykowne pantofle. Nagle ujrzała odbicie swojej sylwetki w oknie sklepu perfumeryjnego na rogu Merrion Row, obramowane zdjęciami pięknych kobiet, reklamujących kosmetyki i perfumy. I własną twarz, pooraną bruzdami i postarzałą.

Co zrobiła w tamten zimny marcowy dzień dwanaście lat temu, kiedy Martin umarł? Zrujnowała swoje życie. Wzięła go na muszkę i w tym samym momencie zrujnowała swoje życie. Dlaczego to zrobiła? Co się z nią stało?

Gdy oboje znaleźli się w holu, zabrzączał dzwonek. Przez tafelę mlecznego szkła ujrzała sylwetkę mężczyzny.

- Och, rozumiem. - Martin uśmiechnął się pogardliwie. - Nie mogłaś poradzić sobie ze mną sama i wezwałaś kawalerię. No, na co czekasz? Wpuść tego skurwiela.

Położyła dłoń na klamce i zawahała się. Usłyszała kroki Martina, oddalające się w stronę kuchni, potem brzęk tłuczonego szkła. Odwróciła się i zobaczyła, że Martin wygarnia wszystko z szafek, wyrzuca na podłogę talerze, miski, szklanki, rozdeptuje na miazgę porcelanę i szkło. Szybko otworzyła drzwi i odsunęła się na bok, przepuszczając Daniela. Zaraz potem dobiegły ją krzyki, wyrzaskiwane na całe gardło obelgi. Wściekłość gromadzona przez wiele lat nareszcie znalazła ujście. Weszła do salonu, trzymając pistolet w obu dłoniach. W głosie jej męża brzmiało obrzydzenie, gorycz, rozpacz. Ogarnął ją taki wstyd, jakiego nigdy wcześniej nie czuła.

- Numer w stylu kukułki, co? - mówił Martin. - Podłożyłeś jajo do obcego gniazda z nadzieją, że naiwny głupek wychowa twojego podrzutka! Kto może znać się na tym lepiej od ciebie, Danielu, czy jak tam się naprawdę nazywasz! Czy zdajesz sobie sprawę, ile zawdzięczasz mojej rodzinie? - Przerwał i spojrzał na Rachel. - Gdyby nie desperacja mojej matki, która przekonała ojca, że warto przygarnąć takiego śmiecia, to ciekawe, co by się z tobą stało! Odpowiedz mi, jeżeli potrafisz. Cóż, myślę, że to nic trudnego - wychowaliby cię w domu dziecka, prawda? W sierocińcu, gdzie księża biją małych chłopców, gwałcą ich i robią z nich młodych zboczeńców. Czekałaby cię piękna przyszłość, co?

Rachel przeniosła wzrok na Daniela. Był bardzo blady.

- Wziąłeś wszystko, prawda? Wziąłeś od nich wszystko i naplułeś im w twarz. Zawsze były z tobą same kłopoty.

Nigdy ich nie słuchałeś Mojej matce o mało nie pękło serce, kiedy patrzyła na twoje postępowanie.

- Przestań, Martin. - Rachel w końcu zdołała wydobyć głos z krtani. - Przestań!

- Mam przestać? Jeszcze nawet nie zacząłem! - Martin odwrócił się do niej i zrobił krok w jej stronę. - Nigdy nie było cię w domu, Dan. Nie chciałeś zadawać się z przyzwoitymi ludźmi i po pewnym czasie znalazłeś godnych siebie kumpli, paczkę tych z motorami, pamiętasz? Tych, co to potrafcili kobietę z dzieckiem na spacerze w piękny letni wieczór i uciekli z miejsca wypadku, zostawiając swoje ofiary na pewną śmierć. Ty też tam wtedy byłeś, prawda?

- Nie, Martin, przestań! - krzyknęła Rachel. - Przestań, proszę!

- Niby dlaczego? Ty nie przestałaś, obrzydliwa mała suko. Jak mogłaś pójść z nim do łóżka? Jak mogłaś? Przecież wiedziałaś, co o nim myślę! Jak mogłaś udawać, że to moje dziecko? Jak mogłaś tak mnie oszukać? Powinienem być się domyślić, że nie jest moją córką. Są do siebie podobni jak dwie krople wody, mam rację?

- Przestań. - Daniel wreszcie się poruszył, zbliżył się do Martina. - Nie rób tego...

- Czego mam nie robić, Danny? Nie wydawaj mi poleceń, dobrze? To ja będę wydawał ci polecenia, teraz i w przyszłości. I wiesz co, Danny? Właśnie podjąłem decyzję, bardzo ważną decyzję. Zamierzam skorzystać z propozycji ojca. Złożę rezygnację w policji i przejmę rodzinny biznes. Wiesz, co to oznacza? Będziesz miał nowego szefa. I będziesz woził go mercedesem na eleganckie kolacje, na golfa i do salonu masażu. Nowego szefa, dla którego będziesz żył, oddychał i pracował, oczywiście, dopóki starczy ci sił. Ale wydaje mi się, że nie potrwa to zbyt długo, ponieważ podejrzewam, że już wkrótce zostaniesz zwolniony z pracy...

Znowu odwrócił się do Rachel. Chwytał butelkę whisky ze stołu i pociągnął duży łyk.

- A jeśli chodzi o ciebie, suko, to już możesz czuć się

zwolniona. Więc odłóż ten pistolet i spływaj stąd! I zabieraj swojego bachora!

Chciał ją wyminąć, ale zagroziła mu drogę.

- Nie - powiedziała. - Kocham cię, Martinie. To, co się stało między mną i Danem, było zupełnie bez znaczenia. Musisz mi uwierzyć, błagam. Proszę cię, Dan, powiedz mi, jak to było.

I nagle Martin rzucił się na Dana, sięgając do jego gardła. W rękę miał nóż, zwykły kuchenny nóż. Rachel krzyknęła głośno, aby go ostrzec, i wtedy rozległ się ogłuszający huk. Powietrze wypełnił zapach prochu. Martin osunął się na podłogę. Był w szoku, krwawił, jego udo było rozdarte na kilka centymetrów, lecz żył.

- Pomóż mi, Rachel! - zawołał. - Pomóż mi...

Wtedy huknął drugi strzał. Martin zamilkł, z jego uchylonych ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Zamknął oczy i jęknął cicho. Potem zapadła cisza. Nagle Rachel usłyszała własny głos.

- Dlaczego to zrobiłeś?! - krzyknęła. - Dlaczego to zrobiłeś?!

Daniel spojrział na nią, na tkwiący w jego dłoni pistolet. Milczał.

Zauważyła, że przód jej koszuli nocnej poplamiały drobne krople krwi.

- Co my teraz zrobimy? - zapytała. - Musimy wezwać policję. Musimy powiedzieć im, co się stało. Jak to wyjaśnimy? Co ludzie pomyślą? Co zrobimy, Dan?

I Dan wytłumaczył jej wszystko, powoli i spokojnie. Sam się wszystkim zajmie. Pomógł jej zdjąć koszulę, przyniósł czyste rzeczy z sypialni, ubrał ją. Potem wziął kajdanki Martina z jego samochodu i przykuł ją do kaloryfera. Powiedział, że wyjedzie jej samochodem za miasto i porzuci go gdzieś na poboczu. Wyrzuci pistolet i koszulę nocną, pozbędzie się ich w taki sposób, żeby nikt ich nie znalazł. Wszystko załatwi, a ona niech się nie martwi. Ma mu tylko zaufać. Wcześniej czy później ktoś tu przyjdzie i wtedy Rachel opowie, co się

stało, to znaczy powtórzy dokładnie to, co on jej teraz powie. I wszystko będzie w porządku. Uwierzą jej.

Ale nie uwierzyli. Rachel zaufała Danielowi i drogo za to zapłaciła. Stała się starą kobietą o wyschniętym ciele i martwym sercu. Nie miała nikogo, kto by ją kochał. Nikogo, kogo sama mogłaby kochać.

Jej życie było zupełnie puste, nie było w nim nawet tej dziewczyny, która szła z przyjaciółkami do szkoły z przystanku autobusowego na rogu Stephen's Green. Miała czarne, krótko obcięte włosy, ciemne brwi, które podkreślały zarys jej oczodołów, oliwkową cerę, lekko zaróżowioną na policzkach. Dziewczęta śmiały się i żartowały, a potem zaczęły śpiewać. Czarnowłosa również, do chwili, kiedy zauważyła Rachel. Wtedy wyraz jej twarzy bardzo się zmienił. Przyspieszyła kroku, wyprzedziła koleżanki i wyminęła Rachel, ignorując jej wyciągniętą rękę. Wbiegła po schodach, zatrzymała się przy wejściu do szkoły i spojrzała na stojącą niżej kobietę.

- Mówiłam ci już, że nie chcę cię więcej widzieć - powiedziała cicho, żeby pozostałe dziewczęta nie usłyszały. - Odejdź i zostaw mnie w spokoju. Mówię poważnie, naprawdę.

I już jej nie było. Koleżanki podażyły za nią. Jedna z nich wygrzebała z kieszeni pięćdziesięciopensową monetę i wcisnęła Rachel do ręki.

- Dobry uczynek na początek dnia! - parsknęła śmiechem.

Dzień, w którym umarł Martin, był bardzo zimny. Rachel miała czasem wrażenie, że później już nigdy nie udało jej się naprawdę rozgrzać. Odwróciła się i poszła w stronę kanału. Rozluźniła palce i upuściła monetę na ziemię. Pięćdziesięciopensówka zawirowała na krawędzi chodnikowej płyty i potoczyła się w błoto. Zupełnie jak ja, pomyślała Rachel. Moje miejsce jest właśnie tam, w błocie.

Słońce skryło się za chmurą i dzień stał się dziwnie mroczny.

Rozdział szósty

Błękit, wszędzie jak okiem sięgnąć błękit. Jasny błękit nieba stykający się z ciemniejszym błękitem wody na samej krawędzi horyzontu. A pod nim gęsta, ciemna zieleń sosen na szczycie klifu, jasna żółć kwitnącego janowca i miejscami jasny i ciemny brąz liści paproci.

Daniel Beckett oparł się o parapet i spojrział w dół. Na gładko przystrzyżonym trawniku przed domem leżały zabawki dzieci. Ktoś oparł o ścianę rowerek, którego kółka jeszcze się obracały. W pobliżu stał wózek, w którym na obszytych koronką poduszkach rozpierała się biało-różowa lalka. Na jednej z niższych gałęzi rozłożystego drzewa umocowana była na długiej linie drewniana huśtawka. Kołysała się teraz miarowo, w przód i w tył, w przód i w tył, jakby poruszała nią ręka niewidzialnego olbrzyma. Gdzieś z oddali dobiegały głosy dzieci Daniela, syna i córki, oraz głos jego żony. Wołała dzieci, przypominała im, że już czas spać, pora wrócić do domu, powiedzieć rodzicom dobranoc.

Wychylił się dalej, opierając górną część ciała o kamienną półkę i wyciągając szyję, by zobaczyć, gdzie jest żona. Nigdzie nie było jej widać. Pomyślał, że najprawdopodobniej poszła do warzywnika. Próbował wyobrazić sobie, jak w tej chwili wygląda - długie jasne włosy splecione w warkocz, koszulowa bluzka wsunięta w dzinsy, kości kręgosłupa wyraźnie rysujące

się pod napiętą tkaniną, kiedy pochyla się i prostuje. Kopała, pielęła, przycinała i podlewała, tworząc ład tam, gdzie jeszcze niedawno panował chaos.

Przypomniał sobie, jakie było jego życie, zanim ją spotkał, i znowu ogarnęło go znajome uczucie paniki i lęku. Wyprostował się, odwrócił od okna i przyszedł do pokoju w wieży, wysoko nad ogrodem. Do własnego, specjalnego pokoju. Wyciągnął rękę, żeby otworzyć francuskie okno, i ujrzał swoje odbicie w szklanej tafli. Ciemna sylwetka, ciemne włosy, opadające z szerokiego czoła na ramiona. Ciemna broda z kilkoma siwymi pasmami, szare oczy, blade w porównaniu z oliwkową skórą. Stał i patrzył na siebie. Widział potężną masę swego ciała, rozrośniętego i zwiotczałego w ciągu długich lat życia w komforcie i spokoju. Był szczęśliwy, tak, chyba mógł to tak nazwać, zwłaszcza teraz, odkąd zarządzał firmą założoną przez ojca, który kiedyś chciał przekazać ją młodszemu synowi, lecz po jego śmierci zwrócił się po pomoc i wsparcie duchowe do starszego, Daniela.

Daniel podszedł do biurowej szafy w rogu pokoju, wyjął z kieszeni pęk kluczy i otworzył ją. Spod stosu teczek wyciągnął duże tekturowe pudełko. Postawił je na biurku, przerzucił kilka kartek z naklejonymi wycinkami prasowymi i po raz pierwszy od ponad dziesięciu lat ujrzał twarz kobiety, o której pragnął zapomnieć. I prawdę mówiąc, aż do dzisiaj miał nadzieję, że w końcu mu się to uda, że zostawi ją daleko za sobą, bezpiecznie zamkniętą w więzieniu przeszłości.

- Pamiętasz ją, prawda, Dan? - zapytał dziś jeden z policjantów z pobliskiego posterunku, który dorabiał sobie w firmie Daniela. Chłopak zamierzał ożenić się w przyszłym roku i szukał sposobu, żeby jak najszybciej spłacić kredyt wzięty na budowę nowego domu. - Na pewno ją pamiętasz. Wygląda na to, że wiele osób interesuje się jej losem.

Oczywiście, że ją pamiętał, pamiętał wszystko, co się z nią łączyło. Kolor włosów i oczu, dotyk dłoni, brzmienie głosu, kiedy go wołała. Pamiętał, jak bardzo pragnął ją mieć i że ukradł ją Martinowi sprzed nosa. Jak się cieszył, że ją zdobył,

i jak wielką przyjemność sprawiała mu myśl o cierpieniu brata, gdyby ten dowiedział się o ich romansie. Czekał długo, aż wreszcie nadszedł tamten wieczór, kiedy zadzwoniła do niego i poprosiła o pomoc. I wtedy przyszedł jej z pomocą. Tak, pomógł jej. Wziął pistolet, gdy mu go podała, ale ona nie okazała wdzięczności, więc Daniel ukarał ją za to.

A teraz wróciła. Podniósł wzrok znad stosu wycinków i spojrzął na morze. Podeszedł do otwartych francuskich drzwi i usłyszał, jak żona go woła.

- Daniel!

Uśmiechnął się, słysząc, jak po amerykańsku rozciąga samogłoski.

- Daniel, gdzie jesteś? Chodź na dwór! Jest śliczny wieczór! Daniel! Daniel!

Nagły podmuch wiatru zawirował wokół klifu, wrywając słowa z jej ust i niosąc je gdzieś daleko. Przeciąg zatrzasnął balkonowe drzwi i w pokoju zapanowała martwa cisza.

Rozdział siódmy

- Więc powiedz mi, dlaczego to zrobiłaś?
- Dlaczego co zrobiłam?

Andrew Bowen westchnął i odchylił oparcie krzesła do tyłu. Zdjął okulary, położył je na biurku przed sobą, ostrożnie rozmasował łuki brwiowe, podniósł okulary i przyjrzał im się uważnie.

- Nie rób ze mnie głupka, Rachel - powiedział powoli.

Skarga dotarła do biura wczoraj po południu, tuż przed jego wyjściem. Zadzwoniła opiekunka społeczna Amy Beckett. Okazało się, że Amy wróciła do domu w porze lunchu, bardzo zdenerwowana. Tego ranka jej matka zjawiła się pod szkołą, uprawiając ją w zażenowanie w obecności koleżanek, w każdym razie tak twierdziła Amy. Jej opiekunka nie zamierzała puścić tego płazem.

- Amy zawsze była w tej kwestii zupełnie szczerą. Powiadomiła o swojej decyzji nas wszystkich, a także matkę, kiedy się dowiedziała, że ma ona szansę na zwolnienie warunkowe. Zdecydowała, że nie chce utrzymywać z nią żadnych kontaktów.

Andrew słuchał i robił notatki. Dobrze znał swoją rozmówczynię. Nazywała się Alison White. Wiele lat temu mieli wspólne zajęcia w Trinity College.

- Oczywiście, nie jest to rozwiązanie, na jakim by nam

zależało, ale o tym świetnie wiesz, Andrew. Zawsze staraliśmy się zachęcać je do podtrzymywania kontaktów, chociaż nie było to łatwe. Amy jest bardzo inteligentną i zdecydowaną dziewczyną. Nie chce widywać się z matką i nic nie możemy na to poradzić. Jest dorosła, wkrótce kończy szkołę średnią. Tak czy inaczej, oboje wiemy, jak działa system, Andrew. Jeżeli Rachel Beckett tak bardzo zależało na spotkaniu z córką, to dlaczego nie załatwiła tego jak należy? Powinna zwrócić się do ciebie albo bezpośrednio do mnie, tymczasem ona ni stąd, ni zowąd zjawiła się pod szkołą. To niedopuszczalne. Mam nadzieję, że wyrażam się dość jasno?

Wyraziła się bardzo jasno, jak zwykle. Alison White zawsze była boleśnie szczerą, prawie opryskliwą. Wiele osób nie znosiło jej ostrej bezpośredniości, lecz ona nic sobie z tego nie robiła. Śmiała się i mówiła, że nie lubią jej, ponieważ jest protestantką z Północy. Andrew pamiętał, jak kiedyś poszedł się upić z kilkoma osobami ze swojej grupy, między innymi z Alison. Upili się wszyscy, z wyjątkiem Alison. Alison nigdy nie pozwoliłaby sobie na takie upokorzenie. W czasie towarzyskich spotkań nieodmiennie nadchodziła chwila, kiedy Alison mówiła: „Boże, jacy śmieszni jesteście wy, katolicy. Oddalibyście wszystko za zjednoczoną Irlandię, ale czy kiedykolwiek myślicie o tym, jak by to było, gdybyście musieli poradzić sobie z milionem hardych protestantów, takich jak ja, którzy dokładaliby wszelkich starań, żeby utrudnić wam życie? Co byście zrobili, gdybyśmy na początek zażądali zlikwidowania modlitwy na Anioł Pański w radiu? Co by to było, gdybyśmy wprowadzili odrobinę szczerości do waszego zakłamanego jezuickiego świata?”.

Na moment zapadała cisza, a potem, zanim inni zdążyli się zenerwować, Andrew zamawiał ostatnią kolejkę i zaczynał popędzać wszystkich, aby zbierali się do domu. Starał się zrobić to, zanim Alison powie za dużo, zanim spali za sobą zbyt dużo mostów.

- Więc będziesz musiał coś z tym zrobić, Andrew. Postaraj się, żeby więcej się to nie zdarzyło, bo jeśli Rachel Beckett

jeszcze raz wykręci podobny numer, sama się tym zajmę, a sądzę, że raczej by się jej to nie spodobało. W porządku?

W gabinecie Andrew było cicho i spokojnie. Stojący na biurku komputer pomrukiwał, słychać było głosy z korytarza, przez chwilę głośniejsze, potem, kiedy ktoś zamknął drzwi, prawie niedosłyszalne. Andrew spojrzął na Rachel. Jeszcze dwa tygodnie temu nie poznałby tej kobiety, gdyby przypadkowo spotkał ją na ulicy, ale teraz, obserwując ją uważnie, zorientował się, że zmiany, które w niej zaszły, ograniczały się tylko do warstwy zewnętrznej, do powierzchni. Jej włosy posiwiały i twarz była bledsza, lecz kiedy patrzyła mu w oczy, była tą samą kobietą, którą wciąż pamiętał. Teraz siedziała lekko przygarbiona, z wzrokiem utkwionym w splecionych dłoniach, które bezustannie się poruszały. Długie, szczupłe palce wygładzały zmarszczki na skórze, dotykały przegubów, zaciskały się i rozluźniały na przedramionach, i znowu splatały się na kolanach. Bawiła się wąskim złotym pierścionkiem na trzecim palcu lewej dłoni, przesuwając go i obracając raz po raz. Nerwowym ruchem założyła nogę na nogę i Andrew zauważył, jak jej piersi poruszyły się pod białą bluzką. Dostrzegł też, że jej kości biodrowe wyraźnie rysują się pod tanimi, spranymi dżinsami. Wreszcie podniosła głowę i spojrzała na niego.

- Poszłam zobaczyć się z córką. Nic nie zmienia faktu, że Amy jest moją córką, niezależnie od tego, czy jej się to podoba, czy nie.

- Ale ona nie chce się z tobą widywać, Rachel. Powiedziała ci o tym, a ty się zgodziłaś. Jeżeli się nie mylę, to przestrzeganie jej życzeń jest jednym z warunków zwolnienia warunkowego. Musisz o tym pamiętać, w przeciwnym razie możesz się znaleźć w bardzo kłopotliwej sytuacji. Rozumiesz mnie?

Znowu spuściła głowę i wbiła wzrok w dłonie. Andrew przyglądał się, jak dotykała swoich kolan i przedramion, jakby chciała sama siebie pocieszyć i natychmiast pomyślał o nocach, które spędzał w samotności, leżąc na wznak, z rękoma między

udami, zapadając w płytką drzemkę i budząc się z niej, czekając, aż Clare go zawoła, błagając o pomoc w chwili bólu i lęku. Kiedyś sypiali inaczej - wtuleni w siebie, uspokojeni swoją bliskością, lecz już jakiś czas przed jej chorobą Andrew przeniósł się do osobnej sypialni. Wymyślał wtedy najrozmaitsze wymówki, bo jak miał wyjaśnić, że pewnego ranka, tuż po przebudzeniu poczuł, że już jej nie kocha... Że popełnił błąd, że nie była kobietą, z którą pragnąłby spędzić resztę życia. Później, gdy pograżył się w chłodnej obojętności, spotkał kogoś innego, kobietę odważną i piękną, która zmuszała go do podejmowania wyzwań, do myślenia, otwierała przed nim nowe światy i nowe możliwości. Ale on jak zwykle był niezdecydowany, obawiał się zerwania obecnego związku. I kiedy wreszcie był gotów odejść, Clare powiedziała mu, że jest chora, wkrótce będzie bezradna i zależna od innych, i nie może bez niego żyć. Teraz zdawał sobie sprawę, że poczuł wtedy ulgę, ponieważ był zwykłym tchórzem. W jednej chwili został dobrym, świętym Andym, Andym, którego opinii nikt nie powinien kwestionować. Może gdyby zostawił Clare, kiedy jej choroba była w początkowym stadium, miałyby szansę na znalezienie kogoś innego, kogoś, kto naprawdę by ją kochał i pragnął się nią opiekować. Zostając z nią, skazał ją na siebie, czyli na kogoś, kto jedynie wykonywał gesty czułości i miłości, gesty bez pokrycia.

Rachel podniosła głowę i chwilę przyglądała mu się uważnym, czujnym spojrzeniem. Potem znowu spuściła wzrok.

- Powiedz mi, Rachel, dlaczego chciałaś tutaj zamieszkać? Przecież to miejsce, ta okolica musi budzić w tobie mnóstwo wspomnień. Czy gdzie indziej nie byłoby ci łatwiej?

W jej oczach wyczytał zdumienie.

- Gdzie miałabym zamieszkać? - zapytała. - Tu jest mój dom, jeśli w ogóle mogę tak nazwać jakiejkolwiek miejsce poza więzieniem. Przez ostatnie dwanaście lat codziennie marzyłam o morzu. Musiałam tu wrócić. Nie ma pan pojęcia, jak to wspaniale widzieć je z okna, spacerować brzegiem, czuć zapach i słony powiew na skórze. Pan o tym nie ma pojęcia...

Andrew skinął głową.

- W porządku, skoro tak mówisz. Ale ostrzegam cię, jeszcze jeden taki wybryk i wrócisz do więzienia. Musisz bardzo uważać, szczególnie przez najbliższe sześć miesięcy. Twoje zachowanie musi być absolutnie bez zarzutu. Zwolnienie warunkowe oznacza, Rachel, że twoja sytuacja w każdej chwili może ulec zmianie, i to na gorsze. Nie zapominaj, że nadal odbywasz wyrok. Nie możesz pozwolić sobie na żaden skandal, nie możesz sprawiać najmniejszych kłopotów. I tak mamy szczęście, że dziennikarze do tej pory nie dowiedzieli się o twoim zwolnieniu, ale to tylko kwestia czasu. Doniesienia z twojego procesu długo utrzymywały się na liście najważniejszych wiadomości, więc wcześniej czy później jakiś wścibski pismak na pewno zainteresuje się twoim losem. Nie zmuszaj sądu, żeby ponownie rozważał decyzję o zwolnieniu warunkowym, dobrze? - Palce Andrew zaczęły wybijać nerwowo rytm na blacie biurka. - Nie chciałabyś chyba wrócić do celi, co?

Tym razem nie spuściła oczu. Jej policzki pokryły się rumieńcem, lecz zaraz znowu pobladła. Wstała powoli.

Obserwował na monitorze, jak zamyka za sobą drzwi. Przystanęła, zawahała się i nagle odwróciła twarz do kamery. Wyprostowała się i uśmiechnęła. Nawet zniekształcenie obrazu, nieuniknione przy szerokokątnym obiektywie, nie zdołało zamaskować transformacji, jakiej uległa jej twarz. Przez chwilę znowu była uderzająco piękna, lecz potem uśmiech zbladł i zamiast niego pojawił się wyraz klęski i rezygnacji. Andrew nie spuszczał wzroku z ekranu, dopóki Rachel nie znikła. Chciał ją zapytać, co teraz myślała o swoim mężu, jak odbierała jego śmierć. Zastanawiał się, czy go opłakiwała, pragnął zrozumieć to szczególne połączenie bólu i poczucia winy. Chciał się dowiedzieć, o czym myślała przez te wszystkie lata. Jakie obrazy ze wspólnego życia z Martinem Beckettem pojawiały się pod jej powiekami, kiedy leżała w ciemnej celi? I jakie kłamstwa musiała sobie powtarzać, żeby nie stracić kontroli nad życiem? Pragnął poznać odpowiedzi

na te wszystkie pytania, ponieważ zdawał sobie sprawę, że niedługo sam będzie się czuł tak jak Rachel. Niedługo, kiedy będzie po wszystkim. Gdy podejmie decyzję i ją zrealizuje.

Podniósł się zza biurka i wyszedł na korytarz. Wyjął pęk kluczy z kieszeni i otworzył drzwi wbudowanej w ścianę drewnianej szafy. Wyciągnął rękę i nacisnął guzik „stop/eject” na wideo. Urządzenie kliknęło, skrzypnęło i gładko wypluło kasetę. Andrew wziął nową z wyższej półki i wsunął ją do otworu. Potem z pierwszą taśmą w rękę wrócił do biura. Przykleił kartkę, napisał na niej datę i włożył kasetę do swojego odtwarzacza. Nacisnął „play” i znowu ujrzał na ekranie jej twarz, radosną i pełną uroku w jasnym słońcu. Ciekawe, ile czasu minęło, odkąd ostatni raz uśmiechała się w taki sposób. Patrzył na nią i zastanawiał się, kiedy to mogło być. Obejrzał nagranie kilka razy, chociaż nie wiedział, dlaczego to robi.

Rozdział ósmy

W gruncie rzeczy spotkało mnie pewne rozczarowanie, pomyślał Jack Donnelly, spacerując po centrum handlowym, jedząc jabłko i zastanawiając się, dokąd pójść na lunch. Okazało się, że ze śmiercią biednego Karla O'Hary nie wiąże się żadna zagadka. Ot, po prostu jeszcze jeden narkoman zabity przez jeszcze jednego diler. Oczywiście było to wstrząsające, tragiczne, przynębiające i tak dalej, ale tajemniczy było w tej sprawie tyle, co kot napłakał. Jack odwiedził wszystkich, których nazwiska pojawiły się na ekranie komputera, włącznie z dziewczyną Karla. Rozpłakała się gorzko nad główką malutkiego synka, który podskakiwał z zapalem na kolanach matki, podczas gdy ona opowiadała Jackowi, jak Karl próbował przejść na stosowany w leczeniu odwykowym metadon i przez pewien czas nawet wytrwał, ale wkrótce wrócił do narkotyków. Kiedy urodziła dziecko, powiedział jej, że spróbuje wziąć się w garść i skończyć z dawnym życiem. Na początku sprawy układały się zupełnie nieźle - urząd gminy przyznał im mieszkanie i nawet nieźle sobie radzili finansowo. Po paru miesiącach zorientowała się, że Karl nie tylko bierze, ale i handluje narkotykami. Usiłowała mu to wyperswadować. Obiecał, że rzuci wszystko, kiedy zaoszczędzi trochę pieniędzy. Chciał kupić półciężarówkę i zająć się dostarczaniem przesyłek, podobnie jak jego ojciec.

- I co się stało? - zapytał Jack, nachylając się ku niej i łaskocząc tłusciutki, różowy podbródek dziecka.

Chłopiec spojrział na niego z wyrazem miłego zaskoczenia na buzi, odwrócił wzrok, znowu zerknął na Jacka i zaniósł się radosnym śmiechem.

Karl usiłował wykręcić numer stary jak świat, ograny i dlatego bardzo ryzykowny - zużywał więcej niż sprzedawał i śmiało korzystał z próbek towaru. Wcześniej czy później sprawa musiała się wydać i z góry było wiadomo, kto wtedy ucierpi.

Dziewczyna Karla zamierzała jeszcze tego samego dnia wyjechać do Londynu i zatrzymać się u siostry. Rzeczy spakowała poprzedniego wieczoru.

- Mam dosyć tej dziury! - zaszlochała.

Chłopczyk niepewnie podniósł się na grubych nóżkach i zaczął ciągnąć ją za nos i włosy. Jack wziął małego na ręce, starając się, aby mokry, śmierdzący tyłeczek nie spoczął na jego kolanach.

- Mam nadzieję, że zanim wyjedziesz, powiesz mi, kto wrzucił twójego Karla do morza - mruknął, odklejając brudne palce dzieciaka od swojego krawata.

Powiedziała mu. Dowiedział się od niej dużo więcej niż sądził. Podała mu dużo informacji, które miały okazać się bardzo pożyteczne. Podał jej dziecko, ukradkiem wytarł ręce w chusteczkę i wyciągnął z kieszeni dwudziestofuntowy banknot.

- Może ci się to przyda. Dla małego...

Odwróciła się, ocierając spływające po policzkach łzy. Jack wsunął pieniądze pod plastikową miseczkę, do połowy napełnioną rozmoczonymi płatkami kukurydzianymi, i wstał.

- Powodzenia - powiedział szczerze.

Biedna dziewczyna, pomyślał, skręcając do supermarketu i stając w kolejce do baru z kanapkami. Nieciekawy start dla matki i dziecka. Wiedział, jak trudno jest wychować dzieci. Sam miał dwie córki, sześć- i dziesięcioletnią, śliczne, bystre i zabawne. Dobrze radziły sobie w szkole, były miłe i grzeczne, nie sprawiały żadnych kłopotów. Dość spokojnie przyjęły jego odejście z domu. Czasami Jack nadal nie mógł uwierzyć,

że odważył się na ten krok. Od trzech miesięcy mieszkał sam, w mieszkaniu składającym się z jednej dużej sypialni, kuchni i łazienki, w nowym osiedlu w pobliżu portu. Kiedy dziewczynki przyjeżdżały do niego na weekend, dwa razy w miesiącu, było im razem trochę ciasno, ale nie narzekali.

Naprawdę trudne pytania zadawała młodsza, sześciolatka Rosa.

- Nie kochasz już naszej mamusi? A nas kochasz? Dlaczego od nas odszedłeś, skoro mówisz, że nas kochasz? Czy kochasz jakąś inną panią? Mamusia mówi, że masz dziewczynę. Mówi, że kiedy ożenisz się drugi raz, będziesz miał więcej dzieci i wtedy już nie zechcesz się z nami spotykać. Czy to prawda, tato? Wrócisz dziś wieczorem do domu? Dlaczego nie? Mama zrobi twoją ulubioną kolację - pieczonego kurczaka i mnóstwo smażonych ziemniaczków. Proszę, tatusiu, wróć do domu, na ten jeden wieczór, dobrze? Proszę cię, tato. Tęsknimy za tobą...

Joan, w typowy dla siebie sposób, pozostawiła wszystkie wyjaśnienia właśnie jemu.

- Wiesz co, tatusiu? Nie podoba nam się jej nowy przyjaciel. Pali papierosy i wszędzie zostawia ten smród. Śpi na twojej połowie łóżka i zawsze chce oglądać piłkę nożną, kiedy jest jakiś fajny program dla dzieci. Chcemy, żebyś wrócił do domu i kazał mu się wynieść.

Jack źle znosił świadomość, że jest rogaczem. W pewnym momencie zrozumiał, że większość jego kolegów z pracy wie o niewierności Joan. Ukrywali to przed nim, aż wreszcie zauważył niewyraźne uśmiešky, szeptane na boku uwagi, prowadzone cichym głosem rozmowy, które przerywali, gdy wchodził do pokoju. Zastanawiał się, czy Joan sypiała z którymś z jego przyjaciół i nawet zapytał ją o to, kiedy w końcu zdecydował się zażądać od niej wyjaśnień co do zostawianych dla niej wiadomości na automatycznej sekretarce, niedopałków papierosów w salonie i zużytych jednorazowych maszynek do golenia, które znajdował w koszu na śmieci.

- Tylko to cię interesuje, prawda, Jack?! - wrzasnęła na niego. - Że mogłam cię zdradzić! Myślisz tylko o sobie, ale

to żadna nowina! Ja nic cię nie obchodzi. Nigdy cię nie obchodziłam. Dlaczego się ze mną ożeniłeś? No, dlaczego? A ja powinnam ci to powiedzieć, skoro już wywlekamy wszystkie brudy?!

Skulił się wtedy w sobie, czekając na jej następne słowa.

- Lubieś się ze mną pieprzyć, prawda? Byłam łatwa. Ładna i łatwa. Już po zaręczynach, kiedy czasem się pokłóciliśmy, zawsze szedłeś do pubu na kilka głębszych, pamiętasz? Potem przychodziłeś do mnie, szliśmy do łóżka i tyle. Ale to nie mogło trwać wiecznie. Wcześniej czy później trzeba było zrobić wysiłek i zacząć ze mną rozmawiać, spróbować mnie poznać i pozwolić mi poznać ciebie. Tylko że ty wcale tego nie chciałeś. Kiedy urodziłam dziewczynki, miałam jeszcze nadzieję, że coś zrobisz, ale nic z tego nie wyszło. O wiele chętniej rozmawiałeś z dziewczynkami niż ze mną. Chciałeś je poznać, wiedzieć, o czym myślą i co się z nimi dzieje. Mną się nie interesowałeś. Więc nie wstawiaj mi tu kitu, że to ja cię zdradziłam i nie próbuj obciążać mnie winą za to całe gówno.

Tamtego wieczoru powiedziała mu znacznie więcej, głównie o tym, jak żył, czy raczej jak unikał życia. Musiał przyznać, że pod wieloma względami miała rację. Przyszło mu wtedy do głowy, że może ta rozmowa stanie się katalizatorem, wyzwoli ich z tego, co było między nimi złe i pomoże im zacząć od nowa. Próbował ją pocałować, ale go odepchnęła. Kazała mu się spakować. Oczywiście, dla niego było to także łatwiejsze wyjście, chociaż teraz już wiedział, o co tej suce naprawdę chodziło. Zamierzała napisać swoją historię od nowa, wobec wszystkich znajomych odegrać rolę skrzywdzonej i dopilnować, by ludzie współczuli wyłącznie jej.

Na czym upłynęła mu reszta życia? Na łapaniu drobnych złodziejasków i szaleńców, i zamykaniu ich w więzieniu. Bezsensowne zajęcie, pomyślał. Trudno nazwać je służbą dla ludzkości. Ale z drugiej strony kim on był, żeby tak pogardliwie myśleć o tej pracy? Znał wielu, którzy naprawdę kochali pracę w policji, czerpali z niej satysfakcję i w pełni się w niej realizowali. Ale on do nich nie należał. Problem polegał na

tym, że na niczym mu już nie zależało. Żyję bez celu, pomyślał, przebiegając wzrokiem menu baru i jak zawsze wybierając kanapkę z serem i pomidorami. Żyję bez celu. To żałosne.

Zapłacił za kanapkę i wyszedł z centrum. Słońce świeciło jasno i w oczach zakręciły mu się łzy. Sięgnął do kieszeni kurtki po okulary przeciwsłoneczne i usiadł na ławce na małym, wyłożonym płytami chodnikowymi dziedzińcu między sklepami i nowym, niedawno wybudowanym multikinem. Metalowe oparcie było przyjemnie ciepłe. Oparł się wygodnie i ugryzł kęs kanapki. Był przygnębiony, to prawda, niemniej z przyjemnością myślał, że po południu aresztuje tego dilerka. To było coś naprawdę pożytecznego, ważnego dla innych ludzi. Owoce pracy tego drania widział wszędzie dookoła - w bladych, nieprzytomnych twarzach nastoletnich dzieciaków, które sennie kiwały się na ławkach w parku i obrzucały wyzwiskami siebie nawzajem i wszystkich przechodniów. Tak brzmiały głosy narkomanów, pomyślał Jack. Bezbłędnie rozpoznawał ten nienaturalny ton, który nie ma nic wspólnego z akcentem, za to wszystko z nierzeczywistym światem.

Dokończył kanapkę, znalazł sobie jeszcze wygodniejszą pozycję i oczy same mu się zamknęły za ciemnymi szklami, głowa opadła na piersi. Zapadł w drzemkę, lecz parę minut później drgnął nerwowo, obudzony wyciem alarmu samochodowego. Zamrugał, zdjął okulary i przetarł oczy, po czym znowu włożył szkła, przeciągnął się i wyprostował. Zerknął na zegarek, aby sprawdzić, ile ma jeszcze czasu. Potem rozejrzał się dookoła i wtedy zauważył kobietę siedzącą po przeciwnej stronie dziedzińca, na ławce wciśniętej między rząd zaparkowanych samochodów i pojemnik na śmieci. Wyjmowała jedzenie z plastikowego pudełka. Jabłko, pomarańczę, małą kanapkę, butelkę wody mineralnej. Ostrożnie ustawiła to wszystko na ławce, podniosła wzrok, jakby chciała się upewnić, czy nikt się jej nie przygląda, i zaczęła jeść. Szybko i sprawnie podzieliła kanapkę na małe kawałki, plastikowym nożem pokroiła jabłko i obrała pomarańczę. Jej ruchy były precyzyjne i lekkie. Przypominała wróbla, który skacze na sprężystych

nózkach między przechodniami, zbierając z ziemi okruszki zupełnie niewidoczne dla ludzkiego oka. Poznał ją dopiero wtedy, kiedy wstała i odwróciła się w jego stronę, by wyrzucić skórkę pomarańczy do kosza. Andy Bowen miał rację. Jej uroda nie powalała już na kolana.

Siedział bez ruchu, zastanawiając się, czy go zobaczy, ale była całkowicie pochłonięta własnymi sprawami. Znowu usiadła i zajęła się pakowaniem pudełka na lunch. Wypiła resztkę wody z butelki, schowała ją do torby, a potem wstała i odeszła.

Przez chwilę miał ochotę za nią pójść. Przypomniał sobie, jak wyglądała i jak zachowywała się tamtego dnia, gdy przyjechali do jej domu. Starszy inspektor Michael McLoughlin przyklęknął na podłodze, pochylony nad ciałem. Wszędzie była krew, dużo krwi. W raporcie z sekcji zwłok lekarze napisali, że Martin wykrwawił się na śmierć. Jack pamiętał, jak później McLoughlin powiedział, że morderca mógłby równie dobrze zarażać go siekierą. Zwrócił też wtedy uwagę na spokojne zachowanie Rachel. Myśleli, że jest w szoku, bo przecież ostatnie dwanaście, może nawet czternaście godzin spędziła przykuta do kaloryfera, obok trupa męża. Widziała, jak konał. Gdy w końcu ją uwolnili, i zdjęli jej kajdanki, zaczęła płakać, ale niepokoiła się o córkę. Kazała im natychmiast zadzwonić do szpitala i dowiedzieć się, jak mała się czuje. Martwiła się tylko o Amy, czy jej stan się nie pogorszył. McLoughlin powtarzał później, że powinni byli od razu nabrać podejrzeń, lecz Rachel wcale nie plątała się w zeznaniach. Jasno, wyraźnie i zrozumiale zrelacjonowała wszystko, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru.

Tamten dom... Kilka razy był tam zaproszony. Pierwszy raz przyszedł na przyjęcie z okazji chrzcin dziecka. Martin rozesłał ogólne zawiadomienie, zaprosił wszystkich. Był piękny, słoneczny dzień. Przyjęcie trwało przez całą noc. Martin był duszą towarzystwa, ale w końcu upił się do nieprzytomności. Teraz, gdy Jack sam miał dwoje dzieci, zastanawiał się, jak Rachel znosiła takie imprezy. Pamiętał też, że w pewnej chwili wszedł na piętro, chyba w poszukiwaniu toalety, otworzył

jakieś drzwi i ujrzał ją, karmiącą dziecko. W pokoju było ciemno i cofnął się szybko, zażenowany widokiem jej nagiej piersi, krągłej i białej w świetle padającym z korytarza. Zauważył, że poza nią był tam ktoś jeszcze, ktoś, kto siedział po turecku na podłodze obok jej krzesła, dotykając ręką głowy dziecka. Był to Dan. Nie zdziwiło to Jacka - Dan był przecież ojcem chrzestnym dziewczynki i przez całe popołudnie nosił ją na rękach. Pokazywał małą wszystkim gościom i pomagał Rachel przygotowywać i podawać jedzenie oraz napoje. Natomiast Martin robił to, co zwykle, to znaczy świetnie się bawił z kumplami z jednostki specjalnej, z elitarnego oddziału, jak mówili z dumą. Oni zawsze tworzyli odrębną grupę.

Jacka ogarnęło wtedy coś w rodzaju wyrzutów sumienia, że wdarł się do cichego, spokojnego świata niemowlęcia. Nagle poczuł się odpowiedzialny za dochodzący z dołu hałas i gwar, za tłum obcych ludzi, pijących na umór w kuchni i salonie, i za odór papierosów i alkoholu, który przenikał do małego pokoju. Zastanawiał się nawet, czy nie powinien już pójść do domu, ale kiedy zszedł do holu, Martin złapał go za ramię i wcisnął mu do ręki kufel piwa oraz talerz z kiełbaskami.

To był piękny dom. Jack należał do zespołu, któremu zlecono przeprowadzenie rewizji. Nie znaleźli żadnych tajnych skrytek, nic podejrzanego. W powietrzu długo utrzymywał się zapach prochu, najsilniejszy w salonie, w pobliżu poplamionego krwią dywanu. Pamiętał, że wyjął z plastikowej torby nocną koszulę, którą znaleźli w skalnej rozpadlinie, i porównał ją z bielizną w komodzie i z ubraniami w garderobie. Ten sam rozmiar, ta sama marka, te same kolory. Kiedy odwrócił się od szafy i spojrzął na nieposłane łóżko, zrobiło mu się przykro i prawie niedobrze. Na stoliku nocnym leżała przewrócona filiżanka po herbacie, na podłogę ktoś rzucił bieliznę, w kącie stały lekkie pantofle. Powietrze było nieświeże i duszne.

Policzył do dziesięciu i podniósł się z ławki. Ciekawe, czy była już w swoim dawnym domu, pomyślał. Ruszył ścieżką prosto, potem skręcił w prawo, do głównej ulicy. Widział ją przed sobą. Szpakowate włosy wyróżniały się wśród tłumu

robiących zakupy. Jack pomyślał o ojcu Rachel, który uczył go w szkole policyjnej w Templemore. Stary Gerry Jennings. Dobry policjant i nauczyciel, jeden z najlepszych. Był dumny ze swojej córki, pierwszej w całej rodzinie, która zdobyła wyższe wykształcenie. Została architektem, miała budować domy, tak potrzebne ludziom. „I robić pieniądze, Gerry”, dorzucił ktoś z grupy. Wszyscy wybuchnęli śmiechem, Gerry także. „Tak, ma robić pieniądze, żeby utrzymywać mnie na starość, kiedy już pozbędę się was wszystkich, łobuzy”, powiedział.

Przystanęła na światłach. Trzymał się z tyłu i obserwował jej odbicie w szybie kiosku. Gdy światła się zmieniły, zawahała się i nagle szybko przebiegła na drugą stronę. O mały włos nie wpadła na młodą kobietę z wózkiem spacerowym i z kilkuletnim dzieckiem, które trzymała za rękę. Ruszył za nią. Przypieszył kroku, i dobrze, bo w ostatniej chwili zobaczył, jak znika za wielkimi drzwiami ogromnego nowoczesnego kościoła, górującego nad centrum miasta.

Może ma atak skruchy, pomyślał, zanurzając dwa palce prawej ręki w święconej wodzie i machinalnie wykonując znak krzyża. Jak zwykle wydawało mu się, że czuje na ramieniu dotyk ciepłej dłoni matki i słyszy jej szept: „W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego...”. Wewnątrz było znacznie ciemniej, ponieważ światło przedostawało się tu tylko przez zajmujące całą ścianę witrażowe okno w nawie północnej. Święty Michał Archanioł walczył ze złym duchem, spowity w żółte, niebieskie i czerwone szaty, a Duch Święty pod postacią dużej białej gołębiczy patrzył na niego z nieba. Ksiądz odprawiał właśnie mszę. Jack dostrzegł Rachel, która usiadła w ławce w połowie głównej nawy. Osunęła się na kolana, schyliła głowę i ukryła twarz w dłoniach. Jej siwe włosy wydawały się tu zupełnie na miejscu, ponieważ większość wiernych była już w wieku emerytalnym. Jack usiadł w ławce jak najbliżej wyjścia i zamknął oczy.

W dniu pogrzebu Martina Rachel wyglądała bardzo pięknie. Oczywiście była ubrana na czarno, lecz Jack zapamiętał, że w rękę trzymała białą różę. Następnego ranka wszystkie gazety

opublikowały jej zdjęcie w chwili, gdy rzuca różę do otwartego grobu. Niewielka smuga bieli na tle zwartego muru czerni...

Pamiętał również przejazd z kostnicy szpitala św. Wincen-tego do wielkiego kościoła w hiszpańskim stylu u szczytu Kill Avenue. Wraz z innymi niósł trumnę główną nawą. Poruszył się i ściągnął brwi, przypominając sobie jej ciężar. Krawędź podstawy trumny wrzynała mu się w ramię i ze wszystkich sił usiłował nie myśleć, co dźwiga, lecz mimo to zaczął wyobrażać sobie zwłoki Martina. Potknął się, o mało nie upadł i żeby odzyskać równowagę, przytrzymał się kroczącego z drugiej strony policjanta, z przyjemnością czując ciepły dotyk surowej, granatowej wełny, z której szyto galowe mundury. Odetchnął z ulgą, kiedy dotarli do ołtarza i wreszcie mogli złożyć ciężką trumnę na marach.

Uroczysta ceremonia, wielka gala. Trębacz zagrał hymn, wysocy oficjele zdjęli flagę z trumny, złożyli ją i wręczyli wdowie. Nadinspektor podszedł, aby uściskać jej dłoń i złożyć kondolencje. Zjawili się nawet minister sprawiedliwości i szef gabinetu prezydenta oraz grupka polityków niższego szczebla. Błyskały flesze, pracowały kamery, w tłumie roiło się od dziennikarzy telewizyjnych i prasowych. A ona prawdopodobnie chciała zostać sama, opłakiwać go w samotności, bez całej tej publicznej asysty. Nie wiedziała, nie mogła wiedzieć, że to jeszcze nic w porównaniu z tym, co ją czeka. Tamtej nocy, kiedy zginął Martin, runęło w gruzy niejedno życie.

Usłyszał dźwięk dzwoneczków i otworzył oczy. Wokół niego wierni klęczeli, wpatrując się w ołtarz, przy którym kapłan podnosił hostię i kielich z winem.

- Bierzcie i jedzcie z tego wszyscy. Oto ciało moje, które za was będzie wydane... Bierzcie i pijcie z tego wszyscy. Oto kielich krwi mojej, która za was i za wielu będzie wydana...

Ministrant zadzwonił i wszyscy podnieśli się z kolan. Wkrótce nadeszła chwila Komunii świętej. Mężczyźni i kobiety zaczęli ustawiać się w kolejce. Jack spojrzął na Rachel, ciekawym, czy także wstanie, ale ona klęczała nieruchomo. Podniósł się i zajął miejsce na końcu kolejki. Kiedy ją mijał, spojrzął

na nią uważnie. Wpatrywała się w ołtarz, po jej policzkach płynęły łzy, a wargi szeptały modlitwę. Jack stanął przed kapłanem, unosząc złożone dłonie. Zamknął oczy, słuchając monotonnego szeptu: „Ciało Chrystusa... Ciało Chrystusa...”. Poczuł dotyk hostii na dłoni i podniósł ją do ust. Suchy krążek szybko nasiąkł śliną na języku i zaczął się rozpyływać. Przełknął go i poczuł, jak ogarnia go fala spokoju. Odwrócił się i ruszył do swojej ławki. Cud, na który czekał, jak zwykle się dokonał. Znowu wierzył. Wszystkie wątpliwości zniknęły. Ukłęknął, aby odmówić modlitwę. Słowa wylewały się z niego, jedno za drugim.

- Boże Ojcze, pomóż mi dzisiaj i pomagaj zawsze. Matko Przenajświętsza, chroń mnie i moje dzieci przed grzechem i ciemnością... - Pochylił się i oparł czoło na złożonych dłoniach. - Dzięki Ci, Panie, za dar wiecznego życia. Dziękuję Ci, Panie. Dziękuję.

Rachel zauważyła stojącego na końcu kolejki mężczyznę. Był znacznie młodszy od pozostałych wiernych i widziała go tu po raz pierwszy. Od pewnego czasu codziennie przychodziła do tego kościoła i w bezpiecznym mroku słuchała mszy. Dobrze znane słowa niosły pocieszenie. Nikt jej się nie przyglądał, ponieważ oczy wszystkich zwrócone były na kapłana i ołtarz. Podobało jej się to. Ale ten mężczyzna patrzył na nią. Raczej poczuła, niż dostrzegła rzucone w jej stronę spojrzenie, kiedy przechodził obok. Widziała, jak z pochyloną głową przyjmuje Komunię świętą i spodziewała się, że wracając na swoje miejsce, znowu na nią spojrzy, lecz on przeszedł ze spuszczonym wzrokiem, ze skupionym wyrazem twarzy.

Wstała i wyszła z ławki. Powinna wracać do pracy. Dziś przed południem Mickey, sympatyczny mężczyzna, który w wydzielonej części pralni reperował buty i dorabiał klucze, zaprosił ją na lunch, ale odmówiła, pospiesznie wymyślając jakąś wymówkę. Zauważyła, że sprawiła mu przykrość, zraniła go. Utkwił spojrzenie w swoich dłoniach, pokrytych odciskami, stwardniałymi, poplamionymi pastą do butów tak mocno

i trwale, że na pierwszy rzut oka przypominały drzeworyt. Potem podniósł wzrok i spojrzał jej w oczy.

- Wobec tego może innym razem - powiedział.

Potem włożył płaszcz, podniósł kontuar i wyszedł. Rachel skinęła głową, chociaż nie mógł już tego zobaczyć, i poczuła, jak w ustach zbiera jej się gorzka ślina. W jaki sposób miała mu wytłumaczyć, że naprawdę nie ma w niej niechęci? Że po dwunastu latach jedzenia w samotności, w celi, po prostu nie wyobraża sobie, by mogła usiąść do stołu z kimś innym? Gryzienie, przeżuwanie, przetykanie - wszystkie te czynności należy wykonywać na osobności. Jedzenie w miejscu publicznym, wśród ludzi, wydawało jej się pomysłem równie odstręczającym, jak spacer nago główną ulicą miasta. Właśnie dlatego zawsze wracała na lunch do siebie albo szła na mały dziedziniec pod wielkim centrum handlowym i tam siadała na ławce tuż przed zaparkowanymi samochodami, gdzie poza nią nikt nigdy nie przychodził. Ale nie mogła wyjaśnić tego ani jemu, ani nikomu innemu. Wiedziała, że nikt nie byłby w stanie zrozumieć, co czuje.

Kiedy mijała mężczyznę siedzącego w tylnym rzędzie ławek, blisko wyjścia, ten podniósł wzrok i spojrzał jej prosto w twarz. Wtedy poznała go i przeszył ją zimny dreszcz. Przypomniała sobie rewizje i przesłuchania, paradę świadków w czasie rozprawy, słowa wypowiedane o niej, przeciwko niej. Próbowwała się skupić, przywołać z pamięci jego nazwisko, ale nie mogła. Zresztą, czy to miało jakiegokolwiek znaczenie? Był jednym z nich, jednym z ludzi, którzy swobodnie szafowali kłamstwami na jej temat i przeistoczyli ją w to żałosne stworzenie. Jej wspomnienia były teraz w stanie tak wielkiego chaosu, że czasami miała wrażenie, iż nigdy nie zdoła ustalić chronologii tamtych zdarzeń. Wcześniej, później, wtedy, teraz - wszystko to przypominało niewyraźny, wirujący krąg. Jedyнным sposobem na odseparowanie poszczególnych wspomnień było wykonanie zadania, które planowała przez wiele lat. Nadszedł już czas, aby do niego przystąpić. Prawie, ale jeszcze nie całkiem. Wkrótce będzie gotowa, a wtedy wszystko się zmieni.

Rozdział dziewiąty

Jeszcze jedna twarz, którą być może znała, chociaż nie była tego zupełnie pewna. Pulchne policzki, szerokie, umalowane wargi, długie złote kolczyki, migoczące w świetle i bransoletka z wisiorcami, zaciągająca nitki tweedowych kostiumów oraz płaszczy, które kobieta położyła na ladzie przed Rachel.

- Nie ma pośpiechu, moja droga, po prostu porządkuję zimowe rzeczy. Lubię odłożyć czyste rzeczy na jesień i zimę jeszcze przed wakacjami. Wie pani, jak to jest...

Rachel nigdy wcześniej nie słyszała głosu tej kobiety. W tamtych dniach, siedząc w sali Sądu Okręgowego, kiedy jej sprawa była roztrząsana publicznie, słyszała głosy adwokatów i prokuratorów, sędziego i świadków, lecz nie dwunastu sędziów przysięgłych, oczywiście z wyjątkiem przewodniczącego ławy, który obwieścił ostateczny werdykt. Wtedy, podczas rozprawy, przysięgli ciągle stali jeszcze przed wyborem - wolność i uwolnienie od zarzutów lub więzienie, pozbawienie praw publicznych i hańba.

Na początku rozprawy, spośród zgłoszonych kandydatów na przysięgłych, wyłoniono skład ławy, ośmiu mężczyzn i czterech kobiety. Widziała, jak to się odbywało. Adwokat wyjaśnił jej, że przedstawiciele urzędu prokuratorskiego i obrony mieli prawo do odrzucenia po czterech kandydatów, ale wetując przysięgłych, mogli opierać się jedynie na ich wyglądzie i włas-

nym instynkcie. Obrona starała się pozyskać do składu jak najwięcej kobiet. Adwokat powiedział, że kobiety na pewno okażą jej więcej współczucia niż mężczyźni. Rachel uznała to za rozsądny argument, ale okazało się, że nie mieli szczęścia.

Przez sześć dni siedziała naprzeciwko przysięgłych, co jakiś czas zmieniając nieco pozycję na twardej, niewygodnej ławce. Usiłowała się nie garbić i sprawiać wrażenie osoby, która świetnie wie, co się dookoła niej dzieje i której można wierzyć. Tuż za nią siedział ojciec. Codziennie, dzień w dzień. Matka nie przychodziła do sądu, wołała zostać w domu. Rachel rozglądała się, żeby sprawdzić, kto ją poprze i okaże trochę serca. Kiedyś miała przyjaciółki, które poznała w szkole średniej i na uniwersytecie. Utrzymywały z nią kontakt, chociaż wszystkie pracowały lub były zajęte wychowywaniem dzieci. Kilka z nich przyszło do sądu. Siedziały na sali godzinę lub mniej, potem wychodziły, szepcząc do niej bezgłośnie wyjaśnienia przez całą długość zatłoczonej sali.

Przepraszam, ale muszę już iść. Muszę zabrać dzieci ze szkoły, przedszkola, treningu. Muszę wracać do pracy, mam pilną sprawę, termin na wczoraj... Przepraszam, niedługo umówimy się i spokojnie porozmawiamy. Będziemy w kontakcie. Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

Przez cały ten czas dwanaścioro przysięgłych uważnie przysłuchiwało się zeznaniom. Ośmiu mężczyzn i cztery kobiety, wśród nich ta z migoczącymi kolczykami i brzęczącą bransoletką, z upudrowanymi policzkami i umalowanymi czerwoną szminką wargami, ta, która teraz kładła ubrania na ladzie pralni. Wtedy, gdy przewodniczący ławy przysięgłych wstał, aby ogłosić werdykt, jej twarz była blada i ściągnięta, pulchne ramiona drżały od tłumionego płaczu, łzy spływały po policzkach.

Plakała cicho do końca rozprawy. A potem? Rachel nie wiedziała, ponieważ potem nie miała już czasu na nic i dla nikogo. Zdażyła tylko pożegnać się z Amy, przytulić ją na tę ostatnią chwilę, odetchnąć słodkim zapachem, który

wydobywał się spod jasnoniebieskiego sweterka. Zasypała córeczkę pocałunkami, całowała jej policzki i czoło, usta, podbródek, miękki karczek, ręce i palce, czerwone z zimna w ten chłodny listopadowy dzień. Przestała dopiero wtedy, gdy strażniczka lekko szturchnęła ją w ramię i powiedziała, że muszą iść. Już czas, bo ciężarówka czeka.

- Ciężarówka? - Rachel spojrzała na kobietę i zaraz znowu przeniosła wzrok na Amy, która zaczęła popłakiwać.

- Tak, samochód, którym przewozimy więźniów. Chodź już, Rachel, nie każ nam czekać. - Kobieta położyła rękę na ramieniu Rachel i krótkim gestem kazała jej wstać. - Tędy. Nie rób zamieszania, bardzo proszę.

Rachel stała pod ścianą Okrągłej Sali i rozglądała się dookoła. Patrzyła na ojca, który wziął Amy na ręce i obiecywał jej słodycze oraz inne przyjemności, „jeżeli tylko będzie grzeczna i posłucha dziadziusia”. A więc tak to miało wyglądać. Matka i córka, obie zmuszone do posłuszeństwa, jedna groźbą, druga prośbą.

Jej adwokaci zmierzali już w stronę drzwi. Tłum, który otaczał ją od chwili rozpoczęcia procesu - dziennikarze, strażnicy sądowi, ciekawscy - rozprasał się powoli. Wszyscy zapinali palta, aby uchronić się przed wilgocią i zimnem, chwyтали torby, teczki i wychodzili. Słyszała fragmenty ich rozmów.

- Dziś wieczorem? Mam ochotę iść do kina, a ty?

- Chętnie wybrałbym się gdzieś na kolację, potem może na piwo...

- Zamierzam spędzić wieczór w domu. Wezmę gorącą kąpiel i otworzę sobie butelkę dobrego wina. Jestem wykończona, a jutro czeka mnie pierwszy dzień następnej sensacyjnej rozprawy...

Rachel stała obok strażniczki i przyglądała się, jak Okrągła Sala pustoszeje. I nagle uświadomiła sobie, że to już koniec.

Wszystko się skończyło - proces, parada świadków, demonstracja dowodów, zeznania, debaty na temat procedury. Wysłuchiwała już wszystkich przemów, nikt nie miał nic więcej do powiedzenia na temat śmierci jej męża. Oskarżenie przekazało

sądowi dowody - pistolet z odciskami jej palców, jej zaplamione krwią ubranie, zaświadczenie biegłych, z którego wynikało, że układ kropel krwi jest zgodny z pozycją, z jakiej oddano strzały. I raport lekarzy, którzy stwierdzili, że pierwszy strzał spowodował rozerwanie arterii udowej oraz krwotok, który wcale nie musiał zakończyć się śmiercią. Gdyby Martin otrzymał pomoc lekarską, przeżyłby. Zgon nastąpił w rezultacie drugiego strzału, który zmiażdżył podbrzusze i rozerwał lewą arterię biodrową, co spowodowało intensywny krwotok wewnętrzny i zewnętrzny. Martin wykrwawił się na śmierć. Prawie natychmiast stracił przytomność, a po upływie najdalej trzydziestu minut zmarł. Wysłuchiła także zeznań sąsiadów, którzy oświadczyli, że słyszeli odgłosy kłótni, dobiegające z domu Beckettów. Tak, słyszeli coś jeszcze - głośny, krótki huk. Myśleli, że źródłem tych dźwięków był przejeżdżający samochód, może eksplozja spalin w rurze wydechowej. Nie, nie widzieli nikogo obcego w pobliżu domu Beckettów. Tamtej nocy Beckettowie nie mieli żadnych gości. Późnym wieczorem, chyba koło jedenastej, słychać było odjeżdżający samochód, to wszystko.

- Widziała pani, czyj to był samochód? I kto siedział za kierownicą? - Przedstawiciel oskarżenia nachylił się w stronę świadka.

Młoda kobieta, mieszkająca w sąsiednim domu, zawahała się. Potem powiedziała, że nie jest pewna. Och, tak, to był samochód Rachel Beckett, co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości. Wydawało jej się, że za kierownicą widziała Rachel, ale nie była pewna.

- Nie jest pani pewna... Rozumiem. Czy mogłaby pani określić to dokładniej? Jest pani pewna na siedemdziesiąt pięć, osiemdziesiąt, może dziewięćdziesiąt procent?

Chwila wahania. Rachel wpatrywała się w kobietę, siłą woli usiłując ją skłonić, by na nią spojrzała, lecz tamta spuściła głowę.

- Było zupełnie ciemno - powiedziała. - Ale... Cóż, jestem pewna na dziewięćdziesiąt procent, że była to Rachel Beckett.

Rachel miała nadzieję, że obrona dokładnie przesłucha świadka. Obrona zrezygnowała z pytań.

- Dlaczego daliście jej spokój? - zapytała później swego adwokata.

- Ponieważ w ten sposób posialiśmy ziarno wątpliwości - odparł. - Nie wiadomo, co mogłaby powiedzieć, gdybyśmy przyparli ją do muru.

Obserwowała Daniela, kiedy sędzia wezwał go do złożenia zeznań. Nigdy nie był tak spokojny i pewny siebie. Jasno i bez pośpiechu przedstawił swoją wersję wydarzeń. Pani Beckett, Rachel, to znaczy jego szwagierka, zadzwoniła do niego wieczorem. Powiedziała, że się boi, bo pokłóciła się z Martinem, który jest zupełnie pijany i zachowuje się bardzo gwałtownie.

- Prosiła o pomoc?

- Tak.

- Co pan odpowiedział?

- Obiecałem, że przyjadę i porozmawiam z Martinem.

- Czy pańska szwagierka powiedziała panu, czego dotyczyła kłótnia?

- Tak.

- Może nam pan to zdradzić?

- Twierdziła, że Martin dowiedział się o naszym romansie, który miał miejsce kilka lat wcześniej. Że wpadł w furję i zażądał rozwodu.

- Czego od pana oczekiwała?

- Chciała, żebym powiedział Martinowi, że nasz romans nie miał żadnego znaczenia i dawno się skończył.

- Czy spełnił pan jej prośbę?

- Zamierzałem to zrobić, ale kiedy dotarłem na miejsce, Martin spał. Zasnął na kanapie w salonie. W tej sytuacji nie mogłem pomóc Rachel, więc wyszedłem.

- Co ma pan do powiedzenia na temat zeznań oskarżonej, która utrzymuje, że to pan oddał drugi, śmiertelny strzał i obiecał jej, iż pozbędzie się wszystkich obciążających ją dowodów, to znaczy pistoletu i ubrania? Oskarżona twierdzi także, że miał pan zabrać jej samochód i porzucić go pod miastem, co

miało sugerować, iż został skradziony. Zgodnie z jej zeznaniami to pan wymyślił tę śmieszną historyjkę, którą przytaczała na początku śledztwa...

Nie spuszczała wzroku z twarzy Daniela, próbowała porozumieć się z nim spojrzeniem. Na pewno zorientował się, w jakim kierunku zmierza rozprawa, i była pewna, że zrobi to, co należy. I wtedy usłyszała jego słowa.

- To nieprawda. Kto mógłby uwierzyć w coś takiego? Kiedy opuściłem ich dom, mój brat żył.

- Gdzie pan był tamtej nocy między dziesiątą i północą?

- W domu mojej matki, w Greystones. Nie czuła się zbyt dobrze. Zadzwoiłem do niej tuż przed wyjściem z pracy i wtedy poprosiła mnie, żebym przyjechał do niej, bo mój ojciec wyjechał. Spędziłem tam całą noc.

Potem słuchała zeznań pani Beckett. Matka Martina wyglądała mizernie i staro, lecz głos miała silny.

- Mój syn był ze mną. Położył mnie do łóżka i siedział przy mnie, dopóki nie zasnąłem.

- O której to było?

Starsza kobieta się zawahała. Sąd czekał.

- Była dziesiąta - oświadczyła w końcu. - Pamiętam, że słyszałam, jak bije zegar w holu. Długo nie mogłam zasnąć, więc Daniel przyniósł mi kasetę z jednym z moich ulubionych starych filmów, High Society z Grace Kelly i Bingiem Crosby. Uwielbiam ten film. W czasie oglądania zdrzemnąłam się, ale Daniel obudził mnie na samo zakończenie, ponieważ tę scenę lubię najbardziej. Potem zaglądał do mnie co godzinę, by się upewnić, czy nic mi nie dolega.

Adwokat zadał pani Beckett serię pytań, powtarzając niektóre po parę razy.

Czy jest pani pewna?

Czy jest pani przekonana, że tak właśnie było?

Czy wie pani, jak to było?

Tak, tak, tak, odpowiadała na każde z tych pytań. W końcu sędzia wtrącił się i orzekł, że kontynuowanie tej linii przesłuchania mija się z celem.

Teraz było już po wszystkim. Rachel szła przez parking do okratowanej półcieżarówki, czując, jak wiatr szarpie jej włosy i płaszcz. Łańcuszek łączący kajdanki miotał się między dłońmi. Podniosła wzrok i zobaczyła długie rzędy oświetlonych okien w gmachu sądu oraz rozpraszający się tłum za bramą.

Nie rozpląkała się, wtedy jeszcze nie. Łzy popłynęły dopiero następnego dnia nad ranem, kiedy leżała na więziennej pryczy, pod więziennymi kocami i usiłowała zrozumieć, co się stało. To niemożliwe, powiedziała głośno. To jakaś pomyłka. Nie jestem tą osobą. Nie jestem tą kobietą. Jestem dobrą kobietą, która kochała swojego męża i kocha córeczkę. Popeniłam błąd, to wszystko. Nie powinnam ponosić za to tak surowej kary. Jutro mnie wypuszczą. Kiedy zrobi się jasno, powiem im, że to przecież pomyłka... Wtedy zaczęła walić w drzwi i krzyczeć.

Nikt nie odpowiedział na jej wołanie. Dostrzegła tylko błysk światła w judaszu, przez który ktoś przez całą noc co piętnaście minut zaglądał do celi. Poczowała łzy na policzkach i sól w ustach.

Teraz jej dłonie dotknęły rąk tamtej kobiety. Zgarnęła ku sobie stos kostiumów i płaszczy. Kobieta miała długie, pomalowane na czerwono paznokcie. Były twarde i ostro zakończone, zadbane. Rachel cofnęła się i odwróciła do kasy, wbijając cenę prania każdej rzeczy z osobna. Maszyna wypluła różowy kwitek, Rachel oderwała go i sprawdziła, czy wszystko się zgadza.

- Kiedy chciałaby pani odebrać te rzeczy? - zapytała.

Ich spojrzenia spotkały się po raz pierwszy. Zapadła cisza.

- Nie śpieszy mi się - przemówiła kobieta. - Może pod koniec tygodnia.

- Pani nazwisko? - Rachel czekała z uniesionym długopisem.

Teraz chwila milczenia była wyraźnie dłuższa.

- Lynch.

Rachel podsunęła klientce górną część różowego kwitka. Długie czerwone paznokcie chwyciły go i wsunęły do czarnej

skórzanej torby. Rachel wzięła drugą połowę i przypięła numerek do męskiej tweedowej kurtki. Dookoła panował gwar i ruch, słychać było echo kroków i głośną muzykę, dobiegającą z głośnika w suficie. Rachel znowu podniosła głowę. Kobieta szarpała się z zamkiem torebki i nerwowo poprawiała kwicistą apaszkę pod szyją. Rachel wrzuciła stos ubrań do pojemnika i odwróciła się do lady.

- Wreszcie cię wypuścili. W końcu...

- Tak.

- Tak się cieszę! Nie mogłam uwierzyć, że cię skazali! Nie potrafiłam tego zrozumieć!

Rachel uśmiechnęła się lekko.

- Często o tobie myślałam, zastanawiałam się, jak sobie radzisz. Gdybyś czegokolwiek potrzebowała... Proszę, nie wahaj się mi powiedzieć... Przyjdę po ubrania w piątek. Może mogłabym coś dla ciebie zrobić...

Rachel zobaczyła, jak duże niebieskie oczy kobiety wzbierają łzami. Do lady podszedł następny klient, podając jej kwitek z listą rzeczy do odbioru. Pani Lynch ruszyła w stronę drzwi, lecz w progu odwróciła się i jeszcze raz spojrzała na Rachel.

- Tak się cieszę, naprawdę! Bardzo chciałam cię zobaczyć, i to od dawna...

Rachel wzięła kwit z ręki mężczyzny. Podeszła do długiego stojaka, na którym wieszano zapakowane w foliowe torby ubrania. Wyglądają jak uśpione piękności, które czekają, aby ktoś obudził je do życia, pomyślała. Przesunęła palcem po wieszakach, szukając właściwego numerka. Znalazła ciemny garnitur i przytuloną do niego suknię z kremowego jedwabiu, z plisowaną spódnicą, która na pewno idealnie układała się na ciele, ze stójką i głęboko wyciętym dekoltem na plecach. Zimna, śliska folia ściśle przylgnęła do jej dłoni. Zdjęła suknię ze stojaka. Miała ochotę przyłożyć ją do siebie, jak inne wyjątkowe kreacje, które kiedyś nosiła. Dawno, dawno temu... Jedwabne i lniane, satynowe i koronkowe. Wkładała je i stała przed lustrem, krzyżując nogi pod spódnicą, poprawiając

materiał na płaskim brzuchu i na piersiach. Przyglądała się sobie i jednocześnie obserwowała Martina, który ani na chwilę nie spuszczał z niej wzroku.

- Halo! - usłyszała za plecami. - Dlaczego to trwa tak długo? Czy coś się stało?

Odwróciła się szybko, przerzucając suknię i garnitur przez ramię.

- Przepraszam, bardzo przepraszam! - powiedziała. - Nie, nic się nie stało. Podziwiałam tylko tę suknię... Jest piękna. Jeszcze raz przepraszam, zagapiłam się...

Włożyła ubrania do plastikowej torby i przyjęła pieniądze. Klient pospiesznie wyrwał resztę z jej ręki, skinął głową i wyszedł z pralni. Rachel z pochyloną głową cofnęła się między stojaki, szukając bezpiecznego schronienia wśród zamkniętych w foliowych pokrowcach cieni życia innych ludzi.

Siostra przełożona poradziła jej, żeby przysłała o drugiej.

- O tej porze jest w najlepszej formie - powiedziała. - Codziennie po południu urządzamy mały seans muzyczny, a on uwielbia muzykę.

Spóźniła się. Szefowa nie mogła doliczyć się pieniędzy w kasie. Twierdziła, że brakuje dziesięciu funtów i uparła się, żeby dokładnie sprawdzić wszystkie paragony. Zmiana Rachel kończyła się o pierwszej, ale w tej sytuacji musiała zostać dłużej. Kiedy podliczyły wpłaty i wydatki raz jeszcze, brakująca dziesiątka zmaterializowała się w tajemniczy sposób. Nad stosem monet Rachel napotkała spojrzenie Mickeya. Mru-gnął do niej i uśmiechnął się przepraszająco.

Musiała biec, żeby nie spóźnić się na pociąg jadący wzdłuż wybrzeża do Bray. Zapiła sobie nazwę domu starców, ale nie bardzo wiedziała, jak tam trafić, więc zatrzymała się, aby zapytać o drogę. Raz, drugi i trzeci, ponieważ nie mogła się skupić i zapamiętać wskazówek. Przebiegała z jednej ulicy w drugą, sprawdzając napisy na tablicach przy bramach, aż wreszcie znalazła ten dom. Nazywał się Sylvan View. Od bramy do wejścia biegł długi podjazd, w ogrodzie zieleń się

iglaki. Dom zbudowany był z czerwonej cegły, miał schody z ciemnego granitu i betonowy podjazd z boku dla wózków inwalidzkich.

Jej ojciec siedział przy długim stole. Pochylona nad nim pielęgniarka podsuwała mu do ust filiżankę i zachęcała, aby się napił. Po długiej chwili starszek pociągnął niewielki łyk, ostrożnie i nieśmiało, jakby picie z filiżanki było dla niego zupełnie nowym doświadczeniem.

- Grzeczny chłopiec, grzeczny chłopiec - mamrotała kobieta, podtykając mu kawałek grzanki.

Znowu nastąpiła przeznaczona na zachętę pauza i w końcu starszek usłuchał polecenia i otworzył usta.

- To wszystko przez utratę pamięci - powiedziała pielęgniarka, podnosząc głowę i spoglądając na Rachel. - Zapominają, jak jeść.

Jak jeść i pić, jak się ubierać i myć, czytać i słuchać, pomyślała Rachel z rozpaczą. Zapominają, jak być istotą ludzką w tym dziwnym świecie.

- Ale jednego nie zapominają - dodała pielęgniarka.

Wprowadziła starszego pana do dużej sali z widokiem na ogród. Za otwartymi podwójnymi drzwiami ciągnął się zalany słońcem trawnik, lecz wewnątrz panował półmrok. Przy starym fortepianie siedział młody człowiek i grał znaną Rachel melodię. Jej ojciec i inni pensjonariusze usiedli półkolem wokół fortepianu. Siwe głowy były pochylone, ramiona zwisały bezwładnie. Rachel przystanęła w progu, nie wiedząc, co robić. Pianista uśmiechnął się szeroko.

- Proszę bardzo, chłopcy i dziewczęta. Wybierzcie sobie partnerów do walca. Szybciutko, no, już!

Rachel nie spuszczała wzroku z ojca. Zaczął kołysać się na krześle, jego obute w kaptcie stopy wykonywały znane kroki. Pielęgniarka spojrzała na Rachel i skinęła głową. Rachel podeszła do ojca, wzięła go za rękę i pomogła mu się podnieść. Jego dłonie, teraz miękkie i drobne, jakby wyschnięte, kiedyś były duże i mocne, pokryte odciskami i sprawne. Był jej mistrzem, nauczył ją strzelać, łowić ryby, żeglować, uprawiać

warzywa i owoce, prowadzić samochód. Widziała jego dłonie oparte na kierownicy, z żyłami rysującymi się pod brązową, zawsze opaloną skórą. Teraz te ręce były białe, usiane brunatnymi plamami. Kiedyś miała wrażenie, że ojciec wypełnia całą otaczającą go przestrzeń, teraz wydawał się bardzo kruchy i niski. Dawniej był mocno zbudowanym mężczyzną - ubrany w granatowy mundur, czapkę ze sztywnym daszkiem i wypolerowane do połysku buty, których podeszwy przyjemnie skrzypiały, przypominał skałę. Teraz przeguby jego dłoni były tak chude, że mogłaby bez trudu otoczyć je palcem wskazującym i kciukiem, i garbił się do tego stopnia, że ich głowy znajdowały się na tym samym poziomie. Powoli ruszyli dookoła sali.

- Wszyscy śpiewają! - Pianista wstał i pomachał zachęcająco jedną ręką.

Pielegniarki klaskały w rytm melodii. Rachel otworzyła usta i usłyszała wydobywające się z nich słowa znajomej piosenki. Ojciec także śpiewał. Gdy tak sunęli tanecznym krokiem, jego dłonie rozgrzały się w jej uścisku, a głos przybrał na sile. Słuchała uważnie - znał słowa całej piosenki, linijkę po linijce.

- Tato... - odezwała się. - To ja, Rachel. Jestem tutaj. Minęło dużo czasu, ale jestem tutaj.

Nie odpowiedział, całkowicie pochłonięty śpiewem.

Irene, dobranoć, kochanie, dobranoć,
Dobranoć, Irene, dobranoć, kochanie,
Zobaczę, cię w moich snach.

Niesieni rytmem walca, okrążyli salę raz, potem drugi i trzeci. Rachel obserwowała twarz ojca, która nagle złagodniała. Jego rysy powoli traciły wyraz lodowatej obojętności. Pianista zwiększył tempo, tancerze poruszali się coraz szybciej. W pewnej chwili zobaczyła, że na twarzy ojca pojawia się ten sam otwarty, radosny uśmiech, który zachowała w pamięci na tyle lat. Ojciec odwiedzał ją w więzieniu raz na miesiąc, ale przychodził niechętnie i nigdy się nie uśmiechał. Więzienie budziło

w nim odrażę, więc zamykał się w sobie, niezdolny do jakiegokolwiek wymiany myśli poza rozmową na nieistotne tematy. Przypomniała sobie, że kiedyś nachyliła się nad stołem, aby go dotknąć, lecz on zmarszczył brwi, zerknął w kierunku obserwującej ich strażniczki i szybko się cofnął, unikając kontaktu z dłońią Rachel. Wiedziała, że powodował nim wstyd. Wstydił się jej niewierności i publicznego upokorzenia, a ona nie lubiła patrzeć mu w oczy, ponieważ widziała w nich odbicie własnej hańby. Kiedy minęło sześć miesięcy jej pobytu w więzieniu, powiedział, że nie mogą dłużej zajmować się Amy. Nie radzili sobie z nawałem zajęć, byli na to za starzy. Poza tym Amy stała się niegrzeczna i trudna, jej zachowanie pozostawiało wiele do życzenia.

- Ma koszmary senne. Moczy się w nocy. Jest arogancka. Twoja matka nie wie, co robić, to ponad jej siły. Myśleliśmy, że może Beckettowie wzięliby ją do siebie, ale to niemożliwe. Nie wiemy, jak się do nich odezwać.

Rachel zaprotestowała gwałtownie. Nie chciała, żeby jej córka mieszkała u rodziców Martina. Prosiła ojca, żeby wytrzymali jeszcze trochę, tylko trochę, bo wtedy była jeszcze pewna, że wkrótce wyjdzie na wolność, ale on odmówił. Powiedział, że rozmawiał już z pracownikami opieki społecznej, którzy mają znaleźć dla niej rodzinę zastępczą. Była to dość powszechna w takich wypadkach praktyka i na dłuższą metę najlepsze rozwiązanie.

Muzyka umilkła, pianista ostrożnie opuścił wieko instrumentu i przekręcił kluczyk w zamku. Zapadła cisza. Nagle jedna ze starszek zaczęła płakać. Stała samotnie na środku sali, z wyciągniętymi ramionami, a jej stopy nadal poruszały się w miejscu, w rytm melodii, której nie słyszał już nikt poza nią. Pielęgniarka podeszła do starszej pani, wzięła ją za ramię i delikatnie wyprowadziła z sali, uciszając jej płacz obietnicą herbatników w czekoladzie. Inni poszli za nimi bez słowa protestu. Ojciec puścił dłońie Rachel i z pochyloną głową odwrócił się do niej plecami. Jego stopy w filcowych kapciach powoli zaszurały po podłodze.

- Tato! - Rachel usiłowała wziąć go pod rękę, ale szarpnął

się w bok. - Tato, proszę, czy nie mógłbyś zostać ze mną jeszcze chwilę?

Przystanął i spojrzął na nią. Jego jasnoniebieskie oczy patrzyły prosto w jej twarz. Na sekundę pojawił się w nich błysk rozpoznania. Uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego rękę. Zrobiła krok w jego kierunku, lecz on się odsunął.

- Nie - powiedział. - Ty wcale nie jesteś moją dziewczynką. Przez ciebie cierpiałem. Wstydziłem się ciebie. Moja dziewczynka była dobra, a ty zrobiłaś coś bardzo złego.

- Nie. - Rachel położyła dłoń na jego rękawie. - Nie, nie zrobiłam tego. To nie ja. To nie była moja wina. Proszę, uwierz mi. Musisz mi uwierzyć.

Lecz ojciec stanął już w szeregu siwowłosych, przygarbionych starszków, powoli posuwających się ku podwójnym drzwiom, przez które przechodziło się do sypialni. Chciała pójść za nim, ale pielęgniarka odwróciła się i zagroziła jej drogę.

- Teraz jest zmęczony - powiedziała. - Wszyscy są zmęczeni, powinni trochę odpocząć. Jeżeli pani chce, proszę przyjść jutro. Och, byłabym zapomniała... - przerwała. - Siostra przełożona prosiła, żeby zajrzała pani do jej gabinetu.

Rachel spodziewała się, że na twarzy pielęgniarki pojawi się wyraz dobrze znanej ciekawości, ale kobieta tylko uśmiechnęła się przyjaźnie.

Wróciła do domu dość późno i była bardzo głodna. Czuliła się taka słaba, miała wrażenie, iż nie pokona ostatniej kondygnacji schodów. Kiedy wkładała klucz do zamka, ręce jej drżały, żołądek ścisnęła bolesne skurcze, raz po raz ogarniała ją fala ostrych mdłości, zupełnie jak w czasie porodu. Kopniakiem zamknęła za sobą drzwi i z gorączkowym pośpiechem otworzyła szafkę nad zlewem. Chwyciła mały bochenek chleba i jednym szarpnięciem oderwała od niego spory kawałek. Darła zębami duże kęsy, i przetykała je szybko. W końcu panika ustąpiła. Wtedy usiadła na podłodze przed dużym oknem, oparła głowę na poduszce, założyła ramiona na piersi i wsunąwszy dłoń pod pachy, zamknęła oczy.

Było prawie ciemno, kiedy je otworzyła. Pod oknem, na ruchliwej drodze z Glenageary do Dun Laoghaire, paliły się uliczne latarnie - jasne punkciki pomarańczowego światła, podobne do świeczek na urodzinowym torcie. Było jej zimno, mięśnie miała zupełnie zeszywniałe. Podparła się zdętwiałą ręką, usiadła wygodniej. Obok niej na podłodze stała mała skórzana walizeczka, którą przywiozła ze sobą z domu starców. Siostra przełożona dała ją Rachel i powiedziała, że jej ojcu bardzo zależało, by ją zabrała.

- Kiedy przyjechał tu po śmierci pani matki, gdy wiedział już, że sam nie da sobie rady, a był wtedy jeszcze zupełnie przytomny, ciągle powtarzał mi, że pewnego dnia odwiedzi go pani. Kazał mi przyrzec, że oddam to pani, nikomu innemu. - Zamknęła drzwi dużej szafy w rogu gabinetu i odwróciła się do Rachel, wyciągając przed siebie brązową walizkę niczym wotywny dar.

Podniosła ją teraz i oparła na kolanach. W lewym górnym rogu przyklejona była zniszczona kartka z danymi właścicielki.

- Kathleen Simpson, Belacorick House, hrabstwo Mayo - przeczytała głośno słowa wypisane zblakłym niebieskoczarnym atramentem.

Panieńskie nazwisko matki, jej dom... Rachel prawie zapomniała, że matka pochodziła z tego miejsca nad rzeką. Dawno temu uciekła z Gerrym Jenningsem, młodym policjantem, który przyjechał do miasteczka. Zmieniła religię i wychowała dzieci w wierze ich ojca. Jej własna rodzina karała ją ciągłymi się bez końca latami milczenia, odmawiając prawa do powrotu, nie chcąc jej widzieć.

Rachel oparła kciuki na metalowych zamkach i mocno je nacisnęła. Otworzyły się. Podniosła wieko walizki. Wewnątrz była duża szara koperta i kartka papieru w linie, a na niej kilkanaście słów, skreślonych pismem ojca. „Od twojej matki. Chciała, żebyś to dostała. Dzięki temu łatwiej ci będzie stanąć na własnych nogach”.

- Wzięła kopertę do ręki. Była ciężka, wypchana. Odchyliła zagiętą krawędź, a wtedy ze środka wysypały się pospinane

banknoty, pięcio- i dziesięciofuntowe. Grube zwitki rozsypały się po podłodze. Rachel przykłękała i zaczęła je zbierać, wygładzać sztywny, woskowany papier, układać i wreszcie liczyć. Pięć, dziesięć, piętnaście, dwadzieścia tysięcy funtów. Więcej niż dosyć, żeby rozpocząć nowe życie.

Wstała i podeszła do szafki pod zlewem. Znalazła dużą plastikową torbę i włożyła do niej pieniądze. Potem przykucnęła przy łóżku i ostrożnie, czubkiem noża rozpruła szew wzdłuż jednego rogu materaca. Powiększyła otwór ręką i wsunęła torbę wraz z cenną zawartością do środka, daleko pod sprężyny. Nawlokła igłę i sprawnie zaszyła rozdarte miejsce. W więzieniu nigdy nie była dobra w ukrywaniu wartościowych rzeczy, nawet nie umywała się do wielu innych kobiet, o których legendarnych zdolnościach mówiły z podziwem i wzięniarki, i strażniczki, pomyślała jednak, że tym razem poradziła sobie całkiem nieźle. Oczywiście, była to tymczasowa skrytka. Zostawi w niej pieniądze, dopóki nie znajdzie bezpieczniejszej.

Wyciągnęła się na łóżku i owinęła kocem. Obok niej wisiała mapa. Spojrzała na kolorowe kółka, które na niej narysowała i podniosła rękę, żeby ich dotknąć. Wkrótce będzie gotowa. Odwróciła głowę i zamknęła oczy. Zasnęła.

Rozdział dziesiąty

Minął już cały miesiąc, odkąd znalazła się na wolności. Z każdym dniem czuła się swobodniej. Łatwiej jej było chodzić ulicami, powoli uświadamiała sobie, że może przejść kilkaset metrów, nie czekając na otwarcie bramy czy drzwi i na komendę strażniczki.

Cały miesiąc. Codziennie odkrywała coś nowego. Jej ulubionym miejscem był supermarket. Lubiła chodzić z koszykiem między półkami i przyglądać się, jak światła odbijają się od każdej błyszczącej powierzchni, dzięki czemu wszystkie opakowania i puszki wspaniale lśniły. Coraz lepiej radziła sobie z zakupami. Każdego dnia wybierała coś innego - miękkie, ciekące sery o ostrym zapachu, nowe zioła i przyprawy, na przykład kolendrę i bazylię, pierzasty koperek i ostrą rukiew, czarne oliwki, nieznane rodzaje chleba, bułeczki z makiem i sezamem, pikantne sosy oraz konfitury, które wyjadała łyżeczką prosto ze słoika. I ryby - dorsze, łososie, tuńczyki, mieczniki. Wszystko, tylko nie mięso. Nie wyobrażała sobie, żeby jeszcze kiedyś mogła włożyć do ust kawałek mięsa, nie po tamtej nocy, kiedy widziała rozdarłe, krwawiące ciało Martina. Teraz gdy widziała płaty mięsa zwisające z haków u rzeźnika lub opakowane w sztywną folię w supermarkecie, pocięte białymi pasmami tłuszczu, czuła, że zbiera się jej na wymioty.

Mięso cuchnęło, nawet w wielkich chłodniach śmierdziało rozkładem, zgnilizną i rozpaczą. Po prostu więzieniem.

Obserwowała swoje odbicie w sklepowych witrynach. Wyglądała teraz na zdrową i silną, piętno więzienia zniknęło z jej twarzy i sylwetki. Chodziła z podniesioną głową, pewnym, zdecydowanym krokiem. Była prawie gotowa. Prawie. Teraz musiała się tylko sprawdzić.

Zaczęła wypuszczać się coraz dalej, śmiało poznawała inne miejsca, oddalała się od centrum handlowego i siatki ulic w środku miasta. Szła na dworzec kolejowy i podejmowała decyzję. Dokąd dziś pojechać? W którą stronę? Może na południe, do Bray, wzdłuż wybrzeża. Przez okno przyglądała się domom na klifowym wzgórzu, szukając wzrokiem tego z wieżą i czerwonym dachem, prześwitującym między zielonymi świerkami i sosnami. Przypominała sobie fotografie, które widziała w popularnych czasopiśmie, zdjęcia z przyjęć i charytatywnych spotkań towarzyskich. Widniały na nich papierowe lampiony, wiszące dookoła tarasu, rozciągający się daleko ogród, rozstawiony na trawniku płócienny namiot, a pod nim kwartet smyczkowy oraz miły, hojny pan domu z piękną żoną i udanymi dziećmi u boku. Wydzierała te fotografie i wklejała je do zeszytu z wycinkami, a potem uczyła się na pamięć szczegółów ich życia.

A może na północ, do Howth, gdzie spacerowała, rozglądając się za odpowiednią osobą. Za kimś takim jak mężczyzna, który teraz leżał obok niej, z ramieniem przerzuconym przez jej talię. Przez chwilę się nie ruszała. Gdy otworzyła oczy, zobaczyła okno z nie do końca opuszczonymi drewnianymi żaluzjami, przez które przedostawało się do pokoju jasne światło dnia. Głowa ją bolała, a w ustach czuła nieprzyjemny smak. Szyję miała sztywną i zdrętwiałą, jakby spała z głową przekrzywioną pod niewygodnym kątem. Ostrożnie poruszyła nogami, starając się nie obudzić mężczyzny. Przewróciła się na plecy. Wykonał ten sam ruch, odsunął się od niej i przewrócił na drugi bok, wsuwając ręce między uda. Podniosła się i nachyliła nad nim. We wpadającym przez okno świetle widziała pojedyncze włoski jasnego

zarostu. Usta miał otwarte, na pełnych, czerwonych wargach drgał bąbelek śliny. Skóra była gładka, jędrna, bez skaz, w przeciwieństwie do jej ciała, które wydawało się pomarszczone i zwiotczałe, pokryte plamami i znamionami. Oczywiście nie powiedział tego, gdy patrzył, jak się rozbierała. Ale czy aby na pewno pamiętała, co wtedy mówił? Nie bardzo mogła sobie przypomnieć, gdzie się znajduje i kim jest mężczyzna, z którym tu przyszła.

Odwróciła się i sięgnęła po szklanekę wody, stojącą na nocnej szafce. Wypiła wszystko. Woda miała nieświeży posmak chloru. Miejska woda, pomyślała, dokładnie taka, jak w więzieniu. Przytknęła chłodne szkło do policzka i rozejrzała się po pokoju. Całe umeblowanie stanowiło łóżko i krzesło z wysokim, prostym oparciem stojące pod oknem. Na przeciwległej ścianie wisiała oprawiona reprodukcja obrazu Gustava Klimta - jeden z portretów obwieszonych klejnotami wiedeńskich dam. Poprzedniego wieczoru mężczyzna powiedział chyba, że obraz już był, kiedy wynajął mieszkanie. W każdym razie tak jej się wydawało.

- Wszystkie te mieszkania na bulwarach są takie same, umeblowane w identyczny sposób. Takie same kanapy, krzesła i tapety, może nawet tacy sami lokatorzy...

Roześmiał się. Nie podobał jej się jego śmiech, był zbyt hałaśliwy, wulgarny. Zwracał uwagę, sprawiał, że ludzie odwracali się i patrzyli. To także jej się nie podobało. Ten śmiech trochę ją zaskoczył, ponieważ zupełnie nie pasował do jego gładkiego, eleganckiego wyglądu. Wybrała go właśnie ze względu na wygląd. Postanowiła pójść za nim, sprawdzić, dokąd idzie i co będzie robił.

To była taka gra, nic więcej. Kiedy dziewczyny wychodziły z więzienia, często się w nią bawiły, a potem opowiadały jej wszystko, ze szczegółami.

- Trzeba kogoś namierzyć - mówiły. - Na ulicy, w barze, może być też w autobusie lub w pociągu. Zaczynasz go obserwować, idziesz za nim i po pewnym czasie pozwalasz się

zauważyć. Chodzi o to, żeby nie przyszło mu do głowy, że go śledziłaś, ma tylko zwrócić na ciebie uwagę, bo twoja twarz wyda mu się znajoma. Od tej chwili wszystko jest łatwe i proste jak w pysk strzeleń.

- Co jest takie łatwe? - zapytała, kiedy pierwszy raz opowiadały jej o swoich przygodach.

- Możesz robić z nim, co ci się podoba, rozumiesz? Pieprzyć się, obrabować, zabawiać się.

Powiedziała im, że są szalone, a ich zabawa idiotyczna. Ostrzegła, że wpadną przez to w kłopoty, duże kłopoty.

- Wcześniej czy później ktoś was jednak pozna, pójdzie na policję i poda rysopis. Myślicie, że nie?

Dziewczyny zachichotały i trąciły się łokciami. Powiedziały jej, że nic nie rozumie.

- Masz ten pieprzony dyplom i dużo w głowie, ale nie masz, kurwa, pojęcia, o czym mówimy. Kompletnie nic nie wiesz o ludziach. Nikt nie pójdzie na policję. Czują się winni, odpowiedzialni za to, co się stało, ogłupieni. Ocenili cię, ocenili, że jesteś w porządku, wpuścili cię, zadawali się z tobą, a potem się okazuje, że byli idiotami. To dotyczy zwłaszcza mężczyzn, rozumiesz, Rachel? Mają tak wysokie wyobrażenie o sobie, takie rozbuchane pieprzone ego, że nie są w stanie przyznać się do błędu. Dzięki temu można z nimi wygrać.

Miały rację. Żałowała, że nie może im teraz tego powiedzieć. Wszystko ułożyło się dokładnie tak, jak mówiły. Zauważyła go w pociągu. Młody, przystojny, dobrze ubrany, turysta albo biznesmen w delegacji. Na kolanach trzymał otwarty przewodnik i czubkiem zadbanego paznokcia sunął po wybranej trasie. Przesiadła się na miejsce po drugiej stronie przejścia i wbiła wzrok w okno, obserwując jego odbicie w dużej szybie. Zupełnie jak na wielkim ekranie, pomyślała. Miał na sobie rozpiętą pod szyją koszulę i jasne spodnie. Podwinięte rękawy ukazywały opalone przedramiona, porośnięte jasnymi włosami, połyskującymi w słońcu. Zerknęła na niego, kiedy wstał i podniósł ręce, aby otworzyć górną część okna. Zauważyła, jak mięśnie pleców i pośladków napięły się i zadrgały, gdy mo-

cował się z zamkiem. Potem odwróciła wzrok i cierpliwie czekała. Nie trwało to długo.

- Przepraszam, ale nie mogę sobie z tym poradzić. - Mówił z wyraźnym amerykańskim akcentem, niezbyt głośno.

Nie zareagowała od razu.

- Przepraszam bardzo... Proszę pani? - Był uprzejmy w nieco staroświecki sposób, jak bohater amerykańskiego serialu z lat pięćdziesiątych. - Czy mogłaby mi pani pomóc?

Niepewnie zrobił krok w jej kierunku, chwiejąc się trochę, ponieważ pociąg właśnie przyspieszył.

Pokazała mu, jak otworzyć okno, odpowiedziała na parę pytań na temat okolicy, przez którą jechali, i wróciła na swoje miejsce. Kiedy wysiadł na stacji Pearse, poszła za nim. I rzeczywiście, było to zdumiewająco łatwe. Nigdy wcześniej nikogo nie śledziła, ale ani razu nie straciła go z oka, może dlatego, że jego wycieczka nie miała żadnego określonego celu. Ruszył wzdłuż Nassau Street, skręcił w lewo, w Kildare Street, zmierzając w stronę muzeum. Szła drugą stroną ulicy. Nagle serce skoczyło jej do gardła na widok umundurowanych policjantów, patrolujących teren w pobliżu Dail. Z zapartym tchem ogarnęła wzrokiem niebieskie koszule, srebrne guziki i czapki ze sztywnymi daszkami. Odczekała chwilę, aż jej oddech i serce trochę się uspokoiły, i dopiero wtedy ruszyła za nim dalej, przez ozdobną bramę z kutego żelaza i do mrocznego, chłodnego holu muzeum.

Nietrudno było go znaleźć. Oglądał ekspozycję starożytnej złotej biżuterii. Zainstalowane na krawędziach gabloty świetłówki wydobywały z mroku jego twarz, uwydatniając drobne zmarszczki wokół ust i pod oczami. Zbliżyła się i spojrzała na lśniące złote naszyjniki, przemyślnie poskręcane spirale kolczyków, wielkie płaskie guzy i zapinki do płaszczy. Widziała twarze ich obojga, odbite w szklanej tafli. Mężczyzna patrzył na nią, na pewno przypomniał sobie, że jechała z nim pociągiem. Uśmiechnęła się.

- Piękne, prawda?

Była dumna z siebie i ze sposobu, w jaki nawiązała rozmowę.

Otworzyła usta, ale nie była pewna, czy zdoła wypowiedzieć choć słowo. Znała się na tego typu rzeczach. Studiowała archeologię na pierwszym roku, potem chodziła jeszcze na zajęcia fakultatywne. Ta wiedza nadal tkwiła w jej pamięci, bezpiecznie zamknięta. Wyjaśniła mu, skąd pochodzą ozdoby i kiedy je wykonano. Opowiedziała o ludziach, którzy je nosili, o tym, jak żyli. Słuchał jej słów jak zauroczony, był pod dużym wrażeniem.

- Chodźmy tędy - powiedziała, prowadząc go do drugiej sali.

- Wie pani o tym więcej niż przewodnik - rzekł, niby przypadkiem dotykając jej pleców, kiedy znowu wyszli na słońce.

Poczuła nagle gęsią skórkę, drobne włoski na ramionach stanęły dęba.

- Czy mógłbym zaprosić panią na drinka? - zapytał. - W dowód wdzięczności za czas, który mi pani poświęciła.

Skinęła głową. Przez chwilę nie mogła wydobyć głosu z gardła. Była pewna, że nic nie zauważył. Był zbyt zajęty opowiadaniem jej o sobie. Miał trzydzieści dwa lata, był rozwiedziony, pochodził z Ottawy. Pracował dla firmy instalującej systemy telekomunikacyjne i komputerowe. Przyjechał do Dublina na dwa miesiące, na duży kontrakt do firmy, która zatrudniła go do odwirusowania programów. Opowiadając, co jakiś czas wybuchał głośnym, nieprzyjemnym śmiechem.

- Powinna pani zobaczyć, jak ci faceci spieprzyli instalację programów. I nawet nie można im zwrócić uwagi, bo zaraz się obrażają.

Zwierzył się, że czuje się samotny i przysunął się bliżej. Jego udo ocierało się o jej udo, ciepła ręka niepostrzeżenie wsunęła się pod bluzkę, lekko naciskając plecy. Czowała zapach jego potu. Przyglądała się, jak pił. Podnosił podbródek i wtedy skóra napinała się na szyi, uwydatniając jabłko Adama i ścięgna. Jego palce zacisnęły się na jej udzie pod stołem, przesunęły w górę, zamarły na wżgórku łonowym. Odpięła zamek błyskawiczny i pozwoliła mu się dotykać, a potem położyła rękę

na jego genitaliach. Nie robiła tego od wielu, wielu lat. Zbliżył wargi do jej ucha.

- Chodź ze mną - wyszeptał. - Pójdziemy do mnie, zabawimy się...

Wyszła z nim z baru. Zatrzymał taksówkę, podał kierowcy adres gdzieś na bulwarach, odchylił ją na tylnym siedzeniu i sięgnął do jej piersi. Od bardzo dawna nie czuła nic, co można by z tym porównać. I nagle przypomniała sobie, tak wyraźnie, że z trudem powstrzymała szloch, swój pierwszy raz z Martinem. Zrobili to na dworze, w środku zimy, tego samego wieczoru, kiedy się poznali. Było to na przyjęciu z okazji odejścia na emeryturę przyjaciela jej ojca. Nie chciała iść, ale ojciec ją namówił. Kupił jej nową sukienkę, ze stójką i głębokim dekoltem na plecach, z plisowanego jedwabiu. Była piękna. I właśnie tam poznała Martina, syna tegoż przyjaciela ojca. I wyszła z nim, zanim jeszcze skończyły się uroczyste przemówienia. Wyszli z hotelu i znaleźli się na skraju parkingu. Rozchyliła płaszcz i poczuła dotknięcie zimna na piersiach i ciepło jego ust. Oparła się o pień drzewa i poczuła go w sobie. Roześmiała się głośno, ciesząc się wspólnie przeżywaną rozkoszą. Potem pojechali jego samochodem na małą plażę pod Sandycove i razem patrzyli, jak słońce wznosi się ponad morze. Dotykali się z taką czułością, jakby każde z nich było bezcennym, nowym i idealnym okazem.

Brama do kondominium, w którym mieszkał mężczyzna, była zamknięta. Przyjrzała się, jak wbija kod - pięć, osiem, trzy, siedem - i zapamiętała go. Rozejrzała się w poszukiwaniu kamer, ale nie zauważyła ani jednej. Drzwi otworzył kartą magnetyczną.

- To lepsze niż hotel - powiedział, wciągając ją do środka.

Nie oponowała. Włączył muzykę, płytę zespołu, który dobrze знаła. The Cranberries. Dziewczyny z więzienia szalały na punkcie Dolores O'Riordan. Wygląda jak jedna z nas, mówiły. Mężczyzna podkreślił siłę głosu.

- A sąsiedzi? - zapytała, kiedy nalewał wódkę do szklanek

i wyjmował z teczki plastikową torebkę czegoś, co wyglądało na kokainę. - Nie będą się skarżyć?

- Dlaczego mieliby się skarżyć? Tu panuje zasada: „Żyj i pozwól żyć”. Nie znam swoich sąsiadów i mam w dupie, co sobie o mnie pomyślą. Dam głowę, że odwzajemniają moje uczucia. - Spojrzał na dwie równe linijki koki, które uformował na małym prostokątnym lusterku. - Proszę bardzo, częstuj się. - Wręczył jej zwinięty w rurkę dziesięciofuntowy banknot. - Panie zawsze mają pierwszeństwo.

Przyszło jej do głowy, że jej przyjaciółki z więzienia byłyby z niej dumne. Nie tylko z tego, jak ze znanstwem wciągnęła kokę, ale również z tego, jak rano, tuż przed wyjściem sprawnie przeszukała jego rzeczy. Wyjęła z portfela gotówkę, karty kredytowe, kartę identyfikacyjną z firmy, w której pracował. Chwilę zastanawiała się nad paszportem. Mogłaby dostać za niego mnóstwo pieniędzy, to prawda, lecz z drugiej strony musiałby zgłosić kradzież na policji, bo inaczej ambasada nie wystawiłaby mu drugiego. Żaden urzędnik nie uwierzy, że go po prostu zgubił. Nie chciała robić nic, co zmusiłoby go do udania się na policję. Na wszelki wypadek starła odciski palców ze wszystkiego, czego dotykała, z wyjątkiem jego skóry. Kiedy ubierała się i szykowała do wyjścia, nadal głęboko spał. Pograżony we śnie, wyglądał pięknie i młodo. Szkoda, że nie wyszło mu w łóżku. Zaraz po zażyciu koki okazało się, że nic z tego nie będzie. Za dużo alkoholu i narkotyków, pomyślała. Dziewczyny zawsze mówiły, że opowieści o tym, jak to koka wzmacnia potencję, są czystą bzdurą.

- Koka niczym nie różni się od innych narkotyków - uświadamiały Rachel. - A kiedy facet zasmakuje w dragach, w łóżku nie nadaje się do niczego. Zawsze trzeba dokończyć sprawę za niego.

Szkoda, że i co do tego miały rację, pomyślała.

Przystanęła nad rzeką w jasnym świetle porannego słońca i obserwowała, jak ławica szarych kiełbi wędruje od strony morza w kierunku mostu O'Connell. Wisiały dość głęboko w mętnej wodzie, poruszając się tylko za pomocą leniwych

machnąć płetwami ogonowymi. Była ciekawa, co je tutaj sprowadza, daleko od oczyszczającego przypiływu, prosto do błotnistego, tłustego zlewu, jakim stała się rzeka. I zaraz odpowiedziała sobie na to pytanie - jedzenie, jakże by inaczej.

Odwrociła się tyłem do miasta i poszła w stronę zatoki. Podniosła dłoń do twarzy. Nadal czuła jego zapach, mieszankę wody kolońskiej i potu. Był zupełnie bezradny i bezbronny, kiedy tak leżał, wydany na pastwę jej spojrzeń. Odsunęła koc i patrzyła na jego ciało. Od śmierci Martina nie widziała nagiego mężczyzny. Kiedy przewrócił się na plecy, ujrzała miejsce, w które trafiła kula z pistoletu, rozrywając mu podbrzusze. Pamiętała kolor krwi, którą serce szybko wypompowywało z ciała. Teraz patrzyła na zagłębienie u podstawy szyi mężczyzny, w którym rytmicznie bił puls. Wyciągnęła rękę i dotknęła go. Jak niewiele potrzeba, aby zakończyć czyjeś życie, pomyślała. Często rozmawiały o tym w więzieniu. Wymieniały najlepsze, najszybsze i najmniej kłopotliwe sposoby. Tamte kobiety opowiadały jej, co należy zrobić, a ona słuchała i uczyła się, magazynowała wiedzę, która mogła okazać się przydatna. Położyła dłoń na jego szyi i poczuła, jak pod skórą pulsuje krew. Poruszył się i odsunął, jakby chciał odwrócić się na bok. Podniosła rękę, wstała i wyszła.

A teraz wystawiła twarz do słońca, odchylając głowę do tyłu. Potem, kiedy skóra już się nagrzała, wyjęła z kieszeni karty kredytowe i pieniądze. Nie potrzebowała ich, miała dosyć pieniędzy, więcej niż dosyć. Chciała się tylko przekonać, czy potrafi to zrobić. Czy zdoła złamać przykazanie - nie kradnij - i uciec. Zrobiła to wyłącznie dla wprawy, żeby lepiej przygotować się do czekającego ją zadania. Wyciągnęła rękę daleko przed siebie i wrzuciła cały łup do rzeki. Patrzyła, jak banknoty i karty osiadają na powierzchni wody, która powoli nasącza je wilgocią i wciąga w głąb. Gdy na falach nie było już ani kawałka papieru, ani jednej plastikowej karty, odwróciła się i poszła w stronę miasta.

Rozdział jedenasty

Coraz więcej przygód, codziennie nowe odkrycia. Wczesnym rankiem ćwiczyła, przede wszystkim jogę. Wszystkie pozycje, których nauczyła się w więzieniu, żeby rozciągnąć mięśnie i obudzić je ze stanu inercji. Koci grzbiet, przy którym wyginała plecy do góry i rozluźniała mięśnie, przez cały czas rytmicznie oddychając. Kobrę, wymagającą wypchnięcia klatki piersiowej w górę, z dłońmi płasko ułożonymi na podłodze. Psa, z biodrami uniesionymi wysoko, rozstawionymi stopami i piętami wbitymi w podłogę. Trójkąt - szeroki rozkrok, stopy najpierw skierowane do środka, potem na zewnątrz. Ćwiczenia pomagające we właściwym rozłożeniu ciężaru ciała - jedna stopa podniesiona i zaczepiona o łydkę, z tyłu, jedno ramię nad głową, głowa wysoko, oczy utkwione w przeciwległej ścianie, plecy wyprostowane. I znowu przykucnąć, z dłońmi splecionymi na karku, głowa w górę i w dół, w górę i w dół, mięśnie brzucha na przemian napięte i rozluźnione. Każde ćwiczenie powtarzała po dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści razy, dopóki pot nie wystąpił jej na czoło. Czasami miała wrażenie, że jest w więziennej sali gimnastycznej i słyszy głosy innych kobiet, zachęcające ją do wysiłku, dopingujące, podpowiadające, co robić, żeby dłużej wytrzymać. Potem szła się wykapać i pod prysznicem długo szorowała całe ciało, w przekonaniu, że spod jej skóry powoli wydobywa się nowa Rachel.

I właśnie ta nowa zatrzymała się na autobusowym przystanku naprzeciwko domu na obrzeżach miasteczka Dalkey, przyglądając się samochodom zaparkowanym po obu stronach wąskiej drogi. Niektóre stały na chodniku, inne blokowały podjazd. Była dwunasta trzydzieści. Początek południowej przerwy dla mniej więcej dwadzieścioro małych dzieci, spędzających część dnia w żłobku i przedszkolu „Little Darlings” pod Dalkey. Rachel była tu już wcześniej, przyjeżdżała codziennie przez cały ubiegły tydzień. Zjawiała się tuż przed dwunastą piętnaście i zajmowała pozycję na przystanku po drugiej stronie ulicy. Wiedziała, że autobus przyjeżdża dopiero o dwunastej pięćdziesiąt, i że nikomu nie przyszłoby do głowy, by podejrzewać o złe zamiary kobietę, która cierpliwie czekała na swój autobus, oparta o skrzywioną metalową belkę.

Pierwsze matki i opiekunki przyjeżdżały koło dwunastej dwadzieścia. Niektóre siedziały w samochodach, słuchając radia lub czytając gazety. Potem stopniowo pojawiały się pozostałe. Te, które przychodziły pieszo, miały zaparkowane samochody i czekały tuż za bramą, rozmawiając cicho. Właściwie wszystkie były eleganckie i atrakcyjne. Tuż przed dwunastą trzydzieści te zmotoryzowane wysiadały z samochodów, rytmicznym trzaskaniem drzwiczek obwieszczając porę nadejścia dzieci. I wreszcie, tuż po dwunastej trzydzieści, z budynku wybiegały dzieci pod opieką dwóch nastoletnich dziewczyn. Każde niosło prezent dla mamy - obrazek na dużej kartce papieru, barwny i wesoły, pewny powód zachwyty i natchnionych interpretacji, lub kawałek gliny, którego funkcja wydawała się niejasna, lecz widok budził zawsze ogromny entuzjizm.

Obserwując te sceny, Rachel zastanawiała się, czy i ona przeżywała kiedyś coś podobnego. Czy widziała siebie i Amy w tej roześmianej grupie? Czy była podobna do matki, która przykucnęła obok dziewczynki z rudymi lokami, i nie szczędziła słów pochwały i zachęty oraz pocałunków? A może tą, której tak się spieszyło, że szybko chwyciła torbę i obrazek swojego pulchnego synka, i prawie bez słowa posadziła go na

tylnym siedzeniu samochodu? Dawno temu ściany jej kuchni udekorowane były obrazkami autorstwa Amy. Kolekcja rozrastała się systematycznie, przy czym każde dzieło było komuś dedykowane. Dla Mamusi i Tatusia. Dla Dziadka i Babci. Dla Stryja Dana. Ciekawe, co się z nimi stało. Prawdopodobnie ktoś je zmiął i wyrzucił do śmieci, gdy dom został sprzedany i Amy przeprowadziła się do dziadków, a następnie, gdy zabrakło im sił, do rodziny zastępczej. Dom i wszystko, co się w nim znajdowało, należał do niej i do Martina, lecz rodzina jej męża zgłosiła do sądu wniosek, aby pieniądze ze sprzedaży przypadły tylko Amy, nikomu więcej. Aby Rachel w najmniejszym nawet stopniu nie odniosła korzyści ze śmierci Martina. Mogła wnieść sprzeciw i najprawdopodobniej wygrać, adwokat zachęcał ją do wytoczenia sprawy, ale nie miała siły, nie chciała walczyć. Zgodziła się i poprosiła, by jej rzeczy osobiste zapakowano i przewieziono do domu rodziców. Ale co stało się z nimi później, kiedy matka umarła, a choroba Alzheimera przeniosła ojca do innego świata? Nie miała pojęcia, a teraz nie bardzo ją to już obchodziło.

Kobieta, którą Rachel chciała zobaczyć, spóźniała się. Dochodziła za dwadzieścia pięć pierwsza i prawie wszystkie dzieci odjechały lub poszły do domów. Została tylko jedna dziewczynka, a z nią obie nastoletnie opiekunki w obcisłych dżinsach i koszulkach. Dziewczynka miała proste, ciemne włosy i poważną buzię. Stała z kciukiem lewej dłoni wtkniętym do ust i kawałkiem tektury ozdobionym przylepionymi muszelnymi muszelnkami w drugiej łapce. Wyglądało na to, że zaczyna się denerwować. Zrobiła jeden krok w kierunku bramy, potem drugi. Przystanęła i obejrzała się na młode dziewczyny, pogrążone w ożywionej rozmowie. Rachel nie spuszczała wzroku z małej, która wyjęła kciuk z buzi, porządnie wytarła go w spódniczkę, rozejrzała się, postąpiła parę kroków naprzód i przystanęła. Mówiła coś do siebie. Rachel nie słyszała słów, ale widziała, że drobne wargi dziewczynki poruszają się. Kąciki ust opadły i nie ulegało wątpliwości, że w oczach dziecka lada chwila pojawią się łzy.

Rachel sprawdziła, czy opiekunki widzą, co się dzieje, ale one były odwrócone plecami do małej, paliły papierosy i nadal rozmawiały z zapalem. Czas mijał powoli. Dziewczynka wyszła za bramę i zaczęła się od niej oddalać. Rachel spojrzała w górę i w dół ulicy. Była zupełnie pusta, ale co jakiś czas przejeżdżały nią samochody, których właściciele najwyraźniej woleli ominąć ruchliwe o tej porze ulice miasteczka. Samochody przemykały szybko, zdecydowanie za szybko jak na tę wąską uliczkę. Rachel przeszła na drugą stronę i zatrzymała się tuż przed dziewczynką.

- Dzień dobry - powiedziała, nachylając się ku małej. - Wszystko w porządku?

Dziewczynka popatrzyła na nią, mrużąc szare oczy w blasku słońca.

- Czekam na mamusię - oznajmiła. - Jestem głodna. Chciałabym zjeść lunch.

- Tak? Więc może weźmiesz to? - Rachel otworzyła plastikową torebkę i wyjęła brzoskwinie.

Przytknęła ją do nosa i z demonstracyjną przyjemnością wciągnęła słodki zapach.

- Ummm... - mruknęła. - Taka soczysta... Po prostu prze pyszna...

Dziewczynka wyciągnęła rękę po owoc, lecz zaraz ją cofnęła.

- Jesteś obca? - zapytała niespokojnie. - Nie wolno mi rozmawiać z obcymi.

- Ja? - Rachel zamrugła ze zdziwieniem. - Oczywiście że nie jestem obca. Jestem twoją przyjaciółką i chcę ci dać tę pyszną brzoskwinie. Małe dziewczynki lubią brzoskwinie, prawda? Mam córeczkę w twoim wieku, która za nimi przepada.

- Gdzie ona jest? Ta twoja córeczka? Gdzieś tutaj?

Dziecko rozejrzało się, trochę z niepokojem, trochę z zaciekawieniem i po chwili znowu sięgnęło po złocistą brzoskwinie.

- Nie, tutaj jej nie ma, ale może miałabyś ochotę ją poznać? Ona także zostałaby twoją przyjaciółką.

Wzięła dziewczynkę za wilgotną rączkę, podniosła małą dłoń do ust i pocałowała ją delikatnie. Pachniała kredkami i mlekiem, i była brudna, poznaczona wyraźnymi ciemnymi liniami.

- Pójdiesz ze mną, prawda? - powiedziała.

Dziewczynka podniosła na nią oczy i kiwnęła głową. Rachel schyliła się i zbliżyła policzek do gładziutkiej skóry dziecka, odetchnęła świeżym, słodkim zapachem, wydobywającym się spod jasnoniebieskiej sukienki.

- Jesteś bardzo grzeczną dziewczynką, tak? - zapytała.

Mała przytaknęła. Rachel dostrzegła kropelki śliny, zbierające się w kąciakach jej ust i zdecydowany gest, z jakim zamknęła w rączce smakowity owoc.

I wtedy usłyszała silnik nadjeżdżającego samochodu. Był to czarny saab, najnowszy model, bardzo błyszczący i idealnie piękny, zupełnie jak siedząca za jego kierownicą kobieta, która prowadziła bardzo szybko i nieostrożnie, gnana niepokojem. Zahamowała gwałtownie, pchnęła drzwiczki, wyskoczyła z wozu i już biegła w kierunku córeczki. Rachel schowała brzoskwinie do torby i nie oglądając się, ruszyła w przeciwnym kierunku. Za sobą słyszała zdenerwowany, czuły głos matki, która przepraszała dziewczynkę za spóźnienie, potem trzaskanie zamykanych drzwiczek i głośny pomruk silnika. Dopiero wtedy ośmieliła się przystanąć i popatrzeć. Zobaczyła starsze dziecko, chłopca przypiętego pasami na przednim siedzeniu, i drugie, zupełnie malutkie, w foteliku z tyłu. Dziewczynka usiadła obok niemowlęcia. Kobieta zerknęła w lusterko i w ogóle nie spoglądając w stronę Rachel, gładko wyjechała na środek drogi.

Chwilę potem powoli podjechał autobus i zatrzymał się na przystanku. Wyraźnie zniecierpliwiony kierowca czekał, aż Rachel wsiądzie, zapłaci za przejazd i zajmie miejsce z tyłu. Odwróciła się i zobaczyła, jak saab przyspiesza, oddalając się w przeciwną stronę, w górę wybrzeża. Wiedziała, jaką trasę pokona kobieta z trojgiem dzieci - przejedzie przez miasteczko, wjedzie na wzgórze, skręci między wysokimi granitowymi

słupami, otworzy pilotem żelazną bramę i ruszy podjazdem, sypiąc żwirem spod kół. Potem zatrzyma się przed dwupiętrowym domem z jasnożółtego piaskowca, z wysoką wieżą i ogrodem ciągnącym się aż do krawędzi klifu. Dziewczynka i chłopiec, dzieci doskonałe, pobiegną przez trawnik do altanki. Przeskoczą przez murek warzywnego ogrodu i dopadną huśtawki, zawieszanej na niskiej gałęzi katalpy. A w dole będzie szumiało niebieskie, spokojne dziś morze.

Kobietę i dzieci znalazła pani Lynch. Dom z fotografii także. Kiedy pani Lynch przyszła w piątek odebrać rzeczy z pralni, oświadczyła, że Rachel absolutnie musi ją odwiedzić.

- Nie przyjmę odmowy, skarbie - rzekła. - Musisz zjeść ze mną lunch. Przyjadę po ciebie i zabiorę cię do nas.

Rodzina Lynchów mieszkała w domu z czerwonej cegły w górnej części Glenageary Road. Były tam grube dywany, stary zegar stojący, który tykał cicho i dyskretnie, i wszechobecny zapach pasty do podłóg. Pan Lynch prawie się nie odzywał, za to przywitał Rachel serdecznym uśmiechem, uściśnął jej dłoń wysuszoną, przypominającą ptasie szpony ręką, i potem od czasu do czasu poklepywał ją po kolanie. Usiedli do lunchu przy pięknym mahoniowym stole. Pani Lynch mówiła prawie bez przerwy, Rachel słuchała. Gospodyni opowiadała jej o dzieciach i wnukach, o wakacjach na Florydzie i w hiszpańskiej Marbelli. Rachel wystuchała całej litanii rodzinnych osiągnięć. Patrzyła, jak pani Lynch nabiera odrobinę zupy na łyżkę, rozdziera bułeczkę na pół i smaruje ją odrobiną masła, potem leciutko ociera wargi lnianą serwetką. Czy właśnie tak wyglądało eleganckie zachowanie przy stole? Rachel usiłowała przypomnieć sobie szczegóły z minionego życia, starała się naśladować dystyngowane ruchy starszej kobiety.

- Nałóż sobie jeszcze, kochanie, bardzo cię proszę. Wyglądasz na kompletnie zagłodzoną. Potrzeba ci kogoś, kto się tobą zajmie. Może zamieszkałabyś z nami na jakiś czas? Tatusz nie miałby nic przeciwko temu, prawda, Tatuśku?

Pan Lynch uśmiechnął się pobłaźliwie, bez protestu przyjmując nadany mu przez żonę przydomek. Oświadczył, że naturalnie nie ma nic przeciwko temu, wręcz przeciwnie, ale może Rachel woli sama zająć się swoim życiem, a nie tkwić w wielkim, pustym domu z dwojgiem nudnych starszków.

Na ścianach holu i salonu wisiało mnóstwo obrazów oraz czarno-białych fotografii, przedstawiających głównie wdzięczne stare jachty z ogromnymi białymi żaglami, podobnymi do mewich skrzydeł. Rachel obejrzała je uważnie, z podziwem. Za sterem najpiękniejszego jachtu rozpoznała młodego pana Lyncha.

- Kiedyś także dużo pływałam - zauważyła. - Przede wszystkim na łodziach. Miałam nawet swoją własną, nazywała się „Enterprise”. Była śliczna.

Pan Lynch ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Później była jeszcze „Dragon”, naprawdę duża, raczej jacht niż łódź. Cudowny. Trochę podobny do jednego z tych. - Wskazała fotografię na ścianie.

Podążył za jej wzrokiem i uśmiechnął się.

- Pływałam też na innych jednostkach, z każdym, kto chciał wpuścić mnie na pokład. Na ślizgaczach, motorówkach, chyba na wszystkim. Uwielbiałam uczucie, które ogarniało mnie, gdy wypływałam na wody zatoki.

- Nie ma to jak fala w naszej zatoce i na Morzu Irlandzkim - odezwał się pan Lynch. - Te wody potrafią być trudne, prąd gna tu jak łódź wyścigowa, z prędkością czterech węzłów w każdym kierunku. Aż trudno uwierzyć, jak daleko potrafi zanieść. - Przerwał i pociągnął łyk kawy. - Musiało ci tego brakować, prawda, moja droga?

Po jedzeniu pani Lynch wystąpiła z nową propozycją.

- Wybierzemy się na przejażdżkę - rzekła. - Aż na Sugarloaf Mountain. Będzie cudownie, ze szczytu roztacza się wspaniały widok. Tatusiek usiądzie z tyłu, a ty, Rachel, obok mnie. Uprzedzam, że nie chcę słuchać protestów.

Zgodziła się.

- Czy moglibyśmy pojechać przez Killiney, w górę Vico

Road? - zapytała Rachel, kiedy wyjechali na główną drogę. - Nie mieliby państwo nic przeciwko temu?

Piętnaście minut później wiedziała już, gdzie się znajdują. Przejechali obok krytego czerwoną dachówką domu z wieżą, w stylu włoskim, ledwo widocznego za wysokim granitowym murem, obok otwartej żelaznej bramy i samochodu, który właśnie wyjeżdżał na drogę. Pani Lynch musiała zahamować.

- Naprawdę, ludziom, którzy mieszkają w tych wielkich domach, zawsze się wydaje, że droga stanowi ich prywatną własność - poskarżyła się.

Właśnie wtedy Rachel po raz pierwszy zobaczyła kobietę i dzieci w nowym czarnym saabie. Wiedziała, co ma zrobić. Było to łatwe, wręcz banalnie łatwe, dokładnie tak, jak mówiły dziewczyny z więzienia.

- Nie zdajesz sobie sprawy, jacy głupi i bezbronni są ludzie - powtarzały. - Nie mają normalnych odruchów, kurwa mać. Nie spodziewają się żadnych kłopotów, więc kiedy przydarza się im coś złego, nawet nie wiedzą, co ich trafiło.

Takie proste... Wystarczyło kilka razy przejść się w pobliżu domu, poobserwować wyjeżdżający i wracający samochód i małą dziewczynkę w czerwonej koszulce z napisem „Przed-szkole Little Darlings” z przodu oraz adresem i numerem telefonu na plecach. Dziewczyny z więzienia miały rację. Trudno byłoby wymyślić łatwiejszy plan.

Pociągami dojechała na stację tuż przed plażą, rozciągającą się bezpośrednio pod domem. Pieszko pokonała kamienisty kawałek plaży, wspięła się na skałki, biegnąc w górę klifu ścieżką dotarła na szczyt i przeszła pod kilkoma liniami nieco zardzewiałego drutu kolczastego. Wreszcie przeskoczyła przez płot prosto do ogrodu. Szła ostrożnie, starając się, żeby nikt jej nie zauważył. Potem nabrała pewności siebie i śmiało okrążyła brzeg skalistego cypla, na którym zbudowano dom. Z tyłu, widoczny między drzewami, rozpościerał się gładko przystrzyżony trawnik, z niskiej gałęzi drzewa zwisała huśtawka. Rachel dostrzegła przebiegające dzieci, usłyszała ich okrzyki i śmiech, potem głos matki, zwołującej je do domu.

Odwróciła się i nagle ujrzała przed sobą psa, czarnego labradora, który stał na ścieżce i zagradzał jej drogę. Zaczął ujadać jak szalony, ale ona szybko wyciągnęła do niego rękę z okrawkami mięsa oraz kawałkami herbatników i czekolady. Zjadł wszystko, wyraźnie zadowolony z prezentu, oblizując duże krople śliny z czarnych warg. Poklepała go po głowie i zajrzała w ciemnobrązowe oczy, a on polizał jej dłonie.

Pani Lynch miała dobre i miękkie serce. Zabrała Rachel na zakupy i sprawiła jej nową garderobę. Piękne lniane spodnie, szaroczarne, butelkowitzelone i fioletowe, w odcieniu świeżych siniaków, białe bluzki koszulowe z mięciutkiego płótna, koszulki, kurtkę z delikatnego zamszu w kolorze dojrzałych kasztanów. Kupiła jej także zapinane na kostce sandały, podobne do tych, jakie nosili rzymscy centurioni, i nowe pantofle, pachnące dobrą skórą i cudownie wygodne. Pierwsze prawdziwe buty od dwunastu lat. I nową torbę, także skórzaną, wystarczająco dużą, aby zmieściła się w niej książka i gazeta, a nawet karton mleka i bochenek chleba, z szerokim paskiem na ramię i małutkimi kieszonkami w środku, a do niej portmonetkę z osobną przegródką na monety, zapinaną na suwak, i osobną na banknoty.

- I twoje włosy, kochanie! Musimy coś zrobić z tymi włosami! Kiedy ostatnio je obcinałaś? Kiedyś miałaś piękne włosy, doskonale je pamiętam - ciemnobrązowe, prawie czarne, ale jednak nie całkiem czarne, falujące... Na pewno wtedy nie wymagały żadnych zabiegów, ale teraz...

Któregoś dnia zabrała ją z pralni i zawiozła do salonu fryzjerskiego w Glasthule, gdzie Rachel spędziła prawie trzy godziny, słuchając rozmów i plotek innych kobiet. Fryzjerki umyły jej włosy, zrobiły masaż głowy, nałożyły kilka odżywek, wreszcie ostrzygły ją i uczesały. Rachel w skupieniu przyglądała się smukłej kobiecie o miękkich, szpakowatych lokach, w eleganckim ubraniu, które doskonale układało się na jej szczupłym ciele. Poruszała się wdzięcznie, z dużą pewnością siebie i całkowitą swobodą, nagle idealnie dopasowana do nowej skóry.

- Dziękuję - powiedziała do pani Lynch, kiedy razem wyszły z salonu. - Jest pani bardzo dobra. Naprawdę doceniam wszystko, co pani dla mnie robi. - Pochyliła się i pocałowała starszą kobietę w policzek, wdychając zapach jej pudru i różanych perfum, którym ciepłe słońce nadało specjalny ton. - Doceniam to bardziej, niż pani sądzi...

Pani Lynch ujęła jej dłoń i mocno ją ścisnęła.

- Zawsze wierzyłam w to, co mówiłaś na rozprawie - rzekła ze wzruszeniem. - O tamtym mężczyźnie, bracie twojego męża. Jemu nie zaufałam nigdy, nawet gdyby zależało od tego moje życie. Próbowалам przekonać pozostałych, ale oni powtarzali, że zbyt wiele dowodów i poszlak przemawia przeciwko tobie. Na pistolecie zostały twoje odciski palców, nie jego. Nie mogłam tego pojąć, ale wiedziałam, że musi istnieć jakieś wyjaśnienie. Byłam przekonana, że nie byłabyś w stanie zamordować męża. Przecież był ojcem twojej córki...

Pani Lynch odwróciła się i odeszła. Na rogu ulicy zatrzymała się i pomachała na pożegnanie.

Pies poznał ją natychmiast, mała dziewczynka także. Nazywała się Laura. Rachel słyszała, jak matka wołała ją tym imieniem. Siedziała na plaży w eleganckich nowych rzeczach i patrzyła, jak lśniący czarny labrador pędzi w jej stronę. Za nim biegło dwoje dzieci, chłopiec i dziewczynka, a jeszcze dalej, niewielka z tej odległości, podążała za nimi wysoka blondynka z niemowlęciem w nosidełku na piersi. Rachel wyciągnęła rękę do psa i wstała. Podniosła z ziemi wyrzucony przez morze kawałek gałęzi i rzuciła go szerokim łukiem. Pies pognął przed siebie, wyskoczył wysoko w górę, chwycił kij, nim ten spadł na piasek i przyniósł go w uślinionym pysku. Dzieci wybuchnęły radosnym śmiechem, podskakując i klaszcząc w dłonie.

- Jeszcze raz! - wołały. - Jeszcze, jeszcze!

Gdy ich matka dotarła na miejsce, Laura opowiadała właśnie Rachel, że to jest jej mamusia, a to jej brat, a na brzuchu mamusi wisi młodszy brat, jeszcze niemowlak. Łatwo było

uśmiechnąć się do wysokiej blondynki i rzucić parę uwag na temat pięknej pogody oraz jej miłych dzieci i psa. Nie minęło pół godziny, a już wszyscy jedli lody, które Rachel kupiła w sklepiku na plaży. Jeszcze łatwiej było pójść z nimi spacerem aż do furtki, przez którą wchodziło się od strony morza na teren ich posiadłości, pomachać ręką na pożegnanie i powiedzieć małej dziewczynce o ciemnych prostych włosach i poważnym wyrazie buzi, że kiedyś z przyjemnością zobaczy jej kotka, oczywiście, że tak.

Rachel porozumiewawczo uśmiechnęła się do blondynki, która zaganiała dzieci do środka. Potem pożegnały się uprzejmie, prawie serdecznie. Rachel wróciła na plażę, zdjęła sandały, podwinęła spodnie i zanurzyła stopy w morskiej wodzie, z cichym szumem wyrzucającej na brzeg muszle i drobne kamyki. Słońce świeciło jej w plecy, kiedy oddalała się od domu z wieżą, od wysokiej blondynki i jej trojga ślicznych dzieci. Wiedziała, że niedługo zobaczy ich znowu. Półgłosem powtórzyła nazwisko, którym przedstawiła się młoda kobieta. Ursula Beckett, żona dawnego kochanka Rachel, Daniela Becketta, starszego brata Martina. I mężczyzny, który ponad dwanaście lat temu zabił jej męża.

Rozdział dwunasty

Tym razem odór był jeszcze silniejszy. Nawet młodzi policjanci, którzy chlubili się mocną głową i chłodnym podejściem nawet do najczarniejszych stron życia, bledli i zielenieli na twarzy, usiłując nie patrzeć na leżący pod folią kształt. Jack podszedł bliżej. Miał za sobą złą noc. Poprzedniego dnia przyjechały do niego dziewczynki, i Rosa się uparła, żeby spać w jego łóżku. Nie przeszkadzało mu to, szczerze mówiąc, bardzo lubił czuć obok siebie jej chudziutkie ciało, ale tej nocy najpierw obudziła się z krzykiem, przerażona złym snem, a potem, kiedy już myślał, że udało mu się ją uspokoić, zupełnie niespodziewanie zmoczyła łóżko. Zanim przebrał ją, siebie i zmienił pościel, był już prawie świt, i chociaż Rosa spokojnie zasnęła, z kciukiem w ustach, leżał długo, wpatrując się w okno i słuchając mechanicznego tykania zegarka. Poczul ulgę, kiedy wreszcie przyszła pora wstawania.

Teraz, cztery filiżanki kawy później, był rozbity, zdekoncentrowany i wogóle nie przygotowany na to, co czekało go tutaj, obok torów kolejowych między Salthill i Seapoint, i cuchnęło aż pod niebo.

Jak opisać odór gnijącego ciała? Jack już dawno temu doszedł do wniosku, że nie można go z niczym porównać. Nie da się powiedzieć, by przypominał zapach jakiegoś kwiatu czy krzewu, tym bardziej nie czegось do jedzenia lub picia. Był

to zupełnie odrębny typ zapachu. Czasami Jack się zastanawiał, czy można odróżnić smród jednych gnijących zwłok od innych. Czy rzeczywiście istnieje różnica między martwym szczurem, martwą krową a martwym człowiekiem? Chyba nie.

- Jezu Chryste! - powiedział głośno do siebie, przedzierając się przez splątane gałązki janowca. - Co my tu mamy, na miłość boską?

Wziął głęboki oddech i podniósł białą folię. To, co pod nią leżało, było kiedyś człowiekiem, co do tego Jack nie miał żadnych wątpliwości. Ale poza tym? Zwłoki owinięte były białym prześcieradłem niczym wielkim bandażem. Tkanina ciasno spowijała głowę, tors i nogi. Ciało spoczywało na plecach, z palcami stóp skierowanymi w górę. Wyglądało na drobne, niepozorne, więc Jack założył, że musi to być kobieta, kilkunastoletnie dziecko lub osoba w podeszłym wieku, skurczona ze starości i osteoporozy. Ramiona skrzyżowane były na piersi, co, doprawdy nie wiadomo dlaczego, przypomniało Jackowi rzeźbę nagrobną widzianą w starym kościele na północy Anglii, przedstawiającą krzyżowca i jego żonę. Rzeźbiarz uwiecznił oboje małżonków w takiej właśnie pozie. Gdzie to było? Chyba w hrabstwie York, ale Jack nie był tego pewien. Przykucnął, żeby lepiej przyjrzeć się zwłokom. Jakieś stworzenie o bardzo ostrych zębach poszarpało materiał, odsłaniając nagą skórę. Ślady zębów widniały na białych udach i brzuchu, lecz nigdzie, ani na prześcieradle, ani na folii, na której leżały zwłoki, nie było choćby kropli krwi.

Jack podniósł się i odszedł kilka kroków. W gardle czuł kwaśny smak śniadania. Odwrócił się ku morzu, które dziś kotłowało się spokojnie, gładkie i mlecznoniebieskie. Widział Zatokę Dublińską i nawet Przylądek Howth. Odetchnął głęboko, napełniając płuca oczyszczającym słonym powietrzem. Potem wyjął z kieszeni chusteczkę, przytknął ją do nosa i wrócił do zwłok.

- Skąd to się wzięło? - Dotknął czubkiem buta folii i spojrzął na grupę policjantów w mundurach, z których część roz-

ciągała szeroką żółtą taśmę dookoła miejsca znalezienia zwłok. - Czy to jeden z was podłożył tę folię?

Odpowiedzieli mu oburzonymi spojrzeniami. Co on sobie myśli - że są jakimiś pieprzonymi amatorami? Nigdy w życiu, dobrze wiedzą, jak zachowywać się w takich sytuacjach. Niczego nie ruszać, to po pierwsze. Jack w pewnym sensie rozumiał ich wzburzenie, bo przecież sam wpajał im te zasady przy każdej nadarzającej się okazji.

- No, mówcie, co wiecie. Kto znalazł zwłoki i kiedy?

Okazało się, że odkrycia dokonał miejscowy geodeta, młody, świeżo po kursie państwowym. Zlecono mu wymierzenie pasma nieużytków przy torach kolejowych, ponieważ władze zamierzały rozpocząć tu prace nad stworzeniem nowego parku. Jack słyszał, jak nieszczęśnik rozpaczliwie wymiotuje za grubym pniem rozłożystego klonu.

- Stał na tym i się przewrócił - poinformował go Tom Sweeney. - Stał dokładnie na zwłokach, które były starannie owinięte w grubą folię. Bardzo porządnie zapakowane.

- Więc dlaczego teraz już nie są porządnie zapakowane?

- Ponieważ ten facet, próbując dźwignąć się na nogi, przytrzymał się tego, co znajdowało się pod nim i w rezultacie ściągnął folię - rzekł Sweeney zrezygnowanym, kwaśnym tonem. - Dopiero wtedy się zorientował, co to jest.

- „To”? - Jack przyklęknął, zaciskając nozdrza kciukiem i palcem wskazującym. - „To”? „To” z pewnością nie jest rodzaju nijakiego, Sweeney. Na co stawiasz? Ja zaryzykowałbym dwa do jednego, że ta tu paczuszka była kiedyś kobietą.

Stojąc w słońcu, czekali na przybycie Johnny'ego Harrisa, patologa. Jeszcze kilkanaście lat temu, przed wprowadzeniem wszelkich tych naukowych metod badania zwłok, sami zdjęliby folię i dokładnie obejrzeliby ciało, ale te czasy należały już do przeszłości. Teraz musieli dokładnie przestrzegać instrukcji i zaleceń, a te mówiły, że przy oględzinach należy unikać zgubnego pośpiechu. Dlatego czekali. Jack wspiął się na schody prowadzące na starą żelazną kładkę nad torami i zapatrzył się na morze. Bał się tego, co spoczywało w folii, między

krzewami i leśnym poszyciem. Pamiętał jeszcze dni, kiedy śledztwo sprawiało mu przyjemność. Lubił atmosferę polowania, poszukiwania, pościgu, lecz teraz myślał przede wszystkim o cierpieniu rodziny ofiary i własnym lęku przed niepowodzeniem. Spojrzał na przykryte ciało. Nie był nawet pewny, jak zareaguje na jego widok, nie wiedział, czy zdoła spojrzeć na gnijącego człowieka.

Wszyscy umilkli, gdy Johnny Harris ostrożnie odwinął folię z jej twarzy. Oczy miała szeroko otwarte, pełne zdumienia.

- Kobieta - powiedział Harris.

Ktoś roześmiał się nerwowo.

Gdzieś wysoko rozśpiewał się kos, z entuzjazmem zanosząc się głośnymi trelami. Za ich plecami przejechał pociąg, nagły wiatr dmuchnął od strony morza, gałęzie drzew i krzaków poruszyły się, szeleszcząc i szepcząc jasnozielonym letnim listowiem.

Johnny Harris zsunął folię z ciała.

- Wiek? Koło dwudziestki, w grupie osiemnaście-dwadzieścia dwa, może trzy - rzekł, delikatnie przekręcając szyję dziewczyny dłońmi w rękawiczkach.

Prawdopodobna przyczyna śmierci? Uduszenie. Odsonił nagie białe ciało, luźno założone ramiona. Dotknął kawałka materiału, tkwiącego między drobnymi palcami ofiary.

- Co o tym sądzisz, Jack? - zapytał.

Jack podszedł i nachylił się.

- Wygląda na męski krawat, prawda? Te ukośne paski w powtarzających się kolorach... Może krawat jakiejś szkoły, uczelni czy stowarzyszenia...

- Co powiecie na Stowarzyszenie Przedstawicieli Irlandzkiej Policji? - wtrącił Tom Sweeney.

Wszyscy parsknęli cichym śmiechem.

Jack przyglądał się, jak Johnny Harris zdejmuje folię z dolnej części ciała, z brzucha, ud. Nagle przypomniał sobie słowa Aktu Skruchy. Zamknął oczy. „Ach, żałuję za me złości, jedynie dla Twojej miłości. Bądź miłościw mnie grzesznemu, dla Ciebie odpuszczam bliźniemu”.

Podniósł rękę i szybko się przeżegnał. Harris wskazywał teraz palcem siniaki na skórze ofiary, rozróżniając te, które pozostawiła czyjaś pięść jeszcze przed śmiercią dziewczyny od zasinień otaczających ślady po zębach, powstałe później.

- Gryzonie - oświadczył. - Może nawet koty.

Na pomarszczonej skórze kolan miała kilka drobnych, wypukłych blizn. Ślady dzieciństwa, pomyślał Jack. Pamiątki po upadkach z huštawek i rowerów, po stłuczeniach, rozcięciach i zadrapaniach. Jej stopy były szczupłe i białe, z wysokim podbiciem, paznokcie pomalowane szkarłatnym lakierem. Zupełnie jak paznokcie Rosy... Pokazała mu je dziś rano, kiedy zapinała jej sandałki. „Spójrz, tatusiu, ładne? Mamusia mi je pomalowała”.

- Popatrzcie. - Johnny Harris znowu pokazywał coś palcem. - Widać, o ile urosły, już po śmierci.

Jack spojrział na cieniutki jasny pasek paznokci, widoczny nad skórkami. Potem cofnął się i patrzył, jak sanitariusze wkładają ciało do pokrowca. Metaliczny zgrzyt zasuwanego zamka błyskawicznego przytłumił na chwilę wszystkie inne odgłosy. Johnny Harris zdjął rękawiczki, które teraz zwisały mu z końców palców. Wyglądają jak skóra, którą zrzucił jakiś owad, pomyślał Jack i zrobiło mu się niedobrze.

- Zadzwoń do ciebie, kiedy dokładnie ją obejrzę - po wiedział Harris, ściągając gumowe spodnie na szelkach.

Jack skinął głową.

- Pobierz odciski palców, dobrze? - poprosił. - Na wszelki wypadek.

Nazwisko, oto, co było mu potrzebne. Kiedy pozna nazwisko ofiary, lista podejrzanych, motywy zbrodni i sprzyjające okoliczności ułożą się same. A przy odrobinie szczęścia reszta nie powinna już sprawiać problemów.

Był wczesny wieczór, gdy zobaczył ją znowu. Dokładne przeszukanie nieużytków obok torów nie przyniosło żadnych rezultatów. Znaleźli stos rdzewiejących puszek po piwie i plastikowych butelek po jabłeczniku, kilka par starych butów oraz

mnóstwo psich i ludzkich odchodów, ale ani śladu odcisków stóp czy jakichkolwiek innych tropów. Żadnych pożytecznych śmieci, których nigdy nie brakowało w powieściach kryminalnych. Niestety, pomyślał Jack z goryczą, czując, jak ostry ból głowy pełźnie w górę po jego karku i sadowi się głęboko za oczami. Zaczęli już wypytywać mieszkańców pobliskich domów. Jak na razie wszystko przebiegało zgodnie z oczekiwaniami. Nikt nie zauważył niczego szczególnego. Można się było tego spodziewać, ponieważ na drodze biegnącej ze wzgórza na parking przy stacji, w Monkstowen zawsze panował duży ruch. Ostatnio prawdopodobnie jeszcze większy, ponieważ parking został rozbudowany, żeby stworzyć miejsca dla większej liczby dojeżdżających do pracy, którzy właśnie tu zostawiali samochody. Staruszka zajmująca zaniedbane mieszkanie na najwyższym piętrze najbliższego domu powiedziała Jackowi, że codziennie działy się tu różne dziwne rzeczy. Jack zauważył leżącą na parapecie lornetkę.

- Obserwuje pani ptaki? - zagadnął, przykładając szkła do oczu.

Uśmiechnęła się szeroko. Z jednego z okien roztaczał się doskonały widok. W nocy parking był jasno oświetlony.

- Kogo pan szuka? - zapytała, nalewając mu słabej herbaty z imbryka z pociemniałego srebra.

- Nie mam pojęcia, szczerze mówiąc. - Jack poczuł zapach earl greya i wędzonego mięsa, chyba bekonu.

Pospiesznie odsunął dzbanuszek z mlekiem.

- Czy zabito ją tutaj? - Staruszka sięgnęła po lornetkę i poprawiła ostrość widzenia.

- Wydaje mi się, że na tym etapie śledztwa to pani mogłaby odpowiedzieć na to pytanie.

- Jeżeli chce pan znać moje zdanie, to raczej nie. Może się pan zdziwi, ale nocą jest tutaj bardzo cicho. Jestem już w takim wieku, że nie sypiam dużo. Cóż, niedługo zapadnę w wieczny sen. Mało śpię, jak mówiłam, więc często widuję ludzi, którzy zagłębiają się w te krzaki. Ale zawsze z nich wychodzą...

Jack zadał Johnny'emu Harrisowi to samo pytanie: czy

dziewczynę zamordowano tutaj, wśród krzewów, czy gdzie indziej. Patolog potrząsnął głową.

- Raczej nie tutaj. Na podstawie rozlokowania krwi w tkankach powiedziałbym, że leżała tu trzy, cztery, może nawet pięć dni. Moim zdaniem została tu przywieziona lub przyniesiona już po śmierci. Zwłoki miały zbyt uporządkowaną pozycję, jeśli wiesz, o co mi chodzi. Na plecach, z założonymi ramiionami, nogi zsunięte... Zaryzykowałbym stwierdzenie, że ukryto ją tu, zanim zaczął się proces pośmiertnego sztywnienia, a więc mniej więcej w siedem godzin od chwili zgonu. I coś jeszcze...

- Tak?

- Ktoś ją umył. W takich okolicznościach zawsze dochodzi do wypróżnienia jelit i pęcherza, tymczasem na jej ciele nie ma śladu uryny czy kału. Ważne jest też to, że została zgwałcona, analnie i waginalnie, przy zastosowaniu dość dużej siły. Wygląda mi na to, że poraniono ją czymś ostrym, małym nożem albo nożyczkami. Krew starannie zmyto. Zwłoki są bardzo czyste, oczywiście nie mówię tu o nieuniknionym rozkładzie... I zanim zapytasz, od razu powiem ci, że nie ma też śladów nasienia.

- W jaki sposób umarła? W wyniku gwałtu?

- Nie, uduszono ją. Ze śladów na skórze szyi wynika, że czymś w rodzaju sznura do wieszania bielizny. Musiało to być jakieś sztuczne tworzywo, które łatwo powoduje otarcia.

- Więc to nie mógł być krawat?

Johnny pokręcił głową.

- Nie sądzę. Tkanina nie zostawiłaby takich śladów. Dość interesujące, wręcz niezwykle, jest jednak to, w jaki sposób ktoś przeplótł kawałek krawata między jej palcami... O tak...

Harris odsunął zieloną płachtę, którą po oględzinach przykryto zwłoki, i podniósł drobną dłoń dziewczyny, rozszerzając jej palce, żeby zademonstrować, o co mu chodzi. Jackowi natychmiast zmiękły kolana, a na czoło wystąpiły duże krople potu. Z trudem wziął się w garść.

- Ma bardzo jasne włosy, prawda? - odezwał się. - Czy to naturalny kolor?

- Tak jest. Rzadko spotykany odcień. Przypomina mi pewną Szwedkę, z którą kiedyś chodziłem. Miała prawie zupełnie białe włosy.

Chwilę stali w milczeniu. Włosy zamordowanej były długie i bardzo gęste, z przedziałkiem na środku głowy. Teraz martwo spoczywały po obu stronach drobnej twarzy w kształcie serca.

- Co jeszcze możesz mi powiedzieć?

Johnny Harris westchnął ciężko.

- Była w ciąży, mniej więcej dwunasty tydzień. Miała uszkodzoną wątrobę, najprawdopodobniej z powodu nadużywania alkoholu lub narkotyków. I blizny na zgięciach w łokciu, widzisz? - Wskazał podłużne ślady na skórze. - Teraz jest czysta, ostatnio nie brała heroiny ani innych narkotyków. Poza tym wszystkim zdrowa i zadbana.

- Skąd wiesz?

- Po zębach. Już na pierwszy rzut oka widać, że regularnie chodziła do dentysty. Ma kilka plomb. Kiedy była młodsza, na pewno nosiła aparat ortodontyczny. I spójrz tutaj, na zęby z tej strony. - Harris rozchylił usta dziewczyny i wetknął w nie czubek długopisu. - Z prześwietlenia wynika, że założono jej implanty, a to jest nadal bardzo drogie. Powiedziałbym, że kiedyś była grzeczną dziewczynką z dobrej rodziny, chyba z klasy średniej.

Odciski palców zaprzeczały opinii Harrisa. W ciągu ostatnich trzech lat dziewczyna była aresztowana piętnaście razy: za posiadanie narkotyków, za posiadanie z zamiarem dostarczenia osobie drugiej, za sprzedaż, za kradzież. Na Pearse Street dobrze znano jej nazwisko i akta kolejnych spraw.

- Judith Hill? Dobry Jezu, świetnie ją znamy. - Sierżant posterunkowy obrzucił Jacka zdziwionym spojrzeniem. - I mówi pan, że Judith nie żyje? Gdybym usłyszał to jeszcze rok temu, wcale nie byłbym zaskoczony, bo dziewczyna siedziała po uszy w gównie, ale ostatnio wróciła na dobrą drogę i doskonale się sprawowała. Po wyjściu z więzienia zaczęła nawet chodzić do college'u. Wybrała Trinity, wyobraża pan sobie? Szkoła znajduje się naprzeciwko naszego posterunku i Judith

mówiła, że chce tam chodzić także i dlatego, żeby od czasu do czasu wpaść do nas. - Sierżant parsknął śmiechem, lecz zaraz umilkł i popatrzył na leżącą przed nim teczkę z dokumentami, odwracając ją w taki sposób, żeby Jack widział zdjęcie. - Chryste, jest pan pewny, że to Judith? Widziałem ją w zeszłym tygodniu, no, najwyżej z dziesięć dni temu. Wyglądała wspaniale. O, Boże Wszchemogący, jej ojciec oszaleje.

Ojciec Judith, doktor Mark Hill. Jego nazwisko wraz z dość długą listą tytułów wygrawerowano na mosiężnej tabliczce przykręconej do drzwi wejściowych wysokiego domu z czerwonej cegły w cichym zakątku Rathmines. Było już późno, po dziesiątej. Jack oparł głowę o krawędź siedzenia, czekając, aż Tom Sweeney zaparkuje samochód.

- Nienawidzę tego - mruknął. - Nienawidzę, do kurwy nędzy.

Do domu wrócił dopiero przed północą. Co za ulga, że wreszcie mogą być sam, pomyślał. Nie muszą się nikomu tłumaczyć, usprawiedliwiać, przeproszać za zły nastrój. Wszedł do łazienki, rozebrał się i rzucił ubranie na podłogę. Puścił wodę do wanny i na chwilę wrócił do kuchni. Nalał sobie dużą porcję dżinu do szklanki, dodał lód, tonik i plasterek limonki, i wypił wszystko dwoma łykami. Wszedł do wanny, ułożył się wygodnie i zamknął oczy. Nie chciał myśleć o wszystkim, co zdarzyło się w ciągu dnia, ale nie potrafił zepchnąć tego w głąb podświadomości. Przed oczyma wciąż stawały mu sceny z rozmowy z Markiem Hillem. Ojciec Judith nie chciał przyjąć do wiadomości faktu, że jego córka nie żyje. Wciąż powtarzał, że Judith zmieniła się, że nie miała już nic wspólnego ze swoim dawnym towarzysztem.

- Widział ją pan ostatnio? Rozmawiał pan z nią?

Nie, nie widział jej od paru tygodni, ponieważ ostatnio nie mieszkała w domu. Przeprowadziła się do pokoju w akademiku, żeby być bliżej brata, który pomagał jej przygotowywać się do egzaminów.

- Ale przecież jest już po sesji, doktorze Hill...

Doktor Hill oświadczył, że jego córka chciała wcześniej

zając się kilkoma przedmiotami, z których zajęcia wpisano do programu następnego semestru.

- Judith studiuje historię sztuki i to ją pasjonuje - rzekł. - Jest bardzo pilną studentką, być może dlatego, że wie, ile czasu straciła. Chce to nadrobić.

- Może ma chłopaka, przyjaciół, kogoś, kto jest jej bliski?

- Nie. Jej najlepszym przyjacielem jest jej brat, Stephen. Świetnie się rozumieją.

Jack nie chciał myśleć o tym, co stało się w kostnicy, gdy doktor Hill spojrzął w twarz córki. Spodziewał się zwykłej reakcji - przerażenia, łez, rozpacz. Ale nie gniewu, nie wściekłości i obrzydzenia. Nie tych słów, które niepowstrzymanym strumieniem zaczęły wylewać się z ust Marka Hilla. Nie słów, które sprawiły, że on, Johnny Harris, i Tom Sweeney cofnęli się i odwrócili.

- Ty mała suko! Ty dzika bestio! Jak mogłaś mi to zrobić? Po wszystkim, co przez ciebie wycierpiałem! Obiecałaś mi, przyrzekałaś, że nigdy więcej do tego nie wrócisz, że będziesz dobra, taka jak dawniej. Powiedziałaś, że z tym skończyłaś, że teraz będziesz żyła tak, jak ci radziłem, że jeszcze będę z ciebie dumny! I tylko popatrz, co z sobą zrobiłaś, suko! Nienawidzę cię! Nie wytrzymam tego!

Wyciągnął ręce i chwycił za brzeg prześcieradła, którym przykryto jej ciało. Przez jedną straszną chwilę wydawało się, że zedrze je jednym ruchem, obnażając dziewczynę, lecz Johnny Harris szybko podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu.

- Wystarczy, już dosyć - powiedział chłodno. - Niech pan przynajmniej pożegna się z nią z odrobiną godności.

Dopiero wtedy Mark Hill zapłakał i osunął się na kolana, szlochając i jęcząc z bólu. Odwieźli go do domu. Zaproponowali, że zadzwonią po kogoś, kto mógłby towarzyszyć mu w smutku, ale wysiadł bez słowa. W samochodzie zapadła cisza, którą po dłuższej chwili przerwał Sweeney.

- Zrobił to? - zapytał, gdy zatrzymali się na światłach.

Jack wzruszył ramionami i westchnął.

- Zgaduj zgadula. Wrócimy do niego rano, poprosimy, żeby zgodził się na badanie krwi w celu określenia DNA i może się dowiemy, kto był ojcem dziecka. No i rozejrzemy się po domu. Spróbujemy zrobić to szybko, zanim się zorientuje, co się dzieje. Musimy też porozmawiać z matką dziewczyny. Jak na razie nic o niej nie wiemy. Nie zapominajcie też, że Judith miała brata, który najprawdopodobniej wie o niej znacznie więcej niż tatuś. Chcesz z nim pogadać czy wolisz, żebym ja spróbował?

W domu i na zewnątrz było bardzo cicho, z parkingu pod oknami i z ulicy nie dobiegał żaden dźwięk. Jack wyszedł z kąpielni i owinał się w pasie ręcznikiem. Nalał sobie jeszcze szklaneczkę dzinu i otworzył drzwi prowadzące na niewielki balkon. Do pokoju wpłynął słodki zapach kwitnącej nocą maciejki. Był to prezent od Ruth, jego starszej córki, która zasiała maciejkę w skrzynkach. Jack usiadł na progu. A więc Judith Hill była kilka razy w więzieniu... Johnny Harris nazwał ją miłą dziewczyną z dobrego domu. Niewiele dziewcząt z takiego środowiska trafiało do więzienia. Co takiego mówił o więźniarkach dyrektor więzienia? Że wszystkie pochodzą z czterech cieszących się złą opinią dzielnic Dublina. Nie z czystych, zadbanych podmiejskich uliczek i nie z takiego domu, w jakim mieszkała rodzina Hillów. A także nie z tej części miasta, gdzie kiedyś mieszkała Rachel Beckett... Zbieg okoliczności? Może. Postanowił, że z samego rana zadzwoni do Andy'ego Bowena. Rachel Beckett była chyba jeszcze jedną osobą, z którą koniecznie powinien porozmawiać.

Podniósł szklanekę i zakręcił kostkami lodu. Balkonowe drzwi sąsiedniego mieszkania otworzyły się szeroko, z wnętrza ląnął potok światła i muzyka. Potem głosy, śmiech, cisza i wreszcie inne dźwięki, tak dobrze znane. Jack słuchał, chciał słuchać i wyobrażać sobie, co tamci robią. Lód powoli topniał w szklance, po nagich plecach Jacka przebiegł dreszcz, ale nie wstał i nie wszedł do środka. Czekał, aż wszystko dobiegnie końca i dostał to, czego potrzebował.

Rozdział trzynasty

Krawat był identyczny, w takie same wąskie, ukośne paski, czerwone, szare i ciemnozielone na ciemnobrązowym tle. Tyle że był to drugi taki krawat, bo pierwszy, pognieciony i poplamiony, znajdował się w plastikowej torebce na dowody, którą Jack miał w teczce. Ten drugi, wyprasowany i czysty, wysuwał się spod kołnierzyka białej koszuli, którą doktor Mark Hill włożył tego dnia do granatowego blezera.

Krawat był pierwszą rzeczą, jaką Jack zauważył, gdy doktor Hill otworzył drzwi w odpowiedzi na jego pukanie. Był wczesny ranek. Jack wymienił kilka uprzejmych uwag z gospodarzem i usiadł naprzeciwko niego w małej, ciemnej kuchni na tyłach domu.

- Nie ma pan chyba nic przeciwko temu, że przyjmuję pana tutaj, inspektorze... Hmm... Przepraszam, czy mógłby pan jeszcze raz podać mi swoje nazwisko?

Jack spełnił jego prośbę, chociaż był pewny, że swoje nazwisko wymienia już chyba piąty raz.

- Ach, tak, Donnelly, oczywiście. Nie przeszkadza panu, że posiedzimy w kuchni, prawda? Dzisiaj przychodzi gosposia, która sprząta cały dom. Nie radzę sobie zbyt dobrze z tego rodzaju czynnościami, więc pozostała część domu nie wygląda na razie najlepiej...

Jack ze zrozumieniem skinął głową.

- A pana żona, matka Judith? - zapytał. - Jest tutaj?

Mark Hill na chwilę wbił wzrok w zniszczone kamienne płytki podłogi. Kiedy się odezwał, w jego głosie brzmiała gorycz.

- Moja żona, matka Judith... Jeśli mam być szczerzy, to niezbyt lubię o niej rozmawiać. Od wielu lat jesteśmy w separacji, kiedy odeszła, dzieci były jeszcze zupełnie małe. Mieszka w Anglii, nie kontaktujemy się ze sobą. Staram się o niej nie myśleć.

Pociągnął łyk herbaty i zmrużył oczy. Na jego dość pulchnej twarzy pojawił się wyraz niesmaku.

Jack odniósł wrażenie, że doktor Hill stara się nie myśleć o wielu rzeczach - o uzależnieniu Judith od narkotyków, o jej prostytutce, kradzieżach i napadach. Wolał też nie mówić o tym, gdzie spędziła ostatnie kilka tygodni, z kim się przyjaźniła, jakiego rodzaju osobą była i jakie prowadziła życie. Zdecydowanie nie chciał rozmawiać o jej ciąży, a przede wszystkim o śmierci. W miarę jak lista zadawanych przez Jacka pytań rosła, wyraz obrzydzenia na twarzy Hilla stawał się coraz wyraźniejszy.

Jack odstawił filiżankę ze spodeczkiem, otworzył teczkę i wyjął z niej plastikową torebkę. Odchrząknął.

- Chciałbym dowiedzieć się czegoś o tym - zaczął, stukając czubkiem palca w przezroczystą folię. - Miałem nadzieję, że znajdę jakieś wyjaśnienie w pańskich odpowiedziach na moje pytania, ale tak się nie stało. Wobec tego muszę zapytać wprost: czy może pan to zidentyfikować?

Podał torebkę Hillowi, który ujął ją ostrożnie, jakby z wahaniami. Potem wstał, podszedł do okna i obejrzał ją w świetle.

- Oczywiście - rzekł. - To krawat z college'u Trinity. Taki sam, jak ten, który noszę.

- To prawda. - Jack lekko zakotyssał się na stołku. - Wie pan, gdzie go znaleziono?

Jeśli spodziewał się jakiejś reakcji, to spotkał go srogi zawód. Hill jeszcze raz spojrzął na krawat i oddał go Jackowi.

- Sądzę, że istnieje co najmniej dwadzieścia tysięcy takich

krawatów - oświadczył z obrzydzeniem w głosie. - Co to ma wspólnego ze mną?

- Nie zauważył pan? - Jack wziął od niego torebkę i poprawił tkwiący w środku krawat. - Proszę spojrzeć na naszywkę z nazwiskiem. Poznaje ją pan? Jest czytelna, prawda? - Zawiesił głos. - Mark Patrick Hill. I któż to może być?

Hill obrzucił go skupionym, uważnym spojrzeniem. Kiedy przemówił, jego głos był cichszy niż poprzednio i po raz pierwszy od początku rozmowy słysząc w nim było wahanie.

- Czy mógłby pan powtórzyć, gdzie znaleźliście ten krawat?

- Dowiedziałeś się czegoś od brata? - zapytał Jack.

Była pora lunchu i czuł silny głód. Wypity poprzedniego wieczoru dzin zrobił swoje i teraz wydawało mu się, że w brzuchu ma wielką, ziejącą pustką dziurę. Włożył do ust spory kęs pieczeni wołowej, popił zimnym mlekiem i od razu spojrział na świat innym wzrokiem. Powoli otarł usta serwetką. Od bardzo dawna nie jadł posiłku w przyzwoitej restauracji. Pomyślał, że musi podziękować policjantom z Pearse Street, którzy polecili mu ten pub. Jedzenie było tu wspańiałe - proste, niewymyślne, ale smaczne. Dokładnie takie, jakie pomaga na kaca.

Sweeney wzruszył ramionami.

- Niewiele. Jest wstrząśnięty tym wszystkim i co chwilę wybuchał płaczem. Powiedział, że nie jest w stanie logicznie myśleć. Najciekawsze jest to, że bardzo przypomina siostrę - ten sam kolor włosów, ta sama budowa, rysy... Jakby byli bliźniakami. Na pewno są podobni do matki, bo przecież nie do ojca... Pytałem go o nią, ale udzielał wymijających odpowiedzi. Wydusiłem tylko tyle, że rodzice się rozstali, kiedy on i Judith byli małymi dziećmi. Matka wyjechała do Anglii. Potem była sprawa sądowa o przyznanie opieki nad dziećmi, którą najwyraźniej wygrał ojciec. Jakiś czas później matka wróciła i zabrała dzieci do siebie, lecz chłopak nie pamięta, co było potem. Wie, że w ogóle przestali matkę widywać.

- A Judith? Wiedział, że jest w ciąży?

- Twierdzi, że nie. Kiedy mu powiedziałem, nieźle nim trząchnęło. Mało brakowało, a dostałby ataku hysterii.

- Ma jakieś podejrzenia, kto może być ojcem?

- Nie. Nie miał kompletnie nic do powiedzenia na temat jej przyjaciół, chłopaków, z którymi chodziła, narkotyków i tak dalej. Mówi, że nie miał z tym wszystkim nic wspólnego. Jego zdaniem Judith skończyła z dawnym życiem i całkowicie poświęciła się studiom. „Obiecała mi, obiecała mi” - powtarzał to do znudzenia.

- Widziałeś jej pokój? - zapytał Jack.

Sweeney bez słowa kiwnął głową, przeżuując pieczeń.

- I co? - Jack zgarnął widelcem i nożem ostatni kawałek mięsa.

Sweeney przełknął i beknął soczyscie.

- Jezu, daj spokój, Tom! - Jack skrzywił się z udawanym obrzydzeniem.

- Przepraszam, szefie, bardzo przepraszam. - Sweeney napił się wody. - Podobno Judith pisała jakiś esej na temat biblijnej Judyty. W jej pokoju znalazłem kilka reprodukcji bardzo znanych obrazów, tak w każdym razie utrzymuje braciszek. Wszystkie ukazują tę Judytę w trakcie obcinania komuś głowy. Strasznie krwawe, kurwa mać. Nie wiedziałem, że to była taka okrutna baba. Oczywiście zrobiła to w dobrym celu, żeby uratować swój lud od zguby. Zaprosiła go do swojego namiotu, upiła w trupa i wykończyła. Obcięła mu łeb wielkim mieczem, wyobrazasz sobie, szefie? No, nieważne. Mówię o tym, bo te reprodukcje wisiały w każdym możliwym miejscu. Straciłem apetyt na lunch, tak mnie zbrzydziło...

Judyta i Holofernes, pomyślał Jack. Piękna wdowa wykorzystywała swoją urodę i czar, żeby ratować ziomków. Kiedy Holofernes wezwał ją do siebie, zgodziła się pójść z nim do łoża i zamordowała go. Jack znał obrazy, o których mówił Sweeney, rano widział je w albumie, leżącym na stole w kuchni doktora Hilla. Otworzył go i przejrzał, gdy Hill rozmawiał przez telefon. Zwrócił też uwagę na dedykację na stronie

tytułowej: „Dla Elizabeth, która wie, jak kochać. Na zawsze, Mark”.

Czekał na Hilla, ponieważ chciał się upewnić, kiedy ten zgłosi się na policję. Zależało mu, żeby jak najprędzej pobrać jego odciski palców i próbkę krwi do określenia DNA. Myślał, że ojciec Judith będzie chętnie współpracował z prowadzącymi śledztwo, ale Hill uparł się, że zadzwoni do swojego adwokata.

- W porządku - rzucił Jack. - Proszę bardzo. Może przyjechać z panem, jeżeli panu na tym zależy. Zaczekam, aż pan się z nim umówi.

Właśnie wtedy, czekając, obejrzał reprodukcje obrazów przedstawiających historię Judyty.

- Mam coś dla ciebie, szefie. - Sweeney wetknął rękę do kieszeni i wyjął z niej zdjęcie. - Na pewno cię to zainteresuje. Znalazłem tę fotografię przypiętą do korkowej tablicy w pokoju Judith.

Dwie kobiety, jedna młodsza, druga starsza. W tle szary, brzydki budynek. Patrzyły na siebie, nie w obiektyw, uśmiechnięte, szczęśliwe. Obejmowały się. Starsza była wyższa i bardzo szczupła, z gęstymi, wijącymi się, siwiejącymi włosami. Jasne, prawie białe włosy młodszej były proste i długie, rozdzielone przedziałkiem pośrodku głowy.

- I co ty na to? - Jack się zaśmiał. - Dwie dobrze wychowane dziewczyny z klasy średniej! Razem, tak jak myślałem.

Odwrócił zdjęcie i odczytał napis na dole.

- „Ja i Rachel. Szczęśliwe dni! Sierpień 1997” - no, proszę. Czy brat Judith powiedział ci coś na ten temat?

Byli już przy deserze. Pyszna szarlotka z mnóstwem bitej śmietany.

- Nie. - Sweeney potrząsnął głową. - Tyle że Judith zaprzyjaźniła się z tą kobietą w więzieniu. Wydaje mi się, że nic więcej nie wie.

- A pytałeś go, czy...

- Jasne, jasne. - Sweeney parsknął z oburzeniem. - Oczywiście, że go zapytałem, czy Judith spotykała się ostatnio z tą

kobietą. Powiedział, że nie wie, ale trochę się zaczerwienił. Wiesz, ma taką bardzo jasną skórę, która łatwo się rumieni. Dodał, że wie, iż Judith nie wolno było spotykać się z osobami, które poznała w więzieniu, to był jeden z warunków jej przedterminowego zwolnienia. - Sweeney ściągnął łyżeczką trochę śmietany z talerzyka Jacka. - I co o tym myślisz?

Co o tym myślał? Do głowy przychodziło mu wiele rzeczy. Po pierwsze, powinni jak najszybciej się dowiedzieć, z kim Judith była w ciąży. Po drugie, gdzie została zamordowana. Musieli zrobić listę wszystkich jej znajomych i przyjaciół, a potem odpowiedzieć na najważniejsze pytanie: kto mógł pragnąć jej śmierci i z jakiego powodu. Jacka interesowało także, jaki miała stosunek do ojca i jaką rolę odegrała w życiu ich trojga matka, Elizabeth. Dlaczego odeszła i czemu nie przyznano jej prawa do opieki nad dziećmi? Głowa zaczynała go boleć na myśl o ogromie pracy, jaka ich czekała. Ogarniała go panika, chociaż starał się przed nią bronić. Nienawidził spraw związanych ze śmiercią ludzi z „towarzystwa”. Kiedy zamawiali jedzenie, zauważył tytuł na pierwszej stronie porannego wydania „Evening Herald”, które czytała kobieta przy sąsiednim stoliku - MORDERSTWO I SEKS. Jezu Chryste! Ruchem głowy wskazał Sweeneyowi gazetę.

- Zaczyna się, kurwa mać - mruknął pod nosem, wstając.

Już był zmęczony, chociaż do końca dnia pozostało jeszcze wiele godzin.

Rozdział czternasty

- Więc słyszałaś już o śmierci tej dziewczyny, którą po znałaś w więzieniu... Jak miała na imię? Julie, Judy, Jill?

Była dziewiąta trzydzieści rano, pora jej cotygodniowej wizyty w gabinecie Andrew Bowena.

- Judith - odpowiedziała, nie odrywając wzroku od podłogi.

- Rozmawiałaś z Jackiem Donnelly?

- Tak. Był u mnie wczoraj.

- Doskonale. I naturalnie udzieliłaś mu wszystkich informacji, jakich potrzebował, prawda? To bardzo ważne, Rachel, szczególnie na tym etapie twojego pobytu na wolności, żebyś współpracowała z policją i nie sprawiała żadnych kłopotów. Rozumiem, że to nieprzyjemne, kiedy ktoś, kogo znałaś w więzieniu... No, ale musisz myśleć przede wszystkim o tym, żeby pomóc policji i nie ukrywać niczego, co mogłoby mieć związek z tą sprawą. Zgadzasz się ze mną, prawda, Rachel?

Ranek był piękny. Poprzedniego wieczoru położyła się spać przy podniesionych żaluzjach, obserwując niespieszną wędrówkę księżycy w nowiu po fragmencie nieba, zamkniętym w ramie jej okna. Rano, bardzo wcześnie, obudziły ją promienie słońca, padające na poduszkę tuż przy twarzy. Kiedy się odwróciła, osłaniając oczy ramieniem, poczuła, że poduszka jest mokra, nasiąknięta wilgocią. Wtedy przypomniała sobie,

co się stało. Judith nie żyła. Zginęła przed tygodniem, a ona nic o tym nie wiedziała, nawet nie podejrzewała. Własne plany pochłonięły ją do tego stopnia, że ostatnio prawie wcale nie myślała o Judith.

Jack Donnelly zjawił się wcześniej, jego wizyta bardzo ją zaskoczyła. Od razu go poznała. To był ten sam mężczyzna, na którego dwa tygodnie wcześniej zwróciła uwagę w kościele. Ten sam, którego pamiętała z odległej przeszłości. Pokazał jej zdjęcie, zrobione pod więzienną szkołą, w dniu ogłoszenia wyników egzaminów. Judith świetnie poradziła sobie z testami. Dostała szóstki z angielskiego, historii i francuskiego, piątki z geografii i fakultatywnej matematyki. Nauczyciele zorganizowali przyjęcie, były napoje gazowane, herbatniki i ciasto czekoladowe. Przynieśli też papierowe czapeczki i serpentyny do udekorowania sali, w której odbywały się zajęcia. Rachel obserwowała rozradowaną, szczęśliwą Judith i myślała o tym, co to wszystko oznacza. Wiedziała, że jej przyjaciółka zostanie niedługo zwolniona.

Donnelly powiedział, że chce, aby dokładnie opisała Judith. Z kim się przyjaźniła? Od kogo kupowała narkotyki? Kto był jej alfonsem?

- Nic o tym nie wiem - odparła Rachel, nagle przestraszona. - Nie znałam jej poza więzieniem. Nie mam pojęcia, jak wyglądało jej życie na wolności. Mogę przysiąc, że od wyjścia nie widziałam się z nią ani razu. Mam własne problemy i nie potrzebuję dodatkowych...

Dopiero pod koniec rozmowy powiedział jej, że Judith nie żyje. Wcześniej zręcznie zonglował słowami, podpuszczając ją, by cokolwiek powiedziała.

- Tak, wspominała o różnych ludziach, ale to chyba nic specjalnie interesującego. Mówiła o facecie, dla którego pracowała. To żadna tajemnica, bo większość dziewczyn była z nim w jakiś sposób związana. Poza tym Judith ciągle powtarzała, że po wyjściu nie wróci do dawnego trybu życia.

- A co z jej ojcem i bratem? Wie pani coś o nich?

Rachel wzruszyła ramionami.

- Dlaczego zadaje mi pan te pytania? O co chodzi? Co się stało?

- Nic, co dotyczy pani. Potrzebne mi są te informacje, to wszystko. Wróćmy do jej ojca i brata. Jakiego rodzaju stosunki łączyły ją z nimi?

Jednak Rachel zdołała już wyczuć, że coś jest nie tak.

- Łączyły? - powtórzyła. - Dlaczego używa pan czasu przeszłego?

Wtedy powiedział jej prawdę. W milczeniu wysłuchała, gdzie znaleziono ciało Judith, w jaki sposób została zamordowana, co zrobił z nią zabójca. Nie była w stanie wydobyć z gardła ani jednego słowa.

- Widziałaś się z nią po wyjściu, prawda? - Bowen mówił tak cicho, że musiała nachylić się do przodu, żeby go usłyszeć.

- Wie pan, że nie wolno mi spotykać się z nikim stamtąd.

- Podobny zakaz nie przeszkodził ci narzucać się córce.

Rachel spojrzała na niego. Zegar na ścianie za jego głową wskazywał dziewiątą czterdzieści. Jeszcze dwadzieścia minut tych męczarni, pomyślała. Pół godziny tygodniowo.

- Mogłaś poprosić mnie o pozwolenie na spotkanie z Judith. Byłoby to zupełnie zrozumiałe. Nie sądzę, aby były jakieś problemy z uzyskaniem pozwolenia. Podobno Judith Hill po wyjściu rzeczywiście wróciła do normalnego życia, więc nie wykluczone, że mogłaby służyć ci pomocą...

Rachel zaczęła się zastanawiać, czy w przeszłości znała tego człowieka. Jego twarz wydawała jej się znajoma, ale może było to złudzenie. Miała duże trudności z przywoływaniem z pamięci obrazów dawnego życia.

- Wyobrażam sobie, że poczułaś coś w rodzaju ulgi, kiedy Judith pojawiła się w więzieniu. Wreszcie znalazłaś kogoś, z kim miałaś coś wspólnego, wykształconą, inteligentną osobę.

- W więzieniu nie brak inteligentnych osób. - Rachel wyprostowała się i obrzuciła Bowena chłodnym spojrzeniem. - Jest tam mnóstwo bystrych, wręcz błyskotliwych kobiet.

- Nie przeczę, ale na pewno nie wykształconych, nie w for-

malnym znaczeniu tego słowa. Rozumiesz chyba, o co mi chodzi.

Mógł studiować na uniwersytecie w tym samym czasie co ja, pomyślała. Dublin to takie małe miasto... Bardzo trudno ukryć tu swoje pochodzenie, wykształcenie, przeszłość. Trudno mieć tajemnice.

- Tak czy inaczej, Judith Hill z pewnością ucieszyła się, że zastała tam kogoś takiego jak ty, kogoś, z kim mogła porozmawiać tym samym językiem, komu mogła się wyplakać i wyzalić. Była narkomanką, prawda? Trudna sytuacja, szczególnie w więzieniu.

- Nie była pierwszą uzależnioną, która trafiła do więzienia. Ani ostatnią.

- Ale ty jej pomogłaś, tak? Jestem przekonany, że tak było.

- Judith nie potrzebowała szczególnej pomocy. Proszę nie zapominać, że kiedy Judith trafiła do więzienia, ja siedziałam tam od prawie dziesięciu lat. Nie był to jej pierwszy kontakt ze światem przestępczym, miała już wyrobioną reputację. Dziewczyny nazywały ją Królowną Śnieżką, z powodu wyglądu, no i dlatego, że była wyjątkową osobą...

Andrew Bowen szybko się zorientował, że popełnił duży błąd. To Judith pomogła Rachel, nie odwrotnie. Oczywiście Rachel opiekowała się dziewczyną, kiedy ta odzwyczajala się od heroiny, wycierała jej wymiociny, sprzątała, sadzała ją na sedesie i ściągała z niego, czytała na głos, gdy Judith nie miała siły zwlec się z łóżka. A czym obdarzyła ją Judith? Miłością.

- W porządku, zaczynam rozumieć, jak to było. Do więzienia trafiła „wyjątkowa” dziewczyna, która szybko się z tobą zaprzyjaźniła. Wiem, co was łączyło, nie musisz mi tego wyjaśniać. Personel więzienia doskonale zdawał sobie sprawę, co między wami było, wiedział o tym także twój opiekun sądowy. Te informacje zostały mi przekazane razem z aktami.

Przerwał. Rachel utkwiała wzrok w oknie. Wydawało jej się, że czuje ciężar głowy Judith na swoim ramieniu, jej drobne, szczupłe ciało przytulone do jej ciała, że widzi długie, białe palce dziewczyny, splecione z jej palcami.

- Ta wyjątkowa dziewczyna pada ofiarą mordercy, policja znajduje jej zwłoki dwa kilometry od domu, gdzie mieszkasz. Nikt nie ma pojęcia, dlaczego właśnie tam, dlaczego nie gdzieś w pobliżu domu lub uniwersytetu. To bez sensu, prawda? Jedyne fakty, jakie się narzuca, to to, że ty mieszkasz bardzo blisko tamtego miejsca. Chyba rozumiesz, dlaczego Donnelly zainteresował się twoją osobą?

Skinęła głową. Było jej niedobrze. Donnelly pokazał jej zdjęcie Judith, zrobione w kostnicy. Starła się nie patrzeć, ale on cierpliwie zaczekał, aż jej spojrzenie przesliznęło się po kolorowej fotografii.

- Ofiary uduszenia zwykle tak wyglądają - powiedział neutralnym tonem. - Niezbyt atrakcyjnie, co? - Podsunął zdjęcie jeszcze bliżej. - Zaraz, zaraz, może przypomnę sobie opis z podręcznika medycyny sądowej... Twarz i szyja mocno opuchnięte, skóra wzdęta. Tkanka łączna w okolicy oczu i uszu pokryta krwinkami, podskórnymi wylewami. Naczynia krwionośne twarzy, powiek i warg popękane. Okropny widok.

Ze wszystkich sił starała się nie poddać. Wbiła paznokcie w dłoń i zacisnęła wargi. Ta istota na zdjęciu nie miała nic wspólnego z Judith.

- Dlatego ostrzegam cię, Rachel. - Andrew Bowen zakotyłał się na tylnych nogach krzesła. - Powiedziałaś Donnelly'emu, że nie widziałaś się z Judith, ale ja przypadkiem wiem, że go okłamałaś, podobnie jak mnie. Są świadkowie, którzy widzieli was obie, razem. Kilka osób poinformowało mnie, gdzie i kiedy się spotkałyście. Mam nadzieję, że przygotujesz sobie dobre alibi, bo przecież właśnie ty powinnaś wiedzieć najlepiej, jakie to ma znaczenie. Alibi może cię uratować lub zniszczyć.

Spojrzała na niego, lecz zaraz odwróciła wzrok i zaczęła obserwować zataczające kręgi za oknem stado gołębi, których ciemne skrzydła wyraźnie odcinały się od błękitnego nieba.

- Napijesz się ze mną kawy? - zapytał Bowen.

Wstał i podszedł do szafki, na której stał mały ekspres do kawy. Wziął szklany dzbanek i napełnił dwa kubki. Nie od-

wracając się, otworzył najwyższą szufladę, wyjął z niej butelkę, odkręcił kapsel i dolał whisky do jednego kubka. Dopiero wtedy zauważyła, jaki jest chudy i jak drżą mu ręce. Twarz miał bardzo bladą, oczy przekrwione, w kącikach ust duże pęknięcia. Podał jej kubek z kawą, usiadł i napił się. Przez chwilę w pokoju panowała zupełna cisza.

- Chciałem cię o coś zapytać, Rachel - odezwał się. - Widzisz, zastanawiałem się, czy mnie pamiętasz...

Nie odpowiedziała.

- To dziwne, bo ja pamiętam ciebie dość dobrze. Moja żona przyjaźniła się z kilkoma dziewczętami z twojego roku. Może ją sobie przypominasz? Clare, wtedy jeszcze O'Brien.

Tym razem pamięć nie zawiodła, podsunęła jej obraz bardzo ładnej twarzy w kształcie serca, mocno umalowanej. Clare O'Brien należała do grupki dziewczyn, które trzymały się razem od szóstej klasy szkoły podstawowej. Na studiach także wszędzie chodziły razem. Skinęła głową.

- Tak.

- To dobrze. Cieszę się, bo chcę cię prosić o pewną przysługę. Byłbym ci naprawdę bardzo wdzięczny, gdybyś zechciała mi pomóc. Na tyle wdzięczny, że jestem gotów zapomnieć o twoim spotkaniu z Judith Hill. Nie wspomnę o niej Jackowi Donnelly'emu i nie zasugeruję, żeby wezwał cię na przesłuchanie. I nie będę się domagał, żebyś częściej przychodziła do mnie na rozmowy.

Opowiedział Rachel o swojej żonie, o jej chorobie i rozpaczy.

- Ostatnio dużo o tobie rozmawialiśmy. Clare doskonale cię pamięta. Mówi, że kontaktowałyście się jeszcze kilka lat po ukończeniu studiów. Jej przyjaciółki szczerze cię podziwiały. Byłaś taka inteligentna, zdolna, błyskotliwa... Otrzymałaś dyplom z wyróżnieniem i propozycje stypendiów z Ameryki, Francji i Włoch. Wszystkie były bardzo zaskoczony, że tak szybko wyszłaś za mąż, i to za policjanta. Clare się dziwiła, bo zapamiętała, że nie okazywałaś specjalnego nabożeństwa dla pracy swojego ojca i jego przyjaciół. Była kiedyś u ciebie

w domu na spotkaniu grupy czy może całego roku. Twój dom bardzo jej się podobał, a szczególnie duże wrażenie zrobił na niej ogród i piękna cieplarnia. W tamtych latach cieplarnia była czymś oryginalnym, teraz tego rodzaju pomysły już trochę spowszedniały. Co drugi człowiek przystawia sobie do tylnej ściany kawałek szkła, folii i już ma cieplarnię. Clare nie mogła zrozumieć, dlaczego rozmieniałaś swój talent na drobne, projektując sprzęty kuchenne i poddasza. Jej zdaniem, mało powiedzieć, że byłaś uzdolniona, byłaś po prostu genialna.

Rachel milczała. Na zewnątrz gołębie nadal zataczały koła na tle jasnoniebieskiego porannego nieba. Wreszcie powoli skinęła głową.

- Tak, moja cieplarnia była rzeczywiście piękna - powiedziała.

Sama ją zaprojektowała. Obmyśliła ją jako prezent ślubny dla Martina, który na początku był nią zafascynowany, lecz później jego zainteresowanie znacznie zbladło, jak zwykle zresztą. Zaczął się oddalać, odsuwać od świata rodziny i kobiet, z powrotem do świata mężczyzn. Ale Daniel rozumiał ją i powiedział, że zbuduje dla niej cieplarnię. I dotrzymał słowa, tamtego lata, kiedy Martin wyjechał na służbę do Donegal, tuż nad granicą.

Andrew odchrząknął.

- Widzisz, Rachel, moja żona wymaga opieki, zwłaszcza wieczorami. Chcę, żeby ktoś był przy niej wieczorem. Nie codziennie, wystarczy trzy, najwyżej cztery razy w tygodniu. Miałbym trochę czasu dla siebie. Clare źle toleruje osoby obce, nie chce pielęgniarki ani nikogo, kto by się nad nią litował, ale chętnie zobaczyłaby się z tobą. Mówi, że jesteś zranionym, złamanym człowiekiem, tak jak ona. Nie musiała byś nic robić, tylko posiedzieć przy niej, może trochę jej poczytać i dopilnować, by wzięła lekarstwa, które przygotowuje, podzielone na porcje, żebyś nie miała z tym żadnych kłopotów. Podasz jej tylko pigułki, to wszystko.

Wstał i znowu dolał sobie whisky do kubka. Tym razem nie

zapropował jej kawy. Wrócił na swoje miejsce, napił się i spojrzał na nią znad brzegu kubka. Postawił go na stosie leżących na biurku dokumentów.

- Oczywiście przyjmiesz moją propozycję, prawda?

Odpowiedziała mu chłodnym spojrzeniem. Zastanawiała się, o czym myśli.

- Zgadzasz się, Rachel?

Skinęła głową. Poprawił sobie krawat.

- Skontaktuję się z tobą, kiedy będziesz mi potrzebna. I nie musisz się już martwić tamtą sprawą. To będzie nasz wspólny sekret.

Na zewnątrz powietrze było przyjemnie ciepłe, lecz Rachel zapięła guziki dzinsowej kurtki i skrzyżowała ramiona na piersi. Trudno jest dochować tajemnicy, pomyślała, szybko idąc w kierunku domu.

- Nie powiesz Martinowi, prawda? - poprosiła kiedyś Daniela. - Obiecay mi. Wiesz przecież, że naprawdę cię lubię i jesteś mi bliski. Zawsze będziemy przyjaciółmi, ale proszę, bardzo cię proszę, nie mów nic Martinowi.

Spełnił jej prośbę i po pewnym czasie prawie zapomniwała, co wydarzyło się między nimi tamtego lata, kiedy słońce świeciło codziennie przez całe trzy tygodnie, a ją każdego ranka budził zapach przygotowywanego przez Daniela śniadania. Po jedzeniu rozkładała na stole rysunki i razem układali plan pracy na bieżący dzień. Przynosiła mu domową lemoniadę w wysokich szklankach i kanapki, a potem gotowała obiad i do późna siedzieli w ogrodzie, rozmawiając o wszystkim, co przyszło im do głowy. Daniel opowiedział jej wtedy o wypadku, który wraz z kolegami spowodował jako nastolatek. Ukradli samochód i jechali zdecydowanie za szybko. Poboczem szła kobieta z dzieckiem. Siedzący za kierownicą chłopak stracił kontrolę nad samochodem, zjechał z szosy i uderzył w kobietę i jej dziecko. Obydwoje zginęli. Daniel trafił do poprawczaka.

Pokazał jej wytatuowaną na ramieniu różę, pamiątkę z tamtego okresu.

- Byłem czarną owcą rodziny. Martin nie pozwala mi o tym zapomnieć.

- Nie, Martin wcale nie uważa cię za wyrzutka - zaprotestowała. - On cię bardzo kocha. Sę w tym, że zawsze stawia wysokie wymagania, i sobie, i mnie, i tobie także.

- Ale ja nie potrafię mu dorównać - rzekł Daniel. - Martin wszystko robi doskonale.

Wtedy Rachel się roześmiała i powiedziała mu, że jest jedna rzecz, której Martin nie potrafi robić.

- Chodź ze mną - poleciła i zawiozła go do portu.

Razem spuścili łódź na wodę. Daniel nigdy wcześniej nie żeglował, lecz od razu złapał bakcyła.

- No, widzisz! - zawołała, przyglądając się, jak łapie równowagę i jak szybko uczy się przewidywać zmianę kierunku wiatru. - Widzisz, Martin w ogóle sobie z tym nie radzi. Nienawidzi pływać, po pięciu minutach dostaje choroby morskiej. I jeszcze coś, Dan. Tylko mu nie mów, że ci o tym powiedziałam, pamiętaj - Martin boi się morza.

I chyba właśnie tej nocy usłyszała, jak drzwi sypialni otwierają się cicho. Daniel stał w progu, w półmroku i czekał. Usiadła i wyciągnęła do niego ramiona, wciągnęła go do łóżka. Ukryła twarz na jego piersi i poczuła dotyk gorących dłoni na nagim ciele. Przez całą noc zapadała w płytki sen i na krótko wracała do rzeczywistego świata, a kiedy w końcu obudziła się na dobre, przywitał ją piękny dzień i aromat smażonego bekonu. Daniel robił śniadanie, ubrany w spłowiełe niebieskie dżinsy i podartą koszulkę, i wtórował Beatlesom, których piosenka właśnie leciała w radiu. W tosterze skwierczały grzanki, a na talerzu Rachel leżał kwiat nasturcji, którego jasnopomarańczowe płatki pocięte były purpurowymi żyłkami.

Ale ona kochała Martina, naprawdę kochała. Kiedy nacieszyła się nowością, jaką była łagodność Daniela i jego bezustanna gotowość do sprawiania jej przyjemności, ze szczerą ulgą przyjęła wiadomość, że Martin wcześniej wraca do domu.

- To będzie nasz sekret, Dan, dobrze? - powiedziała.

Dan skinął głową i pocałował ją na pożegnanie. W policzek. Od tej chwili zawsze trzymał się od niej z daleka.

Rachel miała nadzieję, że Judith także będzie trzymała się na dystans i wcale się nie ucieszyła, kiedy pewnego dnia wyszła zza stojaków z ubraniami w foliowych pokrowcach i zobaczyła przyjaciółkę z więzienia, w luźnej pozie opartą o kontuar.

- Jak mnie znalazłaś? - zapytała, gdy razem szły główną alejką centrum handlowego.

Judith wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

- Dobre więzienne kontakty - powiedziała. - Chciałabym tylko wiedzieć, dlaczego ty nie znalazłaś mnie wcześniej. Liczyłam, że odezwiesz się zaraz po wyjściu. Że będziesz potrzebowała mojej pomocy.

Rachel nie potrafiła wyjaśnić, że w jej życiu nie ma już miejsca dla Judith, dla czułości, łagodności i dobroci. Miała teraz inne priorytety, dlatego kazała jej odejść. A teraz Judith nie żyła. Donnelly powiedział, że nie są pewni, kiedy zginęła, ale musiała przeleżeć co najmniej pięć dni pod cienką warstwą ziemi przy torach kolejowych, zaledwie dwa kilometry od mieszkania Rachel. Leżała tam martwa, chociaż Rachel mogła ją od tego uchronić, mogła okazać jej miłość i zaopiekować się nią. Judith powiedziała jej o dziecku.

- Nie mogę go urodzić. Nie chcę go. Pomożesz mi?

Odmówiła. Powiedziała, że nie jest w stanie nic zrobić, że ma inne ważne sprawy na głowie.

- Poproś matkę - rzekła. - Mieszka w Anglii i na pewno ci to załatwi. Albo wyduś trochę grosza z ojca. Niezależnie od tego, jaki jest, w końcu ma wobec ciebie jakieś obowiązki.

Judith spojrzała na nią z niedowierzaniem i odeszła, nawet się nie żegnając.

A ja byłam zadowolona, że problem sam się rozwiązał, pomyślała Rachel. Trzęsłam się ze strachu, że ktoś mógłby mnie z nią zobaczyć i nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie pójdzie...

Policjant zostawił tamtą fotografię opartą o czajnik. Po jego

wyjściu wzięła ją do ręki i długo się w nią wpatrywała. Potem zaczęła płakać. Szlochała tak, jakby serce miało jej pęknąć, aż w końcu zrozumiała, że czuje już tylko kwaśną gorycz i gniew. Przypomniała sobie album, który brat Judith przysłał jej do więzienia na urodziny - Obrazy Caravaggia. Między kartki książki wetknięta była zakładka, szkarłatny sznurek. Album otworzył się na reprodukcji obrazu, na którego widok Rachel krzyknęła cicho i odłożyła książkę na trawę. Dopiero po dłuższej chwili mogła spojrzeć na fotografię po raz drugi.

- Wiesz, co ten obraz przedstawia, prawda, Rachel? - zapytała cicho Judith, z ustami tuż przy policzku przyjaciółki.

- Oczywiście. Oczywiście... Chodzi mi tylko o to, że... Że to taka dziwna, zdumiewająca wizja...

Miecz przeciął grubą szyję brodatego mężczyzny. Młoda kobieta wpatrywała się w jego twarz z pełną skupienia powagą. Odciągnęła ściętą głowę do tyłu, jej palce wczepione były we włosy ofiary. Rachel pamiętała, jak czuła się w chwili, gdy Martin szarpnął ją, mocno trzymając za włosy.

- Wspaniały obraz, co? Nasz ulubiony, mój i Stephena. Pewnego dnia pojedziemy do Rzymu i pójdziemy do Galleria Nazionale d'Arte Antica, żeby go zobaczyć. Wybierzesz się z nami?

Wychodząc z więzienia, Rachel dokonała jasno określonego wyboru, który spychał Judith na margines. Nie mogła pozwolić sobie na współczucie. W jej życiu nie było teraz miejsca na nic innego poza planem, który postanowiła zrealizować.

Zamknęła oczy. Chciała na chwilę uciec do świata wyobraźni i inaczej, lepiej przeżyć spotkanie z Judith, wiedziała jednak, że później nie będzie już o niej myślała.

Rozdział piętnasty

Daniel Beckett nie miał żadnych problemów z odszukaniem Rachel. Policjant, który w wolnym czasie dorabiał w jego agencji, postarał się o jej adres. Zajrzał także do akt Rachel i sprawdził warunki zwolnienia.

- Nie powinna pana niepokoić, szefie - powiedział. - Ale jeżeli pan chce, możemy ją trochę nastraszyć.

Daniel nie widział jednak żadnego powodu, by straszyć Rachel. Była bezbronna, nieszkodliwa i zupełnie samotna.

Pojechał pod dom przy Clarinda Park. Na podwórku stał rząd pojemników na śmieci, a na chodniku, na poziomie piwnicznych okien, leżało mnóstwo opakowań po chipsach i batonach czekoladowych. Przejechał powoli, chcąc sprawdzić, czy przypadkiem nie zobaczy Rachel między zakurzonymi firankami w dużych oknach na pierwszym lub drugim piętrze. Zwolnił, zatrzymał się na chwilę i spokojnie ruszył w górę ulicy. Okrążył skwer i zaparkował z drugiej strony. Potem pozostało mu już tylko czekać.

Wcześniej znalazł córkę Rachel. Rachel i moja, przypominał sobie, siedząc w kawiarni na nabrzeżu w Howth i obserwując, jak przechodzi od stolika do stolika, przyjmując zamówienia i uprzątając brudne naczynia. Wakacyjna praca, pomyślał, dobry sposób, żeby zarobić trochę pieniędzy przed rozpoczęciem nauki na uniwersytecie. Policjant, który podał mu adres

Rachel, zdobył także nazwisko przybranych rodziców Amy. Zrobił to bez trudu, bo wszystkie te dane znajdowały się w aktach Rachel, przechowywanych na komendzie policji. Daniel poszedł pod dom dziewczyny i idąc za nią, dowiedział się, gdzie pracuje.

- Tak, słucham? - Stała obok niego z notesem w rękę i uniesionym ołówkiem. - Co mogę panu przynieść?

Zamówił cappuccino i kanapkę z szynką, ale zaraz przywołał ją z powrotem i zmienił zamówienie na czarną kawę z ciastem z orzechami. Po chwili powtórzył ten manewr, tym razem zamawiając herbatę i kanapkę z żółtym serem.

- Na ciemnym czy jasnym chlebie? - zapytała przesadnie cierpliwym tonem.

Zawahał się, patrząc, jak na jej twarzy wyraz rezygnacji ustępuje miejsca irytacji.

- Niech pani sama zdecyduje, ja nie potrafię wybierać - powiedział i uśmiechnął się do niej.

Chwyciła przynętę i doradziła mu ciemne pieczywo.

- Jest zdrowsze - wyjaśniła z uśmiechem.

Nie widział jej wiele lat. Kiedy dowiedział się, że rodzice Rachel zamierzają znaleźć dla niej rodzinę zastępczą, długo się zastanawiał, czy nie powinien interweniować, lecz po dokładnym rozważeniu sytuacji zrezygnował z tego pomysłu. Rachel nigdy nie powiedziała nikomu, że on jest ojcem Amy. Spodziewał się, że ujawni to w czasie procesu, ale nie zrobiła tego. Obserwował jej twarz tamtego dnia, gdy składał zeznania i dostrzegł na jej twarzy wstyd, że ich związek został wywleczony na światło dzienne, że mówiono o nim publicznie. Nie chciała, aby te brudy skaziły dziecko. Daniel był przekonany, że właśnie dlatego zachowała milczenie. Potem często się zastanawiał, jak Amy wygląda, jak dorasta. I wreszcie spotkał Ursulę, która odmieniła całe jego życie i obdarzyła go dziećmi. Dzięki temu nie potrzebował już dziecka, które żyło w jego wyobraźni. Teraz uświadomił sobie, że prawie o niej zapomniał.

Zostawił jej napiwek i pomachał od drzwi. Chwilę patrzył

na nią przez szybę. Przypominała mu kogoś, ale nie Rachel. Gdyby nie wiedział, że dziewczyna jest jej córką, nigdy nie przyszłoby mu to do głowy. Nagle ciemna chmura przesłoniła słońce, na powierzchni szyby pojawiło się jego własne odbicie i wtedy zrozumiał, do kogo jest podobna. Odwróciła się ku niemu i pomachała mu jeszcze raz. Miała w sobie coś, co przyciągało uwagę, chociaż nie potrafił określić, co to takiego. Trudno powiedzieć, by była ładna, z tymi krótko ostrzyżonymi czarnymi włosami i mocnym, dość atletycznym ciałem. Zmarszczył brwi. Zaraz, zaraz... No tak, dziewczyna jest bardzo seksowna, pomyślał.

Jak jej matka, oczywiście nie teraz, ale kiedyś, dawno temu. Miała długie, smukłe nogi, mnóstwo wdzięku i przepiękny uśmiech, szczególnie zaraz po przebudzeniu. Śliczna i zdolna, była żoną jego brata, lecz cudownym zrzędzeniem losu przez dwa, może trzy tygodnie należała do niego, wyłącznie do niego. Był to wspaniały okres. Zwykle Daniel obracał go w myślach jak garść drobnych w kieszeni i zaraz spychał w głąb pamięci, ale teraz nie mógł tego zrobić, bo ulicą nadchodziła kobieta z tych wspomnień. Zmieniona nie do poznania. Szła lekko przygarbiona, z zaokrąglonymi plecami, niepewnie, z wahaniem. Co parę kroków przystawała, może dla złapania tchu, i rozglądała się, jakby nie była pewna, czy iść dalej. Przeszła tuż obok niego. Odwrócił wzrok i utkwił go w rozłożonej na kolanach gazecie. Serce załomotało mu w piersi. Przez moment była tak blisko, że mógłby zanurzyć palce w jej gęstych włosach, szpakowatych, wcale nie ciemnych i błyszczących. Nie zrobił tego. Skulił się na siedzeniu i patrzył, jak pokonuje resztę odległości dzielącej ją od bramy. Przystanąła na ostatnim stopniu schodów i dość długo wpatrywała się w drzwi, zanim wreszcie sięgnęła do kieszeni, wyjęła klucze, otworzyła i weszła do środka. Zaczekał jeszcze, bo sądził, że może pokaże się w jednym z okien nad wejściem do budynku, a kiedy ta nadzieja zawiodła, ponownie okrążył skwer i zaparkował w uliczce na tyłach domu. Spojrzał w górę i w końcu jego cierpliwość została nagrodzona - najpierw

zobaczył cień postaci, potem dolna połowa okna otworzyła się i Rachel wychyliła się na zewnątrz, wystawiając twarz na powiew wiatru. Podniosła głowę i zamknęła oczy. Wtedy rozpoznał w niej kobietę, jaką była dawniej. Czekał, aż się cofnie i zniknie w głębi pokoju. Usiłował wyobrazić sobie, co by się stało, gdyby był tam razem z nią. Czy kontakt z jej skórą nadal sprawiałby mu taką samą przyjemność? Czy nadal leżałby obok niej, bojąc się zasnąć, by nie stracić choćby najkrótszej chwili tych doznań? Czy dalej odczuwałby triumf, gdyby odwróciła się do niego z uśmiechem, z którego łatwo było wyczytać, że jej pożądanie jest tak samo silne jak jego? Uświadomił sobie, że musi już jechać. Przekręcił kluczyk w stacyjce i powoli ruszył w górę ulicy. Jest w tym jakaś dziwna symetria, pomyślał. Obserwuję córkę i matkę... Doszedł do wniosku, że obecny stan rzeczy całkiem mu się podoba. Wie, gdzie obie mieszkają i pracują, natomiast one nie wiedzą nic o nim. I tak jest dobrze. Tak powinno być.

Rozdział szesnasty

Kolejny upalny, pogodny dzień w środku lata. Mnóstwo słońca. Rachel włożyła ciemne okulary i wyciągnęła się na kocu pod skałą, na kamienistej plaży w Killiney. Oglądanie świata przez przyciemnione szkła było zupełnie nowym doświadczeniem. Dawniej nigdy ich nie nosiła. Nie podobało jej się, że zmieniają naturalne kolory świata, poza tym nigdy nie musiała z niczym się ukrywać, nie potrzebowała maskować uczuć. Lecz wczoraj, na pogrzebie Judith, okazało się to konieczne.

Przyszli wszyscy - Jack Donnelly i grupa innych, nieznanych policjantów oraz ojciec i brat Judith. Rachel natychmiast dostrzegła, że obaj są zdruzgotani. Pamiętała, jak sama czuła się tamtego dnia, gdy jak automat witała zebranych, ściskając jedną dłoń po drugiej. Usiadła w tylnym rzędzie i patrzyła. Zobaczyła wysoką, smukłą kobietę o białych włosach obciętych na pazia i twarzy Judith, tyle że zniszczonej przez upływający czas. Kobieta szła tuż za trumną. To matka Judith, pomyślała. Elizabeth usiadła za mężem i synem. Żadne z nich trojga nie okazało, że coś ich łączy. Rachel przypomniała sobie, co mówiła Judith. Elizabeth zdradziła Marka z przyjacielem domu, wyjechała, lecz niedługo potem wróciła i wystąpiła do sądu o przyznanie jej prawa do opieki nad dziećmi. Przegrała - sąd przyznał jej jedynie prawo do odwiedzin. Pewnego dnia przy-

jechała pod szkołę i zabrała dzieci. Przeprawili się promem do Anglii i pojechali prosto do Kent, gdzie Elizabeth zamieszkała. Trzy dni później policja odwiozła Judith i Stephena do ojca.

Obserwowała Elizabeth, gdy po nabożeństwie wszyscy wyszli z kościoła. Stała samotnie, w pewnej odległości od pozostałych żałobników. W zamyśleniu przeczesywała włosy palcami. Jedyłą osobą, która do niej podeszła, był Jack Donnelly. Wziął ją pod rękę i odprowadził na bok. Wyglądało na to, że zadaje jej pytania. Elizabeth odpowiadała, gestykulując. Rachel pomyślała o pocztówkach, które Judith dostawała w więzieniu, regularnie, raz na tydzień. Były to reprodukcje akwareli przedstawiających kwiaty i ptaki, bardzo szczegółowe i piękne, podpisane nazwiskiem Elizabeth. Matka Judith była malarką. Pracowała w rezerwacie przyrody, mieszkała w małym domku w środku lasu. Zupełnie jak w bajce.

- W każdym razie tak nam się wtedy wydawało - powiedziała Judith. - Stephen i ja byliśmy Jasiem i Małgosią, i przez trzy dni mieszkaliśmy w domku z piernika...

Oderwała kawałek pocztówki i zrobiła z papieru bardzo cienki rulonik. Wsunęła go do zwiniętego wcześniej z bibułki skrepta, zapaliła i zaciągnęła się. Po chwili wypuściła dym z ust.

- Matka chce, żeby przyjechała do niej, gdy wyjdę. - Podała skrepta Rachel.

- I co, pojedziesz?

- Nie wiem. Minęło tyle czasu... Co może mnie z nią łączyć?

Kiedy Donnelly odszedł i Elizabeth Hill znowu została sama, Rachel zbliżyła się i podała jej rękę. Elizabeth spojrzała na nią i nagle w jej oczach pojawił się błysk rozpoznania.

- Pani jest tą kobietą ze zdjęcia, tak?

Rachel kiwnęła głową.

- Była pani jej przyjaciółką?

Ponownie skinęła, nie mogąc wydobyć głosu z gardła.

- Dziękuję pani. Dziękuję za wszystko, co pani dla niej zrobiła. Judith pisała mi o pani. Wiem, że bardzo panią kochała.

Uścisk Elizabeth był mocny, jej dłoń ciepła. Objęła Rachel ramieniem i pocałowała ją w policzek.

- Niech pani będzie silna - szepnęła jej do ucha. - Proszę się trzymać. Dla mnie i dla Judith.

Rachel spojrzała na zegarek. Druga. Wczoraj o tej porze zwłoki Judith zostały poddane kremacji. Jej biedne, udęczone ciało przeistoczyło się w garstkę popiołu. Jack Donnelly zapytał ją, kto mógłby ją tak skrzywdzić, lecz nie wiedziała, co mu odpowiedzieć.

- Ktoś zrobił to z rozmysłem - rzekł Donnelly. - Nie był to akt zboczony namiętności czy gniewu. Morderca chciał, żeby bardzo cierpiała. Kto nienawidził ją aż tak silnie? Kto pragnął zadać jej tyle bólu? A może ktoś chciał ją przykładowo ukarać, a przy okazji nastraszyć kogoś innego? Czy o to chodziło?

Nie mogła mu odpowiedzieć. Nie chciała, nawet gdy oświadczył, że postara się, aby w ciągu kilku dni trafiła z powrotem za kratki. Wtedy także w milczeniu potrząsnęła głową, starając się przełknąć ból i łzy, i nie okazać słabości.

Lecz teraz łzy wreszcie pociekły po twarzy, do połowy przesłoniętej ciemnymi okularami. Zamknęła oczy, mocno zacisnęła powieki.

- Odpoczywaj w spokoju, moja najdroższa - powiedziała głośno.

Potem wstała i powoli zeszła nad wodę.

Dzisiejszy dzień miał być wyjątkowy. Rachel zaplanowała piknik i przygotowała go równie starannie jak swoją historię. Świeży razowy chleb. Cienkie plastry wędzonego łososia, z pokrojoną w ćwiartki cytryną, zabezpieczoną folią przed wyschnięciem. Pasta z wędzonej makreli i czarne oliwki z delikatesów w Glasthule. Kawałek dojrzałego koziego sera i krakersy. Kartonik truskawek i miseczka bitej śmietany. Winogrona i nektarynki. Butelka białego wina z Nowej Zelandii, zanurzona w małym oczku wodnym między skałami, żeby

wino odpowiednio się schłodziło. I książka do czytania. Była całkowicie gotowa. Mogła czekać choćby całe popołudnie, bo przecież nie wiedziała, kiedy kobieta, dzieci i pies zbiegną na plażę po wyciętych w skale stopniach.

Historia, jaką wymyśliła, była po prostu bez skazy, ułożona w taki sposób, aby wzbudzić sympatię i współczucie.

Wiek? Czterdzieści dwa lata.

Stan cywilny? Po separacji, tuż przed rozwodem.

Liczba, wiek i płeć dzieci? Dwóch synów na studiach. Obaj wyjechali na wakacje.

Miejsce urodzenia i obecne miejsce zamieszkania? Urodziła się w Dublinie, wychowała w Ranelagh i przeprowadziła do Londynu dwadzieścia lat temu, zaraz po ślubie. Przyjechała na miesiąc do Dublina, mieszka w domu przyjaciółki, która spędza urlop za granicą.

Zawód? Nauczycielka. Poświęciła się wychowywaniu synów, ale sześć miesięcy temu, po tym, jak mąż porzucił ją dla młodszej kobiety, wróciła do pracy.

Zawód męża? Doradca finansowy, pracuje dla inwestorów giełdowych.

Hobby? Ogrodnictwo, malarstwo, grafika, gotowanie.

Stan emocjonalny? Zagubiona, samotna.

Potrzeby? Znaleźć kogoś, z kim mogłaby porozmawiać.

Gdyby nie lekka bryza, na kamienistej plaży rozgrzanej jak patelnia byłoby zdecydowanie za gorąco. Słońce odbijało się w grzbietach fal, napływających z głębi morza, a wiatr przewracał kartki książki. Leżała oparta na łokciu i obserwowała grupę dzieci, bawiących się w pobliżu długą serpentyną ze splątanych wodorostów. Szarpały ją i wywijaly nad głowami jak lassem, rzucały daleko, tak, aby zaczepić o nogi najmłodszych dzieci, które starały się uskokzyć na bok i uniknąć uderzenia. Rachel nie miała wątpliwości, że wcześniej czy później zabawa zakończy się wielkim płaczem i awanturą. Nagle kątem oka dostrzegła dwoje dzieci, które pojawiły się u stóp wyciętych w klifie schodów i zaczęły oddalać się od matki, dźwigającej przypięte w nosidełku na piersi niemowlę i dużą płócienną torbę.

Rachel usiadła, obejmując kolana ramionami, i zmrużyła oczy. Chłopiec szedł szybko, wyprzedzając siostrę. Spojrzała na długie, chude nogi i całą sylwetkę, ale nie bardzo potrafiła ocenić jego wiek. Straciła tę szczególną zdolność, jaką posiadają wszystkie młode matki. Kiedyś wystarczyłoby jej jedno spojrzenie, aby określić, ile chłopiec ma lat. Och, siedem i pół, najwyżej osiem, powiedziałyby i od razu zaczęłyby porównywać go z własnym dzieckiem. Ale teraz wiedziała tylko, że ma przed sobą małego chłopca o nieskoordynowanych, kanciastych ruchach, który biegnie odrobinę niezdarnie, potykając się i ślizgając na mokrych kamykach. Przeniosła wzrok na kobietę z niemowlęciem. Byli podobni, o ich bliskim pokrewieństwie świadczyły długie nogi, wysokie kości policzkowe, kształt oczu, czaszki i kolor włosów.

Chłopiec nazywał się Jonathan. Rachel słyszała, jak dziewczynka woła za nim, z trudem brnąc po kamykach z plastikowym wiaderkiem i łopatką w ręce.

- Jonathan, Jonathan, zaczekaj na mnie!

Było to długie imię, ze zbyt wieloma sylabami jak na możliwości małej, zmęczonej i rozdrażnionej dziewczynki. Rachel widziała, jak dziecko nabiera powietrza, by wykrzyknąć imię brata. Mała bardzo chciała go dogonić, zaczęła biec, w jej głosie zabrzmiała rozpaczliwa nuta. Nic z tego, chłopiec oddalał się coraz bardziej.

Brat i siostra nie byli do siebie podobni. Dziewczynka była krągła i ciemnowłosa, solidnie zbudowana, z umięśnionymi łydkami i mocnymi, zwinnymi stopami w sandałach z czerwonej skóry. Jej buzia była miękka, policzki pulchne, podbródek okolony fałdką tłuszczu, a oczy, teraz pełne łez, duże i ciemne.

- Poczekaj na mnie, Jonathan. Poczekaj, proszę.

Chłopca już nie było, zniknął w grupie innych dzieci, przyłączył się do ich szalonej zabawy. Dziewczynka została sama. Rachel nie spuszczała wzroku z jej zapłakanej buzi, zastanawiając się, kiedy powinna interweniować.

Wysoka, jasnowłosa kobieta usiadła na płaskim kamieniu,

bez reszty pochłonięta niemowlęciem. Wyjęła je z nosidełka i położyła na kocyku. Dziewczynka rozejrzała się dookoła. Wiaderko i łopatka wypadły jej z ręki, stuknęły o kamienie i potoczyły się aż na brzeg plaży, lizany pianistymi jęzorami fal. Mała postąpiła krok w stronę Rachel.

- Ja cię znam, prawda? - zapytała rozedrganym, rozszlochany glosem. - Nie jesteś obca. Dałaś mi brzoskwinę i takie dobre lody. Lubię cię. Jesteś miła, a on jest okropny. Nie chciał na mnie poczekać. Nigdy nie chce. Biega szybciej ode mnie, zawsze. Nienawidzę go.

Nagle grupa dzieci zawróciła w ich kierunku. Starsze i szybsze popychały młodsze, a wszystkie pokrzykiwały i wrzeszczały. Jonathan wciągnął siostrę do środka, chwycił ją za ramię, drugą ręką świsnął w powietrzu biczem z wodorostów niczym lassem i uderzył ją w plecy. Dziewczynka krzyknęła, straciła równowagę i upadła na twarde, mokre kamienie. Pozostałe dzieci zaczęły podskakiwać i tańczyć dookoła niej, zupełnie jakby zamierzały złożyć ją w ofierze jakiegoś tajemniczemu bóstwu.

Zanim Rachel uświadomiła sobie, co robi, już zerwała się na równe nogi i przepchnęła między dziećmi, chwytając dziewczynkę na ręce. Krzyczała, że nie wolno zachowywać się w ten sposób i groziła im gniewem rodziców. Ostrożnie postawiła małą na ziemi, przygładziła włosy, otrzepała kolana ze żwiru i kawałków muszelek, wzięła ją za rękę i odprowadziła na bok. Jonathan stał w odległości kilku kroków od grupki dzieci, nie wiedząc, co robić. Najpierw odwrócił się ku Rachel i siostrze, potem znowu ku dzieciom, które już rozchodziły się powoli. Niektóre niespokojnym wzrokiem szukały rodziców, inne, nadal harde, wykonywały gniewne gesty, rozdając niewidzialnym wrogom ciosy w stylu kungfu rękami i nogami. Jonathan tkwił w miejscu, jak uschły liść, bezwładnie zwisający z gałęzi. Jeszcze przed chwilą kipiał energią i chęcią do zabawy, teraz był przestraszony i pełen skruchy.

Nagle pojawiła się przy nich matka, przerażona, z krzyżącym, wyrwanym ze snu dzieckiem na rękę. W tym mo-

mencie Rachel przystąpiła do akcji. Uspokoila kobietę i dzieci, wyjaśniła, co się stało, posadziła ich na swoim kocu, poczęstowała jedzeniem, wyjęła korek z butelki i podała kieliszek jasnowłosej Ursuli Beckett. Widziała, jak kobieta się rozluźnia, z uśmiechem układa sobie niemowlę na kolanach i przytula siedzącą obok niej dziewczynkę. Nawet starszy chłopiec uklęknął na brzegu koca i przyjął talerzyk z truskawkami i bitą śmietaną. Dziesięć minut później na plaży panował spokój, a słońce nadal odbijało się w grzbietach fal, toczących się ku brzegowi z głębi Morza Irlandzkiego.

- Ma pani do nich doskonałe podejście. Naprawdę panią lubią. Odkąd urodziłam najmłodszego, nie mam właściwie ani chwili czasu wyłącznie dla nich.

Robiło się późno. Jedzenie zniknęło, napoje także. Bawili się już w chowanego i w berka, puszczała kaczki na falach. Niemowlę zasnęło, obudziło się, zostało nakarmione i przewinięte, zasnęło znowu, ocknęło się i teraz leżało na kolanach Rachel, bacznie wpatrując się w jej twarz. Rachel uśmiechała się i robiła miny, obserwując, jak malutki chłopczyk stara się ją naśladować, układając wargi w podobny kształt i wymachując rączkami. Palcem wskazującym delikatnie gładziła czubek maleńkiej główki, wyczuwając lekkie wgłębienie w miejscu, gdzie ciemiączko jeszcze się nie zasklepiło. Zastanawiała się, kiedy ostatni raz trzymała na rękach dziecko w podobnym wieku. Było to w więzieniu. Jedna z dziewcząt, które się z nią zaprzyjaźniły, przyjechała do niej w odwiedzinach z sześciomiesięcznym synkiem, bardzo dużym i silnym, karmionym butelką. Jego ubranko trochę cuchnęło, bo zwymiotował w autobusie, który utknął w korku na prowadzącej do więzienia North Circular Road.

- Jezu, ależ on śmierdzi, Rachel! Szkoda, że nie wzięłam jakichś rzeczy na zmianę!

W powietrzu wisiał ciężki zapach tytoniowego dymu. Tina została przedterminowo zwolniona z powodu ciąży i starała się rozpocząć nowe życie. Rachel widziała, że Tina jest

zakochana w dziecku i macierzyństwie. Tak bardzo pragnęła pochwalić się przed nią ślicznym, zdrowym synkiem...

- Jest cudny, co? Strasznie go kocham. Zrobiłabym dla niego wszystko, Rachel. Absolutnie wszystko.

- Zmienisz się? - zapytała Rachel. - Skończysz z tym gównem, właśnie dla niego?

- Zrobię wszystko, wszystko. Jest taki słodki i mój, tylko mój.

Dziecko usiłowało podnieść się na kolanach Rachel i wyciągnęło ręce do matki. Tina chwyciła je i ukryła twarz w tłustych fałdkach na karczku. Śmiała się, wdychając zapach wymiocin i ciesząc się bliskością synka.

- Nawet sobie nie wyobrażałam, że można tyle prac, Rachel! Cały pieprzony dzień! Ciągłe tylko piore, rozwieszam, prasuję i przebieram go. I wiesz co? Uwielbiam to!

Tina, najgorsza z nich wszystkich. Dziewczyna z blizną biegnącą od lewego ucha do kącika ust, wielokrotnie skazana za narkotyki, rabunek, napady... Pozornie twarda jak metalowa krata w Oknach, lecz w środku miękka i wrażliwa, kochała historie ze szczęśliwym zakończeniem.

- Przeczytaj mi to jeszcze raz, Rachel. Przeczytaj tę bajkę o księżniczce i zabie. Bardzo ją lubię. I opowiedz mi tamtą o dzieciach Lira i o ich macosze, która próbowała się ich pozbyć. Kiedy płaczę, zapominam o złości i odpływam. Pozwól mi poczuć miłość, Rachel. Zaopiekuj się mną.

- Będzie miał ciemne włosy, jak Laura - zauważyła Rachel, głaszcząc delikatny, miękki puch, pokrywający główkę dziecka. - A oczy? Jakiego koloru będą jego oczy?

- Szare. - Ursula Beckett przeciągnęła się i ułożyła na boku, opierając głowę na zgiętym ramieniu. - Takie jak ojca. Daniel i Laura są do siebie podobni jak dwie krople wody. Zabawne, prawda? - Usiadła, wyjęła grzebień z torby i przeczesała włosy, spinając je u nasady karku dużą kłamrą z szylkretu. - Dzieci tych samych rodziców, a takie inne. Jonathan jest dokładnie taki jak mój ojciec, ma te same gesty, taką samą

mimikę. Czasami zupełnie mnie to zaskakuje, bo dziadek Jonathana nie żyje już od pięciu lat. Chłopiec właściwie go nie znał. Zrobiło się chłodniej. Plaża opustoszała. W oddali, brzegiem morza, szła para ludzi z psem. Ich sylwetki wyraźnie rysowały się na tle zielonobłękitnej zatoki, na której krańcu sterczał ciemny garb Przylądka Bray.

- A pani synowie? Proszę mi o nich opowiedzieć! Są podobni do pani czy raczej do męża?

Rachel pospiesznie przypominała sobie przygotowany wcześniej opis.

- Starszy jest brunetem, ma ciemne oczy. Nie przepada za nauką, ale ciężko pracuje. Uwielbia sport, najchętniej przebywa na świeżym powietrzu. Jest świetnym żeglarzem i doskonale pływa. Kiedy był mały, miał pewne kłopoty z czytaniem, ale chodził na zajęcia wyrównawcze i bardzo mu to pomogło. Jest serdeczny, spokojny i łagodny. Trochę nieśmiały, lecz uparty i zdecydowany. W ogóle niepodobny do młodszego brata.

- Jaki jest młodszy?

- Och, to urodzony gwiazdor. Bardzo inteligentny, zawsze wspaniale radził sobie w szkole, no i jest wyjątkowo przystojny. Wysoki i szczupły, ma jasnobrązowe włosy, które w lecie zwykle robią się jeszcze jaśniejsze od słońca, i intensywnie niebieskie oczy. Czasami martwię się o niego, bo jest strasznie ambitny, skupiony na sobie i ma zmienne nastroje. W mgnieniu oka przechodzi od wesołości i pogody do burzy i chłodu. Bywa to przerażające, a równocześnie w jakiś dziwny sposób atrakcyjne. Już teraz polują na niego dziewczyny...

- Musiała pani przeżyć szok, kiedy mąż odszedł. Jak przyjęli to chłopcy?

- Trudno powiedzieć. Nie zwierzają mi się ze swoich przeżyć, przynajmniej na razie.

- Mój Boże, to musiało być straszne! Czy bardzo panią zranił? Wiedziała pani, że ma romans?

Rachel milczała.

- Przepraszam - powiedziała Ursula, biorąc najmłodsze dziecko z jej kolan. - Nie chciałam być wścibska, naprawdę...

- Nie, nie, nic się nie stało. Cieszę się, że mogę o tym porozmawiać. Nasi przyjaciele przeważnie nie wiedzieli, jak się zachować w tej sytuacji, nie chcieli zajmować zdecydowanego stanowiska. A jeśli chodzi o jego romans... Cóż, okazałam się przysłowiową głupią żoną, która o wszystkim dowiaduje się ostatnia. Nie miałam pojęcia, że jest z kimś związany. Pewnego dnia wrócił wieczorem do domu i powiedział mi o tym. Oświadczył, że jego kochanka jest w ciąży i chce się z nią ożenić...

- Na pewno synowie pomogli pani przeżyć te trudne chwile, prawda?

Rachel wstała i zaczęła pakować resztki pozostałe po pikniku.

- Chłopcy mają własne życie. Wolałabym nie wciągać ich w nasze problemy. Widzi pani, zrozumiałam, że dzieciom trzeba dać wolność, trzeba pozwolić im odejść. To chyba jedna z najważniejszych rzeczy, których nauczyłam się jako matka. Pozwolić im odejść, tak... Zacząć radzić sobie bez nich.

Chłopiec i dziewczynka nadal bawili się w dole, tuż nad wodą. Budowali fortyfikacje z większych kamieni i teraz zajęci byli konstruowaniem fosy, do której wpadały fale. Rachel przyglądała im się uważnie. Wokół panował spokój. Ursula zajęła się niemowlęciem. Zmieniała mu pieluszkę i przebierała przed powrotem do domu. Rachel obrzuciła ją czujnym spojrzeniem i szybko odwróciła wzrok. Ostrożnie, prawie na palcach ruszyła po mokrych kamieniach w kierunku dzieci. Widziała zbliżone do siebie głowy, ciemną i jasną, skupione na nowym zadaniu. Nie słyszały jej miękkich kroków, dyskutowały o czymś z podnieceniem. Patrzyła na nich z góry i być może dlatego wydali jej się bardzo mali. Morze podbiegło do nich, oblewając spienioną wodą kostki i łydki, i zaraz się cofnęło, zagarniając drobne kamyki i muszelki. Gołe stopy dzieci mocniej zagłębiły się w miękki piasek. Rachel przystanąła. Przez krótką chwilę pomyślała o ich matce i ojcu. Jak przyjęliby wiadomość, że coś się stało ich dzieciom...

Podchodziła coraz bliżej. Laura i Jonathan nadal nie zdawali

sobie sprawy, że jest tuż obok. Obejrzała się jeszcze raz. Matka klęczała na kocu, pochylona nad niemowlęciem, które płakało głośno, wyraźnie rozdrażnione i zmęczone. Para z psem oddalała się w stronę Bray. Prawie nie było ich widać. Nie usłyszą, nikt nie usłyszy, gdy dwoje dzieci nagle wpadnie do wody. Będą się szarpać i walczyć, wzbijając białą pianę rękami i nogami, ale Rachel będzie w pobliżu. Zanurzy się po kolana, po uda, wreszcie poślizgnie się i straci równowagę, upadnie, popłynie ku dzieciom, wyciągając do nich ręce. Potem zrobi głęboki wdech i zanurkuje. Pociągnie dzieci w dół, przytrzyma z każdą chwilą coraz bardziej bezwładne ciała, z których ciśnienie wody powoli wyprze powietrze...

Nikt nie zobaczy, nikt się nigdy nie dowie. Zrobiłam wszystko, co mogłam, powie Rachel. Próbowałam je ratować, starałam się, ale... I będzie patrzyła na rozpacz, malującą się na twarzach rodziców.

Nagle Laura podniosła głowę i uśmiechnęła się.

- Popatrz, Rachel! - zawołała. - Podoba ci się? Wspaniałe, co? Mój kawałek jest mocniejszy, lepszy niż Jonathana. Dużo lepszy. Jestem najmądrzejsza, prawda?

Jej okrągła buzia miała błagalny wyraz. Rachel знаła go, w przeszłości nieraz widziała go w innych oczach...

Popatrz, mamusiu! Zobacz, co zrobiłam!

Spójrz na to, mammo!

Mamusiu, patrz, patrz! Dobrze to zrobiłam? Jestem grzeczną dziewczynką? Najgrzeczniejszą?

Przykucnęła obok Laury, czując, jak fale liżą jej stopy i kostki, jak moczą nogawki spodni. Objęła małe, prężne ciało i oparła policzek o gładkie czoło dziewczynki.

- Jesteś wspaniała, skarbie - szepnęła tak cicho, aby jej słów nie usłyszał nikt poza Laurą. - Jesteś najlepsza i najgrzeczniejsza, zawsze. Pamiętaj o tym.

Rozdział siedemnasty

- Poprosiłem was obu, abyście byli obecni przy rewizji.

Wczesny ranek, ósma trzydzieści. Słonecznie, chociaż od północnej strony nieba zaczęły wypełzać groźne ciemne chmury. Jack stał na środku salonu domu Hillów w Rathmines, doktor Hill i jego syn Stephen stali przed nim. Patrzyli na niego z nieukrywaną niechęcią.

- Jak już powiedziałem, prosiłem, abyście byli obecni pod czas przeszukania domu, ogrodu i garażu. Jestem w posiadaniu dokumentów zezwalających na podjęcie tego rodzaju działania. Sąd Okręgowy wydał nakaz rewizji, mam go tutaj. Jeżeli będziemy musieli zabrać jakieś przedmioty, oczywiście zostanieie o tym poinformowani. Jestem pewien, że zechcecie z nami współpracować.

A nawet jeżeli nie, pomyślał, usiłując odczytać mieszaną emocji, jaka pojawiła się na ich twarzach, to możecie mnie pocałować w dupę.

- Nie rozumiem konieczności takiego kroku - odezwał się doktor Hill. - Nie wierzę, aby pan rzeczywiście sądził, że Judith została zamordowana w tym domu. I że któryś z nas, Stephen lub ja, miał coś wspólnego z jej śmiercią. Obaj powiedzieliśmy wszystko, co wiemy, i staraliśmy się pomóc w pańskim... - Przerwał, jakby nagle musiał wziąć głęboki oddech. - W pańskim idiotycznym śledztwie. Wydaje się zu-

pełnie oczywiste, że czegoś takiego nie mógł zrobić człowiek cywilizowany, lecz ktoś z samego dna, z bagna, a więc najprawdopodobniej jedna z osób, z którymi Judith spędziła dwa lata w więzieniu.

Szkoda, że to nie jest takie proste, pomyślał Jack. Odchrząknął.

- Może pan tak sądzić, doktorze Hill, zresztą na pierwszy rzut oka rzeczywiście jest to wersja najłatwiejsza do przyjęcia. Proszę mi wierzyć, rozumiem pański ból z powodu straty córki, i to w takich okolicznościach. Ja też jestem ojcem. Widziałem już wiele osób, które przechodziły przez to samo, co pan. Niech pan postara się spojrzeć na tę sytuację z mojego punktu widzenia. Jeżeli weźmie się pod uwagę dowody, którymi dysponujemy, wszystko naprawdę wygląda trochę inaczej. Ustaliliśmy na przykład, że Judith została uduszona kawałkiem sznura, całkiem zwyczajnego, takiego do wieszania bielizny. Za pańskim pozwoleniem wzięliśmy próbkę sznura z domu i zauważyliśmy, że z jednego końca odcięto ostatnio kawałek. Przykro mi o tym mówić, ale końcówka idealnie pasuje do narzędzia zbrodni. Wiemy, oczywiście w przybliżeniu, kiedy zginęła Judith, i mamy świadków, pańskich sąsiadów, którzy utrzymują, że widzieli ją tutaj, w tym domu, w dniach, o które nam chodzi. Jedna z sąsiadek mówi, że w dniu jej urodzin, przypadającym w ustalonych przez nas ramach czasowych, Judith przyszła złożyć jej życzenia i przyniosła bukiet kwiatów.

Przerwał i znowu spojrzął na obu Hillów. Na ich twarzach malowały się teraz zupełnie odmienne uczucia, co bardzo zainteresowało Jacka. Stephen Hill wyglądał na śmiertelnie znudzonego. Ziewnął szeroko, odsłaniając drobne białe zęby. Jack drgnął nerwowo, ponieważ przed oczami natychmiast stanęła mu martwa twarz Judith w chwili, gdy w kostnicy Johnny Harris podciągnął jej wargi do góry, aby obnażyć dziąsła. Sweeney miał rację, brat i siostra byli do siebie bardzo podobni... Natomiast doktor Hill był zdenerwowany. Niespokojnie stuknął butem o podłogę, skubał krawat i pasek, a drugą ręką podzwaniał monetami w kieszeni spodni.

- Pojawia się też kwestia grupy krwi płodu - podjął Jack, przerzucając kartki notesu. - Chłopca, nienarodzonego dziecka Judith. Miał grupę krwi „0”. tę samą co Judith, pan oraz Stephen...

- I co pan w związku z tym sugeruje, na miłość boską? - Hill wyprostował się, jego twarz poczerwieniała. - Czyżby mnie słuch mylił? Czy rzeczywiście ośmiela się pan insynuować, że moja córka i siostra Stephena była w ciąży z którymś z nas?! Jest pan szaleńcem, inspektorze Donnelly! Nie mam cienia wątpliwości, że brakuje panu piątej klepki!

- Doprawdy, tak pan sądzi? A ty co o tym myślisz, Stephen?

Stephen Hill krótką chwilę przyglądał mu się z uśmiechem.

- Myślę, inspektorze Donnelly, że w obecnej chwili istnieją znacznie bardziej nowoczesne i dokładne testy, niż prymitywne badania medycyny sądowej, na które próbuje się pan powoływać. Lepiej, żeby pan je zastosował, zanim wytoczy pan dalsze oskarżenia.

I tu mnie masz, gówniarzu, pomyślał Jack. Ciekaw był, jak długo będą musieli czekać na wyniki badań DNA. W laboratorium medycyny sądowej powiedziano im, że kolejka jest długa. Jak zawsze.

- No, dobrze. - Jack podszedł do drzwi. - Najlepiej będzie, jeżeli szybko zaczniemy i szybko skończymy...

Dom przeszukiwało pięciu detektywów. Wiedzieli, czego mają szukać, liczyło się wszystko, co mogło mieć walor tropu lub poszlaki, ze szczególnym uwzględnieniem przesieradła podobnego do tego, w które owinięta była zamordowana, noża, nożyczek albo innych ostrych przedmiotów, którymi zabójca mógł zadać dziewczynie rany cięte w okolicy pochwy i odbytu oraz śladów krwi, choćby to miała być tylko kropelka.

Jack ruszył przez hol w kierunku wiodących na piętro kręconych schodów. Mark Hill postąpił za nim, lecz Jack zatrzymał go i poprosił, by został na dole i objaśnił pozostałym policjantom rozkład domu. Zostawił go w towarzystwie Sweeney'a.

Na parterze znajdował się niewielki gabinet, dwa duże pokoje w amfiladzie - salon i jadalnia - oraz mroczna, ciasna kuchnia. Wszystkie pomieszczenia umeblowano ciężkimi antykami. Jack zapamiętał mahoniowy stół i podęczny blat, sofy o wysokich oparciach, obite wypłowiałym kretonem krzesła oraz portrety poważnych przodków rodziny, których oczy patrzyły w dół i we wszystkie możliwe strony. Ogród był zaniedbany i zarośnięty. Na środku trawnika rosły dwie przynięczone ciężarem owoców jabłonie. Całość otaczały rabaty ziół, zachwaszczone i prawie już niewidoczne wśród wysokiej trawy. Z tyłu ogrodu znajdował się garaż, spory budynek z surowej cegły. Jack zauważył, że sąsiednie domy zostały przebudowane i odnowione w stylu dawnych stajni.

Piętro składało się z czterech sypialni i dużej łazienki. Było oczywiste, że w ciągu minionych lat nie zrobiono nic, aby zmienić rozkład i wystrój domu. Ściany pokrywała wyblakła kwiecista tapeta, dywany robiły wrażenie poprzecieranych. Centralnego ogrzewania chyba po prostu nie zainstalowano, a łazienkę urządzono po spartańsku - była tu tylko duża wanna, ciężka emaliowana umywalka, a obok toaleta i umocowany wysoko na ścianie bojler. Na poddaszu znajdowały się kolejne trzy pokoje.

- Nic tam nie ma - powiedział Hill. - Kiedyś były to pokoje dla służby, oczywiście dawno temu. Teraz stoją tam stare meble, zbędne sprzęty i inne śmieci. Od lat przymierzam się do uprzątnięcia tych pokoi, ale jakoś zawsze brakuje mi czasu.

- Który pokój należał do Judith?

- Kiedy wyszła z więzienia, skłoniłem ją, żeby spała w sypialni obok mojej. Wolałem mieć ją na oku. Chyba można powiedzieć, że to właśnie był jej pokój. Przez ostatnich kilka miesięcy mieszkała w akademiku i zabrała stąd dużo swoich książek, ubrań i rzeczy osobistych, dlatego prawie nic tam nie ma.

Miał rację. Pokój był mały, wąski i pusty. Naprzeciwko drzwi stało wysokie, staroświeckie łóżko, porządnie zasłane. Z jego jednej strony ustawiono komodę, z drugiej niewielki

stolik. Zupełnie nagie, pozbawione jakichkolwiek dekoracji ściany pomalowano na nieciekawym kremowym kolorze, czarne deski podłogi przykrywał zniszczony dywan. Za drzwiami stała wysoka ciemna szafa. Jack otworzył ją i cofnął się zaskoczony, ponieważ niespodziewanie ujrzał swoje odbicie w ogromnym lustrze. Uśmiechnął się i poprawił krawat. Doszedł do wniosku, że ostatnio wygląda całkiem nieźle, zwłaszcza jeżeli weźmie się pod uwagę, co niedawno przeżył. No i to, że nie miał zielonego pojęcia, kto zabił Judith Hill.

Nie znalazł żadnych wskazówek. W szafie na drucianych wieszakach wisiały dwie pary znoszonych dżinsów, tweedowy płaszcz i zielony wełniany blezer z godłem szkoły na górnej kieszonce. To wszystko. Zamknął szafę i rozejrzał się po pokoju, który nagle skojarzył mu się z więzienną celą. Nie było tu ani książek, ani listów, pamiętników, notatników czy choćby ubrań. Ciekawe, bo w pokoju, który Judith zajmowała w akademiku, też niewiele znaleźli. Zostawiła tam sporo książek z biblioteki wydziałowej, notatki z wykładów i pudło z dyskietkami. Sweeney przejrzał wszystkie i stwierdził, że zawierają materiały związane ze studiami. Jack liczył, że znajdzie pamiętnik - Judith wydała mu się tego typu osobą - ale te nadzieje okazały się płonne. Żadnego dziennika intymnego, żadnych listów, żadnych wiadomości przeznaczonych dla matki, ojca, brata, Rachel czy innych osób, z którymi miała do czynienia w więzieniu.

Jack próbował nakłonić doktora Hilla, by opowiedział mu o swojej żonie, lecz poniósł sromotną porażkę.

- Nie mam na ten temat nic do powiedzenia - oświadczył Mark Hill. - Dla mnie ta kobieta przestała istnieć.

Stephen Hill był równie mało rozmowny.

- Moja matka... - mruknął, lekko wydymając wargi. - Nie jest dla mnie jasne, o kim pan mówi...

- Przecież twoja matka, Elizabeth Hill, była na pogrzebie Judith.

- Naprawdę? Nie zauważyłem.

- Czy ojciec ma podobne odczucia?

Stephen uśmiechnął się, nieprzyjemnie wykrzywiając usta i całą twarz.

- Ojciec jest bardzo emocjonalnym człowiekiem - stwierdził. - Zdolnym do wielkiej miłości i równie wielkiej nienawiści.

Dam głowę, że jest też bardzo zaborczy, pomyślał Jack. Stał w progu pokoju na poddaszu. W suficie z obnażonym belkowaniem znajdowało się duże uchylne okno. Wychodziło na północ, dzięki czemu wpadające tu światło było chłodne i czyste, nieskażone pozłotą słonecznych promieni. Na środku pokoju stały duże sztalugi, a na nich płótno. Jack podszedł bliżej. Obraz przedstawiał dwoje dzieci. Był niedokończony, lecz uderzająco piękny. Dzieci patrzyły prosto w oczy podziwiającej je osoby i gdy Jack się odsunął, ich spojrzenie podążyło za nim. Chodząc po pokoju, wciąż czuł na plecach ich wzrok. Były tu półki, pudła z farbami i pędzlami, szkicowniki i obrazy, całe mnóstwo obrazów. Niektóre były oprawione, inne zwinięte w rulony. W jednym rogu pokoju znajdowało się coś w rodzaju prasy drukarskiej, poplamionej tuszem, a obok duży, prostokątny zlew. Schylił się i od razu poczuł ostry zapach kwasu. Na ścianie naprzeciwko drzwi wisiał długi rząd oprawionych biało-czarnych fotografii. Jack bez trudu zorientował się, kogo na nich uchwycono - przede wszystkim Judith i Stephena w wieku niemowlęcym i trochę starszym. Był tam także młody Mark Hill, przystojny i silny, w kąpielówkach i stroju do tenisa. Na innym zdjęciu Mark siedział na turystycznym krzeselku przed namiotem, obok kuchenki, wywijał drewnianą łyżką i śmiał się wesoło. W drugim kącie Jack odkrył coś, co wyglądało na duży kredens, ukryty za czarnymi zasłonami. Kiedy je rozsunął, zobaczył powiększalnik fotograficzny, niski stół do wywoływania zdjęć i zlew z bieżącą wodą. Wszystko poplamione było farbami, nawet ściany. Co za kolory, pomyślał Jack. Błękity, zielenie, jaskrawe żółcie i fiolety, lecz przede wszystkim czerwienie - szkarłatny, ceglaste cynobry, purpura, bycza krew, głęboka i ciemna. Dziwny facet z tego Hilla... Czuje do żony tak wielką nienawiść, że nawet nie chce wymawiać jej imienia, a jednak

przez tyle lat niczego tu nie zmienił. Czyżby chciał zatrzymać przy sobie duszę Elizabeth, pozostawiając pokój w takim stanie, w jakim był w dniu, kiedy go opuściła?

Schylił się i spojrzął na ciemnoczerwone plamy, wyraźnie widoczne na nagich deskach. Były nieco wypukłe. Podrapał jedną paznokciem i zobaczył, że zostało na nim trochę czerwonej substancji. Podniósł rękę do nosa i powąchał. Nie czuł charakterystycznego zapachu farby. Wyjął z kieszeni czystą chusteczkę i starannie wytarł w nią końce palców. Na białym płótnie pojawiły się czerwone smugi. Podeszedł do stołu, na którym Elizabeth wywoływała kiedyś zdjęcia. Leżało tu kilka ostrych noży i różnej wielkości dłut z drewnianymi rękojeściami, takich, jakich używa się do wycinania linotypów. Jack zapamiętał to z zajęć plastycznych w szkole. Ostrożnie przeniósł je na chusteczkę, starając się nie dotykać rękojeści. Stał na środku pokoju, bezpośrednio pod oknem w dachu i dokładnie obejrzał narzędzia. Zauważył, że między ostrzem największego noża i drewnem rękojeści rysuje się cienki pasek czerwieni. Odłożył noże i dłuta na stół. Pod spodem znajdował się rząd długich szuflad. Wyciągał wszystkie po kolei. W pierwszej odkrył rysunki przedstawiające rośliny i zwierzęta, piękne, wykonane z wielką dbałością o szczegóły, w następnej obraz, szkice akwarelowe, trochę wyblakłe, delikatne i przytłumione. Ostatnia zawierała czyste kartki papieru, tak mu się w każdym razie na początku wydawało. Sięgnął głębiej i poczuł pod palcami coś innego, gruby papier o śliskiej powierzchni. Przykucnął, ujął szufladę z obu stron i ostrożnie wyciągnął ją z prowadnic. Wysypał zawartość na podłogę i nagle serce skoczyło mu do gardła. Wszędzie dookoła niego leżały polaroidowe zdjęcia Judith. Podnosił je, jedno po drugim, i oglądał. Na wszystkich była zupełnie naga, w pozach, które przyprawiały go o mdłości. Na niektórych jeszcze żyła, na innych już nie. Wyglądała na przeżaloną, obolałą i kruchą. Jej żywe i martwe oczy wpatrywały się w jego twarz i błagały o pomoc, o ratunek. Ale było już za późno, o wiele za późno, by uratować Judith Hill.

Rozdział osiemnasty

Jack zlecił przeprowadzenie przesłuchania Tomowi Sweeneyowi, ponieważ Tom był naprawdę dobry w te klocki. Sam wolał siedzieć w kącie i obserwować. Czasami robił notatki, bardzo rzadko przerywał, kiedy wydawało mu się, że Tom coś przeoczył. Ale Tom nigdy nie popełniał błędów.

- W porządku. - Jack westchnął. - Zanim zaczniemy, spróbujmy podsumować to, co mamy.

Była szósta rano, za pół godziny mieli pojechać po Marka Hilla. Jack postanowił, że zatrzymają go na sześć godzin i jeśli to nie skutkuje, przedłużą zatrzymanie o kolejne sześć. Mieli dwanaście godzin, aby uzyskać przyznanie się do winy.

- Podstawowe pytania, numer jeden: kiedy zginęła Judith Hill?

Dziś był 23 czerwca, ciało Judith znaleźli przed tygodniem. Johnny Harris uznał wtedy, że dziewczyna przeleżała pod folią około sześciu dni. Oznaczało to, że została zabita koło 10 czerwca.

- W jaki sposób zginęła?

To było łatwe. Wiedzieli, że została uduszona. Na podstawie badania śladów na szyi Harris stwierdził, że dusiciel użył znacznej siły i najprawdopodobniej był mężczyzną. Mocno zbudowanym.

- Jakie jeszcze obrażenia odniosła?

Rany cięte w okolicach pochwy i odbytu. Wylewy na udach i na narządach płciowych. Głębokie zasinienia na żebrach i brzuchu - ciosy w brzuch spowodowały pęknięcie pęcherza moczowego. Krwawienie z pochwy. Siniaki na powiekach, kościach policzkowych i nosie. Prawdopodobna przyczyna - uderzenia w twarz i głowę przed zgonem. Krwawienie z nosa i ust.

- Jakimi dowodami dysponujemy?

Plamy krwi w pokoju na poddaszu. Ślady krwi na ostrych narzędziach, znalezionych we wspomnianym pomieszczeniu. Odciski palców doktora Hilla na wszystkich podejrzanych przedmiotach. Zdjęcia Judith, wykonane bezpośrednio przed i po śmierci. Sznur. Strzęp krawatu doktora Hilla, tkwiący między palcami zamordowanej. Włosy Judith w samochodzie doktora. Lniane prześcieradło, znalezione w domu doktora - identyczne jak to, w które owinięto zwłoki. Zeznanie doktora Hilla, który przyznał, że folię, w którą zapakowano ciało, sam kupił kilka lat temu.

- I co o tym wszystkim myślisz, Jack? - zagadnął Sweeney, uśmiechając się szeroko. - Na ile oceniasz nasze szanse?

- Dziesięć do jednego, chłopie. Nie przewiduję tu specjalnych problemów. Postawiliśmy na pewniaka. Bierzmy się do roboty, stary.

Jack siedział w kącie i słuchał. Sweeney wypytywał doktora Hilla o ostatni weekend, podczas którego widział córkę.

Judith zjawiła się w domu w poniedziałek poprzedniego tygodnia. Gospościa Hilla co roku brała w tym czasie urlop i doktorowi potrzebny był ktoś, kto ugotowałby mu gorący posiłek, posprzątała, zajął się nim i domem.

- Judith zawsze to robiła, oczywiście dopóki nie wpakowała się w kłopoty. Była jeszcze dziewczynką, miała dziesięć, jedenaście lat, a już doskonale sobie radziła z domowymi zajęciami. Bardzo jej zależało, by sprawić mi przyjemność. Wra-

cała do domu ze szkoły i przed odrabianiem lekcji przygotowywała warzywa i mięso na kolację.

- Wobec tego na pewno był pan szczęśliwy, że znowu spędzi pan z nią trochę czasu, prawda? Zupełnie jak w dawnych, dobrych czasach...

- Cóż, ostatnio wiele się zmieniło... Wpadałem do domu na krótko, nie mam zbyt dużo czasu. Dwa razy w tygodniu przeprowadzam zabiegi, jeżdżę także na wizyty domowe. Wieczorami odwiedzam pacjentów w szpitalu, sprawdzam ich stan. Niemniej, codziennie siadaliśmy razem do kolacji.

- Może więc wyjaśni nam pan, doktorze Hill, jak to się stało, że nie zauważył pan zniknięcia córki? Bo tak pan twierdzi, czyż nie? Przyznaję, że raczej tego nie rozumiem.

- Widzi pan, tamten weekend spędziłem poza domem. Wyjechałem w sobotę wieczorem, ponieważ zaprosili mnie przyjaciele mieszkający w Wicklow. Zaprosili mnie na kolację, ale ze względu na te śmieszne przepisy dotyczące prowadzenia pojazdów i picia alkoholu, zaproponowali, żebym u nich prznocował. Kiedy w niedzielę wróciłem do domu, po Judith nie było śladu. Dom był wysprzątnany, a w piecyku czekała potrawka do podgrzania.

- Nie zostawiła żadnego listu czy kartki?

- Nie, ale wcale mnie to nie zdziwiło. Zrobiła to, o co ja prosiłem. Gospośia miała zjawić się w poniedziałek, więc uznałem, że Judith postanowiła wrócić do akademika, a może do przyjaciół... Już dawno przestałem przejmować się jej nagłymi zniknięciami...

Odbyli już rozmowę z przyjaciółmi Hilla z Wicklow, którzy potwierdzili jego historię, ale nie do końca. Zaprosili go na siódmą, tymczasem on przyjechał dopiero o ósmej trzydzieści, ani słowem nie tłumacząc się ze spóźnienia. Mieli wrażenie, że zachowuje się trochę dziwnie i jest bardzo roztargniony. W czasie kolacji upił się, chociaż nigdy nie przesadzał z alkoholem. Dużo mówił o Judith. O tym, jak go rozczarowała, jaki wstyd przyniosła rodzinie, jak ciągle przypomina mu żonę, Elizabeth. Powtarzał, że nigdy jej nie przebaczy. Po

pólnocy nagle zaczął się żegnać. Próbowali przemówić mu do rozsądku, ostrzegali, ale nie chciał słuchać. Wstał, wszedł do samochodu i odjechał.

Na razie Sweeney zachowywał się w uprzedząco grzeczny sposób. Jack obserwował go uważnie. Słyszał pogardę w głosie Hilla i nie wątpił, że Tom także ją słyszy. Na szczęście nie reagował, spokojnie i cierpliwie zadając pytania. Doktor Hill odpowiadał z dużą niechęcią.

- I gdzie spędził pan tę noc? Pańscy przyjaciele mówią, że opuścił ich pan zaraz po północy.

- Tak, to prawda. Zatrzymałem się w Kilmacanoque i przespaliśmy w samochodzie. O świcie obudziłem się i pojechałem do domu.

- Żeby zabić córkę? - Uprzejmość Sweeney a rozwiła się jak mgła.

Doktor Hill nie odpowiedział. Wbił wzrok w okno i westchnął.

- Pańscy przyjaciele bardzo się o pana niepokoiли. Ich zdaniem pana zachowanie w czasie kolacji było nietypowe, zupełnie inne niż zwykle. Byli poruszeni, niemile zdumieni. Może nam pan wyjaśnić, co było powodem pańskiego nastroju?

- Miałbym to panu wyjaśniać? Niby dlaczego? Co pana obchodzi, czy byłem pijany, czy trzeźwy, opryskliwy czy uprzejmy? O co panu właściwie chodzi?

Jack słuchał, jak Sweeney tłumaczy doktorowi, dlaczego w jego własnym interesie leży okazanie większej gotowości do współpracy z policją. Potem zapadła cisza. Sweeney westchnął. Sięgnął do kieszeni i wyjął dużą żółtą kopertę. Wysypał z niej zdjęcia i rozłożył na blacie stołu. Jack czekał na reakcję, ale i tym razem spotkał go zawód. Mark Hill odwrócił wzrok.

- Czego się po mnie spodziewacie? - zapytał. - Co mam zrobić? Rozpłakać się, uderzyć się w piersi? Nie zrobię tego.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie widzę powodu. Budziła we mnie wstręt za życia i to samo czuję po jej śmierci. Nie robiłem tych zdjęć.

Nie wiem, kto je zrobił, ale nie jestem nimi zaskoczony. Nie tak dawno Judith pozowała do podobnych zdjęć, żeby zarobić na narkotyki. Była do tego przyzwyczajona. Kiedyś ją zapytałem, jak może to znosić. Wzruszyła ramionami i odparła, że potrzebuje pieniędzy, to wszystko. Wyobraża pan sobie? Któregoś wieczoru widziałem ją na ulicy. Pojechałem do miasta, by jej poszukać. Objechałem Fitzwilliam Square i ruszyłem w dół, drogą nad kanałem. Jechałem wolno, żeby jej nie przeoczyć. Nie zauważyła, że to ja. Odwróciła się przodem do samochodu i rozchyliła bluzkę. Zobaczyłem jej nagie piersi. Moja własna córka... Po odejściu żony codziennie ją kąpałem, był to nasz wieczorny rytuał. Moje ukochane dzieci, syn i córka, razem w kąpielni. Miały takie idealnie piękne małe ciała... Po myciu ubierałem je w piżamy, otulałem kołderkami i czytałem im, aż usnęły. Potem długo przy nich siedziałem, bo bałem się, że mogą mieć złe sny i obudzić się, przerażone i zapłakane. Oto, jaką nagrodę otrzymałem za miłość i poświęcenie - moja córka pokazała mi gołe cycki w zimną, ponurą noc. - Przerwał i na chwilę ukrył twarz w dłoniach. - Pytał pan, dlaczego tamtego wieczoru zachowywałem się w tak nietypowy dla siebie sposób, jak pan to delikatnie ujął... Cóż, chyba dlatego, że parę godzin wcześniej córka poinformowała mnie, że jest w ciąży. Poprosiła mnie jako lekarza, mnie jako ojca, bym pomógł jej pozbyć się tej małej komplikacji. I to jest ostatnia rzecz, jaką zamierzałem wam powiedzieć, panowie. Teraz będę korzystał z konstytucyjnego prawa do milczenia.

Przetrzymali go do ostatniej chwili, a potem wypuścili. Wydali oświadczenie dla mediów, że mężczyzna podejrzany o zamordowanie Judith Hill został zatrzymany i przesłuchany, a następnie zwolniony. Przygotowali też raport dla prokuratora generalnego. Jack postanowił, że na razie będą obserwować doktora Hilla i czekać.

Rachel usłyszała oświadczenie w wieczornych wiadomościach o dziewiętej. Siedziała w niewielkim pokoju Clare Bowen, przy jej łóżku. Światło było wyłączone, przez otwarte

drzwi wpływał do środka silny zapach świeżo skoszonej trawy. Podniosła się, aby przymknąć drzwi, ale Clare lekko przytrzymała ją za rękaw.

- Zostaw, niech będą otwarte. Lubię ten zapach.

Ona także go lubiła. Kiedy wczesnym wieczorem przyszła do Bowenów, trawa za domem sięgała do połowy łydek i była usiana główkami stokrotek, jaskrów i puszystych mleczy. Wyciągnęła z szopy kosiarkę i szarpała linką tak długo, aż wreszcie, po serii ciężkich jęków i rozpaczliwych pokastywań, maszyna wypluła z siebie kłębuszek szarego dymu i ożyła. Skosiła trawnik, pozgarniała siano na miękkie kupki, zdjęła buty i długo chodziła boso po trawniku, czując, jak stopy zapadają się w miękką, sprężystą trawę. Potem wyciągnęła się na ziemi i zapadła w półgodzinną drzemkę, którą przerwało wołanie Clare.

Teraz razem oglądały wiadomości telewizyjne. Na ekranie pojawiło się zdjęcie Judith sprzed paru lat, potem ujęcia przedstawiające dom Hillów i miejsce, gdzie znaleziono zwłoki, a także zespół policyjny przy pracy. Po tym wstępie obejrzały krótki wywiad z Jackiem Donnellym, który odpowiedział na kilka pytań dotyczących rozwoju śledztwa, i zdjęcia mężczyzny, prowadzonego z posterunku do czekającego samochodu. Policjant zasłaniał jego głowę płaszczem, ale Rachel natychmiast go rozpoznała. To był ten sam rośły, mocno zbudowany mężczyzna, którego wizyt Judith zawsze bardzo się obawiała.

- Po co tu przychodzi? - zapytała kiedyś. - Nienawidzi tych wizyt i nienawidzi mnie. Nie mamy sobie nic do powiedzenia.

- Zawsze tak było? - Rachel objęła Judith i oparła jej głowę na swoim ramieniu.

- Och, sama nie wiem - odparła Judith. - Chyba rozumieliśmy się lepiej, kiedy byłam mała. Byłam grzeczną dziewczynką, uprzejmą i myślącą. Starłam się, żeby był ze mnie zadowolony, ale później wszystko się zmieniło.

- Znałaś ją, prawda? - Clare usiłowała dźwignąć głowę z poduszki, ale wysiłek okazał się zbyt wielki.

Rachel skinęła głową.

- Jaka była?

- Wspaniała. Śliczna, inteligentna, zabawna. Potrafiła świetnie odgrywać różne sytuacje, miała niezwykle zdolności mimiczne.

- A ten mężczyzna, którego przesłuchali? Jego też znałaś?

- Tylko z opowiadań Judith. To jej ojciec.

W pokoju zapadła cisza. Rachel wstała i poszła do kuchni. Otworzyła kredens i wyjęła pojemnik na pigułki. Antybiotyki, środki przeciwbólowe, pochodne morfiny i tabletki nasenne. Andrew Bowen podzielił je na porcje.

- Podaj jej sok do popicia - powiedział. - W lodówce stoi świeży karton pomarańczowego z marakują, to jej ulubiony.

Rachel wrzuciła parę kostek lodu do wysokiej szklanki i napełniła ją sokiem. Potem wróciła na swoje miejsce przy łóżku i podniosła głowę Clare.

- Proszę - odezwała się z uśmiechem. - Czas na lekarstwa.

- Ale bez tabletek nasennych. Wezmę je później, jeszcze nie chcę spać.

Otworzyła usta i połknęła pigułki. Strumyczek soku spłynął po brodzie i zmoczył koszulę. Rachel pochyliła się i chusteczką wytarła jej twarz i dekollet.

- Jesteś dobra. - Głos z trudem wydobywał się z ust Clare. - Bardzo dobra... Mam nadzieję, że on ci płaci...

Rachel kiwnęła głową.

- Potrzebuje odpoczynku, trochę wolnego czasu. Ma kobietę, którą odwiedza. Wiem o tym. Oczywiście, to nie miłość, tak to już jest z Andrew...

Rachel podniosła obleczonego w czystą poszwę koc, strzepnęła go i starannie otuliła Clare ze wszystkich stron.

- Mnie też nie kochał. Może na początku, ale nie trwało to długo.

- A ty? Kochałaś go? - Rachel zebrała rozrzucone książki i ułożyła je w równy stosik.

- Tak, kochałam go, chociaż nikt nie mógł zrozumieć, co w nim widzę. Wydawał się niezgrabny i sztywny, ale

ja natychmiast dostrzegłam, że jest inteligentny, wesoły i zabawny. Kiedy byliśmy razem, ciągle się śmiałam. Rachel podsunęła Clare tabletki nasenne.

- Powinnaś je już zażyć. Jest późno, musisz odpocząć.

Clare uśmiechnęła się smutno.

- Potrzebuję dłuższego odpoczynku niż sen. Dużo rozmawialiśmy z Andrew na ten temat. Początkowo tylko o tym, kiedy najlepiej będzie to zrobić. Potem poczułam się dużo lepiej i przez pewien czas myślałam, że lekarze postawili błędną diagnozę, ale objawy wróciły i wtedy wszystko stało się jasne.

Rachel patrzyła, jak źrenice Clare wykonują nieskoordynowany taniec.

- Więc w końcu podjęliśmy decyzję i wkrótce przyjdzie właściwa pora. Problem polega na tym, jak to zrobić. Leków, które przyjmuję, nie da się, niestety, przedawkować. To środki z grupy benzodiazepin, nie barbiturany. Przynoszą zapomnienie i odpoczynek, ale to tylko tymczasowe rozwiązanie...

- Ciii... - Rachel uklękła przy łóżku i delikatnie ujęła dłoń chorej.

- Najbardziej martwię się o Andrew, jak sobie z tym później poradzi... Pragnę tego, nie mogę już tak dłużej żyć, ale nie chcę, żeby cierpiał. Boję się, że będą go dręczyć straszne wyrzuty sumienia. Dlatego chciałam cię zapytać, czy... - Przerwała, ciężko dysząc.

- O co chciałaś mnie zapytać? - Rachel spokojnie patrzyła w jej udręczoną twarz.

- Och, o nic. To nic ważnego.

- Powiedz, nie bój się.

Clare przymknęła powieki. Po chwili podniosła je i spojrzała Rachel prosto w oczy.

- Chciałam się dowiedzieć, jak się potem czułaś. Po tym, jak zabiłaś męża. Czy miałaś wyrzuty sumienia? Jak przeżyłaś te lata w więzieniu? Czy byłaś w stanie go wspominać, myśleć o nim...

Rachel podniosła się z kolan i podeszła do otwartych drzwi.

- Nie zabiłam go - powiedziała spokojnym, całkowicie opanowanym głosem. - Ile razy mam to powtarzać? Nie zabiłam mojego męża. Przyznaję, że strzeliłam do niego, ale nie zabiłam go. To był wypadek. Zabił go mój szwagier. Nikt nie chciał mi uwierzyć i właściwie nie mam o to pretensji. Powinam była od początku mówić tylko prawdę, ale tak czy siak, nie zrobiłam tego. Skłamałam i zostałam za to ukarana.

Odwróciła się i usiadła na brzegu łóżka.

- Owszem, miałam wyrzuty sumienia i nadal je mam, ale mam także inne odczucia. - Podała Clare szklanekę z sokiem i pigułki.

Zaczekała, aż chora przełknie leki, a potem wstała i odstawiła szklanekę. Przysunęła sobie krzesło i zaczęła przysłuchiwać się oddechowi Clare, który wkrótce spowolniał i stał się płytki.

- Jeżeli jest normalnym człowiekiem, nie ucieknie przed wyrzutami sumienia - rzekła łagodnie. - Ale po pewnym czasie zdoła je przezwyciężyć. Mnie też się to udało.

Po chwili wyłączyła telewizor. Pochyliła się nad łóżkiem i przyglądała się, jak zamknięte powieki Clare drgają lekko. Potem odgarnęła rzadkie, cienkie włosy z jej czoła i wyszła do ogrodu.

Głęboko odetchnęła ciepłym, nagrzanym powietrzem. Dzień był gorący. W takim upale rośliny budzą się do życia. Uśmiechnęła się i wróciła myślami do wczesnego popołudnia.

- Prawie widać, jak rośliny się rozwijają, jak krążą w nich soki - powiedziała do Ursuli Beckett, kiedy szły przez ogród.

Przystanąły obok klombu z irysami. Kwiaty były jeszcze mocno zwinięte, jak miniaturowe parasolki, lecz Rachel zauważyła, że jeden płatek, biały, przecięty jasnyniebieską nitką, zaczął się już uwalniać.

Były same.

- Chciałabyś pojechać ze mną? - zapytała Ursula, gdy tam tego dnia żegnały się na plaży. - Oczywiście, jeżeli masz ochotę... Projektuję ogród wokół willi za Bray. Muszę przy-

gotować sobie wszystkie potrzebne rzeczy. Jest tam cudowny pokój dziecinny, do którego strasznie lubię zaglądać. Dom od wielu lat należy do tej samej rodziny. Myślę, że ci się spodoba. Zjechały z czteropasmowej szosy i ruszyły krętą drogą wśród lasów, którą dotarły do starego domu z kamienia. Ursula opowiedziała, ile sympatii i serca okazali jej właściciele tego domu, kiedy zaczynała pracę w Irlandii. Pomagali, dodawali odwagi, dzielili się swoją wiedzą, a w końcu poznali ją z jej obecnym mężem.

- Z moim cudownym Danielem. Bardzo chciałabym ci go przedstawić. Na pewno go polubisz, jest naprawdę wyjątkowym człowiekiem. W pierwszej chwili wydaje się trochę szorstki, ale to z powodu pracy, jaką wykonuje. Prowadzi firmę ochroniarską. Żyje w ciągłym napięciu, w grę wchodzi przecież duże pieniądze. Jednak kiedy poznasz go lepiej, sama zauważysz, że pod zachowaniami w stylu macho kryje się złote serce.

Nie ulegało wątpliwości, że kobieta, którą poślubił Daniel, jest bardzo piękna. Dokonał dobrego wyboru. Rachel obserwowała, jak Ursula idzie przed nią między rzędami krzewów. Była pełna wdzięku i pewności siebie, doskonale знаła swoje miejsce na ziemi i lubiła je. Rachel czuła się przy niej niezgrabna i brzydka.

- Powiesz mi, jak go poznałaś? - poprosiła, gdy usiadły na dębowej ławce w altance porośniętej pnącymi różami.

Ursula chętnie przystała na jej prośbę. Dziesięć lat temu w okolicy doszło do serii napadów rabunkowych. Do miasta było dość daleko, chociaż w nocy na niebie widać było lunę wielkomiejskich świateł. Przyszła zima, śnieg zasypał drogi. Bandyci przyjechali nad ranem, półcięzarówką. Mieli karabinki z przyciętymi lufami i żelazne łomy, na twarzach czarne pończochy. Wiedzieli, czego szukają. Zabrali pieniądze, biżuterię, srebro, obrazy, cenne meble. Podobnych napadów było kilka. Po trzecim, kiedy rodzina mieszkająca w tym domu została uwięziona w piwnicy, na pomoc wezwano firmę ochroniarską.

- Los chciał, że byłam tu, kiedy Daniel przyjechał omówić

szczegóły. Zaczęliśmy rozmawiać, wziął mój numer telefonu, któregoś dnia zadzwonił, umówiliśmy się. Zanim się spostrzegłam, byliśmy już małżeństwem. To było zupełnie nieoczekiwane, zamierzałam przecież wrócić do Stanów, do rodziny...

- Dlaczego przyjechałaś do Irlandii? - Rachel odwróciła głowę, unikając wzroku Ursuli.

- Och, zwykle irlandzko-amerykańskie koneksje. Byłam wielką fanką irlandzkiej muzyki i kultury, no i chciałam odnaleźć ślady przodków. Kiedyś mieszkali tu moi krewni, mieli dużą farmę przy tej drodze. Teraz już jej nie ma, podzielili teren na działki budowlane i sprzedali, ale kiedy przyjechałam, ciotka jeszcze tu była. To dzięki niej zainteresowałam się projektowaniem ogrodów. Tak czy inaczej, wcale nie zamierzałam zostać na stałe. W Stanach zostawiłam chłopaka, który nie mógł się doczekać mojego powrotu, ale cóż, takie jest życie... Teraz jestem mężatką i mam trójkę dzieci.

- Kiedy spotkałaś Daniela?

- Zaraz, zaraz... Laura ma cztery lata, Jonathan siedem... Tak, to było prawie dziewięć lat temu. Zresztą, nad czym ja się zastanawiam, przecież za dwa tygodnie przypada ósma rocznica naszego ślubu! Organizujemy małe przyjęcie, koniecznie musisz wpaść.

Osiem lat temu, kiedy Rachel od czerech lat przebywała w więzieniu. Te cztery lata były najgorszym okresem w jej życiu. Pomyślała o tym teraz, czując pod palcami gładkie drewno i ciepło słońca na twarzy, słuchając gruchania dzikich gołębi. Gdzieś w oddali zamuczała krowa. Długi, ostrzegawczy dźwięk... I nagle w uszach Rachel zabrzmiał wściekły gwar więzienia, krzyki, groźby, wrzaski, brzęk metalu uderzającego o metal... I wśród tego wielkiego, przytłaczającego hałasu poczucie całkowitego osamotnienia...

- Na pewno tęsknisz za rodziną, prawda? W jakiej części Stanów mieszkają?

- W Bostonie. Dość często nas odwiedzają i ja też co roku do nich jeżdżę, razem z dziećmi. Daniel zostaje w domu. Nie

cierpi latać, za to chętnie przepłynąłby Atlantyk. Uwielbia żeglować, Bóg jeden wie, dlaczego.

- Ty nie lubisz?

Ursula skrzywiła się lekko.

- Nie znoszę. Już po paru minutach dostaję choroby morskiej. Daniel ma jacht. Jestem przekonana, że kocha się w nim na zabój. Jacht stoi na kotwicy w porcie Dun Laoghaire. To jedyna kwestia, w której nie jesteśmy zgodni. Daniel chce spędzać weekendy na morzu, a ja wolę grzebać się w ziemi w moim ogrodzie.

- A rodzina Daniela? Przepraszam, teraz ja jestem wścibska...

- Nie, nie, nic nie szkodzi. - Ursula poklepała jej kolano w opiekuńczy, ciepły, dodający pewności sposób. - Daniel ma za sobą tragiczną historię rodzinną. Wiele lat temu zamordowano jego młodszego brata. Zabiła go żona. Straszne. A co jeszcze straszniejsze, jeśli to w ogóle możliwe, kobieta ta próbowała zrzucić całą winę na Daniela. Powiedziała, że mieli romans, mąż się dowiedział o tym i wybuchła potworna awantura, w czasie której Daniel go rzekomo zastrzelił. Oczywiście, nikt nie uwierzył w te bzdury, ale rodzina przeżyła koszmar. Matka Daniela nigdy nie odzyskała równowagi emocjonalnej i niedługo potem zmarła. Zapiła się na śmierć. Ojciec także wpadł w alkoholizm.

Zabiła go żona... Jak dziwnie to brzmiało, wypowiedziane spokojnie, bez emocji. Zabiła go żona. Rachel miała ochotę powtórzyć te słowa na głos, przeciwzyć je.

- Nic nie mówisz. - Ursula nachyliła się i zajrzała jej w twarz. - Przeraziłam cię?

- Nie. - Rachel się uśmiechnęła. - Oczywiście że nie. Po prostu zaczęłam się zastanawiać, co stało się z tą kobietą. Poszła do więzienia?

- Naturalnie. Dostała dożywocie. Daniel uważa, że nigdy nie wyjdzie na wolność. Jest zła do szpiku kości. Jestem Amerykanką, a my mamy trochę inne podejście do takich spraw. Moim zdaniem ktoś, kto popełni morderstwo i potem

jeszcze usiłuje obciążyć winą inną osobę, zasługuje na karę śmierci. - Przerwała i zerknęła na Rachel. - Teraz dopiero cię naprawdę przeraziłam, co? Wiem, że tutaj tego rodzaju poglądy nie cieszą się popularnością. Kiedy czasami dochodzi do rozmowy na ten temat, przyjaciele zawsze mi mówią, żebym się zamknęła, ale cóż, ja po prostu tak myślę.

Rachel nie odpowiedziała. Często myślała o śmierci i nie raz chciała umrzeć. Odwróciła rękę dłonią do góry i spojrzała na białą bliznę, doskonale widoczną w jasnym świetle. Dotknęła jej lekko. Chociaż minęło już tyle czasu, skóra w tym miejscu nadal wydawała się inna. Któregoś dnia próbowała podciąć sobie żyły ostrym kawałkiem plastiku, ułamanym z długopisu. Krew trysnęła na ubranie i pościel. Zrobiło jej się niedobrze, głowę miała dziwnie lekką. Wyciągnęła ramię daleko przed siebie i przyglądała się, jak krew ścieka na podłogę. Po paru minutach do celi wpadły strażniczki i tak się to skończyło.

- Chodźmy. - Ursula wstała z ławki. - Mam mnóstwo pracy. Pomożesz mi trochę, zgoda? Widzę, że sporo wiesz o roślinach. Mam wrażenie, że masz dobrą rękę, a twój ogród na pewno jest wyjątkowo piękny. Mam rację?

Co miała odpowiedzieć? Jej ogród rzeczywiście był piękny, tylko że teraz go nie było. Podniosła głowę i uśmiechnęła się.

- Kiedyś miałam piękny ogród - rzekła. - Potem się przeprowadziliśmy i już nigdy nie udało mi się stworzyć podobnego. Może teraz znowu spróbuję, kto wie...

Stanęła w progu, wsłuchując się w oddech Clare Bowen. Z zamyślenia wyrwał ją dzwonek telefonu w korytarzu. Dzwonił Andrew. Był pijany.

- Możesz już iść - powiedział. - Za dziesięć minut będę w domu.

- Zaczekam. Nie spieszy mi się.

- Nie - mówił głośno, z naciskiem. - Nie, nie życzę sobie, żebyś na mnie czekała. Idź już, rozumiesz? Chyba wyrażam się dość jasno?

Wróciła do pokoju i jeszcze chwilę słuchała, jak Clare od-
dycha. Potem wyszła. W pobliżu domu Bowenów biegła dro-
ga prowadząca nad morze. Przyspieszyła kroku, wreszcie za-
częła biec płynnym, miękkim krokiem. Codziennie biegła
wzdłuż zachodniego moła. Jej oddech był regularny, zupełnie
spokojny. Przyspieszyła. Grube podeszwy sportowych butów
amortyzowały uderzenia stóp o beton, chroniąc stawy i kości.
Otaczała ją ciemność i cisza. O tej porze ruchu prawie tu nie
było. Biegła dalej. Jeszcze zanim zobaczyła morze, poczuła
jego zapach. Na wargach osiadły mikroskopijne drobinki soli,
a pod warstwą piasku wyczuwała gęste czarne błoto, tak wyraź-
nie, jakby miesiła je palcami stóp. Jeszcze parę minut i w końcu
ujrzała sylwetki drzew obok stacji benzynowej DART. Zbiegła
ze wzgórze na parking i przedarła się przez gęste krzewy.
Było tu zupełnie cicho. Przed sobą widziała poruszane lekkim
wiatrem kawałki biało-żółtej taśmy, którą odgrodzono miejsce
zbrodni. Schyliła się i przeszła pod nimi. Dostrzegła ciemne
zagłębienie, gdzie policjanci usunęli poszycie, wydobywając
zwłoki Judith. Usiadła na ziemi, potem położyła się płasko na
plecach i wbiła wzrok w niebo. Gwiazdy świeciły jasno, księ-
życa nie było. Przewróciła się na brzuch i potarła twarzą o
ziemię.

Myślała o propozycji, z jaką wystąpiła Ursula Beckett. Za-
prosiła ją, aby spędziła u nich dwa dni w czasie, gdy męża nie
będzie w domu.

- Daniel wybiera się popływać z kilkoma przyjaciółmi z
klubu jachtowego. Nie lubię zostawać sama z dziećmi, a opie-
kunka, która przychodzi w ciągu dnia, to młoda dziewczyna.
Sama jest jeszcze dzieckiem. Dam jej wolny weekend. Co ty
na to? Bardzo bym chciała, żebyś się zgodziła.

- Co mam zrobić, Judith? - szepnęła Rachel. - Powinam
przyjąć zaproszenie? Czy warto?

Ułożyła się na prawym boku i przycisnęła ucho do ziemi.
Nasłuchiwała. Po chwili wyciągnęła się na plecach i znowu
popatrzyła w gwiazdy.

- Do widzenia, Judith - powiedziała z uśmiechem. - Dzię-

kuję ci za wszystko. Za miłość i serdeczność, za czułość. I za to, że pomogłaś mi zdecydować, jak dalej żyć. Odpoczywaj w spokoju, kochanie.

Łzy popłynęły jej z oczu. Podciągnęła kolana do piersi i objęła je ramionami. Z gardła wyrwał się głęboki szloch. Kołysała się w przód i w tył, słuchając pomruków morza. Przyływ zbliżał się, skradał, pochłaniając kolejne fałdy piasku.

Przed wyjściem z więzienia dokładnie zaplanowała każdy krok, każde posunięcie. Teraz realizowała plan, zbierała owoce. Była już blisko mety. Niebawem osiągnie to, czego pragnęła. Wkrótce nadejdzie jej czas. Zakołysała się mocniej, zamknęła oczy. Ze wszystkich stron otaczała ją ciemność, lecz mimo to wyraźnie widziała swoją przyszłość.

Rozdział dziewiętnasty

Miejsce to znajdowało się w odległości zaledwie półtorej godziny jazdy pociągiem od centrum Londynu, lecz krajobraz był niepodobny do żadnego, jaki Jack kiedykolwiek widział. Wielkie kwadratowe pola, co najmniej dziesięcioakrowe, ogrodzone drucianą siatką, na każdym rogu mocowaną do drewnianych słupów i gęsto porośniętą ciemnozielonym pnączem. Blisko torów stały małe domy z cegły, z dachami koloru zaschniętej krwi, stały blisko torów, otoczone pełnymi kwiatów ogródkami. Co parę kilometrów z morza zieleni wyłaniały się suszarnie chmielu, których stożkowate czubki sterczały ku niebu. Jack dopiero po pewnym czasie się zorientował, że te niezwykle konstrukcje, trochę przypominające winnice, muszą być polami chmielowymi czy raczej plantacjami chmielu, tak to się nazywa. Siedział, trzymając w ręku tekturowy kubek z letnią kawą, i wpatrywał się w przemykające za oknem pociągu intensywnie zielone pola.

Jego dzień zaczął się bardzo wcześnie. O szóstej rano wyleciał z Dublina, po wylądowaniu na Heathrow pojechał pociągiem na dworzec Paddington, a potem metrem do stacji London Bridge. Tam przesiadł się na pociąg jadący do Turnbridge Wells w hrabstwie Kent przez miejscowości o dziwnie brzmiących nazwach - Chislehurst, Petts Wood i Orpington. Wcale nie był przekonany, czy ta podróż okaże się warta

zachodu, ale zaintrygował go telefon, jaki odebrał poprzedniego dnia. Dzwoniła Elizabeth Hill.

- Dzwonię, ponieważ we wczorajszym „Irish Times” przeczytałam informację o zatrzymaniu i przesłuchaniu mężczyzny, z którego opisu wywnioskowałam, że chodzi o mojego byłego męża. Jestem absolutnie wstrząśnięta, że bierze pan pod uwagę możliwość, iż Mark mógłby mieć cokolwiek wspólnego ze śmiercią Judith. To po prostu nie do pomyślenia, on nigdy by jej nie skrzywdził. Nie rozumiem, co pan robi...

Jack wyjaśnił, że dysponuje wystarczającymi dowodami, aby aresztować doktora Hilla. Powiedział też, że spodziewa się, iż wkrótce zostanie mu przedstawiony akt oskarżenia. Doktor Hill, oświadczył, jest głównym podejrzanym w tej sprawie.

W słuchawce zapadła cisza.

- Robi pan duży błąd, inspektorze Donnelly. Nie mam pojęcia, jaką logiką pan się posługuje i jakie dowody ma pan w rękę, ale wiem jedno - to jakaś straszna pomyłka.

Jack poczuł nagłe ukłucie niepokoju, w ustach zrobiło mu się sucho ze zdenerwowania. Elizabeth Hill nie miała racji, to było oczywiste, ale dlaczego czuła się w obowiązku bronić człowieka, który nie ukrywał, że jej nienawidzi? Zastanawiał się nad tym przez cały czas, także w taksówce, która wąskimi drogami między plantacjami chmielu wiozła go ze stacji Turnbridge Wells do lasu, w którym mieszkała Elizabeth. Las był piękny, żywcem przeniesiony z bajek, które czytywał córkom, ciemny i tajemniczy. Wysokie drzewa rosące po obu stronach drogi nie dopuszczały tu promieni słońca. Pomyślał, że w nocy ciszę na pewno przerywa jedynie głuche pohukiwanie sów i puszczyków. Uśmiechnął się lekko. Dziewczynki byłyby zachwycone, gdyby je tu przywiózł.

Taksówka zwolniła i zatrzymała się pod drewnianą bramą.

- Tu pana zostawię - oświadczył kierowca. - To już nie daleko, zaraz za tamtym zakrętem.

Jack sięgnął do kieszeni i wygrzebał garść jednofuntowych monet. Odliczył kilka i położył je na wyciągniętej dłoni mężczyzny.

- Jest pan jej znajomym z Irlandii? - Taksówkarz odwrócił się, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

- Tak. Zna ją pan?

Kierowca wzruszył ramionami i zaczął wypisywać rachunek.

- Nie osobiście, ale w okolicy wszyscy wiedzą, kim jest. Na zlecenie ministerstwa przyrody maluje ilustracje do kalendarzy, kartki pocztowe, plakaty, wszystko ze zwierzętami i roślinami z rezerwatu. Bardzo ładne, chociaż nie w moim guście. Wolę inne ptaszki, jeżeli pan wie, co mam na myśli...

Boże, ci pieprzeni taksówkarze, pomyślał z niesmakiem Jack.

- Mieszka tu sama, prawda? - zagadnął. - Na pewno dośkwiera jej samotność.

- Akurat! - Widzę, że nie zna pan jej zbyt dobrze. Zawsze ma tu jakichś gości. Niezły z niej numer, ale cóż, wie pan, jacy są artyści.

Jack zaczekał, aż samochód zniknie i dopiero wtedy ruszył przed siebie leśną drogą. Nie słyszał własnych kroków, ponieważ pod stopami miał grubą warstwę sosnowych igieł. Powietrze pachniało żywicą. Poczł nagle, że znajduje się bardzo, bardzo daleko od domu. Przypominał sobie równe, starannie przycięte żywopłoty, jakie widział w drodze ze stacji. Nigdzie ani śladu brudnych plastikowych toreb czy innych śmieci, wszystkie znaki świeżo odmalowane, wyraźne i czytelne, żadnych porzuconych, zdewastowanych samochodów... Miasteczka, które mijali, miały zadbane rynki, duże, porządnie skoszone trawniki, tu i ówdzie można było zobaczyć staw z kaczkami i boisko do krykieta, z drewnianym pawilonem na sprzęt. Wszystko było tu bardzo angielskie, pachniało dobrą herbatą i kanapkami ze świeżym ogórkiem, i w niczym nie przypominało Irlandii.

Dom Elizabeth Hill także był zupełnie inny, zbudowany ze starej cegły w różnych odcieniach czerwieni, różu i jasnej żółci, do połowy wysokości ścian obłożony drewnem. Miał spadzisty dach z wysoką nadstawką kominową oraz niewielkie okna z małymi, lśniącymi w słońcu szybkami. Górna połowa

drzwi wejściowych była otwarta i przymocowana do muru. Jack stanął przed drzwiami i zajrzał do środka. Zobaczył pokój, który prawdopodobnie pełnił funkcję salonu, pograżony w półmroku, z dużym świetlikiem pośrodku sufitu, światło z niego padało wprost na deskę do rysowania, kartkę papieru i jasną głowę pochyloną nad pracą kobiety. Jack stał w milczeniu, z ręką na klamce, obserwując Elizabeth Hill.

- Proszę wejść - odezwała się nagle, nie podnosząc wzroku. - Późno pan przyjechał. Spodziewałam się, że będzie pan tu przynajmniej godzinę wcześniej.

Wszedł do środka i rozejrzał się dookoła. Cała powierzchnia ścian pokryta była freskami. Sponad listew na granicy podłogi wyrastały drzewa, których korony rozpościerały się na suficie. Na gałęziach siedziały ptaki, a zza liści tu i ówdzie wychylały się drobne twarze dzieci o dużych oczach i bardzo jasnych włosach, z wyciągniętymi rękami. Nawet podłoga była pomalowana. Jack zerknął w dół i zobaczył gęstą, zieloną trawę, ładującą podobną do prawdziwej. Powoli podszedł do Elizabeth, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że stąpa po sprężystych, miękkich źdźbłach.

Siedziała przy desce, na wysokim stołku, ubrana w luźne spodnie z białego płótna i żółtą bluzkę koszulową. Podwinięte rękawy odsłaniały szczupłe ramiona pokryte drobnymi piegami. Przy każdym ruchu srebrne bransoletki przesuwwały się od przegubu dłoni do łokcia i z powrotem, wydając melodyjne pobrękiwanie. Małe stopy były gołe, opalone, z wysoko sklepionym łukiem i długimi prostymi palcami. Jack przypomniał sobie, że już je widział. Z jasnymi, obciętymi na pazia włosami i smukłym, zgrabnym ciałem wyglądała prawie jak dziewczynka. Wrażenie to zacierała siatka zmarszczek wokół oczu i ust, wyraźnie rysujących się w padającym z góry ostrym świetle.

Poczęstowała go kawą i domowymi ciasteczkami oraz gęstym ciemnym miodem.

- Wyśmienite - powiedział, opierając się wygodnie o poduszki niskiej sofy.

- To lokalny przysmak - odparła. - Moi sąsiedzi mają pasiekę.

Chwilę jadł w milczeniu, potem oblizał palce i spojrzał na nią.

- Dawno pani tu mieszka? - zapytał.

- Wyjechałam z Dublina czternaście lat temu. Miałam szczęście, bo bardzo szybko znalazłam tę pracę. Lubię to miejsce, czuję się tu prawie jak w domu.

- Prawie?

- Prawie. Mimo wszystko dom jest zwykle tam, gdzie przyszliśmy na świat.

- Tak pani uważa? Że nie da się zastąpić jednego domu drugim?

- Odwieczny dylemat emigrantów, prawda? Pragnienie odnalezienia czegoś, co się nie zmienia. Emigranci nigdy nie są do końca zadowoleni z tego, co mają.

- Często odwiedza pani Dublin?

- Niech pan nie udaje, inspektorze. Doskonale pan wie, że nie odwiedzam Dublina. Po raz pierwszy od dnia wyjazdu przyjechałam na pogrzeb Judith.

- I nie pojechała tam pani, choćby na krótko, kiedy wpadła w kłopoty i poszła do więzienia?

- Och, po co ta gra? Prawdę mówiąc, nawet o tym nie wiedziałam. Judith w ogóle się nie odezwała, a mąż od dawna mnie nie informuje, co się dzieje z dziećmi. Sądzę, że nigdy nie wybaczył mi zdrady. Już to, że miałam romans, było wystarczająco złe, a do tego romans z kobietą... Mark uznał, że przekroczyłam wszelkie granice.

- Chwileczkę! - Jack wyprostował się i obrzucił Elizabeth zdumionym spojrzeniem. - Z kim miała pani romans?

Roześmiała się głośno.

- Zbulwersowałam pana. - Pana, który wszystko widział. Nikt panu o tym nie powiedział? A ja sądziłam, że wszyscy aż dyszą, by obnażyć przed światem pełny wymiar mojego upadku...

Teraz on wybuchnął śmiechem. Wiedział, że Elizabeth zdra-

dziła męża z kimś zaprzyjaźnionym z rodziną Hillów i automatycznie przyjął, iż był to mężczyzna.

- Jestem nie tylko niewierną żoną, ale i lesbijką. Podwójny szok, prawda? Mój mąż musiał żyć ze świadomością, że rogi przyprawiła mu kobieta, i to na domiar złego kobieta, którą znał i lubił, miła Jenny Bradley. Jenny była mężatką, ona i jej mąż byli naszymi sąsiadami. Uciekłyśmy razem. Obie porzuciłyśmy rodziny, naszych mężczyzn i dzieci. Ale Jenny wróciła, bo nie mogła tego znieść. Zrozumiała, że swoich bliskich kocha bardziej niż mnie. Ze mną było inaczej. Mark nigdy nie przebaczył mi tego, że przeze mnie doznał publicznego upokorzenia i właśnie dlatego nasza bitwa w sądzie o dzieci była tak gorzka, zażarta i długa. To z kolei popchnęło mnie do decyzji, aby zabrać dzieci i przywieźć je tutaj, chociaż dziś uważam, że był to haniebny czyn.

- Haniebny? Naprawdę? Moim zdaniem po prostu nierozsądny. Musiała pani przecież wiedzieć, że brytyjska policja odnajdzie dzieci i odda je ojcu.

Skinęła głową.

- Chyba tak, ale nie pamiętam już, co wtedy myślałam. Pamiętam natomiast, że po tamtym strasznym dniu, kiedy dzieci zostały zabrane, zrozumiałam, iż muszę przestać o nie walczyć, bo ta szarpanina nie przyniesie niczego dobrego.

A poza tym wiedziałam, że Mark jest dobrym ojcem, o wiele lepszym niż ja matką. Kochał je całym sercem i stworzył im dom. Zdecydowałam więc, że będę trzymać się od nich z daleka. Jeżeli nawet sąd przyznałby mi prawo do spotkań z dziećmi, to byłoby ono ograniczone warunkami, zastrzeżeniami, zakazami, zaleceniami, a tego bym nie zniosła. Pomyślałam sobie, że zrobię znacznie lepiej, jeżeli pozwolę im podjąć decyzję, czy chcą się ze mną widywać, kiedy będą starsze.

- Nie bała się pani, że opinia doktora Hilla na pani temat, jego sposób postrzegania tamtych wydarzeń czy choćby prosty fakt, że on był przy nich, a nie pani, mogły zaważyć na ewentualnej decyzji? Musiałby być świętym, by nie starać się zniechęcić je do kontaktów z panią...

- Byłam gotowa podjąć to ryzyko. Znam Marka, i to bardzo dobrze. Zaprzyjaźniliśmy się jeszcze w dzieciństwie, pochodzimy z tej samej okolicy, mieszkaliśmy w tej samej dzielnicy Dublina, nasze rodziny były z sobą bardzo blisko. Wiedzieliśmy o sobie prawie wszystko, zupełnie jak brat i siostra. Nie powinnam była za niego wychodzić, czułam to od samego początku. - Wstała, wyjęła papierosa z rzeźbionej szkatułki na kominku, zapaliła i znowu usiadła na wysokim stołku, w smudze światła. - Wiem także, że Mark nigdy, przenigdy nie zrobiłby Judith krzywdy. Bardzo się pan co do niego myli.

- Więc kto mógłby to zrobić? Niech mi pani pomoże, bo jak na razie mamy tylko mnóstwo dowodów obciążających doktora Hilla.

Opowiedział jej wszystko - o pracowni na poddaszu, o krwi, ostrych narzędziach i fotografiach - i widział, jak jej twarz robi się coraz bledsza. Z wysokiej szafki w kącie pokoju wyjęła butelkę i dwa kieliszki. Napełniła je i jednym haustem wypila swoją porcję. Jack się zawahał.

- Niech pan się napije - rzuciła. - Całkiem niezłe.

Ostrożnie pociągnął mały łyk. Alkohol miał przyjemny, ledwo wyczuwalny jabłkowy aromat. Elizabeth naląła sobie drugi kieliszek i rzuciła Jackowi pytające spojrzenie. Potrząsną głową.

- To także miejscowy specjał - powiedziała. - Coś w rodzaju domowego calvadosu. Robi go inny mój sąsiad, sadownik, który specjalnie w tym celu hoduje jabłka.

Odwróciła się, pochyliła głowę. W pokoju zapadła cisza. Gdzieś z daleka dobiegał warkot traktora. Najpierw pracował na pełnych obrotach, potem zwalniał. Jack rozejrzał się dookoła. Pod dalszą ścianą stało biurko, a na nim komputer, szpetny plastikowy twór, niepodobny do niczego, co znajdowało się w tym domu. Nad monitorem, na półeczce, kilka oprawionych w ładne ramki zdjęć. Jack wstał i podszedł do biurka, trzymając kieliszek w ręku. Bez najmniejszego trudu poznał, kogo przedstawiały - Judith i Stephena jako małe dzieci. Te same fotografie widział na ścianie pracowni Eliza-

beth w domu w Rathmines. Było tu także kilka innych zdjęć, między innymi portret ciemnowłosej kobiety z gęstą grzywką. Wyglądała znajomo. Jack spojrzął na blat biurka. Leżało tam kilkanaście kartek papieru w foliowym folderze, a obok mała reprodukcja obrazu, który także już widział.

- Caravaggio - mruknął. - Zaczynam sądzić, że macie na jego punkcie rodzinną obsesję. To trzecia reprodukcja tego obrazu, jaką mam wątpliwą przyjemność oglądać od śmierci Judith...

Podniosła głowę i szybkim ruchem otarła oczy.

- Powinam się jej pozbyć, ale kiedyś podziwiałam sposób, w jaki został namalowany - powiedziała. - Zdumiewała mnie ta dziwna mieszanka absolutnego realizmu i sennego rozmarzenia. Tego rodzaju obraz może się podobać wyłącznie ludziom, którzy nigdy nie padli ofiarą przemocy, dlatego teraz wydaje mi się nie tyle realistyczny, ile pornograficzny. Pochwala akt mordy, nadaje mu wyjątkową wartość. - Podeszła do biurka i wzięła do ręki plastikową teczkę. - Tu mam esej Judith. Przysłała mi go do przeczytania. Byłam pod wielkim wrażeniem, to świetna praca. Nie mogę już patrzeć na ten obraz, przyprawia mnie o mdłości. - Chwyciła kartkę i podarła ją na drobne kawałki. Potem wrzuciła je do kominka, ponownie napełniła kieliszek i stanęła obok Jacka, wpatrując się w zdjęcia. - To ona - rzekła, dotykając twarzy ciemnowłosej młodej kobiety. - Moja Jenny. Była wtedy taka piękna...

- A teraz?

Uśmiechnęła się.

- Teraz jest kobietą w średnim wieku, z doskonale utrzymaną fryzurą i zanedbaną figurą. Widziałam ją na pogrzebie. Zmusiła się, żeby skinąć mi głową. Potem, po nabożeństwie, zaprosiła wszystkich do siebie, ale było oczywiście, że mnie to zaproszenie nie obejmuje.

No tak, teraz sobie przypominał. To była sąsiadka, która obchodziła urodziny w tym tygodniu, kiedy zginęła Judith. Ta, której Judith przyniosła kwiaty.

- Czy ma pan jeszcze jakieś pytania, panie Donnelly? Jeżeli

nie, to bardzo mi przykro, ale muszę wracać do pracy. Mam wyjątkowo pilne zlecenie.

Włączyła komputer i przysunęła do biurka krzesło z wysokim oparciem.

- Znowu mnie pani zaskoczyła - powiedział, podnosząc teczkę i wskazując monitor. - Myślałem, że używa pani tylko ołówka, farb i papieru.

- W dzisiejszych czasach to konieczność - odparła, prawą ręką przesuwając myszkę. - Stale posługuję się komputerem. Program graficzny jest łatwy w obsłudze i bardzo pomocny. Poza tym, trochę wbrew sobie, zostałam wielbicielek Internetu. Codziennie czytam irlandzkie gazety i dzięki temu wiem, co się dzieje w kraju. Tak więc, inspektorze Donnelly, będę uważnie śledziła pańskie działania.

Odprowadziła go aż do bramy i zaczęła na przyjazd taksówki. Jack myślał o tym, że rano wyglądała prawie jak dziewczynka, a teraz sprawiała wrażenie starej kobiety. Jej skóra była szara i zwiotczała, oczy zmęczone i pozbawione wyrazu, ruchy niepewne.

- Proszę pamiętać, co powiedziałam panu o Marku. - Położyła mu rękę na ramieniu. - Niech pan potraktuje to poważnie, dobrze? Nigdy nie uwierzę, że Mark zabił Judith. Nie warto, aby prowadził pan śledztwo w tym kierunku, nic dobrego z tego nie wyniknie. Mark dosyć wycierpiał przez te wszystkie lata. Proszę nie ranić go jeszcze bardziej.

Kiedy dotarł na lotnisko, był kompletnie wyczerpany. Myślał tylko o tym, żeby jak najszybciej wrócić do Dublina, zaszyć się w przytulnym kącie spokojnego pubu i wypić parę piw. Tymczasem okazało się, że samolot ma opóźnienie. Najpierw pół godziny, potem jeszcze czterdzieści minut. Siedział w barze i sączył drinka. Dookoła słyszał irlandzką mowę, dodające otuchy, znajome dźwięki. Straszny z siebie słabeusz, skarcił się w myśli. Nie lubisz przygód, czy co? Nagle się zorientował,

że ktoś woła go po imieniu. Odwrócił się i zobaczył drobną blondynkę, którą parę lat temu przedstawił mu Andy.

Powiedziała, że ostatnie dwa dni spędziła w Londynie, na konferencji o rodzinach zastępczych. Pełna nuda, nic ciekawego.

- Siadaj, proszę. - Jack poklepał stołek obok siebie. - Czego się napijesz?

W przeszłości rozmawiali kilka razy, zawsze w towarzystwie Andy'ego. Kiedyś Jackowi zaświtała nawet w głowie myśl, że tych dwoje coś łączy, ale Andy zaprzeczył i wręcz go wyśmiał. Alison nie uznaje kompromisów i jest zbyt uczciwa, aby wiązać się z żonatym mężczyzną, powiedział. Nie ukrywał jednak, że sam nie miałby nic przeciwko takiemu związkowi.

Teraz Jack czekał na nieuniknione pytania na temat morderstwa, zatrzymania podejrzanego i śledztwa, lecz Alison zaczęła opowiadać mu o swoim ogrodzie.

- To śmieszne - mruknęła. - Nie było mnie w domu trzy dni i potrafię myśleć tylko o mszycach, które może oblażyły róże, oraz o dojrzewających malinach. W zeszłym tygodniu zasadziłam dwie srebrne brzozy i mam nadzieję, że syn sąsiadów podlewał je jak należy, zapłaciłam mu za to. - Roześmiała się, w okrągłych policzkach pojawiły się dołeczki. - Odkąd w zeszłym roku przeprowadziłam się do domu w Sandymount, stałam się potworną nudziarą. Zachowuję się jak świeżo upieczona matka, która potrafi rozmawiać jedynie o swoim dziecku.

- Tego mi potrzeba. - Jack podsunął jej orzeszki ziemne. - Jakiegoś hobby, czegoś, co pozwoliłoby mi przestać myśleć o pracy.

- Tak, ja też miałam kiedyś kręcka na punkcie pracy - przyznała, apetycznie chrupiąc orzeszki. - Nie potrafiłam przestać o tym myśleć i mówić. Wszystkie dzieci, których sprawy prowadzę, uważałam za własne. Zawsze byłam w pogotowiu, wiecznie na dyżurze. Wydzwaniali do mnie w dzień i w nocy, truli mi głowę, dręczyli, nie dawali spokoju. To samo było z rodzicami. Co ja mówię - rodzice byli jeszcze gorsi, jeżeli

to w ogóle możliwe. A ja tkwiłam w środku, prawie jak między młotem a kowadłem...

- Jaka była Amy Beckett? Nadzorujesz także jej rodzinę zastępczą, prawda?

- Ach, widzę, że Andy nie próżnował. - Alison wytrząsnęła z torebki następną garść fistaszków. - Szczerze mówiąc, nie miałam nigdy żadnych problemów ani z nią, ani z jej przybranymi rodzicami. Ta dziewczyna miała ogromne szczęście. Williamsowie to wyjątkowo miła gromadka i od początku wiedzieli, jak trafić do serca Amy. I dobrze, bo lepiej nie wchodzić jej w drogę. Amy jest twarda, zawsze wie, czego chce i nie jest skłonna do ustępstw.

- Wygląda na to, że jest podobna do ojca.

- No, tak... - Alison spojrzała na niego z zaciekawieniem. - Ty go przecież znałeś...

Jack wziął torebkę z jej ręki, odwrócił do góry dnem i wykonał pełen udawanego przerażenia gest.

- Przepraszam. - Uśmiechnęła się. - Zamówię jeszcze jedne, w porządku? Umieram z głodu.

- Zrobimy sobie przyjemność i nie rozmawiamy o niczym, co ma jakikolwiek związek z pracą. Mam dość swojej ostatniej sprawy i przepraszam, że w ogóle poruszyłem ten temat. Daj mi trochę orzeszków i opowiedz coś jeszcze o ogrodzie.

Zabawiała go rozmową do chwili, kiedy wezwano ich do odprawy. Jack był przyjemnie zaskoczony, ponieważ ze słów Andy'ego wynikało, że Alison jest zamkniętą w sobie, dość sztywną osobą. W czasie lotu często zerkał na jej jasną głowę i razem z nią wyszedł do hali przylotów dublińskiego lotniska.

- Nie mam prawie żadnego bagażu - powiedziała, wskazując zgrabną małą torbę na kółkach.

Na dworze powoli zapadał zmrok. Jack uważał za oczywiste, że powinien podwieźć ją do domu. Gdy dotarli na miejsce, Alison bez wahania zaprosiła go na kolację i może coś dobrego do picia.

- Zawstydziłaś mnie - oświadczył, przechadzając się po

dużym, pięknym salonie. - Jak ci się udało stworzyć taki uroczy dom?

- Z miłości - odparła. - Zakochałam się w tym domu dwa lata temu. Był wtedy zapuszczony, właściwie nadawał się tylko do rozbiórki. Długo to trwało, ale w końcu udało mi się doprowadzić go do porządku.

Pokoje na parterze zachwyciły przejrzystymi, czystymi kolorami, zielenią mchu i głębokim błękitem. Kuchnia była intensywnie żółta. Jack pomyślał o swoim mieszkaniu, nagiej, nie skażonej żadnymi dekoracjami bieli ścian, a także o domu, w którym przez kilka lat mieszkał z Joan. Jego była żona suszyła mu głowę, prosiła, przeklinała i groziła, lecz on nie ustępował. Nie chciał inwestować w dom, o wszelkich zmianach myślał z najwyższą niechęcią. Teraz siedział i przyglądał się, jak Alison przygotowuje posiłek. Robiła sos pomidorowy do makaronu, kroїła w kostkę czerwoną paprykę i kruszyła ser feta do sałaty. Jej ruchy były precyzyjne i celowe.

- Proszę bardzo. - Odwróciła się ku niemu z butelką i korkociągiem w ręku. - Oto zadanie dla mężczyzny.

Jack powąchał korek.

- Mmm... Ładnie pachnie.

Wzięła od niego otwartą butelkę i napełniła dwa kieliszki.

- Smakuje jeszcze lepiej - rzekła, zanurzając wargi w winie.

Jack wpatrywał się w jej długą, białą szyję, kiedy piła. Nagle zapragnął chwycić zębami delikatną skórę Alison. Zaczzerwienił się gwałtownie. Podniósł kieliszek i pociągnął duży łyk. Wino miało głęboki, owocowy smak z lekką goryczką. Alison czekała na jego reakcję.

- Dobre - pochwalił. - Co to za wino?

- Hiszpańskie. Z Guelbenzu, jednej z tych winnic, które ostatnio zaczęły produkować naprawdę niezłe wina.

- Znasz się na tym?

Uśmiechnęła się i ponownie napełniła kieliszki.

- Tylko tyle, aby umieć wybrać dobre, takie jak to.

- Lubisz dobre rzeczy, prawda? Dobre jedzenie, dobre wino...

Postąpiła krok w jego kierunku i położyła mu rękę na ramieniu. Przez białe płótno bluzki widział zarys jej piersi.

- Tak. Lubię odczuwać satysfakcję, sprawiać sobie przyjemność.

Przesunął czubkami palców wzdłuż jej obojczyka i zatrzymał je w dolince u podstawy szyi. Przełknęła ślinę, a on poczuł, jak jego palce unoszą się i opadają. Kiedy przemówiła, jej krtań zawibrowała.

- Często o tobie myślałam, Jack. Andy niewiele mówił na twój temat, jest bardzo dyskretny. Słyszałam jednak, że jesteś teraz w separacji. To prawda?

- Prawda - przytaknął.

Odstawił kieliszek i pocałował ją w policzek. Przesunęła twarz, tak że jej wargi dotknęły jego ust. Pocałował ją i poczuł lekkie muśnięcie języka na dziąsłach.

Cofnęła się i wyciągnęła rękę, żeby wyłączyć kuchenkę.

- Zjemy później - powiedziała.

Rozdział dwudziesty

Czy widziała kiedyś taki zachód słońca? Nie mogła sobie przypomnieć. Siedziała na tarasie przed domem i patrzyła na morze. Przed nią rozciągała się ciemnobłękitna linia horyzontu, a nad nią jaśniejsze niebo z pasmami chmur w nieprawdopodobnych, bajkowych odcieniach różowego, pomarańczowego i złocistego. Patrzyła tak długo, aż wreszcie kontury pięknego obrazu rozmasały się od łez, które napłynęły jej do oczu. Więc tak to wyglądało, tak było przez wszystkie te lata, kiedy siedziała w więzieniu, odgradzona od świata. Codziennie wieczorem Daniel Beckett z żoną siadali tutaj, na tej ławce i wpatrywali się w najpiękniejszy widok świata. A ona nic nie wiedziała...

Podniosła szklankę z drinkiem i powąchała ją. Czowała słodczy dzinu, cierpki, nieco chemiczny aromat toniku i kwaskowatą gorycz cytryny. Zakreśliła szklanką, przyglądając się, jak długie nitki bąbelków podążają ku powierzchni. Słyszała melodyjny brzęk kostek lodu. Przełknęła parę łyków. Coraz lepiej radziła sobie z alkoholem. Podczas pierwszych tygodni po wyjściu z więzienia przerażało ją, że ciało nagle odmawia posłuszeństwa i zachowuje się jak obcy twór, głos staje się grubszy, niższy, ze słów giną sylaby, a uczucie uniesienia, zadowolenia i przyjemnej ekscytacji porywa ją jak fala, po to tylko, aby niedbale wyrzucić na kamienisty brzeg.

Nauczyła się już dawkować przyjemność picia. Pociągnęła mały łyk i poczuła, jak gładki chłód płynie przez gardło, napędzając krew do policzków. Dzisiaj po południu poszło jej prawie doskonale, a wieczorem będzie jeszcze lepiej.

Wstała i podeszła do drzwi, za którymi znajdował się długi, jasny salon. Przystanąła i słuchała. Z wewnątrz dobiegał głos Franka Sinatry, z kuchni wtórowała Ursula.

- Pomóc ci? - zawołała. - Mogę coś zrobić?

Ursula stanęła w progu. Odsunęła kilka pasm włosów z twarzy i wytarła dłonie w pasiasty fartuch.

- Nie. - Uśmiechnęła się. - I tak już mnóstwo zrobiłaś. Zapakowanie dzieci do łóżek to wystarczająco duże wyzwanie jak na jeden wieczór. Proszę. - Podała Rachel butelkę z dżinem. - Dolej sobie.

Przez większą część popołudnia Rachel bawiła się z dziećmi w chowanym w ogrodzie. Pokazały jej wszystkie swoje tajemne kryjówki. Szopę na narzędzia ogrodnicze, z zepsutym zamkiem w drzwiach, i foliowy tunel, gdzie chowały się w deszczowe dni. Obejrzała również trzy wielkie beczki na kompost. Jedną wypełniała po brzegi ciemna, jakby zwarzona substancja, do drugiej wrzucano odpadki kuchenne, natomiast trzecia była pusta, dość duża, by swobodnie zmieściło się w niej dziecko, chowając się pod łatwą do podniesienia pokrywą. Na mocnych gałęziach dębu ktoś umieścił platformę, na którą wchodziło się po sznurowej drabince. Było tam dosyć miejsca dla niezbyt wysokiej dorosłej osoby. Rachel obejrzała także cudowny widok z okien sypialni i wszystkie małe ścieżki i tunele przecinające miejsca gęsto porośnięte sosnami i krzakami janowca.

- Raczej nie wolno nam się bawić za płotem - wyznał Jonathan. - Rodzice boją się, że moglibyśmy spaść na tory kolejowe albo na skały. Myślą, że jesteśmy głupi.

- Tak. - Laura energicznie kiwnęła głową, wysoko unosząc podbródek i opuszczając go na górny guziczek bluzki. - Uważają, że jesteśmy głupi. Ale to nieprawda, mam rację?

- Oczywiście. - Rachel pocałowała ją w czoło. - W żadnym razie nie jesteście głupi, wręcz przeciwnie - bystrzy i sprytni.

A teraz pokażcie mi jeszcze coś ciekawego. Macie takie kryjówki, gdzie nikomu nawet nie przyszłoby do głowy was szukać? Na palcach przeprowadzili ją dookoła domu, obok szklanych drzwi do kuchni i ostrożnie podnieśli drzwi do garażu.

- Popatrz! - Chłopiec wskazał dużym palcem u nogi lekkie wgłębienie w podłodze. - To jest świetna kryjówka.

- Ale nie wolno nam tam wchodzić - dodała szybko Laura. - Tatuś mówi, że to niebezpieczne.

- Co jest niebezpieczne? - Rachel nachyliła się, żeby lepiej zobaczyć.

- Tam jest takie miejsce, gdzie tatuś reperuje różne rzeczy. - Jonathan oparł ręce na biodrach i rozejrzał się dookoła z wyrazem męskiej wyższości na twarzy. - Warsztat. Czasami w samochodzie coś się zepsuje i wtedy tatuś lubi sam to naprawiać.

Rachel ostrożnie uniosła klapę i zajrzała do środka. Daniel zawsze świetnie sobie radził z urządzeniami mechanicznymi, był dobry w rozbieraniu i składaniu silników, zegarów, maszyn do szycia czy tranzystorów.

- Wydaje mi się, że nie powinniście się tam chować - powiedziała, kładąc ręce na ramionach dzieci. - Tata ma rację. Tam na dole jest prawdopodobnie bardzo brudno i śmierdzi olejem.

- I jest ciemno - zauważyła Laura, nie mogąc powstrzymać drżenia warg.

- Ale ciemność nie jest niczym złym - rzekła Rachel, nachylając się i ujmując buzię dziewczynki między dłonie. - W ciemności można czuć się zupełnie bezpiecznie, wiesz?

Trochę później usiadła przy łóżeczku Laury i patrzyła, jak mała zasypia. Małe szczęki mocno ścisnęły kciuk, okrągłe policzki poruszały się lekko w rytmie ssania, a kiedy dziecko zapadło w głęboki sen, kciuk wysunął się spomiędzy rozchylonych warg, mokry i lśniący. Na brodzie Laury pojawiła się niteczka śliny, którą Rachel wytarła rogiem poszwy. Pogłaskała miękkie, ciemne włosy dziewczynki, pocałowała ją w policzki, a potem wstała i poszła do kuchni.

Ursula zdecydowała, że zjedzą na dworze, ponieważ wieczór był wyjątkowo piękny.

- Zajmij się tym, dobrze? - poprosiła, wręczając Rachel korkociąg.

Było to drewniane urządzenie z długim, mocno skręconym kawałkiem metalu oraz dwiema dźwigienkami, które, naciskane, miały się połączyć i bez kłopotów wyciągnąć korek z szyjki butelki. Rachel starała się opanować jego działanie, ale nic z tego nie wychodziło. Czuła, że Ursula obserwuje ją z lekkim zniecierpliwieniem. Kolacja już czekała i gęsta zupa warzywna powoli stygła w dużych miseczkach.

- Przepraszam. - Rachel spojrzała na Ursulę nieśmiało. - Nie bardzo potrafię się tym posługiwać. Nigdy takiego nie widziałam. Może ty otwórz wino, a ja przyniosę z kuchni resztę jedzenia.

Ursula przygotowała bułki, jeszcze ciepłe, jako dodatek do zupy, oraz domowe hamburgery. Rachel przyglądała się, jak Ursula miesi rękami mielone mięso z cebulą, natką pietruszki i dorodnym żółtkiem. Zrobiło jej się niedobrze, lecz gotowe, poczerniałe z wierzchu hamburgery nie wyglądały najgorzej. Rachel zrobiła cienkie frytki, chrupiące i słone, a także zieloną sałatę z pomidorami i szczypiorkiem.

- Wszystkie warzywa pochodzą z naszego ogrodu - powiedziała Ursula z dumą, stawiając na blacie miseczkę majonezu, słoik musztardy i półmisek z najróżniejszymi marynatami.

Jadły w milczeniu. Kolacja była doskonała. Rachel spod oka obserwowała Ursulę. Żona Daniela żarłocznie pochłaniała jedzenie, wkładając zbyt duże porcje do ust i otwierając je tak szeroko, że Rachel dokładnie widziała ich wnętrze. W pewnej chwili poczuła, że ją mdli i odsunęła talerz.

- To była prawdziwa uczta. Dziękuję.

- Ale chyba możesz jeszcze coś zjeść? Mamy domową szarlotkę i lody. I śmietanę, jeżeli miałabyś ochotę. No, Rachel, nie przypuszczasz chyba, że często pozwalam sobie na taką rozpustę. Gdybym zawsze tyle jadła, nie zmieściłabym się

w swoje rzeczy. Pomyślałam tylko, że dzisiaj jest wyjątkowy dzień. Daj mi korkociąg, otworzę następne wino.

Rachel przyglądała się, jak Ursula zrywa folię z korka. Skalczyła się w czubek palca, ale nawet tego nie zauważyła. Wstała, żeby napełnić kieliszki i zachwiała się, rozlewając wino na obrus i swoje białe spodnie.

- O, cholera! - Parsknęła śmiechem. - Wiedziałam, że tak będzie. Przyniosę ścierkę.

W salonie odezwał się telefon.

- Podnieś, dobrze? - zawołała Ursula. - Jeżeli to Dan, po wiedz mu, że nie mogę podejść. Że wszystko w porządku i że go kocham.

W domu znajdowało się kilkanaście aparatów, Rachel zauważyła to już wcześniej. W każdym pokoju jeden albo dwa. Minęła czerwony telefon w salonie i wyszła do holu, zamykając za sobą drzwi. Odebrała telefon. Chwilę słuchała, potem odpowiedziała i odłożyła słuchawkę. Podniosła ją znowu i zostawiła na stoliku koło aparatu. Wróciła na taras, omijając kuchnię, z której dobiegał szmer wody.

- Kto dzwonił? - zapytała głośno Ursula.

Trochę za głośno, pomyślała Rachel.

- Ktoś wybrał zły numer.

Robiło się późno. Zapadała noc.

- Przynieś deser - poprosiła Ursula. - Wszystko jest w lodówce, a na blacie stoi butelka Baileysa. Napijmy się, dobrze? Uwielbiam Baileysa.

Rachel nalała likier do dwóch kieliszków i spojrzała przez ramię w kierunku tarasu. Ursula zapaliła świecę i lampę, wiszącą w metalowym kaganku na murze domu. Siedziała wygodnie rozparta w fotelu, światło wydobywało z mroku jej twarz o przymkniętych powiekach. To będzie łatwe, pomyślała Rachel. Wsunęła rękę do kieszeni i wyjęła plastikową buteleczkę po lekarstwach. Otworzyła ją i wytrząsnęła na otwartą dłoń dwie czerwone kapsułki. Ostrożnie rozdzieliła dwie powłoki i wsypała drobny biały proszek do jednego z kieliszków. Obejrzała się znowu. Ursula wstała i podeszła do krawędzi

tarasu. Chwiała się lekko. Rachel wzięła łyżeczkę i wymieszała proszek z alkoholem. Nachyliła się i powąchała kieliszek. Czowała tylko zapach śmietanki, kawy i alkoholu. Wyszła na taras i podała kieliszek Ursuli, która podniosła go i z wyraźną przyjemnością wciągnęła zapach w nozdrza.

- Och, naprawdę uwielbiam ten likier - powiedziała.

Zanim wypięła do końca, zasnęła z głową opartą na stole. Rachel przyjrzała się jej uważnie. Teraz Ursula nie wyglądała już tak ładnie. Miała poplamione spodnie, mięśnie twarzy zupełnie się rozluźniły, z otwartych ust wydobywało się chrapanie. Rachel myślała o tym, jak brzmiał przez telefon głos Daniela. Nie słyszała go od tamtego dnia w sądzie, kiedy wyparł się wszystkiego i zaprzeczył jej słowom. Kiedy ją zdradził...

- Cześć, skarbie - powiedział. - To ty, Ursulo? - zapytał, zaniepokojony brakiem odpowiedzi. - Wszystko w porządku, kochanie? Jak dzieci? Miło spędzasz czas z tą nieszczęśliwą panią, którą wzięłaś pod swoje skrzydła? Jesteś zadowolona?

- Kto mówi? - odezwała się Rachel obcym, nieznanym nawet jej samej głosem. - To chyba pomyłka.

I odłożyła słuchawkę.

Była pewna, że Daniel będzie jeszcze dzwonił, ale usłyszy tylko sygnał, że telefon jest zajęty. Po paru próbach podda się i zadzwoni rano. A rano jego żona nie będzie mogła sobie przypomnieć, co działo się wieczorem.

Wstała, obeszła stół dookoła, zarzuciła sobie ramię Ursuli na szyję i dźwignęła ją na nogi.

- Chodźmy - powiedziała. - Czas do łóżka.

Powieki Ursuli podniosły się powoli, lecz zaraz znowu opadły. Jej ciało było zupełnie bezwładne. Rachel na wpół zanosła, na wpół zaciągnęła ją do salonu i ułożyła na długiej sofie. Rozebrała ją i otuliła wyjętym z szafy kocem. Wyprostowała się i spojrzała na nieprzytomną kobietę. Żona Daniela spała głęboko, mocno i spokojnie jak jej dzieci na górze. Teraz dom należy do mnie, pomyślała Rachel. Podniosła kie-

liszek i odwróciła się do wielkiego lustra na ścianie. Wypiła do dna.

Kiedy otworzyła oczy, był już ranek. Obudził ją krzyk niemowlęcia, natarczywy, pełen gniewu i buntu, oraz głos dziewczynki, która stała nad nią i szarpała ją za ramię.

- Proszę, obudź się, obudź się! Pani od brzoskwiń, obudź się! Mój braciszek jest głodny i mokry, a ja nie mogę znaleźć mamusi...

Rachel leżała na boku, twarzą do okna, w które świeciło słońce, rozjaśniając intensywnie żółty kolor zasłon. Podniosła głowę. Laura stała z nogą opartą o brzeg łóżka, trzymając małego braciszka na kolanie. Twarz chłopca była czerwona, po jego tłusciutkich policzkach spływały łzy. Szlochał i rozpaczliwie chwycił powietrze, wściekły z głodu. Cuchnął moczem. Rachel odrzuciła koc i wstała.

- Daj mi go - powiedziała, biorąc chłopca z ramion Laury. - Mamusia śpi na dole, nie przeszkadzajcie jej. Pokaż mi, gdzie są pieluchy.

Wszystko wydawało się takie proste i naturalne. Położyła dziecko na rozpostartym na podłodze w łazience ręczniku i zdjęła z niego kompletnie przemoczoną pieluszkę. Umyła chłopca, popudrowała i założyła świeżego pampersa. Potem znalazła frotowy komplet, ubrała go, wytarła mu buzię i pocałowała w przyjemnie ciepły policzek.

- No, już wszystko w porządku. - Uśmiechnęła się do Laury i Jonathana, którzy towarzyszyli jej podczas całej operacji. - Kto ma ochotę na śniadanie?

W kuchni panował idealny ład i porządek. W nocy Rachel wysprzątała ją, zmyła naczynia i przygotowała wszystko na rano. Teraz posadziła dziecko w wysokim krzeselku i zagrzała mu butelkę kaszki z mlekiem. Wsypała płatki do miseczek, zalała mlekiem i wrzuciła kilka kromek chleba do tosterka. Podała dzieciom sok pomarańczowy w szklaneczkach i zaparzyła dzbanek kawy. Wszyscy zabrali się do jedzenia, spokojni i zadowoleni. Po paru minutach usłyszeli dochodzący z salonu hałas.

- Co się dzieje? - zapytała Rachel.

- To mama - odparł Jonathan. - Spała na sofie. Wydaje mi się, że wymiotuje.

Rachel zostawiła dzieci przy stole i zajrzała do salonu. Ursula siedziała na brzegu sofy z twarzą koloru popiołu. Powietrze przepełniał odór wymiocin. Rachel patrzyła na nią bez słowa. Ursula ukryła twarz w dłoniach.

- Co się stało? - wykrztusiła.

- Nie pamiętasz?

Milczenie.

- Mam wrażenie, że troszeczkę za dużo wypijaś - powiedziała Rachel powoli. - Byłaś zupełnie nieprzytomna, więc pomyślałam, że najlepiej będzie zostawić cię tutaj.

- A... A to? - Ursula zerknęła na swoje długie nogi i ciasniej otuliła się kocem. - Dlaczego jestem naga?

- Tego też nie pamiętasz?

Potrząsnęła głową.

- Najpierw koniecznie chciałaś tańczyć, a potem uparłaś się, żeby zrobić striptiz. Nie zdołałam ci tego wyperswadować...

Po udręczonej twarzy Ursuli popłynęły łzy. Przez chwilę Rachel prawie było jej żal.

- Nie przejmuj się. - Uśmiechnęła się pocieszająco. - Wszystko, co powiedziałaś mi ubiegłego wieczoru, zostanie między nami. W porządku?

Ursula zaczerwieniła się gwałtownie. Odwróciła wzrok, lecz po chwili podniosła głowę i spojrzała na Rachel.

- Co z dziećmi? - zapytała.

- Przewinęłam najmłodszego i dałam mu kaszkę. Laura i Jonathan także jedzą śniadanie. Nie musisz się o nich martwić. Posłuchaj... - Usiadła obok Ursuli i wzięła ją za rękę. - Posłuchaj, trochę się zabawiłaś i wyluzowałaś, to nic złego. Nie myśl przypadkiem, że mam ci to za złe. Wiesz, co powinnaś teraz zrobić? Idź na górę, weź prysznic i połóż się. Zostanę i zajmę się dziećmi, nawet do końca dnia, a ty odpoczniesz i spokojnie dojdiesz do siebie. Co ty na to?

Zaniosła jej filiżankę herbaty i grzanek do sypialni.

- Uch... - Ursula skrzywiła się z obrzydzeniem. - Nie słodzę herbaty ani kawy.

- Wypij - poleciła Rachel. - Słodka herbata to doskonały lek na kaca. Mój ojciec zawsze to powtarzał.

Herbata z cukrem i kolejne dwie kapsułki nasenne. To powinno zatrzymać ją w łóżku do końca dnia, pomyślała. Ursula ciężko osunęła się na poduszki.

- Zabiorę dzieci na spacer, dobrze?

- Jeżeli chcesz, weź samochód. Jesteś taka dobra, taka troskliwa... Naprawdę doceniam to, co dla mnie robisz. I przepraszam za kłopot...

Rachel stała w drzwiach sypialni, czekając, aż powieki Ursuli opadną. Minioną noc spędziła właśnie w tym pokoju. Był piękny. Miał wysokie okna, wychodzące na ogród i morze. Skrywał mnóstwo tajemnic. W rogu sejf pod dywanem. Na górnej półce szafy szkatułka z biżuterią. W szufladzie maleńkiego, delikatnie zdobionego biureczka notes. Rachel przypomniała sobie, jak dziewczyny z więzienia mówiły jej, że ludzie zapisują w notesach absolutnie wszystko, i to w bardzo niedbały sposób. I rzeczywiście, w notesie Ursuli znalazła numery PIN kart bankowych, kod alarmu, kombinację cyfr do otwarcia sejfu. Nauczyła się ich wszystkich na pamięć i dokładnie zwiedziła dom, który teraz znała jak własną kieszeń. Obejrzała też pokój w wieży, pokój Daniela. Zapaliła lampę, usiadła za biurkiem i popatrzyła na rząd fotografii na półce. Szukała śladów własnego życia i znalazła je. Zdjęcie Martina w srebrnej ramce. Pamiętała, że zrobił je Daniel pewnego letniego dnia przed ich ślubem, w ogrodzie za domem Beckettów. Odwróciła ramkę i odsunęła małe klipsy, przytrzymujące tkwiącą z tyłu tekturkę. Wyjęła zdjęcie. Było złożone na pół. Na tej drugiej połowie ujrzała siebie. Martin siedział na leżaku. Zdjął koszulę, obnażając jasną, nieopaloną skórę. Rachel przysiadła na trawie, wpatrzona w niego. Wyglądała młodo i pięknie...

Podniosła wzrok i zobaczyła swoje odbicie w ciemnej szybie. Oparła głowę na rękach, zastanawiając się, co zrobić.

Potem z westchnieniem złożyła zdjęcie na pół, umieściła w ramce i postawiła na półce, dokładnie w tym samym miejscu.

Trafiła też na poddasze. Wieczorem dzieci pokazały jej schodki na górę i małe drzwi u szczytu domu.

- Zamknięte - rzekł Jonathan. - Nie wolno nam tam wchodzić. Święty Mikołaj przechowuje tam gwiazdkowe prezenty.

Rachel wzięła pęk kluczy, który Ursula zostawiła na kuchennym stole. Znalazła właściwy, otworzyła drzwi i weszła do środka, schylając głowę. Poszukała dłonią kontaktu i zapaliła światło. Pokój był prawie pusty. W kącie stało polowe łóżko, zwinięty śpiwór i stos kartonowych pudeł. Rachel wyszła i starannie zamknęła drzwi.

Teraz siedziała za kierownicą samochodu Ursuli i usiłowała przypomnieć sobie, co powinna zrobić ze stopami i rękami. Jak skoordynować ich ruchy, jak używać wstecznego lusterka, jak kręcić kierownicą, żeby zawrócić przed domem. Siedzący obok niej chłopiec podniósł wreszcie głowę znad game boya i ciężko westchnął.

- Ten samochód ma automatyczną skrzynię biegów - powiedział. - To najnowszy saab, wiesz? Bardzo drogi.

- Dziękuję, Jonathanie - odparła z uśmiechem. - Nie jestem najlepszym kierowcą świata.

Bez trudu dotarli do miasteczka. Jadąc, myślała, ile to razy pokonała tę trasę biegiem, zdyszana i spocona. Po drodze zawsze mijały ją eleganckie, komfortowe samochody, takie jak saab Ursuli.

Zaparkowała ostrożnie, czując na sobie baczne spojrzenie chłopca, gdy stopa ześlizgnęła jej się z pedału gazu podczas cofania. Kupiła dzieciom lody i powoli podjechała pod najbliższe centrum handlowe. Tym razem udało jej się zaparkować bez większych problemów. Wyjęła kluczyki ze stacyjki i uśmiechnęła się do dzieci.

- Zostańcie tutaj - powiedziała. - Za chwilę wrócę. Dokąd chcielibyście pojechać? Na plażę, do parku rozrywki? Decyzja należy do was.

Szybkim krokiem przeszła między sklepami i na samym

końcu znalazła to, czego szukała - mały warsztat ślusarski, w którym dorabiano klucze. Kazała wykonać kopie wszystkich: do domu, do samochodu, garażu i sejfu. Schowała je do kieszeni i wróciła na parking. Dostrzegła swoje odbicie w bocznym lusterku i z uśmiechem odgarnęła włosy do tyłu. Kiedy otworzyła drzwi saaba, zobaczyła rozjaśnione, szczęśliwe buzie dzieci. Zrozumiała, że czują się przy niej pewnie i dobrze.

Było już po czwartej, gdy ruszyli w drogę powrotną do domu. Dzieci były zmęczone. Wyszwały się na karuzeli, huśtawkach i zjeżdżalniach, znużyły je gry komputerowe i automaty. Jechała powoli i ostrożnie. Jonathan i Laura nawet nie zauważyli, dokąd ich wiezie. Skręciła w cichy zaułek i zwolniła, szukając wzrokiem tego domu. Po chwili zaparkowała.

- Lauro, pójdziesz ze mną, dobrze? - odezwała się. - Tylko na chwileczkę, kochanie. Zostań w samochodzie i popilnuj braciszka, Jonathanie.

Spodziewała się protestów, ale chłopiec skinął głową i włączył radio. Rachel wzięła Laurę za rękę i razem podeszły do frontowych drzwi. Serce trzepotało jej się między żebrami. Nacisnęła dzwonek. Prawie natychmiast usłyszała kroki i przez szybę z mlecznego szkła zobaczyła sylwetkę kobiety.

- Tak? W czym mogę pani pomóc?

Kobieta była bosa, ubrana w luźną kwiecistą sukienkę. Musiała pracować w ogrodzie, ponieważ na rękach miała ubrudzone ziemią grube gumowe rękawice.

- Przepraszam, że panią nachodzę, ale chciałam tylko zerknąć na ten dom... Mieszkałam tu kiedyś, wiele lat temu. Potem wyjechałam i dopiero niedawno wróciłam do Dublina. Czy pozwoli mi pani zajrzeć do środka?

Kobieta była uprzejma i bardzo miła. Bez wahania wpuściła je do holu. Rachel rozejrzała się dookoła.

- Proszę bardzo, niech pani wejdzie dalej - zachęciła. - Wszędzie bałagan, ale cóż, w końcu to niedziela...

Weszły do salonu. Rachel poczuła krople chłodnego potu na czole i plecach. Spojrzała w kierunku ogrodu i cieplarni. Podniosła rękę do ust.

- Nie ma jej... - powiedziała cicho. - Wszystko jest inaczej...

- Tak. - Gospodyni schyliła się i podniosła z błyszczącej podłogi parę sportowych butów i czapkę baseballową. - Tak, dom na pewno bardzo się zmienił. Ma ciekawą historię, wie pani o tym? A może to było jeszcze zanim pani tu mieszkała?

- Ciekawą historię?

- Kogoś tu zamordowano. Och, dawno, bardzo dawno temu. Potem dom został gruntownie wyremontowany i trochę przebudowany, nie przez nas, ale przez ludzi, którzy kupili go niedługo po tej tragedii. Sprzedali nam dość tanio, bo jakoś nie mogli się do niego przyzwyczać. Jeszcze za naszych czasów przychodzili tu ciekawscy, którzy chcieli zobaczyć miejsce zbrodni.

Rachel stanęła w drzwiach do ogrodu. Jej rośliny, cieplarnia, oczko wodne ze złotymi rybkami, kwietnik - wszystko zniknęło. Za domem był rozległy trawnik, na którym gromadka dzieci grała w piłkę nożną. Poczowała, jak ręka Laury zaciska się na jej rękawie. Mała zaczęła marudzić. Rachel schyliła się i wzięła ją na ręce.

- Jest zmęczona - rzekła. - Ma za sobą dzień pełen przygód.

- Śliczna dziewczynka. Zawsze chciałam mieć córeczkę, ale rodzę samych chłopców. - Poklepała się po zaokrąglonym brzuchu. - To też będzie syn. Strasznie kopie, chyba wyrośnie z niego drugi David Beckham.

Rachel uśmiechnęła się i pogłaskała Laurę po jedwabistych włosach.

- Jej starsza siostra spędziła tu parę lat jako małe dziecko - powiedziała. - Pokój dziecienny był wtedy na górze. Możemy tam wejść?

- Oczywiście, czemu nie? Proszę tylko nie przestraszyć się bałaganu.

Rachel bez pośpiechu zaglądała do wszystkich pokoi, od czasu do czasu tłumacząc coś Laurze, która ufnie oparła głowę na jej ramieniu. Kobieta czekała na nie na dole.

- Dziękuję - rzekła Rachel. - Jest pani bardzo uprzejma. To miało dla mnie duże znaczenie...

- Naprawdę? - Kobieta obrzuciła ją zaciekawionym spojrzeniem. - Dziwi mnie to. Nie przyszłoby mi do głowy, że zechce pani tu wrócić, nie po tym, co pani zrobiła.

Rachel próbowała coś powiedzieć, ale nie mogła wydobyć głosu z krtani.

- To pani, prawda? Od razu tak pomyślałam, ale nie byłam pewna. Wróciła pani na miejsce zbrodni? Nie do wiary. Sądziłam, że takie rzeczy dzieją się tylko w filmach.

Rachel położyła dłoń na klawisze.

- Wszystko w porządku, wcale mi to nie przeszkadza - ciągnęła kobieta. - Jestem po prostu trochę zaskoczona. Myślałam, że jest pani w więzieniu.

- Proszę... - Rachel błagalnym gestem wyciągnęła rękę. - Proszę, niech pani nic więcej nie mówi.

Kobieta się uśmiechnęła.

- Chyba powinna już pani iść. Mąż nie byłby zachwycony, gdyby tu panią zastał, ale ja... - Wzruszyła ramionami. - To było dawno temu. Żyj i pozwól żyć, oto moje motto. Ale ta dziewczynka raczej nie jest pani córką, co?

Dom Ursuli i Daniela znajdował się w odległości najwyżej pięciu kilometrów, bardzo blisko. Rachel szybko zjechała w dół wzgórza. Opony piszczały na rozgrzanej nawierzchni drogi. Niemowlę zasnęło i na zakrętach kołysało się z boku na bok w foteliku. Laura drzemała na siedzeniu obok braciszka. Jonathan siedział bez ruchu, z zamkniętymi oczami. Od domu dzielił ich już tylko jeden zakręt, Rachel widziała porośnięty krzakami janowca klif i rozciągające się w dole morze. Nacisnęła pedał gazu i saab skoczył do przodu. Jonathan otworzył oczy.

- Za szybko - powiedział. - Jedziemy za szybko. Zwolnij.

W domu panowała cisza. Rachel zaniósła śpiącego chłopczyka do łóżeczka i przykryła go lekkim koczykiem. Pod drzwiami sypialni Ursuli przystanęła na chwilę i ostrożnie zajrzała do środka. Ursula spała. Na dole ktoś włączył telewizor. Zadzwoił telefon. Rachel na palcach zbiegła po schodach.

- Tak, tato, nie było nas w domu - usłyszała głos Jonathana. - Pojechaliśmy na spacer z tą panią. Mama źle się czuje, boli ją głowa. Leży w łóżku. Niedługo będziesz? To dobrze. Na razie.

- Dzwonił wasz tata? - zapytała z bijącym sercem.

- Tak. Jest już w drodze. Za pół godziny będzie w domu.

Rachel powiesiła klucze na gwoździu przy drzwiach kuchennych i jeszcze raz rozejrzała się dookoła. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku. Zrobiła dzieciom kanapki i naleła im mleka do szklanek.

- Muszę już iść - powiedziała. - Na pewno jeszcze się zobaczymy. Do widzenia.

Podnieśli głowy i popatrzyli na nią. Laura wstała, podeszła i wyciągnęła w górę ramiona. Rachel schyliła się, żeby ją pocałować.

- Pa, malutka. Do zobaczenia.

Szybko poszła przez trawnik w kierunku zbrocza. Doszła do wniosku, że tędy łatwiej wydostanie się z posiadłości Beckettów. Nie chciała ryzykować spotkania z Danielem na drodze. Dorobione klucze pobrzękiwały w kieszeni. Myślała o wszystkim, co zostawiła w jego domu. O swoich odciskach palców na każdym możliwym przedmiocie i sprzęcie, o włosach na poduszkach i materacu łóżka Daniela i Ursuli, o kolczykach, które ukryła w najbardziej zakurczonym miejscu pod łóżkiem, o nitkach ze swoich ubrań na meblach i guziku od kurtki pod poduszkami sofy. Wszystko było na swoim miejscu. Dopięte na ostatni guzik. Niedługo ona także będzie gotowa.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Nad łóżkiem powiesiła teraz dodatkową mapę. Narysowała ją sama, po powrocie z domu Daniela. Dom nosił nazwę „Spindrift” - słowo to oznacza pianę, która przy silnym wietrze unosi się z powierzchni morza. Wiatr podrywa wodę, spienia ją, niesie zasłonę bieli, która zakrywa grzbiety fal, uniemożliwiając właściwą ocenę ich wysokości. Ale Rachel widziała wszystko bardzo dokładnie. Usiadła przy stole, nad dużą kartką papieru, z ołówkiem i linijką w rękę, i narysowała szczegółowy plan domu. Wszystkie pokoje, okna i drzwi. Kolorową kredką zaznaczyła granicę ogrodu, naniosiła na plan warzywniak, rabatę z ziołami, trawnik i drzewa. Następnie nakreśliła prawie wyłącznie liniami prostymi sylwetki Beckettów. Daniela z ciemnymi włosami i brodą, Ursulę z długim jasnym warkoczem oraz dzieci. Skończywszy, odchyliła się do tyłu i długą chwilę podziwiała swoje dzieło. Potem przypięła kartkę obok mapy Dublina. Wszystko układało się jak należy. Rachel była prawie gotowa.

Zostało jej jednak coś do załatwienia. Musi jeszcze raz spotkać się z córką. Tym razem nie popełniła żadnego błędu. Poprosiła Andrew Bowena, żeby wszystkim się zajął. Bowen porozmawiał z opiekunką społeczną Amy i uzgodnili szczegóły. Rachel i Amy miały spotkać się na neutralnym terenie, podobnie jak kilka razy w przeszłości, kiedy Rachel była

jeszcze w więzieniu. Rachel wiele by dała, żeby pozwolono jej zobaczyć się z Amy na świeżym powietrzu, może na końcu zachodniego molo, gdzie słońce ogrzewało ogromne bloki granitu, strzegące ładu przed potęgą morza. Albo w jednym z miejskich parków. Może w St. Stephen's Green, gdzie chodziła z małą Amy na spacer, zawsze zabierając torbę z pokruszonym chlebem dla dzikich kaczek. Może na Merrion Square, gdzie mogłyby usiąść na trawie między klombami pękających begonii. A najlepiej w Iveagh Gardens, parku ukrytym za szarymi gmachami Filharmonii Narodowej i Uniwersytetu, zarośniętym i dzikim, ze zwalonymi, potrzaskanymi rzeźbami, ledwo widocznymi między gęstymi krzewami. Rachel często przychodziła tam w czasach studenckich, układała się w słońcu na trawie i marzyła.

Okazało się jednak, że ma być inaczej. Andrew Bowen powiedział jej, że spotka się z Amy w budynku Wydziału Opieki Społecznej.

- Główna siedziba Wydziału znajduje się w Smithfield, w miejscu, gdzie kiedyś był targ bydła. Teraz jest tam mnóstwo nowoczesnych gmachów. Pamiętasz, jak dojechać do Smithfield? Chciałabyś, żebym pojechał z tobą, czy wolisz być sama?

Zdecydowała się pojechać sama. Poszła wzdłuż nabrzeża, z uczuciem nagłego lęku mijając siedzibę sądu, czując, jak potężny budynek z kolumnami i zieloną miedzianą kopułą chyli się w jej stronę. Była prawie pewna, że lada chwila runie tuż przed nią, tarasując przejście. Przypomniała sobie tamte dwa tygodnie dwanaście lat temu, kiedy codziennie rano wchodziła tu głównymi drzwiami, przepychając się przez tłum dziennikarzy i fotoreporterów, którzy starali się zwrócić na siebie jej uwagę.

- Tutaj, Rachel! - wołali. - Uśmiechnij się, Rachel! Jak twoje sprawy? Co masz do powiedzenia?

Ojciec szedł u jej boku, z napiętą, wyrażającą desperację twarzą, naznaczoną głębokimi bruzdami, z zapadniętymi w głąb czaszki oczami, które wydawały się zupełnie pozbawione wyrazu. Doskonale pamiętała, jak ostatniego dnia

procesu, kiedy z Amy na rękach próbowała znaleźć inne wejście, usłyszała nagle głośny okrzyk jednego z fotoreporterów.

- Patrzcie, jest tam! Tam, razem z dzieciakiem!

Kiedy sędzia ogłosił wyrok, z całego serca żałowała, że wzięła Amy ze sobą. Było to głupie i samolubne. Na pewno nie naraziłaby swego dziecka na takie przeżycia, gdyby naprawdę była dobrą matką. Jak mogła zrobić coś takiego? Ale z drugiej strony nie było chyba nic niezrozumiałego w tym, że chciała mieć córkę przy sobie w chwili, gdy zapadła decyzja co do jej dalszego losu... Każda matka postąpiłaby podobnie... Ale już wtedy zaczęła wątpić w słuszność swojego postanowienia i dziś także nie potrafiłaby go obronić. Czy kiedykolwiek miała prawdziwy instynkt macierzyński? Czy w ogóle istniało coś takiego? Odwróciła się tyłem do rzeki i przystanęła na chwilę, pragnąc przyjrzeć się rzędowi nowoczesnych biurowców w miejscu, gdzie kiedyś stały niskie domy, sklepy i puby. I dlaczego właśnie teraz postanowiła sprawdzić, czy posiada ów dar natury? Dlaczego poprosiła o spotkanie z Amy, chociaż ta nie ukrywała, że nie zamierza szukać dla matki miejsca w swoim życiu? Przeszła przez otwarty plac i oparła się o ogrodzenie. Zamknęła oczy i zwróciła twarz ku słońcu, tłumiąc panikę, która zaczęła już ogarniać całe jej ciało. Chce tylko znaleźć się w jednym pomieszczeniu razem z Amy. Nie, sprostowała szybko, to nieprawda. Chciała o wiele więcej - stanąć obok Amy, objąć ją, przytulić, oprzeć policzek o delikatny policzek córki, odetchnąć ciepłym zapachem mydła, świeżo umytych włosów i tym niemożliwym do opisania aromatem dziecka, poczuć ciężar jej głowy na ramieniu, szepnąć do ucha, że mimo wszystko to ona, Rachel, jest jej matką. Że są na zawsze związane dziewięcioma miesiącami, które Amy przeżyła w ciele matki i pięcioma latami, pełnymi miłości, które spędziły razem. I kiedy tak stała, z twarzą ku słońcu i z zamkniętymi oczami, poczuła, że jej wargi rozchylają się w mimowolnym uśmiechu.

Otworzyła oczy i rozejrzała się dookoła, nerwowo mrugając,

na chwilę oślepią jasnym światłem. Przed największym gmachem, tym z wysokimi oknami i napisem „Wydział Opieki Społecznej” na szklanych drzwiach, zatrzymał się właśnie samochód. Rachel się wyprostowała. Z przodu siedzieli mężczyzna i kobieta, dziewczyna z tyłu. Rachel patrzyła, jak kobieta wysiada i otwiera tylne drzwi. Zobaczyła Amy. Miała czarne, krótko ostrzyżone włosy, kilka kolczyków w prawym uchu, obcisłe dżinsy i króciutki top, odstaniający opalony brzuch, oraz sportowe buty na grubych podszewkach. Między palcami lewej ręki tkwił papieros. Kobieta objęła ją, uściskała i szybko pocałowała w policzek. Twarz Amy ściągnął grymas niechęci i buntu, czyniąc ją nieatrakcyjną i nadętą. Rzuciła papierosa na ziemię i rozdeptała go, potem zaś gwałtownym ruchem otworzyła ciężkie szklane drzwi i zatrzasnęła je za sobą. Kobieta odwróciła się do samochodu i wzruszyła ramionami z wyrazem bolesnej rezygnacji na twarzy. Zauważyła Rachel i patrzyła na nią przez chwilę z niesmakiem. Wreszcie otworzyła drzwiczki i wsiadła do wozu. Kiedy samochód ruszył powoli, kobieta i mężczyzna omiotali Rachel chłodnym spojrzeniem.

Pokój, do którego ją wprowadzono, był jasny i pogodny. Duże okna wychodziły na zachód i promienie popołudniowego słońca rozświetlały drobiny kurzu, unoszące się nad błyszczącym blatem stołu. Zatrzymała się tuż przy drzwiach. Amy siedziała na krześle w rogu pokoju, a stojąca obok niej drobna blondynka opierała dłoń na jej ramieniu. Na widok Rachel kobieta uśmiechnęła się przyjaźnie. Przedstawiła się jako Alison White, opiekunka społeczna Amy i przypomniała, że kiedyś już rozmawiały. Może Rachel ją pamięta?

Rachel skinęła głową.

- Spotkałyśmy się dwa razy - rzekła cicho.

Alison White zajrzała do notatnika, który trzymała w ręku. Potem zaczęła mówić dalej. Muszą sobie poradzić z dość skomplikowaną sytuacją, oświadczyła. Jak wiadomo, Amy bardzo niechętnie odnosi się do spotkań z matką, odkąd ta została zwolniona z więzienia. Na poprawę jej stosunku do

matki nie wpłynął też fakt, że Rachel na własną rękę podjęła próbę spotkania. Amy bardzo się tym zdenerwowała, poczuła się bowiem zagrożona zachowaniem Rachel, które, jak podkreśliła Alison, było po prostu nie do przyjęcia. Jednak Rachel najwyraźniej postanowiła nie popełniać więcej tego błędu i tym razem wystąpiła z oficjalną prośbą.

Rachel spojrzała na Amy. Dziewczyna poczuła na sobie jej wzrok i natychmiast odwróciła się tak, żeby oczy Rachel nie miały żadnego kontaktu z jej twarzą. Była to dziwna pozycja, z całą pewnością niewygodna i trudna do utrzymania, pomyślała Rachel. Widziała kręgi karku córki, wyraźnie rysujące się pod skórą między włosami i elastycznym materiałem różowej bluzki.

- Moim zdaniem byłoby bardzo dobrze, gdyby Amy ponownie nawiązała kontakt z rodzoną matką - ciągnęła Alison. - Amy jest bardzo związana z przybraną matką i całą rodziną państwa Williamsów, okazali jej oni bardzo dużo miłości i ciepła, jednakże nie należy ignorować naturalnej więzi, łączącej biologiczną matkę i dziecko. Z mojego doświadczenia wynika, że ta więź zawsze się odzywa... - Przerwała na chwilę. - Zdaję sobie również sprawę, że w takim trudnym okresie trzeba pomóc matce i dziecku w odnalezieniu siebie nawzajem. Czy pozwolicie, że naleję wam herbaty, zanim zostawię was same?

Wskazała tacę, na której stał metalowy imbryk, dzbanuszek na mleko, cukierniczka, dwie filiżanki oraz talerz z czekoladowymi herbatnikami.

Herbata smakowała dokładnie tak samo, jak w więziennej stołówce. Była gorzkawa, letnia, zaparzona parę godzin wcześniej i pozbawiona przyjemnego aromatu. Rachel zmusiła się do przelknięcia kilku łyków, potem odstawiła filiżankę na spodeczek i spojrzała na siedzącą po drugiej stronie stołu Amy. Dziewczyna wzgardziła herbatą Alison White, wyciągnęła natomiast z kieszeni paczkę papierosów i zapaliła, ignorując rozwieszone na ścianach zakazy. Najwyraźniej nie była pierwszą osobą, która ich nie przestrzegwała, sądząc po stojącej z boku dużej okrągłej popielnicze.

- Pójdę już. Gdybym była wam potrzebna, będę w pokoju obok. - Alison zerknęła na zegarek. - Macie mniej więcej godzinę, potem musimy zwolnić ten pokój, ale gdybyście chciały spędzić ze sobą więcej czasu, są tu inne pomieszczenia.

Uśmiechnęła się odrobinę niepewnie i przez jej ładną twarz przemknął wyraz niepokoju. Zawahała się chwilę i szybko wyszła.

Drzwi stuknęły głośno. Rachel usiadła, nachyliła się i sięgnęła po imbryk. Był ciężki. Miała wrażenie, że przegub jej dłoni nie wytrzyma tego obciążenia i skrzywiła się lekko. Brązowy płyn trysnął z metalowego dziobka, opryskując drobnymi kropelkami spodeczek i stół. Pospiesznie postawiła imbryk na tacy i wyszarpnęła z kieszeni chusteczkę higieniczną. Wytarła rozlaną herbatę, zwinęła przemoczoną chusteczkę i wyciągnęła rękę w stronę popielniczki.

- Mogę? - zapytała.

Amy wrzuciła ramionami i zaciągnęła się głęboko. Rachel wrzuciła mokrą serwetkę do popielniczki. Przyglądała się, jak Amy wypuszcza z ust idealnie okrągłe kółka z żółtawego dymu, które powoli płyną w górę.

- Nieźle - odezwała się. - Zupełnie nieźle. Niektóre kobiety w więzieniu potrafiły tworzyć najdziwniejsze kształty z dymu. Kółka w kółkach, kółka podwójne, potrójne... Były w tym naprawdę świetne.

- I co z tego?

- Nic, zupełnie nic. Po prostu lubię na to patrzeć, bo sama nie umiem robić takich rzeczy. Nie umiałam nawet wtedy, kiedy sama dużo paliłam, jeszcze w czasach studenckich, przed twoim urodzeniem. Zdaje się, że uważałam wtedy, iż palenie jest oznaką dorosłości...

Zapadło milczenie. Rachel wzięła talerz z ciasteczkami i podsunęła go Amy.

- Spróbujesz? Czekoladowe, z otrębami. Uwielbiałaś je, kiedy byłaś mała. Czasami udawałam, że już wszystkie zjadłaś, inaczej zamęczyłabyś mnie na śmierć.

Nie ma, już nie ma, Amy.

Nie ma, mamciu. Nie ma ani jednego ciasteczka.

Amy utkwiała obojętne spojrzenie w twarzy Rachel. Po chwili wyjęła następnego papierosa z paczki i odpałała go od pierwszego.

- Nawet wtedy mnie okłamywałaś, co? Nigdy nie mówiłaś prawdy, całej prawdy i tylko prawdy, tak ci dopomóż Bóg.

- Słucham? - Rachel spojrzała na nią zaskoczona.

Nagle wydało się jej, że w tym ciepłym, słonecznym pokoju panuje przejmujący chłód.

- Ciekawe, czy tego żałujesz? - Amy po raz pierwszy nie odwróciła głowy, aby uniknąć wzroku Rachel.

- Oczywiście, że żałuję. Żałuję wszystkiego, co wydarzyło się między nami w ciągu ostatnich dwunastu lat. I chciałabym spróbować naprawić przynajmniej część tego, co zraniło nas obie.

- Naprawić... Ach, rozumiem. A jak to sobie wyobrazasz?

Amy odchyliła się do tyłu, zakładając nogę na nogę i opierając czubki butów na brzegu stołu. Zaczęła huśtać się na tylnych nogach krzesła.

Rachel odchrząknęła. Usiłowała przypomnieć sobie słowa, które przygotowała wcześniej i prawie nauczyła się na pamięć. Tyle chciała powiedzieć Amy... Wyjaśnić, usprawiedliwić się, podać przyczyny... Wszystko wydawało się takie proste w nocy, kiedy leżała w mieszkaniu przy Clarinda Park, ze wzrokiem wbitym w wiszącą na ścianie mapę. Wyobrażała sobie reakcję Amy, współczucie malujące się na jej twarzy, słowa pełne miłości, smutku i żalu, słyszała swój głos, przyrzekający, że teraz rozpoczną nowe życie, zawsze razem, już zawsze...

- Czekam. - Krzesło skrzypiało coraz głośniejszym, wprawione w szybszy ruch, podeszwy butów Amy z cichym piskiem odrywały się od brzegu stołu i znowu się z nim stykały.

Skrzyp, skrzyp, skrzyp.

Gumowe koła wózka toczą się po błyszczącej drewnianej podłodze.

Aaaa, kotki dwa, szarobure, szarobure obydwu...

Niemowlę krzyczy, małe nóżki energicznie kopią kocyk, ramionka biją o miękką poduszkę. Zaśnij, kochanie. Śpij, Amy, mama jest przy tobie...

- Masz problem, co? Nie tak wyobrażałaś sobie to wzruszające spotkanie, prawda? Myślałaś, że padniemy sobie w objęcia, szlochając i zawodząc, jak w tandetnych serialach telewizyjnych. Cóż, Rachel, pani Beckett, czy jak tam powinnam się do ciebie zwracać, lepiej wybij to sobie z głowy. Najwyższy czas, byś sobie uświadomiła, że ja wcale nie chciałam tego spotkania. Nie mam ci nic do powiedzenia, nic do ciebie nie czuję. Zamierzam jak najszybciej stąd wyjść, na niczym więcej mi nie zależy. Czy wyrażam się dość jasno?

Mocny głos dziewczyny odbijał się od ścian pokoju. Rachel miała wrażenie, że szyby w oknach zaraz zaczną grzechotać, filiżanki i spodeczki runą na ziemię, a popiół z popielniczki wzbije się szarą chmurą ponad ich głowy. Zaczekała, aż powietrze przestało wibrować i znowu odchrząknęła. Spuściła wzrok i zaczęła mówić.

- Nie oczekuję od ciebie przebaczenia, zrozumienia czy miłości. Niczego od ciebie nie chcę, Amy. Niczego poza tym, żebyś uświadomiła sobie, że jestem twoją matką, a ty moją córką. To wszystko. Dlatego poprosiłam o to spotkanie. Tylko i wyłącznie dlatego. Wtedy wysłabym stąd całkowicie spokojna i usatysfakcjonowana, i nigdy więcej bym cię nie niepokoila.

Przerwała i podniosła głowę. Amy znowu wypuszczała z ust kółeczka dymu. Jej twarz była pełna napięcia, oczy zimne.

- Akceptuję twój związek z rodziną państwa Williamsów - ciągnęła Rachel. - Nigdy nie wątpiłam w ich absolutną uczciwość oraz miłość do ciebie. Obie miałyśmy mnóstwo szczęścia, że Williamsowie stanęli na naszej drodze. Kiedy poszłam do więzienia i zostałam pozbawiona praw i obowiązków matki, marzyłam, aby jakaś rodzina przejęła moje zadania. Ty także potrzebowałaś rodziny, dlatego jestem im bardzo wdzięczna. Mam nadzieję, że o tym wiedzą. Zdaję sobie sprawę, że nie było mnie przy tobie przez dwanaście najważniejszych lat twojego życia i nigdy nie zdołam ci tego zrekompensować.

Ale teraz, gdy jesteś już prawie dorosła i wkraczasz w nową fazę życia, chciałabym się dowiedzieć, czy widzisz dla mnie jakąś rolę w twojej przyszłości. Jeżeli tak... - Przerwała i spojrziała na Amy. - Jeżeli tak, będę bardzo szczęśliwa i wdzięczna. Jeżeli nie... - Wzruszyła ramionami i utkwiała oczy w podrapanym blacie. - Jeżeli nie, będę musiała przyjąć to do wiadomości i zaakceptować. Chcę jednak, abyś wiedziała, że zawsze będę gotowa wrócić na swoje miejsce przy tobie, niezależnie od tego, kiedy i w jakich okolicznościach mogłabyś mnie potrzebować...

Krzesło Amy z trzaskiem uderzyło o podłogę.

- Czy mówisz o takiej matczynej troskliwości, jaką okazałaś tamtej nocy, gdy zabiłaś mojego ojca? I tamtego dnia, kiedy zaciągnęłaś mnie ze sobą do sądu, przez co moje zdjęcie ukazało się we wszystkich gazetach. I trwa to do dzisiaj, bo za każdym razem, gdy komuś przypomni się ta pieprzona sprawa, muszę oglądać siebie w telewizji, chociaż nie mam na to najmniejszej ochoty! Widzę zapłakaną pięciolatkę, ze smarkami rozmazanymi na całej buzi i zwisającym z rączki misiem. Sądzisz, że mi się to podoba? Myślisz, że lubię te wspomnienia? Dziwisz się, że zmieniłam nazwisko? Że nazywam się teraz Amy Williams? Że jedynym Beckettem, który nie wywołuje u mnie mdłości, jest Samuel Beckett?

- Lubisz go? - zapytała Rachel, gotowa zrobić wszystko, byle tylko przerwać potok słów, wydobywający się z ust Amy.

- Czy go lubię? Mam go gdzieś. Te wszystkie głupie słowa... Większość słów to kłamstwa, kłamstwa i nic więcej. Tak jak twoje. Dlaczego po prostu nie przyznałaś się, że go zabiłaś? Dlaczego nie powiedziałaś: „Jestem winna”? Wtedy wszyscy uniknęlibyśmy tego procesu i wszystkiego, co się z nim wiązało. I wtedy może, może...

Amy umilkła. Jej oczy pełne były łez, które przelewały się przez dolne powieki.

- I wtedy może nie siedziałabyś tak długo w więzieniu - podjęła po chwili. - Może wypuściliby cię wcześniej, a ja wiedziałabym, że mam na co czekać. Mogłabym powiesić na

ścianie kalendarz i czerwonym długopisem skreślać w nim dni... Tak bym zrobiła. Wiedziałybym, kiedy wrócisz do domu, a to ogromna różnica, rozumiesz? Ale ja przez wszystkie te lata wiedziałam tylko, że jesteś złą matką.

Rachel spojrzała na nią uważnie. Na twarzy Amy malował się bezradny gniew i rozpacz, uczucia, których od lat tam nie widziała. Kiedy przemówiła, w jej głosie brzmiała błagalna nuta.

- Jak możesz tak mówić? Przecież zawsze ci powtarzałam, że nie zabiłam twojego ojca, że to nie ja, nie ja ponoszę odpowiedzialność za to, co się stało. Kiedy przywozili cię na widzenia, powtarzałam, że mówię prawdę. Nie mogłam się poddać i zacząć kłamać, naprawdę nie mogłam. Tyle razy wyjaśniałam wszystkim, że go nie zabiłam, ale nikt nie chciał słuchać. Myślałam, że może ty mi uwierzysz, ale nie mam do ciebie żalu, wiem, że to moja wina. Miałam nadzieję, że nie zwątpisz we mnie, bo przecież kiedy przytulałam cię, całowałam i bawiłam się z tobą, każdym ruchem i gestem mówiłam ci, że jesteś moją najdroższą córeczką i że kocham cię ponad wszystko na świecie.

- Ale to było kłamstwo, prawda, matko?

Ton, jakim Amy wypowiedziała ostatnie słowo, sprawił, że Rachel skuliła się w sobie, czując, jak ogarnia ją fala słabości.

- Nie wierzę w twoje deklaracje. I nie wierzę, że kochałaś mnie ponad wszystko, bo gdyby tak było, na pewno nie zabiłabyś mojego ojca. Więc najlepiej już przestań, nie próbuj zaprzeczać. - Amy zerwała się z krzesła, nagle bardzo dorosła i opanowana. - Twoje słowa niczego nie zmieniają. Co się stało, to się nie odstanie. Zostawiłaś mnie zupełnie samą, zrobiłaś ze mnie sierotę i pozbawiłaś nawet wspomnień, które mogłabym zachować.

- To nieprawda. - Rachel sięgnęła do torby i wyjęła mały plastikowy album. - Nie pamiętasz? Dałam ci taki sam, z tymi samymi zdjęciami, popatrz... - Otworzyła go, wyciągnęła fotografie z foliowych osłonek i rozłożyła na stole jak talię kart. - Nie pamiętasz?

- Oczywiście, że pamiętam, matko.

Znowu to słowo, pełne obrzydzenia i pogardy.

- Pamiętam,, tyle że wspomnienia, które miałam, zostały przez ciebie sponiewierane. Trzymałam zdjęcia pod poduszką i codziennie przed snem całowałam je na dobranoc. Całowałam twarze tych obcych, pięknych ludzi - ślicznej kobiety, przystojnego mężczyzny i ładniutkiego dziecka. Przyszła jednak chwila, kiedy już nie mogłam na nich patrzeć, bo czułam tylko ból, który po sobie pozostawiłaś. I wiesz, co wtedy zrobiłam, matko?

Rachel patrzyła na nią w milczeniu. Chciała odwrócić wzrok, ale nie potrafiła. Nie mogła oderwać oczu od twarzy dziewczyny, która w tej chwili zmieniała się w dorosłą kobietę.

- Mam mówić dalej? Mam powiedzieć ci, co zrobiłam, matko?

Rachel kiwnęła głową, niezdolna wydobyć ani słowa z zacisniętego gardła.

- Pewnego dnia poszłam do kuchni - miałam wtedy jakieś dziesięć lat, nie więcej - wdrapałam się na stołek i otworzyłam szafkę, w której mama Williams trzyma zapalki. Chowa je właśnie tam, nie gdzie indziej, żeby żadne dziecko nie dobrało się do nich i nie zrobiło sobie krzywdy. Ale ja je znalazłam, zabrałam do swojego pokoju i podpaliłam stosik zdjęć. Byłam dość duża, żeby wiedzieć, jak niebezpieczny może być ogień, ale to zrobiłam. Kiedy fotografie się zajęły, zapaliła się także pościel. Próbowałam ugasić pożar i mocno się poparzyłam. Popatrz. - Podciągnęła ciasny rękaw bluzki, odsłaniając czerwoneblizny na przedramieniu. - Nie powiedzieli ci, jak to się stało, prawda? W jaki sposób wyjaśnili ci, dlaczego twoje dziecko uległo poparzeniu? Powiedzieli, że wylałam na siebie wrzątek z czajnika? Albo że podeszłam za blisko do kuchenki? Na pewno było to coś takiego, co pozwoliłoby ci uwierzyć, że winę za to nieszczęsne zdarzenie ponoszą Williamsowie. Widzisz, oni nie chcieli cię jeszcze bardziej ranić, ale to nie była ich wina, rozumiesz? Williamsowie są zbyt dobrymi rodzicami, nigdy nie pozwoliliby sobie nawet na

moment nieuwagi. I wiesz co? Ja również chciałam zniknąć i rozsypać się w pył, tak jak te zdjęcia, jak ludzie, których całowałam na dobranoc. I później długo żałowałam, że tak się nie stało.

Łzy płynęły strumieniem po twarzy Rachel. Nie mogła ich powstrzymać. Płakała cicho, nawet nie próbując wycierać mokrej twarzy. Słone krople spadały na jej dłonie i na uda, robiąc ciemne plamki na dżinsach. Usłyszała dźwięk otwieranych za jej plecami drzwi, poczuła ruch powietrza, kiedy Amy wychodziła z pokoju. Jeszcze tylko trzaśnięcie drzwiami i została sama. Nadal płakała. Wstała z krzesła i podeszła do okna. Na podjeździe przed budynkiem zatrzymał się właśnie samochód. Mężczyzna, którego widziała już wcześniej, wysiadł, otoczył ramieniem przygarbione plecy Amy, otworzył tylne drzwi i pomógł jej wsiąść. Rachel cofnęła się w głąb pokoju. Rozchyliła wargi, ale nie zdołała wydobyć z nich żadnego dźwięku. Skulona, ze skrzyżowanymi na piersi ramionami i dłońmi zaciśniętymi mocno na barkach czekała, aż spazm minie. Potem wyprostowała się, wyciągnęła brzeg bluzki zza paska i wytarła twarz. Wzięła torebkę, spojrzała na rozłożone na stole zdjęcia, wyszła z pokoju i ruszyła w stronę windy. Nacisnęła guzik ze strzałką w dół. Winda podjechała, wydając mechaniczny pisk. Rachel weszła do kabiny i przez chwilę wpatrywała się w odbitą w szklanych drzwiach twarz. Na parterze wysiadła, otworzyła drzwi i głęboko odetchnęła ciepłym powietrzem. Potem ruszyła przed siebie.

Rozdział dwudziesty drugi

Pani od brzoskwiń, tak nazywała ją córka Daniela. Jego żona użyła zupełnie innego określenia. Kiedy pierwszy raz zapytał ją, kim jest kobieta, o której ciągle mówią dzieci, powiedziała, że nazywa się Barbara Keane. Teraz patrzyła na niego znad biurka, na którym leżała otwarta teczka z wycinakami prasowymi, i miała trochę dziwny wyraz twarzy.

- Nie wiedziałam, że przechowujesz to wszystko - rzekła. - Nic mi nie mówiłeś...

Nachylił się nad nią i zgarnął rozrzucone artykuły i zdjęcia.

- Przypominam sobie nawet, że kiedy pytałam cię o nią, powiedziałeś, że wyrzuciłeś wszystko, co miało jakikolwiek związek z nią, twoim bratem i procesem - ciągnęła. - Więc chciałam wiedzieć, co się tu właściwie dzieje, do cholery. Nagle ta suka wtargnęła do mojego domu, co zresztą odkryłam przypadkiem, szukając aktów urodzenia dzieci, które są potrzebne, żeby wyrobić im amerykańskie paszporty.

Daniel zdołał ją jakoś uspokoić i ułagodzić. Schował teczkę i obiecał, że pójdzie na policję.

- To chora kobieta - oświadczył. - Zawsze była nienormalna, a po tylu latach w więzieniu prawdopodobnie jest z nią jeszcze gorzej.

- Przecież mówiłeś, że ona nigdy nie wyjdzie na wolność. - W głosie Ursuli brzmiała nutka hysterii. - Że nigdy jej nie

wypuszczają. Więc czego teraz chce? Czego chce ode mnie i od moich dzieci?

Usiłował dowiedzieć się, co zaszło podczas tego weekendu, który spędziła w ich domu kobieta zwana „panią od brzoskwiń”, ale Ursula nie chciała mu nic powiedzieć.

- Nic się nie stało, zupełnie nic. Wypiłyśmy trochę za dużo, to wszystko. Następnego dnia rano czułam się potwornie, a ona zabrała dzieci na przejażdżkę samochodem, żebym mogła odpocząć.

Próbował podpytać dzieci.

- Świetnie się bawiliśmy - oświadczył Jonathan. - Pojechaliśmy do parku rozrywki i na elektryczne samochodziki. I jedliśmy prażoną kukurydzę.

- I cukrową watę - uzupełniła Laura. - I piliśmy colę, dużo coli. Było wspaniałe.

Daniel obszedł dom, zaglądając w każdy kąt, aby sprawdzić, czy czegoś nie brakuje, ale wyglądało, że wszystko jest na swoim miejscu. Zupełnie jakby nigdy jej tu nie było.

- Nie przejmuj się, załatwię to - powiedział.

Na twarzy Ursuli malowała się niepewność, niepokój i wahanie. Daniel się zastanawiał, jak to możliwe, że Rachel z taką łatwością zniszczyła ich poczucie bezpieczeństwa, postawiła pod znakiem zapytania spokojną przyszłość.

Doszedł do wniosku, że jeżeli zajdzie potrzeba, sam się nią zajmie. Z zaparkowanego samochodu na tyłach domu przy Clarinda Park obserwował jej okno, jasny prostokąt światła w obramowaniu ciemnych murów. Widział, jak wychodzi do pracy i wraca. Zauważył, że jej sylwetka się wyprostowała, krok wydłużył, twarz i ciało nabrały delikatnej krągłości. Widział uśmiech na jej twarzy, kiedy się witała z sąsiadami, schylała, by pogłaskać kota leżącego obok wejścia do domu, albo zerwać gałązkę lawendy i z wyraźną przyjemnością przytknąć ją do nosa.

Zastanawiał się, czy pójść na policję. Myślał o tym, że nigdy nie został oskarżony o zamordowanie brata czy choćby współudział w morderstwie. Wszyscy uwierzyli w opowiedzianą przez niego historię oraz w alibi, które zapewniła

mu matka. Uwierzyli jej, kiedy oświadczyła, że słyszała, jak duży zegar w sypialni bił godzinę dziewiątą. Nikt nie wiedział, że Daniel cofnął wskazówki, potem siedział z matką i oglądał z nią film na wideo, dopóki nie zasnęła, a wtedy przesuwał zegar do przodu. Takie proste, że aż banalne. W żadnym razie nie życzył sobie, by jakiś wścibski młody gliniarz zainteresował się dawno zamkniętą sprawą, prześledził ją raz jeszcze i doszukał się luk w materiale dowodowym, których istnienia nikt wcześniej nie zauważył. W żadnym razie sobie tego nie życzył. Postanowił więc obserwować ją i czekać. Co parę dni zaglądał do kawiarni obok portu, w której pracowała Amy. Zdażył się już z nią zaprzyjaźnić. Polubiła go i powiedziała mu, jak się nazywa.

- Amy Williams - rzuciła krótko, wzruszając ramionami i krzywiąc się z niesmakiem.

- Bardzo sympatyczne imię. - Daniel odchylił głowę do tyłu i spojrzał jej w oczy.

- Tak, aż zbyt sympatyczne, zbyt słodkie i zbyt ładne. - Podniosła filiżankę, żeby zetrzeć okruchy ze stolika.

- Wcale nie - odparł. - Jest subtelne i oryginalne. Jak ty.

Zobaczył wypełzający na jej policzki rumieniec i uśmiech, który całkowicie odmienił twarz. Teraz dostrzegał w niej podobieństwo do matki. Kryło się w pochyleniu głowy, w spojrzeniu, które szybko przeniosła z jego twarzy na sąsiedni stolik i znowu na niego.

Cierpliwość - oto, czego wymagała sytuacja. Cierpliwość i spokój. Ulubiony sposób Martina na rozwiązywanie trudnych problemów. W tym wypadku Daniel nie mógł źle wyjść na zastosowaniu tej metody.

- Nie spiesz się, nie ponaglaj czasu - mawiał Martin. - Nie podejmuj nieprzemyślanych decyzji, nic cię nie goni. Cierpliwość zawsze popłaca.

Martin miał zwykle rację, pomyślał Daniel. Prawie zawsze, z wyjątkiem tego ostatniego razu. Dlatego postanowił pójść za jego radą. Poczekaj, nie będzie się spieszył. Przecież ma czas, prawda? Wytrzyma.

Rozdział dwudziesty trzeci

Natarczywy dzwonek telefonu wyrwał Jacka z głębokiego, spokojnego snu, w który udało mu się zapaść po raz pierwszy od wielu miesięcy, jeżeli nie od lat. Przypomniawszy sobie, że w szkole koledzy mówili, iż istnieją dwa rodzaje głębokiego snu - sen sprawiedliwego i sen zadowolonego. Sen, z którego właśnie się ocknął, należał do tego drugiego gatunku. Przewrócił się na bok, ostrożnie zsuwając głowę Alison ze swojego ramienia, i poszukał ręką telefonu, który cierpliwie wygrywał w przyspieszonym tempie główny motyw Eine kleine Nachtmusik. To Ruth wybrała tę melodię. Zawsze zmieniała mu sygnał, ustawiała czas i nagrywała wiadomość na sekretarce. Podobnie jak większość dziesięciolatków, wiedziała o telefonach komórkowych więcej niż wszyscy dorośli razem wzięci.

Wydawało mu się, że położył komórkę gdzieś koło łóżka, ale chyba nie było jej wśród innych rzeczy, nieelegancko rozrzuconych na podłodze sypialni. Była to jego czwarta kolejna noc u Alison. Weekend upłynął mu na wypełnianiu obowiązków ojcowskich, ale w niedzielę wieczorem udało mu się znaleźć w skrzypiącym i wąskim metalowym łóżku Alison.

Palce natrafiły wreszcie na plastikową obudowę telefonu. Podniósł go i spojrzął na ekran. Było pięć po dziewiątej, niżej wyświetlił się numer Sweeneya. Cholera jasna, zaspałem, pomyślał Jack. I nagle przypomniał sobie, że przecież wziął

dzień wolny, pierwszy od wielu tygodni. Więc dlaczego Sweeney prześladował go już od rana? Odpowiedź była prosta: miał problem, z którym sam nie bardzo umiał sobie poradzić.

Ciało nadal zwisało z poręczy krętych schodów w holu i powoli wykonywało dostojne półobroty, kiedy sznur na szyi skręcał się i rozkręcał. Znalazła je gospościa, która jak zwykle przysłała do pracy koło ósmej trzydzieści. I jak zwykle spojrzała na leżący w holu dywan, którego brzegi z każdym tygodniem stawały się coraz mocniej wystrzępione. Pomyślała, że musi pomówić o tym z doktorem Hillem, ponieważ wcześniej czy później ktoś zaczepi czubkiem buta o wystające nici, przewróci się i zrobi sobie krzywdę. Wpatrzona w dywan, ujrzała zwłoki dopiero w chwili, gdy znalazła się tuż pod nimi. Najpierw zobaczyła stopy. Jego biedne stopy, powtarzała później. Nigdy wcześniej nie widziała go z bosymi stopami. Zawsze tak o sobie dbał, był taki czysty, płakała. Miał piękne ręce, kształtne i szczupłe, zupełnie jak jakiś uzdrowiciel. Ale te jego stopy... Nieporządnie obcięte paznokcie, popekana skóra na piętach, odciski na środkowych palcach... Jack pochwycił spojrzenie Sweeneya nad jej głową, mrugnął porozumiewawczo i natychmiast ogarnęły go wyrzuty sumienia. Sweeney z trudem wstrzymywał śmiech.

- Co jeszcze pani zauważyła, kochana?

- Nic - odparła. - Tak się przestraszyłam, że stałam tam i stałam, patrząc na tego biedaka, a później zadzwoniłam po karetkę. Kiedy powiedziałam im, jak to się stało, skontaktowali się z policją. Od razu.

Doktor Hill powiesił się na poręczy schodów, skacząc z pierwszego piętra. Jack spojrzał na sznur - pomarańczowy, wyblakły, dokładnie taki jak ten, którym uduszono Judith. Mark Hill zostawił list, wetknięty do kieszeni koszuli. Napisał go na recepcji. U góry widniała pieczętka z jego imieniem, nazwiskiem, numerem telefonu i godzinami przyjęć. Niżej data i skreślona drobnym, trudnym do odczytania charakterem pisma wiadomość, jaką uznał za stosowne pozostawić.

„Nie zabiłem mojej córki, Judith, i nie wyrządziłem jej

żadnej krzywdy. Nie wiem, kto to zrobił, ale nie mogę dłużej znieść myśli o wstydzie i upokorzeniu, jakie mnie czekają. Jestem przekonany, że zostanę oskarżony o jej zamordowanie i że sąd uzna mnie za winnego. Nie mógłbym pójść do więzienia. Tak będzie lepiej dla wszystkich".

List był niepodpisany. Jack przyglądał się, jak Johnny Harris czuwa nad zdjęciem ciała. Oparł się o pokrytą boazerią ścianę holu i westchnął. Mimo wszystko czuł się wspaniale, robił, co mógł, żeby się nie uśmiechać. Zerknął na zegarek. Dziesiąta trzydzieści. Alison miała dziś wizyty domowe. Obiecał, że do niej zadzwoni. Może uda im się zjeść razem lunch, a nawet jeśli nie, to Alison wieczorem przyjdzie do niego na kolację i całą resztę. Zamknął oczy. Nadal czuł miękki ciężar jej piersi, dotyk nóg na swoich biodrach. Zapach skóry i smak śliny.

- Hej, szefie, pobudka. - Sweeney lekko szturchnął go w zebra. - Pod drzwiami czeka jakaś damulka, która chce się zobaczyć z „oficerem, który prowadzi śledztwo”. Chyba chodzi jej o ciebie, szefie, prawda?

Poznał ją od razu. Na schodach stała kobieta w średnim wieku, ze świetną fryzurą i bardzo złą figurą.

- Zastanawiałam się, co się stało - zaczęła. - Co to wszystko znaczy? - Wskazała ambulans i trzy policyjne samochody, zaparkowane pod klonami. - Proszę nie posądzać mnie o wścibstwo, Mark Hill jest moim dobrym przyjacielem...

Kiedy powiedział, zbladła tak bardzo, że przez chwilę obawiał się, czy nie zemdleje. Zachwiała się i Jack szybko podsunął jej ramię.

- Proszę się oprzeć. Odprowadzę panią do domu.

Jennifer Bradley, tak się nazywała. Pamiętała, że jej dom to ten po lewej stronie.

- Może chciałaby pani, żebym wezwał lekarza? Lepiej się pani czuje?

Skinęła głową. Najwyraźniej usiłowała zapanować nad drżeniem głosu.

- Dziękuję, nie trzeba - odparła. - Mój mąż jest w domu.

Ta wiadomość będzie dla niego wielkim wstrząsem... Znamy Hillów od wielu lat, zamieszkaliśmy tutaj mniej więcej w tym samym czasie...

- Przyjaźniła się pani z Elizabeth Hill, prawda? - zapytał neutralnym tonem.

Zmierzyła go uważnym spojrzeniem i uśmiechnęła się zimno.

- Tak. Nie wątpię, że zna pan wszystkie szczegóły.

- Nie wszystkie. Tylko te najistotniejsze. Pytam z czystej ciekawości. Pani i pani mąż uporaliście się z tą sprawą, a co najważniejsze, nadal pozostała pani w przyjaznych stosunkach z doktorem Hillem, czy tak?

- Tak. - Jej głos brzmiał bardzo chłodno. - Popełniłam błąd, lecz dość szybko zdałam sobie z tego sprawę. Pozwoliłam, aby pewne... - Zawahała się. - Aby pewne uczucie załadnęło moim życiem, ale zrozumiałam, że jest to sytuacja bez przyszłości. Zawsze wiedziałam, że moja przyszłość wiąże się z rodziną.

- Elizabeth była innego zdania?

- Elizabeth Hill była buntowniczką i właśnie ta cecha czyniła ją szalenie atrakcyjną. Ja byłam inna i Mark Hill dostrzegał tę różnicę. Nie miał mi za złe tego, co zrobiłam. Później starałam się jak najwięcej pomagać mu przy dzieciach. Judith i Stephen byli codziennymi gośćmi w naszym domu. Przychodzili zawsze, gdy Mark był zajęty. Judith często opiekowała się moimi młodszymi dziećmi, była dla nich jak starsza siostra. Wszyscy bardzo ją kochaliśmy. Głęboko odczuwamy jej stratę. A teraz jeszcze to... To takie straszne i niesprawiedliwe... - Głos jej się załamał, po twarzy popłynęły łzy.

Wyjęła z kieszeni klucze i otworzyła drzwi.

- Bardzo mi przykro. - Wyciągnął do niej rękę. - Nie zamierzałem powiększać pani cierpienia. Musiałem zadać pytania.

Ktoś będzie musiał zawiadomić Elizabeth, pomyślał. Najprawdopodobniej ten przykry obowiązek spadnie na niego. Poczucie zadowolenia z życia zniknęło w jednej chwili.

Postanowił jak najszybciej uporać się z tym nieprzyjemnym zadaniem i powoli zawrócił w kierunku domu Hillów. Zrobi to tutaj, na ulicy, ponieważ w domu panuje zbyt wielkie zamieszanie. Wyjął komórkę i notes, odszukał numer Elizabeth i zaczął go wybierać. Nagle ktoś go uderzył w plecy, raz, drugi i trzeci. Odwrócił się gwałtownie. Za nim stał Stephen Hill. Jego drobna, biała twarz zastygła z wściekłości.

- Ty draniu, ty pieprzony łobuzie! Zobacz, co zrobiłeś mojej rodzinie! Zniszczyłeś nas! Zniszczyłeś mojego ojca!

Znowu zaatakował Jacka, wymierzając ciosy w brzuch, spłot słoneczny i pierś. Jack roześmiał się nerwowo i podniósł pięści, aby bronić się przed napastnikiem. Chwilę potem poczuł dotkliwy, obezwładniający ból, gdy Stephen kopnął go w genitalia. Zgięty w pół, z trudem chwytał oddech, walcząc z mdłościami. Raczej usłyszał, niż zobaczył, jak Sweeney chwyta Stephena Hilla i ciągnie go do domu. Jack został na podjeździe, oparty o ogrodzenie, i czekał, aż ból ustąpi.

Kiedy odzyskał siły, skontaktował się z Johnnym Harrisem, który potwierdził, że Mark Hill popełnił samobójstwo.

- Jedno mnie dziwi - rzekł Harris. - Hill miał prawie nieograniczony dostęp do wszelkiego rodzaju leków i narkotyków. W jego gabinecie znajdował się spory zapas morfiny, zupełnie wystarczający, by odejść z tego świata bez bólu. A jednak zdecydował się na śmierć od uduszenia, a to boli, nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Cóż, tak to już bywa - kobiety biorą pigułki, mężczyźni wybierają bardziej czynną, aktywną postać śmierci.

- Wiem, dlaczego pan dzwoni. - Głos Elizabeth był daleki i zrezygnowany. - Stephen już do mnie dzwonił. Wczorajem będę w Dublinie i zajmę się przygotowaniem do pogrzebu. Stephen mówił mi, że rzucił się na pana. Teraz bardzo tego żałuje. Wie, że to nie pana wina...

Ale czy rzeczywiście nie było w tym jego winy? Wczorajem usiadł na balkonie razem z Alison i we dwoje obserwowali ciemniejące nad portem niebo. Wzdłuż głównego mola cumowały jachty z Anglii, Niemiec i Francji. Widzieli zapalone

lampy i światła nawigacyjne, słyszeli wesoty gwar głosów i dźwięki dobiegającej z głośników radiowych muzyki. Alison ujęła dłoń Jacka i pocałowała ją.

- To nie twoja wina, Jack - powiedziała. - Wykonywałeś tylko obowiązki zawodowe. Kto wie, dlaczego się zabił. Samobójstwa często wcale nie są spontaniczne, wiele osób długo planuje je świadomie lub podświadomie. Mark Hill niezbyt dobrze radził sobie z rozpaczą po śmierci córki, prawda?

- Jak mógł sobie z nią poradzić, skoro zabił Judith? Jak w ogóle mógł ją oślakiwać?

- Na tym polegał jego dylemat. - Alison dołała wina do kieliszków. - Spróbuj sobie tylko wyobrazić mieszankę żalu i wyrzutów sumienia, którą nosił w sobie ten człowiek. Wczoraj dostrzegłam coś podobnego u Rachel Beckett, która przyszła zobaczyć się z córką. Dokładnie widać, jaka jest rozdarta i jak strasznie ją to niszczy. Serce boli, gdy się na nią patrzy. Strach myśleć, co przeżywają tacy ludzie.

Jednak Jack nie mógł przestać o tym myśleć. Tej nocy leżał obok Alison, która spała z głową opartą na jego piersi, lecz gdy tylko zamknął oczy, pamięć natychmiast podsuwała mu obraz twarzy Marka Hilla, z opuchniętym językiem sterczącym z ust i sinymi, obrzmiałymi policzkami. Widział jego bose stopy, białe i miękkie, ze śladami talku między palcami.

Żal i wyrzuty sumienia... Jack nie potrafił zostawić ich za sobą, nie mógł się ich pozbyć. Ani teraz, ani nigdy.

Rozdział dwudziesty czwarty

Rachel przez całe popołudnie obserwowała kota sąsiadów. Na początku jej uwagę przyciągnął nagły ruch na wyłożonym płytami tarasie, potem kocie skoki w kierunku małego owalnego baseniku, wreszcie gwałtowny atak na samotną starą jabłonkę, która nawet teraz, w środku lata, była nadal pozbawiona liści.

Patrzyła, jak czarny ogon miota się tam i z powrotem, gdy jego właściciel przylgnął do ziemi, trzymając między przednimi łapami coś drobnego i ciemnego. Kot cofał się na moment, jakby zaaferowany czymś innym, a kiedy jego ofiara usiłowała uciec, posuwał się za nią, znowu czujny i skupiony.

Otworzyła okno i wychyliła się jak najdalej, usiłując dostrzec, czym zabawiał się kot. Mimo dobiegającego z ulicy hałasu i gwaru słyszała ostre pomiaukiwania i pomruki, wydobywające się z kociego pyszczka, gdy okrążał ofiarę. A kiedy nie mogła dłużej wytrzymać napięcia, zbiegła po schodach do wychodzących na tyły domu drzwi, pod którymi piętrzyły się stosy drewna i kawałki połamanych mebli. Ta góra śmieci okazała się teraz bardzo użyteczna, bo Rachel mogła wspiąć się po niej i podciągnąć na szczyt murku, odgradzającego mały ogród sąsiadów. Był tam niewielki sztuczny staw z liliami wodnymi i rybkami oraz trawnik, otoczony z trzech stron wąską rabatą, na której rosły kwiaty i warzywa. Pod murem

stała samotna jabłoń, o rozszczępionym na dwoje pniu, podobnym do wyciągniętych w górę dwóch palców. Kot siedział na najniższej gałęzi, powoli otwierając i zamykając oczy, trochę oślepione słonecznym blaskiem, u stóp drzewa zaś, rozciągnięta na krótko przyciętej trawie, leżała żaba.

Rachel przyjrzała się jej uważnie. Żaba sprawiała wrażenie nieżywej. Rachel podciągnęła się jeszcze odrobinę wyżej i zeskoczyła z murku na drugą stronę. Kot zwrócił ku niej łeb i nastroszył kołnierz czarnej sierści na karku. Zerknęła w kierunku domu, ale za błyszczącymi szybami okien nie było widać żadnych oznak obecności mieszkańców. Szybko podeszła do drzewa, przykucnęła i nachyliła się nad żabą. Miała około dziesięciu centymetrów długości. Jej wyciągnięte w przód i w tył nogi usiane były zielonymi i brunatnymi plamkami. Wyglądają prawie jak ludzkie, pomyślała. Księżę w eleganckich pończochach i szarawarach... Podniosła z ziemi gałązkę i delikatnie dotknęła nią grzbietu. Nic, żadnego ruchu. Popchnęła ją lekko, ale ciało żaby nie stawiało oporu. Usłyszała szmer i odgłos drapania. Kot zsuwał się po pniu jabłoni. Z kieszeni džinsów wyjęła kilka chusteczek higienicznych, ostrożnie podniosła żabę i pobiegła do stawu. Kiedy pochyliła się nad wodą, żaba nagle poruszyła kończynami i wyskoczyła z ręki. Z cichym pluskiem wpadła do wody i popłynęła pod powierzchnią. Schodziła na coraz większą głębokość, aż w końcu zniknęła w ciemnej warstwie szlamu na samym dnie. Rachel spojrzała na kota, który przyszedł za nią na brzeg. Chwilę wpatrywał się w wodę, a potem przysiadł na tylnych łapach, miotając ogonem na boki i miaucząc cicho, z wyraźnym rozczarowaniem.

- Idź stąd! - syknęła, szturchając go w żebra bosą stopą.

Czmychnął na drugą stronę tarasu, lecz gdy podciągała się na murek, aby wrócić na swoją stronę, zauważyła, że znowu powoli i z rozmysłem skrada się w kierunku stawu. A kiedy parę minut później wyjrzała przez okno, znowu trzymał coś między przednimi łapami.

Podziwiała jego upór i wytrwałość. A może nie była to

wytrwałość? Z pewnością nie, bo przecież trudno mówić o wytrwałości w przypadku zwierzęcia. To musi być instynkt, pomyślała. Coś, od czego nie może się wyzwolić. Przypomniała sobie inne koty, jakie знаła. Z radością wylegiwały się całymi dniami w ciepłe, mruczając, przeciągając się i od czasu do czasu przewracając na plecy, żeby ktoś pogłaskał je po brzuchu. Były pięknymi stworzeniami, pewnymi swego uroku i miejsca w świecie.

Podobnie jak ludzie, którzy przyszli na przyjęcie z okazji ósmej rocznicy ślubu Ursuli i Daniela Beckettów. Rachel stała między sosnami na granicy ogrodu, obserwując dwu- i trzyosobowe grupki, przechadzające się za wielkim oknem. Przez otwarte drzwi dobiegał gwar ich głosów, chwilami zagłuszany przez dźwięki melodii, które grał zespół muzyków, siedzących na niewielkim podwyższeniu na środku trawnika. Przyglądała się, jak Ursula przechadza się między gośćmi. Rozmawiała z nimi, śmiała się, okazywała radość z ich przybycia. Elegancko ubrane dzieci co chwilę biegały do domu, przynosząc różne rzeczy. Rachel cofnęła się na moment między drzewa i odwróciła się, żeby spojrzeć na morze. Było jeszcze zupełnie jasno, woda lśniła w wieczornym słońcu, ciemnozielona tuż przy brzegu, dalej ciemnoniebieska, jeszcze dalej o ton jaśniejsza. Pierwsze cienie zachodu muskały chmury, barwiąc je delikatnymi odcieniami różu i szarości. Wyjęła z torebki puderniczkę i krytycznym spojrzeniem zmierzyła odbicie swojej twarzy w malutkim lusterku. Czubkiem palca przygładziła brwi i poprawiła włosy. Potem się odwróciła, żeby popatrzeć na dom o rzęście oświetlonych oknach. Wzięła głęboki oddech. Już czas, pomyślała. Jestem gotowa.

Bez trudu wśliznęła się do środka przez szeroko otwarte drzwi. Nikt nie zwrócił na nią uwagi, nikt jej się nie przyglądał. Zauważył ją tylko ubrany na biało kelner. Widząc, że nie ma kieliszka w ręku, natychmiast podszedł i podsunął tacę.

- Coś do picia, proszę pani? Wino, wodę mineralną, a może szampana?

Zawahała się z ręką wyciągniętą nad kieliszkami, niespo-

dziewanie zafascynowana kolorami napojów. Ciemnoczerwone i jasnozłociste wino, cytrynowożółty szampan ze sznureczkami malutkich pęcherzyków powietrza... W końcu wzięła kieliszek białego wina. Zanim wypięła, podniosła kieliszek do nosa i powąchała. Potem rozejrzała się po pokoju, szukając wzrokiem mężczyzny o gęstych ciemnych włosach i równie ciemnej brodzie, którego twarz nosiła w pamięci od wielu, wielu lat. W więzieniu często widywała ją na zdjęciach w eleganckich czasopismach. Ruszyła dalej, powoli oddalając się od drzwi i chwytając uchem strzępy rozmów.

Dostrzegła jasną głowę Ursuli i usłyszała jej głos, poszczególne słowa wypowiedane z amerykańskim akcentem. Wysła na taras, usiadła przy stoliku i utkwiała wzrok w morzu, śledząc wąską linię chmur na horyzoncie.

Dopiła wino i gestem przywołała kelnera. Wychyliła drugi kieliszek, doskonale świadoma, że alkohol zmienia jej sposób zachowania. Czuła się pobudzona, pewna siebie, gotowa na wszystko. Wstała i ruszyła w stronę wielkiego płóciennego namiotu na trawniku przed domem. Był jeszcze pusty. W kącie muzycy ustawiali instrumenty. Powietrze pachniało wilgotnym płótnem i zgniecioną trawą. Natychmiast przypomniały jej się wakacje z dzieciństwa, pod namiotem, w Wexford. Stukot kropel deszczu o dach namiotu i charakterystyczny zapach prymusa. Stała na środku drewnianej podłogi i oparła się o słup. Zespół stroił instrumenty - gitary, mandolinę, skrzypce i potężny kontrabas. Przymknęła oczy. Zaczęli grać. Rytmiczne, romantyczne, nostalgiczne melodie, stylizowane na cygańskie. Kołysała się lekko, nucąc cicho, gdy nagle coś pociągnęło ją za spódnice. Otworzyła oczy i spojrzała w dół. Obok niej stała Laura. Schyliła się i pocałowała małą w gładziutki policzek.

- Chciałabyś ze mną zatańczyć, kochanie? - zapytała.

Dziewczynka skinęła głową i wyciągnęła do niej ręce. Rachel ujęła małe dłonie i zaczęły tańczyć. Muzyka stała się szybsza, Rachel i Laura wirowały, mała śmiała się głośno. Rachel poczuła, że zaczyna jej się kręcić w głowie i natychmiast zwolniła, by

nie stracić równowagi. Wzięła dziewczynkę na ręce i oparła ją sobie na biodrze. Tańczyły teraz walca, stopy Rachel lekko sunęły po podłodze wielkiego namiotu. Zachwycona Laura odchyliła się do tyłu i patrzyła, jak kolorowe płótno wiruje nad jej głową.

Ursula pojawiła się przy nich zupełnie nieoczekiwanie. Wy-rwała dziecko z ramion Rachel i podniesionym głosem zaczęła zadawać jej pytania. Co tutaj robi, skąd się tu wzięła, jak śmie ich nachodzić...

Rachel odgarnęła włosy z twarzy. Oddychała szybko, chwytając powietrze otwartymi ustami. Sięgnęła po kieliszek i wy-sączyła ostatnie krople wina.

- Przecież mnie zaprosiłaś - powiedziała. - Tamtego dnia, kiedy razem pojechaliśmy do domu, którego ogród projekto-wałaś, nalegałaś, żebym przyszła. Później jeszcze raz powtó-ryłaś zaproszenie, nie pamiętasz?

Wyraz twarzy Ursuli zmienił się nagle, w miejsce gniewu pojawiło się powątpiewanie. Rachel zrobiła krok w jej stronę.

- Mówiłaś, że bardzo byś się cieszyła, gdybym wpadła i poznała twojego męża i waszych przyjaciół. Zapomniałaś?

Zespół przestał grać, u wejścia do namiotu pojawili się ludzie, zaciekawieni podniesionymi głosami.

- Tak właśnie było - ciągnęła Rachel. - Powiedziałaś, że zatańczymy razem, tak jak tamtego wieczoru. Świetnie się wtedy bawiłaś, byłaś taka szczęśliwa i zadowolona... Dlaczego nie miałybyśmy zatańczyć teraz? Jestem pewna, że twoi goście z przyjemnością popatrzą, jak wtedy tańczy-łyśmy...

Wzięła Ursulę za rękę i wtedy go zobaczyła. Stał trochę z boku, za grupą gości. Zmierzyła wzrokiem tych wesółych, doskonale ubranych ludzi o pewnych sobie ruchach i swobodnym stylu bycia. Ich stroje, biżuteria, makijaż, wszystko to zbladło w jednej chwili. Daniel i Rachel patrzyli na siebie. Ujrzała pasma siwizny w jego ciemnych włosach, zauważyła, że przytył, przez co ostre rysy zatarły się i spowszedniały. Przypomniała sobie tamten czas, gdy leżąc w celi, co noc

przywoływała z pamięci jego obraz, myśląc o tym, jak wyglądał i jakie wrażenia budził w niej jego dotyk. Teraz poczuła dziwną słabość w kolanach i przez chwilę miała wrażenie, że nie uda jej się wydobyć głosu z gardła. W namiocie panowała cisza. Nagle Laura wyrwała się z objęć matki i podbiegła do ojca. Przywarła do jego nóg i wyciągnęła w górę ramiona, chwytając go za pasek.

- Tatusiu, tatusiu, weź mnie na ręce! Przytul mnie!

Daniel schylił się, ujął małą pod paszki, podniósł wysoko i posadził sobie na ramionach.

- Patrz, pani od brzoskwiń, patrz! - zawołało dziecko ze śmiechem. - Jestem królową na zamku!

Daniel powoli podszedł do Rachel i wyciągnął do niej prawą rękę.

- Rachel, to naprawdę ty... Tyle lat...

Usłyszała zdziwione głosy, komentarze, pełne podniecenia uwagi.

- Cieszę się, że cię widzę, chociaż to duża niespodzianka. Miło mi, że dobrze się tu czujesz i tak śmiało korzystasz z naszej gościny...

Zdjął Laurę z ramion i ostrożnie postawił ją na tarasie. Potem stanął obok Rachel i ujął ją za rękę. Palce mocno zacisnęły się na przegubie jej dłoni.

- Ale teraz powinnaś już chyba nas opuścić - powiedział.

Kiedy szarpnął ją za ramię, poleciała do przodu. Szarpnął znowu. Potknęła się, na moment straciła równowagę. Tłum gości rozstał się i Rachel zobaczyła, że u wejścia do namiotu czeka dwóch mężczyzn w granatowych uniformach i koszulach ze znakiem firmy Daniela na górnej kieszonce. Gdy Daniel skinął głową, zbliżyli się pospiesznie. Puścił ją i mężczyźni wzięli ją między siebie. Wyprowadzili z namiotu, przez trawnik, dookoła domu, aż do bramy. Pod ich butami głośno chrzęścił żwir. Gdy zatrzymali się przed bramą, zespół muzyczny znowu zaczął grać. Tym razem był to walc. Rachel słyszała dźwięki gitary, mandoliny, skrzypiec i kontrabasów. Zanuciła cicho. Ochroniarze otworzyli bramę i cofnęli się.

- Zmiataj stąd, skarbie! - rzucił młodszy i popchnął ją.

Rachel wyciągnęła przed siebie ręce, usiłując osłabić uderzenie. Upadła, raniąc dłonie i kolana o twardą nawierzchnię drogi. Łzy napłynęły jej do oczu. Zamykana brama szczęknęła głośno. Mężczyźni odwrócili się i odeszli w stronę domu. Rachel odczekała chwilę i podniosła się powoli. Ruszyła drogą w kierunku miasteczka. Ciemność otaczała ją ze wszystkich stron, otulała płaszczem spokoju i bezpieczeństwa. Przystanęła i spojrzała w niebo. Księżyc wisiał nad nią niczym latarnia, taki sam jak w więzieniu. Kiedy przyspieszyła kroku, podążył za nią. Zamierał bez ruchu, gdy się zatrzymywała i znowu ruszał za nią w drogę.

Dom, w którym mieszkał Daniel z rodziną, był duży i pełen najrozmaitszych zakamarków. Utrwaliła je wszystkie w pamięci jak na kliszy fotograficznej. Znała numer systemu alarmowego, wiedziała, w których miejscach znajdują się zamki na drzwiach i oknach. Pomyślała o pęku kluczy, który ukryła w szafce. Była przekonana, że dziś w noc Daniel obejdzie cały dom, sprawdzając, czy wszystko w porządku. Czy potem zaśnie? Wątpliwe, ale nawet jeśli zaśnie, na pewno będą go budziły koszmarne sny. Natomiast ona będzie spała spokojnie, lepiej niż w ciągu ostatnich lat. Zaśnie jak niemowlę, które wreszcie zostało nakarmione i utulone. Nie mogła się już doczekać.

Rozdział dwudziesty piąty

Następnego ranka obudziło ją głośne walenie do drzwi. Natrętne i hałaśliwe. Wyrwana z przyjemnego snu, przykryła głowę poduszką i zasłoniła uszy dłońmi, ale nawet to nie zapewniło spokoju. Położyła się na plecach, zapatrzyła w powoli sunący po suficie promień słońca i usiłowała sobie przypomnieć, gdzie jest. Usiadła, nagle zlna zimnym potem na myśl, że może znowu znalazła się w więzieniu. Co było źródłem tego strasznego hałasu? Może to strażniczki szły w stronę jej celi, waląc pałkami o ściany? Brzęk krat, zgrzyt klucza w zamku, krzyki... Wstawać, wstawać, słońeczka! Czas na śniadanko, moje panie!

Ale głos, który wykrzykiwał jej imię, należał do mężczyzny. Znała ten głos z dawnych czasów, jeszcze sprzed więzienia.

Wolałaby mieć trochę czasu, żeby się uczesać i umyć zęby, lecz hałas na klatce schodowej nasilił się do tego stopnia, że sąsiedzi z dołu zaczęli protestować. Walili w sufit tak mocno, że w pokoju Rachel drżała podłoga. Wskoczyła z łóżka i szybko otworzyła drzwi. Wiedziała, że musi wpuścić go do środka, stawić czoło wściekłości i odpowiedzieć na pytania.

- Czego chcesz? Co ty sobie wyobrażasz, do diabła? Co ty wyprawiasz? Dlaczego oszukałaś moją żonę i dzieci? Po co naopowiadałaś im kłamstw? Porzucona żona z dwoma synami,

rzeczywiście! Powiedz mi, dlaczego w ogóle tu jesteś? Dlaczego zamieszkałaś właśnie tutaj?

- Mogłabym zadać ci to samo pytanie, prawda? Dlaczego w ogóle tu jesteś? - Skrzyżowała ramiona na piersiach, jakby nagle ogarnął ją ziąb. - Powinieneś być mi wdzięczny, że nie powiedziałam Ursuli prawdy o nas. Że nie wyrzuciłam z siebie całej tej cholernej historii, że okazałam się dość sprytna, aby wymyślić coś, co nie wzbudziło w niej żadnych podejrzeń.

- I może chcesz powiedzieć, że spotkałaś ją przypadkiem, co? Nie wierzę ci! Nie zapominaj, że znam cię, Rachel, i to bardzo dobrze!

Szedł ku niej z zaciśniętymi pięściami. Nagle drzwi otworzyły się i w progu stanął mieszkający piętro niżej chłopak. Jego jasne, kręcone włosy były wzburzone jak u dziecka, oczy zapuchnięte od snu.

- Co się tu dzieje, kurwa mać?! - krzyknął, wodząc wzrokiem od Rachel do Daniela. - Nic ci nie jest, Rachel? - zapytał spokojniej, z wyraźną troską w głosie. - Wszystko w porządku?

Spojrzała na Daniela.

- Nie - warknęła. - Nie wszystko. Spieprzaj stąd, Dan, ale już!

Jej głos brzmiał zimno i ostro, zupełnie obco, nawet w jej własnych uszach. Podeszła do Daniela i mocno pchnęła go w pierś. Stracił równowagę i zatoczył się w tył. Chłopiec z pierwszego piętra zmierzył go groźnym spojrzeniem, jego drobne ciało w koszulce i spodniach dresowych nagle stało się napięte i muskularne. Rachel zatrzasnęła drzwi za Daniłem i oboje chwilę słuchali jego kroków na schodach, a potem głuchego trzasku ciężkich drzwi na dole.

Tego samego dnia wieczorem czekał na nią pod pralnią. Jego półciężarówka zaparkowana była przed wejściem do centrum handlowego. Stał oparty o maskę, przeglądając gazetę. Dostrzegła go parę sekund wcześniej niż on ją. Błyskawicznie zawróciła, ale w mgnieniu oka znalazł się przy

niej i położył dłoń na jej ramieniu.

- Nie odchodź - powiedział. - Chcę porozmawiać.

- Naprawdę? A o czym mielibyśmy rozmawiać?

- Słuchaj, przepraszam cię za dzisiejszy ranek. Nie chciałem cię przestraszyć. Proszę, pozwól zaprosić się na drinka. Myślę, że ci się przyda...

Uśmiechnął się i wtedy dostrzegła w jego twarzy Amy.

- Nie tutaj - odparła. - Chodźmy gdzie indziej.

Zabrał ją do dużego nowego pubu przy drodze do Bray, zatłoczonego i gwarneego. Pod ścianą naprzeciwko wejścia ryczał wielki telewizor, przed którym siedzieli zagorzali kibice, oglądając mecz piłki nożnej. W drugim kącie z szafy grającej leciały najnowsze przeboje. Musiała usiąść tuż obok Dana, inaczej nie słyszałaby, co mówi. Czuła jego zapach - ciepłe słońce, świeże powietrze, skopana ziemia, gorący pot.

Wyglądał bardzo dobrze, lepiej niż kiedyś. Miała wrażenie, że urósł i zmężniał. Był wyższy, lepiej zbudowany, sprawniejszy, silniejszy.

- Jak mnie znalazłeś? - zapytała.

Wzruszył ramionami.

- Mógłbym zapytać cię o to samo.

- Użyłam głowy, Danielu. Głowy, którą wyhodowałam sobie w więzieniu.

- Powiedz, czego chcesz. Pieniądzy, pracy, mieszkania? No, dalej, zaskocz mnie!

Powoli popijała dżin, rozkoszując się przyjemnym smakiem. Podniosła wzrok i uśmiechnęła się do niego.

- Twoja Ursula jest naprawdę śliczna. Wasze dzieci także. Szczęściarz z ciebie, wiesz? Świetnie sobie radzisz od chwili, gdy twój brat zginął, a ty zająłeś miejsce ojca w firmie, prawda? Gdyby Martin żył, on przejąłby interes, nie ty. I kim byś wtedy był? Chłopcem na posyłki, kozłem ofiarnym. Ale wraz ze śmiercią Martina wszystko się zmieniło. Wiesz co, Dan? Wydaje mi się, że jesteś moim dłużnikiem...

Zamówili po jeszcze jednym dżinie z tonikiem. Za okna-

mi zapadał zmrok, w pubie zapalono wszystkie lampy. Ktoś wyłączył szafę grającą, ponieważ na podwyższenie wyszedł kilkusobowy zespół muzyczny. Z głośników popłynęły stare przeboje, które oboje świetnie pamiętali. Pary zaczęły tańczyć, potrącając się na małym parkiecie.

- Chodź, zatańczymy. - Daniel wyciągnął do niej rękę.

Oparła głowę na jego ramieniu i zamknęła oczy. Pamiętała różę wytatuowaną na jego ramieniu. Położył dłoń na jej plecach i w tej chwili przypomniała sobie, jak to jest, kiedy czuje się obok siebie ciało mężczyzny. Było to zupełnie inne wrażenie niż wszystkie, jakie poznała w więzieniu.

Po wyjściu z pubu odwiózł ją do domu. W drodze milczeli. Rachel obserwowała jego twarz w świetle ulicznych latarni. Kiedy dojechali na miejsce, odwrócił się do niej.

- Pragniesz mnie, prawda? Chcesz, żebyśmy wszedł z tobą na górę?

Gdy wyszedł, zapadła w sen, tym razem tak głęboki, że kiedy się ocknęła wiele godzin później, z trudem przypomniała sobie, co się stało. Gdy zupełnie oprzytomniała, dostrzegła ślady, które pozostawił po sobie. Ciemne włosy na poduszce i w zagnieceniach pościeli. Wilgotną plamę, którą poczuła między udami, gdy przewróciła się na bok. Potem stanęła przed lustrem i natychmiast odczytała jego obecność w znakach na swoim ciele - w ciemnomalinowych plamach na szyi i na białej skórze dookoła sutek, w drobnych siniakach po wewnętrznej stronie ud, na przegubach dłoni i przedramionach. Kiedy zanurzyła się w ciepłej kąpieli, zaszczypały ją długie zadrapania na plecach i otarta błona śluzowa pochwy.

- Nie chcę żadnych śladów! - krzyknęła, przytrzymując obie jej ręce nad głową.

Wtedy zamknęła oczy i otworzyła się. Dwa razy. Po pierwszym zasnęła, lecz zaraz się obudziła, sięgnęła po niego i przyciągnęła go do siebie.

Ubierał się w milczeniu.

- Powiem ci, czego chcę - powiedziała, podnosząc głowę z poduszki, tak cicho, że musiał się nachylić, by usłyszeć. -

Chcę wyjść w morze twoim jachtem. Widziałam go w porcie. Pamiętasz, jak kiedyś wypłynęliśmy razem? Więc zrób to dla mnie, Dan. Zabierz mnie, a obiecuję, że nigdy więcej nie będę niepokoić ani ciebie, ani twojej rodziny.

Odwróciła się do niego plecami, podciągnęła kolana pod brodę i objęła je ramionami. Sen powoli wciągał ją pod powierzchnię.

- W porządku - rzekł. - Załatwione.

Uśmiechnęła się lekko i naciągnęła koc na głowę. Pod kocem było ciepło i ciemno. Ciemność jest dobra, próbowała wyjaśnić to małej Laurze. Ciemność daje poczucie bezpieczeństwa. Dziewczynka nie wierzyła jej, ale Rachel wiedziała, że się nie myli. Miała rację, na pewno.

- Jak jest teraz na dworze, Rachel? Czy tak ciepło i cudownie, jak mi się wydaje?

Był późny wieczór. Rachel siedziała na podłodze, oparta plecami o łóżko Clare Bowen. Czytała jej na głos, jak zwykle o tej porze. Dziś Clare miała ochotę na Dumę i uprzedzenie.

- Przeczytaj ten rozdział, w którym pan Darcy prosi Elżbietę o rękę, a ona go odrzuca. Uwielbiam ten fragment, a ty?

Na zewnątrz było ciemno i cicho. Lampa na stoliku przy łóżku oblewała je obie kręgiem światła złocistego jak masło. Rachel zaczęła czytać. Clare oparła się o poduszki, westchnęła i zamknęła oczy. Kiedy Rachel umilkła, poruszyła się niespokojnie.

- Nie jest ci niewygodnie?

Rachel położyła rękę na czole chorej. Było ciepłe i wilgotne.

- Może chcesz, żebym obmyła cię przed snem chłodną wodą? Na pewno poczujesz się lepiej...

Clare podniosła powieki i kiwnęła głową.

Rachel napełniła miskę letnią wodą, ostrożnie rozebrała Clare i podwinawszy rękawy, zwilżyła gąbkę. Namydliła jedną dłoń i delikatnie zmyła krople potu, które zebrały się między piersiami i na brzuchu. Clare patrzyła na nią spod w półprzymkniętych powiek. Nagle wyciągnęła dłoń i dotknęła ramienia Rachel. Pociągnęła je w stronę światła.

- Skąd masz te siniaki?

Rachel spojrzała na swoje ramię. Na tle bladej skóry siniaki wydawały się intensywnie fioletowe.

- Obiecuj, że nie powiesz Andy'emu - poprosiła.

Clare podniosła rękę i odgięła kołnierzyk bluzki Rachel. Jej palce spoczęły na śladach na szyi. Słuchała w milczeniu.

- Bądź ostrożna - szepnęła. - Bądź bardzo ostrożna.

Rachel czekała, aż Clare zaśnie. Wcześniej podała jej tabletki, przytrzymując głowę, aby mogła je połknąć, i starała się ją uspokoić. Wiedziała, że Clare będzie broniła się przed snem, z obawy, że ta noc okaże się jej ostatnią. W końcu jednak zasnęła.

Rachel usłyszała zgrzyt klucza w zamku i kroki Andrew w holu. Zatoczył się raz i drugi, potem odkręcił wodę w kuchni i z brzękiem upuścił coś na podłogę. Podniosła się z krzesła i poszła do wyjścia. Andrew na czworakach zbierał z podłogi w kuchni kawałki szkła. Kiedy przystanęła w progu, podniósł wzrok. Twarz miał czerwoną, oczy nabiegłe krwią.

- Dziękuję - powiedział.

Skinęła głową i wyszła.

Na dworze było jeszcze bardzo ciepło. Zaczęła biec, zwiększając tempo, w miarę jak zbliżała się do domu. Nie musiał jej dziękować. Andrew i jego żona robili jej wielką przysługę, chociaż nie mieli o tym pojęcia. Jeszcze nie, ale już wkrótce się dowiedzą. Wkrótce wszystko stanie się jasne, dla nich i dla innych.

Rozdział dwudziesty szósty

Co miał zrobić ze sprawą Judith Hill? Nadal nie była rozwiązana. Nikomu nie przedstawiono oskarżenia o morderstwo, to jedno było pewne, ale co robić dalej, kiedy główny podejrzany popełnił samobójstwo i został pochowany? Jack usiadł za biurkiem i rozejrzał się dookoła. Detektywi, którzy pracowali przy tym śledztwie, dostali już nowe sprawy. Wszyscy, nawet Sweeney. Natomiast on postanowił wziąć dwa tygodnie urlopu.

- Dobrze robisz - pochwaliła go Alison. - Joan na pewno będzie szczęśliwa, że może przynajmniej na krótko wyjechać gdzieś ze swoim facetem. A ty wreszcie spędzisz trochę czasu z dziewczynkami. Świetnie. Możesz poświęcić im całe dwa tygodnie.

Kiedy Jack nieśmiało zasugerował córce, że Alison mogłaby u nich przenocować, Ruth zmierzyła go dziwnym spojrzeniem.

- Ale gdzie będzie spała, na miłość boską? - wycedziła tonem pełnym głębokiego oburzenia. - Rosa śpi z tobą, ja na kanapie, więcej łóżek nie mamy, prawda?

Porażony jej wzrokiem, nawet nie próbował nalegać. Na szczęście Alison okazała pełne zrozumienie.

- Jakoś sobie z tym poradzimy - powiedziała spokojnie, pocałowała go, wciągnęła do łóżka i mocno przytuliła.

Przebywanie z dziewczynkami sprawiało mu mnóstwo przyjemności. Gotował dla nich i poznawał je od nowa. Podziwiał inteligencję i realizm Ruth oraz poczucie humoru

Rosy. W miarę upływu czasu Judith Hill, jej ojciec, brat i matka zaczęli mu się wydawać odlegli i obcy jak postacie z powieści lub serialu telewizyjnego. Żył prawdziwym życiem. Codziennie rano budził się razem z córkami, robił im śniadanie, a potem siadali na balkonie i obserwowali wpływające do portu łodzie i jachty. Przyglądali się dzieciom, uczestniczącym w kursach żeglarskich, organizowanych na końcu zachodniego molo. Ubrane w piankowe kombinezony dzieciaki godzinami chlapały się w wodzie, wypadały z kajaków i przewracały małe pontony. Jack był tak szczęśliwy, że kiedy Alison wpadła z wizytą, w pierwszej chwili przyjął jej obecność jako ingerencję w swoją domową egzystencję. Dopiero po godzinie od nowa przyzwyczał się do bliskości jej miękkiego, ciepłego ciała i zapragnął jej.

A gdy wakacje się skończyły i życie wróciło do normy, często wracał myślami do tego cudownego okresu. Do dwóch tygodni w środku lata tego wyjątkowego roku.

Rachel zauważyła Jacka Donnelly'ego i jego dwie córeczki na balkonie, kiedy rano przebiegała swoją zwykłą trasę. Wszyscy troje byli do siebie bardzo podobni. Potem widziała ich na spacerze na molo. Nie spieszyli się, co parę chwil przystawali, żeby popatrzeć na pliszki, mewy i rybitwy. Szukali wzrokiem fok, które wypływały między statkami, i wydawali pełne zachwytu okrzyki, kiedy wdzięczne stworzenia wystawiały głowy z wody i przewracały się na plecy, leniwie uderzając po brzuchu płetwami i znowu nurkując. Któregoś wieczoru dostrzegła Jacka po drugiej stronie ulicy. Poznała także jasnowłosą kobietę, która mu towarzyszyła. Była to Alison White, opiekunka społeczna Amy. Rachel starała się nie myśleć o swoim ostatnim spotkaniu z Alison, nie wracać do bólu, który towarzyszył, rozmowie i rozstaniu z córką.

Daniel powiedział jej, że on także odnalazł Amy. Chwalił się tym, opowiadał, że chodził do kawiarni, w której Amy pracuje, rozmawiał z nią, rośmieszał. Milutka dziewczyna, stwierdził.

- Powiedziałeś jej, kim jesteś? - zapytała.

Zaprzeczył. Oświadczył, że nie chciał jej denerwować, chciał tylko ją poznać.

- I jaka jest Amy?
- Czasami podobna do mnie, a czasami do ciebie, ale najczęściej zupełnie inna.

Od tamtej nocy spotkali się jeszcze kilka razy. Daniel przyjeżdżał po nią pod pracę, woził po mieście swoją półciężarówką. Raz spędzili kilka godzin w pustym mieszkaniu w budynku, którego ochroną zajmowała się jego firma, kiedy indziej w jego biurze. Oprowadził ją po siedzibie firmy, opowiedział, jak po śmierci Martina stary Beckett usunął się w cień, przekazując kontrolę w jego ręce.

- Nieźle, co? Zupełnie nieźle jak na czarną owcę rodziny Beckettów. Pamiętasz, jak dodawałaś mi pewności siebie, jak utwierdzałaś mnie w przekonaniu, że z moimi „możliwościami intelektualnymi” nie jest wcale źle? Naprawdę potrafiłaś podnieść mnie na duchu, wiesz? Kiedy zabrakło Martina, okazało się, że staruszek nie ma nikogo, komu mógłby zaufać. Nikogo poza mną. W końcu należę do rodziny, prawda?

Tak jak ja, pomyślała Rachel. Ja również należę do rodziny i jestem naznaczona jej piętnem.

- Czy Ursula wie, że spotkałeś się ze mną poza domem? - zapytała. - Nie boisz się, że może to odkryć?

- Bynajmniej. Ursula ma w sobie arogancję charakterystyczną dla osób z jej środowiska. Nie byłaby w stanie uwierzyć, że ją zdradziłem, bo nikt nigdy jej nie zdradził. Wszystko idzie jak po maśle od dnia, kiedy przyszła na świat w zamożnej rodzinie, która dokładnie zaplanowała jej przyszłość. Ursula nie zna uczucia rozczarowania czy lęku. - Uśmiechnął się szeroko. - Prerażoną widziałem ją tylko raz - tamtego wieczoru podczas przyjęcia. Wtedy rzeczywiście się bała.

- Wie, co się ze mną dzieje?
- Myśli, że poszedłem na policję i złożyłem skargę. Teraz uważa cię za całkowicie nieszkodliwą, złamaną, zgorzkniałą kobietę bez przyszłości.
- A ty?

- Ja chciałbym się dowiedzieć, czego ode mnie oczekujesz. Mam wrażenie, że pragniesz, bym ci pomógł, ale nie jestem pewien, w jaki sposób.

- Na początek pocałuj mnie, to wystarczy. Bardzo dawno nikt mnie nie całował. Potem powiedz, dlaczego zabiłeś mojego męża.

Ujął jej twarz w dłonie. Odchylił do tyłu. Czuła nacisk palców na tchawicy, oddychała coraz płycej i szybciej. Rozluźnił uchwyt i przytulił ją do piersi.

- Wiesz, dlaczego go zabiłem. Zamierzał zniszczyć moje życie.

- I dlatego ty zniszczyłeś moje...

- Nieprawda, sama je zniszczyłaś. Okłamałaś go, oszukałaś i zapłaciłaś za to, ale teraz możesz zacząć wszystko od nowa. Jesteś jeszcze młoda, młoda i piękna, mądra i inteligentna. Pomogę ci, Rachel. Mam nadzieję, że w to nie wątpisz.

Wiedziała, że Daniel się denerwuje. Nie był jej pewny, wolał mieć ją na oku. Zaprosił ją nawet na parę nocy do swojego domu. Ursula wyjechała na dwa tygodnie do Stanów, zabierając dzieci.

- Co z moją wyprawą jachtem, Dan? Obiecałeś, pamiętasz?

Umówili się w porcie, w niedzielę, o trzeciej po południu.

- Wezmę coś do jedzenia i do picia - powiedział. - Co ty na to?

- Świetny pomysł.

- Dokąd popłyniemy? - zapytał. - Na północ czy na południe?

- Zobaczymy. Popłyniemy z wiatrem.

Czekała na niego przy pochylni. Miała ze sobą wszystko - ubranie na zmianę, gruby sweter, trochę jedzenia na podróż. Daniel przywiózł całą resztę - kapoki, legginsy, jedzenie i picie, wszystko w płóciennym worku, lekko zalatującym pleśnią.

- Zawsze trzymam tu te rzeczy - powiedział. - Na wszelki wypadek, gdyby przypadkiem udało mi się wyskoczyć na żagle.

O mur obok pochylni oparte były wiosła do pontonu, które także musieli zabrać na pokład.

- Spróbujemy przenieść to za jednym zamachem! - zawołał, schodząc po granitowej pochylni.

Rachel obserwowała, jak ładuje rzeczy do łódki, umiejętnie rozkładając ciężar.

- Ciężka ta twoja torba - rzekł, zarzucając ją sobie na ramię. - Co tam masz? Wszystkie swoje dobra?

Uśmiechnęła się.

- Tylko kilka rzeczy. Wiesz przecież, że zawsze lepiej być przygotowanym...

Pomógł jej usiąść na dziobie i zajął miejsce naprzeciwko. Sięgnął po wiosła. Jego ruchy były szybkie i precyzyjne. Rachel zanurzyła dłoń w zimnej, czystej wodzie. Była głęboka i ciemnozielona, prawie tak samo nieprzezroczysta jak bloki agatu czy malachitu. Przechyliła się przez burtę i zobaczyła odbicie swojej twarzy w wodzie. Uśmiechnęła się i ujrzała, jak uśmiech powraca do niej. Przeniosła wzrok na Daniela.

- Dziękuję ci - powiedziała. - Nie masz pojęcia, ile to dla mnie znaczy.

Jacht był drewniany, długi na nieco ponad dziesięć metrów, miał kabinę z dwiema kojami.

- Co wybierasz, Rachel, włączamy silnik czy żeglujemy?

- A jak myślisz? Chciałbyś zmarnować ten cudowny wiatr?

Siła wiatru wynosiła cztery stopnie, zgodnie z prognozą.

Widzialność dobra, ciśnienie wysokie. Razem wciągnęli kliwer i grotżagiel. Rachel stała w rozkroku, próbując zbalansować swój ciężar. Jacht zaczął się mocniej kołysać.

- Gotowa? - krzyknął Daniel.

Odwróciła się do niego i kiwnęła głową. Potem przykucnęła i zwolniła cumę. Jacht zachybotał i wykonał pół obrotu, zaraz jednak się wyprostował, gdy Daniel chwycił rumpel i wciągnął żagiel główny, ustawiając go pod wiatr. Rachel ostrożnie przeszła do sterówki. Zacisnęła dłonie na linie grotżagla, czując, jak sznur kaleczy miękką skórę dłoni.

- Zawiąż! - zawołał Daniel i Rachel szybko zawiązała ósemkę, klinując ją wokół mosiężnego kołka.

Przechyliła się do tyłu i spojrzała w górę, osłaniając oczy

od słońca. Wielki biały żagiel napiął się i wydał, wypełniony wiatrem. Woda za rufą huczała głośno, gdy jacht powoli zwiększał szybkość. Roześmiała się głośno i radośnie. Odwróciła się do Daniela i lekko dotknęła jego policzka.

- Dziękuję - powtórzyła. - Dziękuję ci za to.

Przecinali zatokę, kierując się na północ. Jacht wspinał się na strome fale, woda spływała po pokładzie i wlewała się do sterówki, mocząc ich stopy i nogi. Rachel przyglądała się, jak Daniel pewnie trzyma rumpel, sprawdza kąty ustawienia żagla i wykonuje drobne, precyzyjne poprawki kursu. Wiedział, co robi. Musiał dużo pływać od tamtego lata, kiedy pierwszy raz zabrała go w morze. Na pewno pływał właśnie tutaj, czując wiatr we włosach i drobne słone krople na wargach, podczas gdy ona leżała w celi, twarzą do ściany. Pospiesznie odwróciła wzrok i spojrzała na błyszczącą w słońcu powierzchnię wody podobną do rybiej łuski. Zerknęła przez ramię i ujrzała malejące w oddali szare granitowe mury portu Dun Laoghaire. Przed nimi widniało wzgórze Howth i latarnia w Bailey, a dookoła nich łagodne błękity i zielenie gór, ze smugą czerni w miejscu, gdzie zabudowa miasta rozszerzała się i przylegała ciasno do stóp wzgórz. Miała ochotę krzyczeć i śpiewać z radości. Popatrzyła w kierunku ujścia rzeki, prowadzącego do serca miasta. Ta sama rzeka przepływała obok gmachu sądu, w którym dobiegło końca jej życie. Z drugiej strony znajdował się kanał, którego wody, zielone i cuchnące, obmywały także mury więzienia. Spędziła tam tyle lat, tyle zmarnowanych lat...

- Staniemy? - zapytał Daniel, kiedy opłynęli Bailey i ujrzeli mały port Howth, przycupnięty tuż za latarnią morską.

Potrząsnęła głową. Nie, nie chciała schodzić na ląd, chciała żeglować, płynąć daleko przed siebie, gdzie oczy poniosą. Daniel zaśmiał się i wsunął dłoń pod jej bluzkę. Ujął pierś i pocałował ją w łopatkę. Wiatr dmuchał mocno, jacht kołysał się na boki, maszt skrzypiał, a olinowanie trzeszczało.

- Hej, Rachel, mieliśmy coś zjeść, prawda? Powinnaś za dbać o szypra, to podstawowa zasada życia na morzu!

Wstała, czując, jak jacht się przechyla, wrażliwy na zmianę

położenia ciężaru. Zeszła pod pokład, do małej, czystej kabiny z dwiema kojami i częściowo odgradzoną przestrzenią kuchenną, w której znajdował się stół, ława, zlew, dwufajerkowa kuchenka oraz niewielka lodówka. Wyjęła z torby chleb i pieczeń na zimno, sałatę, pomidory, ser i kilka kawałków ciasta z owocami. Rozłożyła jedzenie na stole, otworzyła dwie puszkę piwa i jedną podała Danielowi.

- Masz nóż, Dan? - zawołała. - Zapomniałam wziąć.

Wystawiła głowę przez luk w deskach pokładu i zobaczyła, jak Daniel podnosi piwo do ust i chciwie pije. Odrobina piany spłynęła mu po brodzie.

- Jest w skrzynce z narzędziami, na podłodze - odparł, ocierając usta wierzchem dłoni. - Trzeba go chyba umyć.

Podniosła metalowe klamry, przytrzymujące wieko skrzynki i znalazła nóż na tacce, obok śrubokrętów. Wyjęła go. Długie ostrze było złożone, częściowo ukryte w drewnianej rączce. Wyprostowała je. Nalała wody do zlewu i dokładnie umyła nóż, a potem poszukała oselki. Starannie owinęła chusteczką rękojeść noża i kilkanaście razy przeciągnęła ostrzem po kamieniu. Wydawany przez metal dźwięk sprawił, że włosy stanęły jej dęba na karku, a sutki stwardniały. Sięgnęła do torby i wyciągnęła z niej małą butelkę. Odkręciła kapsel i pociągnęła spory łyk brandy. Podniosła głowę i spojrzała w luk. Daniel stał na pokładzie, wiatr rozwiewał jego gęste ciemne włosy. Słyszała, jak podśpiewywał słowa jakiejś piosenki. Przesunęła się w bok, tak, żeby jej nie widział. Chwyciła buteleczkę i znowu się napiła. Potem sięgnęła po nóż z owiniętą rączką. Rozpostarła palce lewej dłoni, spojrzała na nie i mocno przejechała ostrzem noża między kciukiem i palcem wskazującym. Głęboko przecięła skórę, tkanki, mięśnie, żyły. Gwałtowny, przeszywający ból sparaliżował jej palce, ramię, dotarł aż do serca. Krzyknęła głośno, nieprzytomna z bólu i lęku.

- Dan, Dan, pomóż mi! Skaleczyłam się!

Krew trysnęła z rany, więc wyciągnęła rękę daleko przed siebie, patrząc, jak na podłogę, narzuty na kojach, na jej spodnie i bluzkę, a potem, gdy Dan zbiegł na dół, także na

jego ubranie ściekają wielkie czerwone krople. Usiłował jej pomóc, chwycił za rękę, lecz krzyczała bez przerwy. Przed jej oczami tańczyły czarne koła, ból atakował każdy nerw ciała.

- Nóż, to ten nóż! - jęczała. - Nie podejrzewałam, że jest taki ostry! Gdzie on jest? Zabierz go, tylko sam się nie skalecz! Schowaj go w jakimś bezpiecznym miejscu.

Później nie mogła sobie przypomnieć, jakim cudem udało mu się zabandażować rękę, jak w końcu powstrzymał krwotok. Potem uspokoił ją i przytulił, nappełnił mały czajnik wodą, zagotował, zrobił herbatę, a wreszcie starannie zawinął ją w koc. Powiedział, żeby nie przejmowała się plamami krwi, bo sam wszystko sprzątnie i zmyje. Przecież to był wypadek, coś takiego może się zdarzyć każdemu. Wciąż ją uspokajał łagodnymi słowami i gładził po ramieniu.

- Co się dzieje na pokładzie, Dan? - zapytała słabo, kiedy już odzyskała równowagę. - Skąd ten hałas?

Z góry dobiegał świst i huk wiatru, skrzywienie drewna. Jacht miotał się gwałtownie i zaczynał niebezpiecznie przechylać się na prawą burzę. Daniel w jednej chwili znalazł się na pokładzie.

- Chodź tu, szybko! - krzyknął do Rachel. - Owiń rękę plastikową torbą i pomóż mi! Nie wiem, co się dzieje, ale mamy kłopoty!

Co mówiła prognoza? Siła wiatru cztery rosnąca do sześciu lub siedmiu stopni po południu lub wczesnym wieczorem. Widzialność dobra, lecz po południu gorsza. Spadek ciśnienia. Od dziewiętnastej możliwe nasilenie wiatru. I prognoza się potwierdziła. Prognozy zwykle się potwierdzają, pomyślała Rachel. Wybiegła spod pokładu i zaczęła wykrzykiwać polecenia, przypominając sobie, co i jak robi się w takiej sytuacji.

- Żagle w dół, Dan! Musisz refować! Łap! - Rzuciła mu kamizelkę ratunkową i linę. - Zapnij się!

Nagle parsknęła śmiechem. Wszystko cudownie się ułożyło, tak, jak chciała. Lunał deszcz. Wciągnęła kapok i zapięła go aż pod szyję, żeby woda nie zmyła plam krwi z jej ubrania. Zapięła także Daniela i pomyślała o nożu. Wsunęła go między kuchenkę i lodówkę, i zostawiła tam, w najbezpieczniejszym

miejscu. Uśmiechnęła się do Dana, który powoli odzyskiwał kontrolę nad jachtem i zawracał go w kierunku portu. Minęło pół godziny, nim wiatr trochę ucichł i ujrzeli przed sobą światła. Kiedy zakotwiczyli jacht i Daniel dowiosłował do brzegu, było już późno. Oboje byli wyczerpani.

- Niezła wycieczka - powiedziała.

Z trudem trzymała się na drżących nogach.

- Założę się, że nie o to ci chodziło, prawda? Nie udał nam się ten wypad. - Uśmiechnął się lekko, upychając swoje rzeczy do płóciennego worka i wrzucając go do bagażnika.

- To nieprawda - zaprotestowała, ostrożnie podtrzymując skaleczoną dłoń. - Moim zdaniem było niemal idealnie. Mnóstwo podniecenia i przygód, no i szczęśliwe zakończenie...

- Na tę ranę trzeba założyć szwy. Zawiozę cię do szpitala, niech ktoś zrobi ci porządny opatrunek...

Cofnęła się i potrząsnęła głową.

- Nie, naprawdę nie trzeba. I tak bardzo dużo dla mnie zrobiłeś. Wszystko w porządku, poradzę sobie.

Zmarszczył brwi i spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Nie pojedziesz ze mną? Myślałem, że przenocujesz u nas. - Wyciągnął rękę, aby wziąć ją za ramię.

Odsunęła się.

- Nie tym razem - odparła. - Nie martw się, nic mi nie będzie. Jedź już, jest późno.

Czekała, aż włączy silnik. Widziała, że na jego twarzy maluje się wyraz niepokoju i niepewności.

- Zadzwoń jutro - obiecała. - Naprawdę, wszystko w porządku. Wracaj do domu.

Kiedy tylne światła półciężarówki zniknęły, sięgnęła po torbę. Była ciężka. Zapakowała do niej wszystko, co mogło być jej potrzebne. Bez pośpiechu ruszyła przed siebie poboczem portowej drogi. Podniosła głowę i poszukała wzrokiem budynku po drugiej stronie. Okna mieszkania Jacka Donnelly'ego były ciemne, dostrzegła jednak, że balkonowe drzwi są otwarte. Jack siedział na krześle, widziała go. Spuściła wzrok i przyspieszyła kroku.

Rozdział dwudziesty siódmy

Padło teraz codziennie. Okres pięknej pogody dobiegł końca. Dziewczynki wróciły do matki. Tęsknił, bez nich mieszkanie wydawało się puste i obce. Czuł się samotny i przygnębiony, w jakiś sposób beużyteczny. Nawet mimo tego, że większość czasu spędzał z Alison, w jej pięknym domu z błyszczącymi sosnowymi podłogami i urzekającymi kolorami na ścianach.

- Przeprowadź się do mnie - zaproponowała.

On jednak wciąż się wahał i zastanawiał, myśląc o obojętnym, chłodnym spokoju swojego białego mieszkania z widokiem na port. Nieumiejętność nawiązania głębszego kontaktu i podejmowania decyzji - miał wrażenie, że właśnie na tym polega jego problem. Nie potrafi zdecydować, na jaki kolor pomalować salon, a co tu mówić o poważniejszych sprawach. Był żałosny, kurewsko żałosny, i tyle.

Przygnębiała go także myśl o sprawie Judith Hill. Kilka razy dzwonił do jej matki, rozmawiał z nią, pytał Stephena. Wiadomości nie były zbyt dobre.

- Bardzo się o niego martwię - powiedziała Elizabeth. - Jest w głębokiej depresji. Usiłuję go namówić, żeby przyjechał do mnie, ale nie chce. Z Judith było mi dużo łatwiej się porozumieć. Niedawno zaczęłyśmy poznawać się od nowa i robiłyśmy duże postępy. Niestety, ze Stephenem nie mam wiele wspólnego, oczywiście poza tym, że jestem jego matką.

- Gdzie Stephen teraz mieszka? Bo nie w domu, prawda? Elizabeth westchnęła.
- Nie. Nie w domu. Zamieszkał u Bradleyów i to dodatkowo komplikuje naszą sytuację.
- Jack mógł to sobie z łatwością wyobrazić.
- Może chciałyby pani, żebym go odwiedził? - zapytał.
- W słuchawce zapadła cisza.
- To bardzo miło z pana strony, inspektorze Donnelly, ale chyba lepiej będzie, jeżeli zostawimy go w spokoju. Niedługo sama przyjadę do Dublina, nie jestem jeszcze pewna, kiedy... Najprawdopodobniej w przyszłym tygodniu. Zadzwonię wtedy do pana, może moglibyśmy się spotkać. A jeśli chodzi o Stephena, to wydaje mi się, że trzeba dać mu trochę czasu.
- Jack przyjął to do wiadomości. Miał się czym zająć, nie mógł narzekać na brak nowych spraw. Pracował teraz nad kolejną serią zabójstw związanych z handlem narkotykami, znowu oglądał unieczystwione ciała, w bezruchu śmierci podobne do zwłok biednego Karla O'Hary. Rozmawiał ze zrozpaczonymi matkami i dziewczynami, z pozbawionymi ojców dziećmi. W szczególny sposób interesowały go dwa przypadki, które jego zdaniem miały ze sobą wiele wspólnego. Chciał pomówić o nich z Andym Bowenem. Sięgnął po telefon i wybrał numer przyjaciela, którego nie widział już od kilku tygodni. Umówił się z nim na piwo w barze.
- Andy nie wyglądał zbyt dobrze. Był wychudzony i blady.
- Cieszę się, że zadzwoniłeś, Jack - powiedział, gdy się spotkali. - Szczerze mówiąc, sam właśnie zamierzałem odezwać się do ciebie.
- Stęskniłeś się za mną, co? Brakuje ci tych drobnych klejniczków mądrości, które padają z moich ust, tak?
- Odpieprz się. - Andy uśmiechnął się i podniósł szklanekę w geście toastu.
- Jack zauważył, że dzisiaj Andy nie pił whisky. Albo może zdążył już wypić kilka głębszych, kto go tam wie.
- Nie, chodzi mi o coś innego. Nie jestem pewny, może to nic ważnego, ale trochę niepokoję się o Rachel Beckett. Nie

przyszła na ostatnie dwa spotkania, a dziś rano zadzwoniła do mnie jej szefowa, właścicielka pralni. Rachel nie przychodzi do pracy. Kontaktował się też ze mną administrator domu. w którym mieszka, ponieważ Rachel zalega z czynszem.

- Kiedy widziałeś ją ostatni raz?

- Mniej więcej dziesięć dni temu. Widzisz, chyba jestem ci winien kilka słów wyjaśnienia... - Przerwał i napił się piwa. - Mam z nią pewien układ, trochę nieformalny...

- Ach, tak? - Jack uniósł brwi. - Ty spryciarzu! Kto by pomyślał... Ty i czarna wdowa...

- Nie, skąd, nic z tych rzeczy. Oszalałeś? Poprosiłem ją o pomoc przy Clare. Wydawało mi się, że jej również dobrze to zrobi.

I opowiedział, jak Rachel wieczorem opiekowała się jego żoną. Jack patrzył na niego ze zdumieniem.

- Trochę dziwny układ, nie sądzisz? Zupełnie zwariowany pomysł, stary - wynajmając skazaną morderczynię do opieki nad własną żoną. Życie zawodowe pomieszało ci się z osobistym, co? Całkowicie wbrew regułom.

Twarz Andy'ego oblał czerwony rumieniec. Wyprostował się.

- A czy ty i twoi ludzie zawsze pracujecie zgodnie z regułami? Daj spokój, kogo próbujesz nabrać?

- Może i masz rację, tyle że ja nigdy nie angażowałem mojej rodziny w sprawy zawodowe. To co innego. Pozwoliłeś sobie na ryzykowne zagranie.

- Och, na miłość boską, przestań prawić mi kazania! Rachel Beckett nie jest niebezpieczna i dobrze o tym wiesz. Zdarzyła jej się jedna wpadka, to wszystko, nic nigdy nie wskazywało na to, że mogłaby dopuścić się kolejnego przestępstwa. Nie powinna była odsiedzieć aż dwunastu lat. W jej wypadku najtrafniejszym werdyktem byłoby orzeczenie zabójstwa w afekcie. Miała pecha, to jasne. Gdyby ta sprawa zdarzyła się teraz, prawdopodobnie w ogóle nie poszłaby siedzieć, a nawet jeżeli, to po roku, może dwóch wyszłaby na wolność. - Andy pociągnął duży łyk i wierzchem dłoni otarł pianę z warg. - Tak czy inaczej, Clare i Rachel bardzo

się polubiły. Rachel świetnie opiekuje się Clare, okazuje jej dużo serca, a mnie jest dzięki temu trochę łatwiej...

Jest ci łatwiej wychodzić wieczorami, żeby urządzić się w trupa, pomyślał Jack i natychmiast zrobiło mu się wstyd. Andy zasługiwał na współczucie, nie na potępienie. Westchnął.

- No, dobra, skoro tak mówisz... Mimo wszystko nadal uważam, że to niebezpieczna gra. Poza tym wydaje mi się, że twoi przełożeni nie byliby zachwyceni tym układem...

Andy wykonał gest, jakby zamierzał mu przerwać, ale Jack szybko uniósł obie dłonie.

- Jasne, jasne, nie mam zamiaru się w to wtrącać. Rozumiem, o co ci chodzi. Chciałbyś, żebym się dowiedział, czy po prostu dała nogę, a może zakochała się, doznała nawrócenia lub jeszcze coś innego. Nie martw się, spróbuję powęszyc i będę trzymał gębę na kłódkę, przynajmniej na razie.

Okazało się jednak, że Andy ma mu coś jeszcze do powiedzenia. Coś, o czym poinformowała go jego żona.

- Kiedy Rachel nie przyszła drugi raz z rzędu, Clare wyznała, że bardzo się o nią niepokoi. Rachel zwierzyła jej się z czegoś, ale kazała przyrzec, że nikomu tego nie powtórzy. Po drugiej nieobecności Rachel Clare zaczęła się jednak denerwować. Sęk w tym, że najwyraźniej Daniel Beckett dowiedział się o zwolnieniu Rachel i wyszedł, gdzie zamieszkała. I przyszedł się z nią zobaczyć. Clare mówi, że po tym spotkaniu Rachel była w fatalnym stanie. Była przerażona. Powiedziała, że Beckett ją zgwałcił. Clare widziała siniaki na jej ciele, naprawdę paskudne.

- Dlaczego Rachel sama ci o tym nie powiedziała?

- Zdaniem Clare Rachel się bała, że ktoś może uznać jej spotkanie z Beckettem za naruszenie zasad warunkowego zwolnienia. Że odeślą ją z powrotem do więzienia. Podobno powiedziała Danowi, że kiedy trochę stanie na nogi, wyprowadzi się z Dublina, bo nie chce sprawiać mu żadnych kłopotów. Clare podkreślała, że Rachel była po prostu przerażona.

- Wierzysz jej? W jakim stanie umysłowym jest teraz Clare?

- Daj spokój, Jack, Clare jest bardzo chora, ale nie ma halucynacji. Pod względem umysłowym jest w porządku. Może chciałbyś wpaść do nas i sam z nią porozmawiać? Zastanów się. Po prostu cała ta sytuacja wydaje mi się trochę dziwna, to wszystko, ale nie chcę podejmować żadnych kroków, dopóki się nie upewnię, jak jest naprawdę. Uważam, że powinienem dać jej szansę. Jestem jej to winny.

Nie mówiąc o szansie, którą dajesz sobie, pomyślał Jack.

- W porządku - rzucił. - Zorientuję się, co jest grane. Po gadam z sąsiadami, rozejrzę się w jej mieszkaniu.

Pamiętał, jakie wrażenie zrobił na nim pokój Rachel, kiedy przyszedł zadać jej kilka pytań na temat Judith. Wszędzie ład i porządek, bardzo czysto. Dolna połowa dużego okna podciągnięta wysoko. Przez to okno do pokoju wpadała wschodnia bryza, rozwiewając zasłony i huśtając papierowym abażurem. Lubi wiatr, nawet zimny, powiedziała.

W więzieniu nigdy nie ma wiatru. Nawet na dziedzińcu powietrze jest zawsze nieruchome.

Dziś mieszkanie wyglądało dokładnie tak samo. Wszystko na swoim miejscu, ani śladu brudu, ale okno było szczelnie zamknięte, a powietrze w pokoju duszne, nieświeże. Stanął na środku i rozejrzał się dookoła. W szklanym wazonie na kuchennym stole zwiędły kwiaty, a z szafki pod zlewem wydobywał się nieprzyjemny odór. Otworzył drzwiczki i wyjął torbę ze śmieciami, w której znajdowały się głównie herbaciane fusy, zgniłe obierki, resztki pieczywa i ogryzki jabłek. Nic ciekawego. Otworzył lodówkę i zajrzał do środka. Mały karton mleka, teraz skwaśniałego, kilka opakowań naturalnego jogurtu, ser... Wrzucił wszystko do śmieci i przejrzał zawartość małych szafek. Parę talerzy i misek, dwa kubki, w szufladzie komplet tanich sztuczków. Wrócił do pokoju i otworzył szafę na ubrania. Znalazł tu kilka sukienek i spódnic, dwie pary spodni i zamszą kurtkę, wyglądającą na nową i drogą. Na półkach leżała bielizna, koszulki, bluzki i swetry, wszystko

porządnie złożone. Żadna z rzeczy nie sprawiała wrażenia nowej, z wyjątkiem kurтки i sandałów, chyba jeszcze w ogóle nieużywanych, bo stały w tekturowym firmowym pudełku na dnie szafy. Jack przesunął ręką po najwyższej półce i jego palce natrafiły na coś twardego. Była to mała walizka z brązowej skóry. Na podrapanym, otartym wieczku widniały resztki nalepki z nazwiskiem. Usiadł na łóżku i otworzył walizkę. Zobaczył plik zdjęć. Przejrzał je szybko. Małe dziecko, para starszych ludzi. Bez trudu rozpoznał córkę i rodziców Rachel. Było tu także kilka oficjalnych pism na firmowym papierze Ministerstwa Sprawiedliwości, pod nimi zaś leżała duża szara koperta. Ciężka. Odwrócił ją i wysypał zawartość na łóżko. Pieniądze, ściśnięte gumkami pliki banknotów o różnych nominałach. Przeliczył je szybko. Co najmniej pięć tysięcy funtów. Na samym dnie koperty znalazł list napisany nieco drżącą ręką, wyblakłym tuszem: „Od twojej matki. Chciała, żeby to pomogło ci stanąć na nogi”.

Jack podniósł się i zdjął z łóżka pościel i materac. Nie znalazł nic podejrzanego. Przesunął leżący na podłodze chodnik, ale i pod nim nie było nic prócz odrobiny kurzu. Otworzył drzwi prowadzące do małej łazienki i natychmiast poczuł zastały zapach wilgoci. Zajrzał do szafki z lusterkiem, wiszącej nad umywalką. Wewnątrz zobaczył opakowanie przeciwbólowego anadinu, prawie pełną tubkę pasty do zębów, kilka kostek mydła, buteleczkę z mleczkiem do twarzy i krem nawilżający. Na umywalce leżała szczoteczka do zębów, z brzegu wanny zwiisał mały ręcznik. Podniósł przykrywą stojącego obok wanny kosza na bieliznę. Ręcznik, prześcieradło, dzinsy, spodnie z czegoś przypominającego grube lniane płótno, bluzka, biustonosz i kilka par majtek. Wysypał to wszystko na podłogę i natychmiast zauważył na prześcieradle ciemną smugę, jakby zaschniętej krwi. Chwytał prześcieradło i wrócił do pokoju, aby obejrzeć plamę w dziennym świetle. Nie ulegało wątpliwości, że jest to krew, krew i coś jeszcze, jakaś półprzezroczysta substancja, tworząca leciutką wypukłość na tkaninie. Stanął przy oknie i rozejrzał się raz jeszcze. Czy zostawiła tu

coś wartościowego? Popatrzył na fotografie, teraz rozsypane na podłodze. To na wierzchu przedstawiało dziewczynkę o prostych brązowych włosach. Jack usiadł na łóżku i dopiero wtedy zwrócił uwagę na dużą mapę na ścianie. Była to mapa miasta, z poszczególnymi dzielnicami zaznaczonymi różnymi kolorami. Przypomniawszy sobie, że zapytał o nią Rachel podczas tamtej rozmowy.

- To mapa moich wspomnień - odparła. - Była mi potrzebna, kiedy siedziałam w więzieniu i zaczęłam zapominać, z czym kojarzą mi się różne miejsca. Zatrzymałam ją, bo jestem sentymentalna.

Zebrał wysypane z koperty pieniądze i zabrał się do liczenia. Nie spieszył się. Razem było tam sześć tysięcy siedemset pięćdziesiąt pięć funtów. Prawdziwy majątek dla kogoś takiego jak Rachel Beckett.

Wrócił myślami do rozmowy, którą tego ranka odbył z Sheilą Lynch. O istnieniu pani Lynch Andy Bowen dowiedział się od swojej żony i natychmiast przekazał tę informację Jackowi.

- Tak, znam Rachel - potwierdziła pani Lynch. - Niepokoję się o nią. Zupełnie nie rozumiem, co jej się mogło przydarzyć. Od czasu do czasu wpadam do niej do pracy, ale kiedy zajrzałam tam ostatnim razem, właścicielka pralni powiedziała mi, że nie ma pojęcia, gdzie ona jest. Kupiłam Rachel parę rzeczy, wie pan, chciałam dać jej kilka prezentów, bo ta dziewczyna jest biedna jak mysz kościelna. Nie ma nic, po prostu nic. Miała takie trudne życie... Jest zupełnie inna niż ludzie, którzy zwykle trafiają do więzienia. Pochodzi z dobrej rodziny, jest doskonale wychowana, wykształcona... Tyle lat za kratami, Bóg jeden wie, jak ona to przeżyła. Teraz wyszła i stara się zacząć od nowa. Była zrozpaczona, bo córka nie chce się z nią widywać. Radziłam jej, żeby była cierpliwa. Nastolatki bywają bardzo humorzaste i narwane. Cóż, jak już mówiłam, bardzo się o nią martwię. Co się z tą biedaczką dzieje?

- A ty co myślisz? - zapytał późnym wieczorem Alison, kiedy oboje leżeli w łóżku. - Poznałaś ją, rozmawialiście. Co o niej sądzisz?

- Jest bardzo wrażliwa. Gdybyś ją widział tamtego dnia, kiedy przyszła na spotkanie z Amy - była tak zdenerwowana, że ledwo trzymała się na nogach. Później, gdy Amy dała jej popalić, miałam nawet ochotę wybiec za nią i jakoś jej pomóc, ale zatrzymali mnie w biurze. Nie zdziwiłabym się, gdybyście wyłowili ją z rzeki, bo była zupełnie rozbita.

- Myślisz, że popełniła samobójstwo?

Alison potrząsnęła głową. Odwróciła się ku niemu i pocałowała go w ramię, przez chwilę ogrzewając ciepłymi wargami jego skórę.

- Nie, chyba jednak nie. Wydaje mi się, że Rachel jest osobą uzależnioną od nadziei, tak my to nazywamy. Nadzieja trzymała ją przy życiu przez te wszystkie lata w więzieniu i jest wszystkim, co jej pozostało.

- Nadzieja czy fantazja?

- Na tym etapie nie ma to znaczenia - odparła.

Ułożyła się wygodnie, wtulona w niego. Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć. Z zamkniętymi oczami i opadającymi na twarz włosami wyglądała prześlicznie. Delikatnie pocałował ją w czoło i przyciągnął jeszcze bliżej. Wyłączył lampę, zamknął oczy i prawie natychmiast zasnął.

Rozdział dwudziesty ósmy

To była pułapka. Daniel Beckett widział to teraz wyraźnie. Zastawiła ją, włożyła przynętę i zaczęła na odpowiedni moment. A on dał się złapać, nawet nie wiedząc, co robi. Bez walki, bez najmniejszego oporu. Wziął za dobrą monetę wszystkie nęcające kaski i teraz za to płacił. Drogo za to płacił.

Kiedy tamtego dnia rano policja przyjechała do niego, w pierwszej chwili zupełnie nie wiedział, o co chodzi. Usłyszał dzwonek, z daleka, z głębi snu, który powoli niósł go ku przebudzeniu. Nie miał ochoty otwierać oczu. Czuł, że coś jest nie tak. To uczucie dręczyło go przez ostatnie dwa tygodnie, dokładnie od tamtej soboty, gdy wypłynął z Rachel w morze, a Ursula zabrała dzieci do Stanów, w odwiedziny do rodziców, zostawiając go samego w domu. No, może niezupełnie samego, ponieważ Rachel była razem z nim.

Wyszedł do policjantów w szlafroku, na bosaka, z zapuchniętymi oczami, jeszcze trochę nieprzytomny. Na początku potraktowali go bardzo uprzejmie. Zawieźli do miasta i najpierw umieścili w otwartej celi, a zaraz potem, po niecałej półgodzinie, zaprowadzili do pomieszczenia zwanego salą przesłuchań. Tam ich uprzejmość definitywnie się wyczerpała.

Widział już ich wszystkich wcześniej, wszystkich tych mężczyzn, którzy przez cały dzień pojawiali się, zadawali wciąż te same pytania i wychodzili. Przesłuchaniem kierował in-

spektor Jack Donnelly. To właśnie on rozmawiał z Ursulą dzień po jej powrocie ze Stanów, kiedy nie zdążyła jeszcze wrócić do równowagi po zmianie czasu. Była śpiąca i ledwo żywa ze zmęczenia, gdy Donnelly pokazał jej zdjęcie Rachel i zapytał, czy zna tę kobietę i kiedy ją ostatnio widziała. Parę dni później, gdy sytuacja zaczęła się komplikować, Donnelly wrócił.

- Musiała pani ciężko to przeżyć, kiedy odkryła pani, kim jest i co łączyło ją dawniej z pani mężem - rzucił niewinnie, udając, że zupełnie nie zdaje sobie sprawy, jakie mogą być konsekwencje takiej uwagi.

I to Donnelly przyszedł do niego do biura, gdy cała sprawa dopiero się rozkręcała. Poprowadził go jak owcę na rzeź. Pozwolił mu powiedzieć, że tak, oczywiście, pamięta Rachel, ale nie widział jej od wielu, wielu lat.

- Och, to dziwne! - zdumiał się Donnelly. - Pańska żona poinformowała nas, że ta kobieta, którą rozpoznała na zdjęciu, chociaż w rzeczywistości znała ją pod innym nazwiskiem, zjawiła się w waszym domu, na przyjęciu z okazji rocznicy ślubu. I że pan z całą pewnością widział ją wtedy i nawet zamienił z nią parę słów. Czy to prawda?

Daniel musiał więc przytaknąć, nie miał innego wyjścia. Wyjaśnił, że cała ta sytuacja była bardzo dziwna. Pojawienie się Rachel bardzo go zaskoczyło, więcej, oszołomiło go. Kazał jej się wynosić, po prostu ją wyrzucił.

- I pańska żona naprawdę nie zdawała sobie sprawy, z kim miała do czynienia?

- No, cóż... - Daniel zawiesił głos, zastanawiając się, jak najwłaściwiej odpowiedzieć na to pytanie. - Nie, nie zdawała sobie z tego sprawy. Rachel wymyśliła jakąś historijkę, że mąż odszedł od niej, bo znalazł sobie młodą kochankę. W gruncie rzeczy był to świetny pomysł, bo tego rodzaju opowieści doprowadzają kobiety do furii i budzą w nich współczucie oraz lojalność, sam pan rozumie. - Usiłował się roześmiać. - Oczywiście Ursula bardzo jej współczuła i zaprzyjaźniła się z nią. Nie ma chyba powodu, by niepokoić moją żonę, prawda?

Mówi pan, że Rachel od kilku dni nie pokazuje się w pracy i nie przychodzi na spotkania z kuratorem... Nie znam się na tym, naturalnie, ale odnoszę wrażenie, że chyba pogwałciła zasady warunkowego zwolnienia. Tak czy inaczej, nie bardzo rozumiem, co to ma ze mną wspólnego.

Już wtedy zdawał sobie jednak sprawę, że ten problem nie zniknie sam z siebie. Obserwował, jak Donnelly wraz ze współpracownikiem, sierżantem (tak mu się w każdym razie wydawało) o nazwisku Sweeney, rozsiadają się na skórzanej kanapie w jego biurze, tej samej, której kupno doradziła mu Ursula. Najwyraźniej czuli się swobodnie, aż nazbyt swobodnie. Nie wyglądali na takich, którym się spieszy. Donnelly miał nawet czelność poprosić go, aby do końca rozmowy z nimi nie przyjmował telefonów.

- Tak będzie znacznie łatwiej - powiedział po trzecim telefonie. - Wolelibyśmy, żeby skoncentrował się pan na sprawie, z którą tu przyszedł.

- To znaczy? - zapytał Daniel.

Donnelly oświadczył, że niepokoją się o bezpieczeństwo i zdrowie Rachel Beckett, głównie dlatego, że po trudnej rozmowie z córką dwa tygodnie wcześniej mogła wpaść w depresję i targnąć się na życie. Próbowali dowiedzieć się jak najwięcej na temat jej zachowania w ostatnim czasie i z tego powodu postanowili złożyć wizytę Danielowi.

- Ale to chyba nie jest sprawa dla policji, prawda? - Daniel usiłował zachować neutralny ton.

- Chyba nie. - Donnelly potarł dłonią miękką czarną skórę. - Ale nasi koledzy z wydziału opieki sądowej są poważnie zaniepokojeni i dlatego poprosili nas o pomoc. Poza tym, jeżeli Rachel Beckett uciekła, to sprawa przechodzi w nasze ręce. Staramy się więc wykluczyć pewne możliwości... - Znowu ten sam gest, delikatny, prawie pieszczotliwy ruch palców. - Tak czy inaczej, zgodnie z zeznaniami innych lokatorów domu przy Clarinda Park, mężczyzna odpowiadający pańskiemu opisowi kilkakrotnie odwiedzał Rachel Beckett w jej mieszkaniu. Przy jednej z tych okazji... - Donnelly zajrzał do

notesu. - Tak jest, przy jednej z tych okazji u Rachel Beckett wybuchła podobno potworna awantura. Tak twierdzi chłopak mieszkający piętro niżej. Było tak głośno, że przestraszył się, czy Rachel nie dzieje się krzywda i pobiegł na górę, żeby jej pomóc. Czy potwierdza pan to zeznanie?

Daniel poczuł nagle, że się poci. Odchrząknął.

- Chłopak mocno przesadził, tak bym to określił. Zdenerwowało mnie, że Rachel bez uprzedzenia zjawiała się na naszym przyjęciu i że oszukała żonę. Moim zdaniem byłoby znacznie lepiej, gdyby szczerze powiedziała Ursuli, kim jest. Bardzo mi się nie podobało, że ją nabrała. Przecież Ursula starała się okazać jej współczucie i sympatię...

- Więc pokłóciliście się, tak?

Daniel wzruszył ramionami i pociągnął łyk wody ze szklanki na biurku.

- Mówiłem podniesionym głosem, nic więcej.

- Rozumiem. - Donnelly znowu pogładził skórę na oparciu kanapy. - Inna lokatorka twierdzi, że w ciągu następných dni z mieszkania Rachel Beckett co najmniej raz dobiegały „odgłosy towarzyszące uprawianiu miłości”, tak to określiła... Czy chciałby pan to jakoś skomentować?

Daniel ponownie wzruszył ramionami i napił się wody.

- Co to ma wspólnego ze mną? Kto może wiedzieć, co Rachel wyprawiała po wyjściu z więzienia?

- Hmm... Ta sama kobieta utrzymuje, że we wspomnianym czasie widziała zaparkowaną przed domem półciężarówkę z napisem „Beckett Securities” z boku. Uważa pan to za fakt bez znaczenia?

Daniel założył nogę na nogę, opierając prawą kostkę o lewe kolano. Niepotrzebnie włożył te porządne brązowe buty. Były mocno przybrudzone i nic dziwnego, przecież przez cały dzień musiał odwiedzać różne miejsca. Taką już miał pracę. Jego firma zapewniała ochronę na budowach, w fabrykach, w warsztatach na dalekich przedmieściach. Ursula miała rację, do znudzenia powtarzając, że na co dzień powinien nosić zwykłe adidasy, bo w ten sposób zniszczy

dobrze buty. Cóż, kiedy on lubił dotyk skóry na stopach. W gumowo-płóciennych sportowych butach było coś, co sprawiało, że czuł się bezradny, głupi i prymitywny, coś, co przywodziło mu na myśl lata wczesnej młodości, gdy bezustannie pakował się w kłopoty i w ogóle nie panował nad swoim życiem.

- Proszę posłuchać... - zaczął. - Właściwie wszystkie pańskie uwagi mógłbym skomentować pytaniem: „I co z tego?”. Okazałem jej odrobinę uczucia, trochę serca, ponieważ bardzo tego potrzebowała. Prosiła mnie, a ja nie mogłem jej odmówić. Widziałem, że jest zupełnie samotna.

Donnelly wstał.

- Rozumiem, panie Beckett. Po wielu latach ponownie spotkał pan kobietę skazaną za zamordowanie pańskiego brata i dowiedział się pan, że oszukała pańską żonę, podając się za kogoś innego, a jednak uznał pan, iż musi okazać jej serdeczność. Wydaje mi się to trochę dziwne, ale, jak często powtarzam, są takie rzeczy na niebie i ziemi, o których się filozofom nie śniło.

Schował notes do kieszeni marynarki i gestem ponaglił Sweeney, który z wyraźną przyjemnością rozwalął się na miękkiej sofie. Ten podniósł się z szerokim uśmiechem i razem podeszli do drzwi. W progu Donnelly przystanął i odwrócił się do Daniela.

- To była naprawdę straszna historia, prawda? Świetnie pamiętam pańskiego brata. Był wspaniałym kumplem. Jeśli sobie przypominam, pan także został przesłuchany w tej sprawie. Rachel Beckett usiłowała obarczyć pana winą. Na pewno bardzo to pana rozgniewało, bardzo. No, nieważne. Myślę, że nie powinien się pan martwić, wcześniej czy później Rachel na pewno gdzieś się pokaże. Damy panu znać. Będziemy w kontakcie.

Rachel była z nim także i tutaj, w biurze. Leżała na tej samej sofie, na której siedzieli policjanci, podczas gdy on kończył jakąś pracę przy biurku. Wcześniej napili się zimnego piwa, Rachel przyniosła je z małej lodówki stojącej w pokoju sekretarki. Potem zasnęła, a Daniel, przeglądając faktury i pod-

pisując przygotowane przez sekretarkę pisma, patrzył na nią i wspominał, jak tamtego lata, dawno, dawno temu, pomogła mu zobaczyć sens we wszystkim, co wcześniej wydawało mu się całkowicie bezsensowne. Rozmawiała z nim o książkach, zadawała pytania, zmuszała do myślenia. Spierała się z nim, stawiała wyzwania. Namawiała, żeby wrócił do szkoły, mówiła, że jest równie inteligentny i bystry jak inni, że nie powinien przekreślać swojej przyszłości i marnować czasu na życie w cieniu brata. Gdybym miał cię tylko dla siebie, mógłbym to wszystko zrobić, myślał wtedy. A kiedy go rzuciła i wróciła do Martina, wydawało mu się, że nowy świat, który mu pokazała, nagle zbladł i obrócił się w gruzy. Wszystko zmieniło się dopiero tamtej nocy, kiedy ciężko ranny Martin broczył krwią na podłodze, on zaś poczuł, jak jego palce zaciskają się na kolbie pistoletu.

Podnosił więc głowę znad dokumentów i teczek, rozłożonych na biurku, i przyglądał się jej, pogrążonej we śnie. Jednocześnie sprawdzał dane na ekranie komputera, analizował wykazy przelewów i płatności, i jak zwykle nie mógł się nadziwić, że on, ten najgłupszy z całej rodziny, zarządza teraz firmą, podejmuje wszystkie ważne decyzje, krótko mówiąc - jest szefem. Rachel jest piękna, pomyślał. Najładniej wygląda z zamkniętymi oczami, bo wtedy nie widać ich czujnego, podejrzliwego wyrazu. Gdy włożył ostatni list do koperty i rzucił ją na tekturową tackę, położył się obok Rachel, wziął ją w ramiona i spokojnie czekał, aż się obudzi.

Pamiętał, że po śmierci Martina policjanci także byli wobec niego bardzo uprzejmi. Poprosili go, żeby przyszedł złożyć zeznanie, tylko zeznanie, nic więcej. Ojciec poszedł wtedy razem z nim. Był po imieniu ze wszystkimi, od najmłodszego policjanta po głównego komisarza, który wyjrzał zresztą ze swego gabinetu, żeby zamienić ze starym Beckettem kilka miłych słów i porównać wyniki w golfowych rozgrywkach. Wtedy uprzejmość policjantów nie zniknęła, towarzyszyła mu aż do końca. Dali wiarę jego słowom oraz alibi, które zapewniła mu matka.

- Paskudna sprawa - powiedział nadinspektor do jego ojca. - Musimy to sprawdzić, mam nadzieję, że rozumiesz, stary. Twoja synowa wytoczyła poważne oskarżenia przeciwko chłopakowi, rzuciła na niego podejrzenie. Nie możemy tego lekceważyć.

Ojciec Daniela łaskawie pozwolił się przekonać, a następnie zaprosił nadinspektora na piwo lub może partyjkę golfa na najbliższy weekend.

Wtedy zaprowadzono Daniela do pokoju w przedniej części budynku, gdzie ściany były oklejone plakatami zachęcającymi do sąsiedzkiej pomocy i czujności oraz do zapobiegania przestępczości. Tym razem trafił do pomieszczenia z tyłu budynku, bez okien i plakatów. W pokoju unosił się nieprzyjemny zapach, a policjanci szybko przestali być uprzejmi.

- Nie rozumiem, o co chodzi - poskarżył się. - Co wy ze mną robicie? Najpierw nachodzicie moją żonę, zupełnie niepotrzebnie opowiadając jej o wydarzeniach, które są moją i tylko moją prywatną sprawą. Potem śledzicie mnie, wypytujecie pracowników, łazicie za mną w czasie pracy, a wreszcie znowu zjawiacie się w moim domu i zadajecie mi te same pytania, na które już udzieliłem najbardziej wyczerpujących odpowiedzi.

- Ale nie powiedziałaś nam o wszystkim, Dan, prawda? Kilka razy pytałem cię, czy byłeś gdzieś z Rachel Beckett, lecz ty nie opowiedziałaś nam o wycieczce jachtem, na którą ją zabrałeś. Tak się składa, że tamtego dnia sporo osób widziało was na nabrzeżu i kiedy wsiadaliście do łódki, ale nie możemy znaleźć żadnych świadków waszego powrotu. Postaraj się być z nami szczerzy i powiedz, co się wtedy zdarzyło.

Daniel rozejrzał się po dusznym pomieszczeniu. Naprzeciwko niego siedzieli Donnelly i Sweeney, a w kącie stał policjant bez munduru i identyfikatora. Co jakiś czas rozlegało się pukanie do drzwi, ktoś wchodził, szeptał coś do ucha Donnelly'emu lub podawał mu kartkę z jakąś wiadomością. Donnelly uśmiechał się albo marszczył brwi, potem zaś porozumiewał się ze Sweeneyem, również szeptem. Daniel zdawał sobie

sprawę, że to wszystko to gra. Pamiętał, jak ojciec opowiadał mu o metodach przesłuchań, ale mimo wszystko postanowił nie ryzykować.

- Mam tego dosyć - oznajmił. - Znam swoje prawa i chcę skontaktować się z moim adwokatem. Mówiłem już, żebyście do niego zadzwonili. Macie go tu sprowadzić. Dopóki nie przyjdzie, nie powiem ani słowa, rozumiano?

- Jasne, nie ma problemu. - Donnelly spojrzał na Sweeney'a i skinął głową. - Idź i dowiedz się, dlaczego jeszcze nie ma tego faceta, Tom. Przy okazji przynieś cały materiał dowodowy, dobrze? Chyba od tego powinniśmy zacząć.

Wcześniej, za każdym razem okazując oficjalny nakaz rewizji, zdążyli już przeszukać jego dom, biuro oraz jacht. Ursula nie odzywała się do niego od paru dni, atmosfera w domu była po prostu trująca. Daniel na próżno usiłował ją przekonać, że policja nic nie znajdzie, nie może nic znaleźć, ponieważ Rachel Beckett żyje. Był o tym głęboko przekonany.

- Nie rozumiem tego wszystkiego - powtarzała Ursula. - Dlaczego się z nią widywałeś? Dlaczego spotkałeś się z nią po tej awanturze na przyjęciu? Zwyczajnie tego nie rozumiem. Nie rozumiem, co między wami było.

Daniel był obecny przy wszystkich rewizjach. Widział przedmioty, które zabrali ze sobą. Kolczyki z drutu i barwnych kamieni wsunięte pod niskie podwójne łóżko, w którym niedawno spał z Rachel i w którym co noc spał z Ursula. Spod poduszek na sofie wygrzebali guzik od kurtki Rachel, w każdym razie tak mu powiedzieli. Zdjęli odciski palców z klamek i blatów stołów. W ogrodzie, obok ścieżki biegnącej wzdłuż urwiska, natknęli się na spalone liście i różne śmieci z ogrodu, a wśród nich na poczerńniętą skórzaną torbę z portfelem i notesem kieszonkowym, w którym znaleźli kilka informacji, zapisanych charakterem pisma Rachel. Z samochodu pobrali włosy i fragmenty nitek oraz odciski palców. W bagażniku, w płóciennym worku, w którym trzymał żeglarski sprzęt, znaleźli jego kurtkę z ciemnobrązowymi plamami na przodzie. Jednak najbardziej niepokoił go rezultat przeszukania jachtu.

- Teraz możesz nam już wszystko wyjaśnić, Dan. Twój adwokat jest obecny i na pewno dopilnuje, żebyś nie powiedział niczego, co mogłoby wpędzić cię w kłopoty. Musisz nam to wyjaśnić.

Donnelly podniósł przezroczystą plastikową torebkę. Wewnątrz znajdował się nóż.

- Opowiedz nam jeszcze raz, co wydarzyło się w tamtą niedzielę, kiedy ty i Rachel Beckett wypłynęliście w morze twoim jachtem.

Pułapka się zatrzasnęła. Daniel pomyślał nagle o szczurach, które jego ludzie szczuli czasami dla rozrywki psami. Widywał, jak gryzonie przeciskały się przez nieprawdopodobnie małe otwory, jak płasko przylegały do ziemi, żeby prześliznąć się pod kamieniami, jak skakały z ogromnej wysokości. Przypominał sobie chwilę triumfu, gdy jeden z psów chwycił wreszcie szarpiącego się szkodnika. Rozpaczliwe piski szczura sprawiały, że Danielowi włosy podnosiły się na karku. Pamiętał przedśmiertne wrzaski, które wydawały się prawie ludzkie w brzmieniu i intensywności. Potem zwykle rozlegało się głucho uderzenie łopaty, którą jeden z jego pracowników zabijał nieszczęsne stworzenie. Pomyślał też o Rachel, jak wyglądała tamtego dnia na jachcie. Włożyła okulary przeciwsłoneczne, które maskowały zmęczony wyraz jej oczu i sprawiały, że wyglądała młodziej. Zauważył, że były to drogie, markowe szkła.

- Skąd je masz? - zapytał.

Uśmiechnęła się, lekko rozchylając wargi.

- Od tajemniczego wielbiciela - odpowiedziała i wygodnie wyciągnęła się na długiej ławce przy ścianie sterówki.

Gdy wychodzili z portu, pogoda była wspaniała. Południowo-wschodni wiatr o sile czterech stopni niósł ich na szerokich skrzydłach przez Zatokę Dublińską, za Howth i jeszcze dalej. Daniel zapomniał, że Rachel świetnie radziła sobie na jachcie, szczerze mówiąc, była prawdziwą mistrzynią. Intuicyjnie wyczuwała wiatr i fale, poruszała się razem z jachtem, miała po prostu idealny zmysł równowagi. Była równie szybka i sprawna

jak przed wielu laty, chociaż chyba słabsza, a może to tylko jej ręce były teraz miękkie i delikatne. Ale przy obsłudze tego jachtu siła była zbędna. Nie był duży, miał nieco ponad dziesięć metrów długości, pod pokładem jedną kabinę z małutką kuchnią i toaletą.

- Jak daleko popłyniemy? - zapytała.

- A jak daleko chciałybyś popłynąć? - odpowiedział pytaniem.

Roześmiała się wtedy i osłoniła oczy daszkiem z dłoni, parodiując gest wytrawnych wilków morskich.

- Dokąd czy poniosą - odparła.

Na morzu czas płynie inaczej i choć Daniel to wiedział, dopiero ostry głód uświadomił mu, jak długo płyną.

- Hej, Rachel, obiecałaś, że przygotujesz jedzenie! - zawołał. - Konam z głodu. Uratujesz mnie?

Słyszał, jak nuci pod pokładem. Lubiła nucić, chociaż nie miała za grosz słuchu. Rozejrzał się dookoła. Były wakacje, pogoda doskonała, a jednak nie widział innych jachtów i łodzi. Było bardzo spokojnie i pięknie. I samotnie. Wsparł rumpel o udo, czując, jak jacht sunie naprzód pod naporem wiatru. Zamknął oczy i na moment zapadł w drzemkę.

Chwilę potem usłyszał jej głos i zobaczył twarz w luku.

- Masz jakiś nóż, Dan? Zapomniałam zabrać...

- W skrzynce na narzędzia - odparł. - Uważaj, jest bardzo ostry.

Wystawił twarz do słońca. Ogarnęło go uczucie wielkiego zadowolenia, prawie szczęścia. Nagle spod pokładu dobiegł go krzyk. W jej głosie dźwięczał strach.

- Co się stało?! Nie

odpowiedziała.

- Rachel, co się stało?! - zawołał znowu.

Krzyk, bez słów, tylko dźwięk.

- Pomóż mi! Pomóż! Skaleczyłam się! Kroiłam pomidory, i nóż wysliznął mi się z ręki. Potwornie krwawię. Wszystko jest we krwi! Strasznie przepraszam, Dan, narobiłam tu okropnego bałaganu...

Po paru sekundach usłyszał ją znowu.

- Mógłbyś mi pomóc, Dan? Słabo mi... Chyba zaraz zemdleję...

Zablokował rumpel i zeskoczył do kabiny. Siedziała na koi, trzymając sztywno wyciągniętą lewą rękę. Krew ściekała po przegubie, kapłała z łokcia na podłogę. Krew była wszędzie - na poszewkach poduszek, na podłodze, na jej ubraniu.

- Jezu Chryste... - jęknął.

Wyciągnęła ramiona i osunęła się na jego pierś. Twarz miała mlecznobiałą, oczy szkliste. Nie minęło parę sekund, a już miał zakrwawioną koszulę, kurtkę, spodnie i chusteczkę, którą usiłował przewiązać ranę między kciukiem i palcem wskazującym.

- Co sobie zrobiłaś?! Jak to się stało?!

- To przez ten nóż. Nie przypuszczałam, że jest taki ostry. Upuściłam go na podłogę...

Chwiejnie dźwignęła się na nogi.

- Jest tam, popatrz...

Nóż leżał na podłodze tuż obok. Daniel schylił się, podniósł go i ostrożnie odłożył na półkę, gdzie zwykle leżały mapy, kompas i sekstant. Ze schowka pod składanym stolikiem wyjął apteczkę, a potem obmył rękę nad umywalką, nie zwracając uwagi na protesty. Widział, jak woda przybiera ciemnoróżową barwę. Starał się zatamować krew tamponem waty, bandażem, nawet kawałkiem plastra. Kiedy nic nie skutkowało, w końcu chwycił jej rękę i ścisnął mocno w przegubie. Dopiero wtedy, po kilkudziesięciu sekundach, krew przestała płynąć. Owinął ranę czystym bandażem i ułożył Rachel na poduszkach, żeby odzyskała siły, natomiast sam zaczął szukać brandy i nastawił wodę na herbacę.

- Rozumiem. - Donnelly spojrzał na plastikową torebkę, podniósł ją i podał Sweeneyowi. - Rozumiem - powtórzył. - Skaleczyła się twoim nożem. Tym samym, na którym są tylko twoje odciski palców. Skaleczyła się tak dotkliwie, że zakrwawiła całąabinę, twoją koszulę i spodnie, kurtkę i

chustkę do nosa. A potem, kiedy przestała krwawić, wsunęła nóż za małą kuchenkę, ukryła go tak starannie, że nigdy byśmy go nie znaleźli, gdybyśmy nie rozłożyli kuchenki na części...

- Podnieś ten nóż, Dan - powiedziała Rachel. - Podnieś go, bo jeszcze na nim staniesz i zrobisz sobie krzywdę.

W jej głosie brzmiała troska i niepokój.

- Nic mi nie jest. Naprawdę, wszystko w porządku. Muszę tylko trochę odpocząć. Ale ty lepiej wracaj na pokład, bo wydaje mi się, że wiatr bardzo się wzmógł...

- Sytuacja przedstawia się następująco: kilka osób widziało, jak opuszczałeś port z kobietą, ale nikt nie widział waszego powrotu. - Donnelly odłożył torebkę z nożem do pudła. - Ciekawe, dlaczego...

Rachel miała rację. Wiatr się wzmógł do piątki, może szóstki. Nagle zrobiło się zimno i ciemno, a z nisko wiszących chmur lunął deszcz. Horyzont wydawał się zasnuty szarą pajęczyną. Mocno kołysało. Daniel zawrócił jacht i starał się odzyskać nad nim kontrolę. Fale zaczęły zalewać dziób i przedni pokład, potoki wody spływały wprost do sterówki. Czy w prognozie była jakaś wzmianka o sztormie? Chyba nie. Poprzedniego dnia prosił Rachel, żeby zadzwoniła na automatyczną informację o warunkach pogodowych na morzu. Co mu powiedziała? Że siła wiatru nie przekroczy czwórki, widoczność będzie dobra, z możliwością wystąpienia niewielkich opadów. Nie mówiła nic o sztormie, który właśnie rozszalał się wokół nich.

- Dasz sobie radę? - W luku dojrzał jej bladą twarz. Sięgnęła w głąb kabiny i podała mu kapok. - Włóż to, bo zupełnie przemokniesz!

Walczył z głównym żaglem, starał się refować i jednocześnie utrzymać równowagę na śliskim pokładzie. Czuł, że prąd znosi ich ku brzegowi. Chyba wtedy powiedziała, żeby zwinął żagle i włączył silnik, ale zaraz się okazało, że bak jest pusty, podobnie jak zapasowy pojemnik na paliwo.

Zmierchało. Światła domów na wybrzeżu lśniły w mroku. Zastanawiał się, czy wzywać pomocy, kiedy nagle Ra-

chel stanęła na pokładzie u jego boku, z ręką owiniętą foliową torebką, w jego starych żółtych spodniach. Wyglądała jak klaun.

- Nie martw się, poradzimy sobie - powiedziała z uśmiechem.

Wyjęła rumpel z jego rąk i jakimś cudem ustaliła kurs. Chwilami dziób jachtu podnosił się tak wysoko, że Daniel był pewny, iż wylecą za burtę, ale nic takiego się nie stało. Rachel zeszła pod pokład i przyniosła mu trochę czekolady i kawałek ciasta z owocami. Śpiewała szanty i przeboje z lat ich wspólnej młodości, rozśmieszała go i odganiała strach. I przez cały czas utrzymywała jacht na kursie. Wreszcie zobaczyli przed sobą światła Dun Laoghaire i mury portu. Daniel poczuł, jak ogarnia go wielki spokój. Zakotwiczyli jacht, wsiedli do łodzi i dopłynęli do brzegu.

- Wróciliśmy późno, bo złapał nas sztorm - powiedział teraz Donnelly'emu. - Dlatego nikt nas nie widział.

- Zabiłeś ją na morzu, prawda? Gdzie wrzuciłeś do wody jej ciało, Dan? Jak daleko wypłynąłeś? Byłeś ostrożny, prawda? Zdjąłeś z niej ubranie, wszystko, dzięki czemu można by ją zidentyfikować i jej rzeczy także wrzuciłeś do wody. Ale wiesz co, Dan? Trzeba było trochę się zastanowić. Nie wiedziałeś, że fala szaleje tylko blisko brzegu, a dalej Morze Irlandzkie jest spokojne jak staw? Woda prawie się nie rusza i właśnie dlatego udało nam się to znaleźć.

„To” okazało się kolejną foliową torbą, tym razem z resztkami czarnego worka i ubrań.

- Zaplątał się w sieci, wiesz? Sieci zarzucone przez trawler z Howth, jego szyper powiedział mi, że Morze Irlandzkie przypomina wielką wannę. Za latarnią Kish wszystko, co opada na dno, kręci się w koło. Poznajesz te rzeczy, prawda? Rachel miała je wtedy na sobie, tak? Spodnie i bluzka koszulowa, zupełnie nowe, prezent od jej miłej przyjaciółki, pani Lynch, która od razu je zidentyfikowała. Bluzka jest pocięta czymś bardzo ostrym, prawdopodobnie nożem, który znaleźliśmy na jachcie. Odkryliśmy też na niej plamy krwi. Ciekawe,

nie sądzisz? Trudno w to uwierzyć, ale ślady krwi nie znikają pod wpływem morskiej wody. Powiedz, dlaczego zdjąłeś z niej ubranie. Żeby utrudnić identyfikację zwłok? A może najpierw ją rozebrałeś, a potem zabiłeś? Dlaczego nie wrzuciłeś do morza także jej torby? Czy zostawiła ją w samochodzie? Tak? Czy w domu, a ty znalazłeś ją dopiero po powrocie?

To była pułapka, teraz widział to bardzo wyraźnie. Myślał, że wróci z nim do domu na tę ostatnią noc. Spojrzał na jej zakrwawione, pogniecione ubranie.

- Wstąpimy do ciebie - zaproponował. - Przebierzesz się i pojedziemy do Killiney. Weźmiemy gorącą kąpiel, napijemy się dobrego wina. W zamrażarce mam steki, przygotuję kolację. Nie wiem jak ty, ale ja mógłbym zjeść konia z kopytami. Może chciałabyś, żebym zawiózł cię do szpitala na porządny opatrunek?

Rachel potrząsnęła głową i powiedziała, że jest zbyt zmęczona. Po tej szarpaninie na jachcie bolały ją wszystkie mięśnie, więc chciała się przejść. Rozprostować nogi.

- Nie przejmuj się mną, nic mi nie jest. Jeżeli rano ręka będzie mi dokuczać, sama pójde do lekarza.

Potem delikatnie pocałowała go w policzek i lekko pchnęła w pierś.

- Jedź już - rzekła. - Dziękuję za wszystko, co dzisiaj dla mnie zrobiłeś. Nawet nie wiesz, jaki byłeś wspaniały.

- Więc gdzie ona teraz jest, Dan? - zapytał Donnelly, krzyżując ramiona na piersi i zakładając nogę na nogę. - Skoro jej nie zabiłeś, to co się z nią stało?

Daniel myślał, że już tamtego wieczoru przedstawią akt oskarżenia, ale nie zrobili tego. Puścili go. Przekazali dokumentację sprawy do biura prokuratora generalnego i powiedzieli, że będą z nim w kontakcie.

- Co o tym wszystkim myślisz? - zapytał swojego adwokata, kiedy szli do samochodu.

Wysoki, bardzo szczupły, przygarbiony mężczyzna nie odpowiedział od razu. Wreszcie westchnął.

- Mam wrażenie, że przyda nam się opinia ekspertów.

Policja nie znalazła ciała, ale to nie znaczy, że nie mogą cię oskarżyć, Dan. Nie byłby to precedens. Pamiętam podobną sprawę... W Liverpoolu zaginęła dziewczyna. Przesłuchano barmana z lokalnego pubu i oskarżono go o morderstwo na podstawie dowodu, jakim miał być kawałek sznura, znaleziony w bagażniku jego samochodu. Na sznurze była krew dziewczyny. Facet dostał dożywocie, chociaż zwłok nie było...

Daniel dojechał taksówką na szczyt wzgórza i wysiadł. Miał ochotę się przejść. Mięśnie ud bolały go po całonocnym napięciu. Czuł się brudny, sponiewierany i skażony. Powietrze cuchnęło jego potem. Zszedł ze wzgórza w kierunku domu. Czarna noc otaczała go ze wszystkich stron. Rachel opowiadała mu, jak jest w więzieniu. Nigdy nie zapada tam prawdziwa ciemność i nigdy nie robi się zupełnie jasno. W więzieniu zawsze panuje półmrok.

Pieprzyć tę sukę, pomyślał, pozwalając, aby gniew pokonał w nim rozpacz. Kiedyś zapędziłem ją w kozi róg i tym razem też mi się uda. Nie ujdzie jej to płazem, nie ma mowy.

Przed nim znajdował się spowity ciemnością dom. Włożył klucz do zamka i otworzył drzwi. Zapomniał, że jest sam. Zawołał Ursulę i dzieci, ale odpowiedziała mu tylko cisza. Dom był pusty. Usiadł na schodach i ukrył twarz w dłoniach. Co za pułapka... Co za plan... Co za koszmar...

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Teraz, po wyjeździe Ursuli i dzieci, dom był bardzo cichy. Daniel zapłacił sprzątacze za miesiąc z góry i kazał jej na razie nie przychodzić. Ogrodnik nadal jeździł kosiarką po trawniku i zginał się nad rzędami warzyw w ogrodzonym niskim murem ogrodzie. Daniel doszedł do wniosku, że musi go zatrzymać. Ursula by mu nie podziękowała, gdyby chwasty pochłonęły całą jej ciężką pracę.

Nie wiedział, kiedy wróci. Zabrała dzieci i znowu poleciała do Bostonu. Uparła się. Powiedziała, że zostaną tam, dopóki „cała ta brudna sprawa”, jak się wyraziła, nie doczeka się wyjaśnienia.

- Nie zamierzam tego znosić! - wrzasnęła na niego. - Nie będę babrać się w tym gównie! Dziennikarze z prasy i telewizji nie spuszczają nas z oka, wszyscy się na nas gapią, śledzą i osądzają. Nie wytrzymam tego!

Patrzył, jak się pakuje, jak metodycznie i dokładnie odhacza kolejne punkty na długiej liście. Posłała dzieci do ich pokojów, żeby wybrały najulubieńsze zabawki. Laura przywarła do jego uda, wpatrując się w niego okrągłymi szarymi oczami. Jej lśniące ciemne włosy wydały mu się miękkie jak jedwab, kiedy pochylił się, żeby odepchnąć ją od siebie. Zastanawiał się, ile lat ma teraz ta pierwsza ciemnowłosa dziewczynka, ta, którą trzymał w ramionach niedługo po urodzeniu, która przez

krótki czas rosła na jego oczach, coraz bardziej podobna do niego. Czy dostrzegł to? Nie, nie wtedy. Myślał, że jest bardziej podobna do matki niż do ojca, nic więcej. Dopiero tamtej nocy, kiedy Rachel zadzwoniła i powiedziała mu, co się stało, zobaczył w niej samego siebie. Dostrzegł, że jest jego córką, krwią z jego krwi, kością z jego kości. Po raz pierwszy miał kogoś, kogo łączyły z nim więzy prawdziwego pokrewieństwa.

- Jest moja? - zapytał Rachel. - Chcesz powiedzieć, że ona jest moim dzieckiem? Naprawdę?

Radość ogarnęła go wtedy wielką falą, ciepła i pogodna jak uśmiech, który teraz widział na swojej twarzy, odbijającej się w lustrze na ścianie obok telefonu. Moja córka, moje dziecko, moje własne. Słuchał szlochów Rachel, usłyszał jej strach i próbował ją uspokoić.

- Nie martw się - powiedział. - Już jadę. Wszystko załatwię. Nic się nie martw.

Parkując samochód w zaułku, gdzie Rachel mieszkała z dzieckiem i jego bratem, myślał, że teraz wreszcie zostawi tamtego, odejdzie od niego. Teraz, kiedy wyznała, że dziecko jest jego, kiedy nawet ta więź między nią i Martinem pękła, na pewno zrozumie, że to nie Martin jest mężczyzną, którego pragnie. Był przekonany, że teraz zostanie z nim, a on wybuduje dla niej dom, nie tylko cieplarnię. Może nawet jacht... Może odpłyną razem w dal, prosto w słońce, i rozpoczną nowe życie... Może będą mieli więcej dzieci... Chłopca, który będzie do niego podobniejszy niż ta mała dziewczynka...

- Tatusiu! - Laura pociągnęła go za palec. - Tato, dlaczego nie jedziesz z nami do Ameryki? Chcę, żebyś z nami pojechał! Proszę! Mamusiu, powiedz tacie, że ma z nami jechać!

Ale twarz Ursuli była zacięta i twarda. Nie odpowiedziała, przegoniła Laurę, wydała jej kilka poleceń, a kiedy Daniel podszedł do niej z tyłu i objął ją, ujmując piersi w dłonie, tak jak lubiła, wyrwała się z jego ramion.

- Trzeba było pomyśleć o tym, co możesz stracić, zanim zacząłeś uganiać się za tą suką! - warknęła ostro. - Jak mogłeś

mi to zrobić?! - krzyknęła. - Przecież wiedziałeś, jak mnie oszukała! Jak mogłeś?!

Gdy nie odpowiedział od razu, wypchnęła go z pokoju i zatrzaskała drzwi z taką siłą, że zasłonił sobie uszy.

Teraz w domu panowała cisza. Przechodził z pokoju do pokoju, rozglądając się dookoła, zupełnie jakby znalazł się w obcym miejscu. Skąd wzięły się te meble? Kto wybierał obrazy? Kto kupił dywany, które tworzyły piękne barwne plamy na ciemnych drewnianych podłogach? Kto zdecydował, żeby łazienki wyłożyć kwiecistymi płytkami w wiktoriańskim stylu? Przypomniawszy sobie, jak Rachel się cieszyła, kiedy tamtego lata położył w ciepłarni podłogę ze zwykłej terakoty. Potem siedzieli i razem świętowali tę okazję, obserwując wschodzący nad ogrodem księżyc. Pokazywała mu konstelacje gwiazd, które pod jej kierunkiem układały się w łatwe do rozpoznania kształty. Byk, Łucznik, Wodnik, Wielki Wóz i Mały Wóz. Te same kształty oglądali tutaj, siedząc razem na tarasie, gdy blask księżyca w pełni padał na morze, a wiatr w gałęziach sosen wzdychał jak duże, pogrążone we śnie zwierzę.

Teraz ten sam widok nie sprawiał mu najmniejszej przyjemności. Czuł się tak, jakby ktoś założył mu na oczy opaskę z gęstego, półprzezroczystego materiału - widział, ale niewyraźnie, nieostro. I kiedy wyszedł przez francuskie okno na taras, gdzie zaledwie parę tygodni temu po raz pierwszy od wielu lat zobaczył Rachel, i kiedy ruszył po chłodnej trawie w kierunku urwiska, potrafił myśleć tylko o resztkach ogniska, starannie zbadanych przez policyjnych specjalistów w białych fartuchach. Zgarnęli wszystkie popioły do plastikowych torebek, żeby sprawdzić, czy nie znajdą czegoś więcej niż szczątki jej torby, notatnika, kosmetyków do makijażu i pieniędzy.

- Przecież gdybym rzeczywiście zamierzał spalić te rzeczy, dopilnowałbym, żeby spłonęły do końca, na miłość boską! - denerwował się. - Po co miałbym zostawiać je nadpalone? Czy pozostawiłbym dowody, gdybym naprawdę chciał coś ukryć?

Donnelly wzruszył ramionami.

- Chętnie posłucham twoich odpowiedzi na te pytania.
Dan. Powiedz nam, co się właściwie stało.

Daniel wrócił myślami do dwóch dni i nocy, które Rachel spędziła z nim w tym domu. Pierwszego dnia musiał na krótko pojechać do miasta, załatwić jakąś ważną sprawę. Zapytał, czy chce mu towarzyszyć, ale odmówiła. Powiedziała, że ogród nad urwiskiem jest tak piękny, że wołałaby zostać, oczywiście, jeśli on nie ma nic przeciwko temu. Może ugotuje dla niego obiad? Sprawdzi, czy nie zapomniała, jak to się robi. Kiedy wrócił, kuchnia pachniała oliwą i bazylią. Rachel przyrządziła pesto. Narwała świeżych ziół w ogrodzie, ugniotła je w moździerzu. Czuł wspaniały zapach sosu, nawet kiedy po obiedzie usadowił się na tarasie. Co prawda w pewnej chwili przyszło mu do głowy, że między krzakami nad samym brzegiem urwiska wisi chyba dym, ale właśnie wtedy Rachel wyszła z domu, niosąc na tacy dzbanek kawy, butelkę calvadosu oraz cygaro w metalowej tubie.

- Przypomniałam sobie, że bardzo lubiłeś cygara, więc kupiłam je specjalnie dla ciebie - rzekła. - Hawańskie.

Poczuł się jak zdrajca, bo Ursula nienawidziła zapachu cygar i nie pozwalała mu ich palić w domu, zaraz jednak zrozumiał, że to zwyczajnie śmieszne, skoro nic innego nie przyprawia go o wyrzuty sumienia. Pomyślał też, że gdyby tamtej nocy Rachel postąpiła tak, jak pragnął, mogliby codziennie wpatrywać się razem w niebo i rozmawiać o swojej córce. Mogliby planować jej przyszłość. Widzieliby także własną przyszłość, bezpieczną i wygodną, pełną miłości, przywiązania i drobnych zwyczajów. W tej samej chwili, kiedy nalewał calvados do dwóch małych kryształowych kieliszków, uświadomił sobie, że gdyby Martin żył, to wszystko należałoby właśnie do niego. A on, Dan? Co by się z nim stało? Zapalił cygaro i głęboko zaciągnął się dymem. Przez chwilę miał wrażenie, że klatka piersiowa wybuchnie mu od środka, krew zahuczała w uszach, tłumiąc wszelkie zewnętrzne odgłosy. Wykonywałby jakąś marną pracę, byłby nikim. Niewolnikiem

i lokajem swojego mądrego brata. Nigdy nie zdobyłby się na to, żeby odejść, ze strachu, że straci jakiś tłusty kasek. Może zresztą zdecydowałby się odejść i zacząć wszystko od nowa, na własny rachunek, gdyby tylko ona poszła razem z nim. Kiedy stał pod drzwiami i przez szybę z mlecznego szkła obserwował cienie Martina i Rachel, miał jeszcze nadzieję.

- Chodź ze mną - powiedział do niej, patrząc, jak Martin idzie w kierunku kuchni. - Ja cię potrzebuję. On nie.

- Oszalałeś?! - wybuchnęła. - Nie chcę cię! Nie kocham cię! W każdym razie nie tak, jak jego...

- Więc dlaczego chciałaś, żebym przyjechał?

- Bo się boję, a ty jesteś jedyną osobą, której mogę o tym powiedzieć. Nikomu więcej, ponieważ strasznie się wstydzę tego, co zrobiłam. Wstydzę się, że go zdradziłam, że złamałam przysięgę ślubną.

Wstydzi się, to wszystko, pomyślał. Ale nie wstydzi się, że chce pozbawić go dziecka, to ją nie obchodzi. Przez cały czas, gdy spierali się o to w holu, trzymała pistolet. Daniel obserwował, jak kolba porusza się przy każdym jej kroku. I zastanawiał się: które z nich powinienem zastrzelić? Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Obelgi Martina poraziły go zjadliwością, jego wściekłość go przeraziła. A ona? Ona zwróciła lufę pistoletu przeciwko nim obu i błyskawicznie skierowała ją w dół. Rozległ się ogłuszający huk, w powietrzu zapachniało prochem, z nogi Martina lała się krew. Rachel odwróciła się do Daniela.

- Co ja zrobiłam? - jęknęła z przerażeniem.

Martin krzyczał z bólu, ściskając zranione udo, Daniel zaś poczuł, jak w jego głowie wszystko układa się w logiczną całość. Lata pełne obelg, bólu, odrzucenia. Rachel wyciągnęła ku niemu broń, a on ujął ją w osłonięte rękawiczkami dłonie (włożył rękawiczki, ponieważ na dworze było bardzo zimno), wycelował i strzelił.

- Teraz nie musisz się już wstydzić - powiedział, kiedy huk wystrzału umilkł.

Robiło się chłodno. Od morza wiał zimny wiatr. Szarpnął

oknami, poruszył zasłony. Daniel przechodził z pokoju do pokoju i zapalał wszystkie lampy. Usiadł przy biurku w swoim gabinecie i przyglądał się zdjęciom, biorąc każde do ręki. Fotografia Martina zniknęła. Ursula wydarła ją z ramki i poszarpała na drobne kawałki, przerywając tę czynność tylko na parę sekund, żeby skomentować ówczesny wygląd Rachel.

Wstał i ruszył do drzwi. Zamknął je za sobą, wsiadł do samochodu i wyjechał na drogę. Zerknął w lusterko i jak zwykle zobaczył z tyłu światła tamtego wozu. Trzymali się w takiej samej odległości co zawsze. Minał miasteczko i pojechał dalej, w kierunku Dun Laoghaire. Był sobotni wieczór i na głównej ulicy panował spory ruch. Zatrzymał się przy kiosku i zgarnął całe naręczce niedzielnych gazet. Przebiegł wzrokiem nagłówek.

ZNIKNIĘCIE CÓRKI ZAGINIONEJ KOBIETY.

NAJPIERW MATKA, TERAZ CÓRKA.

KIM JEST TEN MEŻCZYŻNA?

- dużymi, tłustymi literami. Obok jego zdjęcie i cała kolumna poświęcona jego żonie i dzieciom oraz romansowi z Rachel.

Zapłacił za gazety i rozejrzał się dookoła. Tuż za jego samochodem stał tamten. Daniel podszedł, pochylił się i zapukał w szybę.

- Słuchajcie, chłopcy, idę na piwo - powiedział. - W porządku? Do pubu U Waltera. Zajmie mi to jakąś godzinę, no, może dłużej. - Przerwał na chwilę. - Mam dzisiaj ochotę na parę piw, ale nie przejmujcie się, nie będę prowadził po pijanemu. Jeżeli się wstawię, na pewno poproszę, żebyście podwieźli mnie do domu. - Parsknął śmiechem i odszedł.

Po drugiej stronie ulicy przystanął i pomachał policjantom. Pchnął drzwi, znalazł sobie stolik i zamówił drinka. Przeczytał parę artykułów i zamówił jeszcze jednego. Wrócił do lektury. Dziennikarze naprawdę się postarali. Odgrzali wszystkie szczegóły morderstwa, wyciągnęli z archiwów stare zdjęcia Rachel i Amy. Zamieścili nawet zdjęcie przedstawiające dom, w którym Amy mieszkała z przybraną rodziną. Daniel szukał w gazetach swojego nazwiska, ale nie znalazł. Natknął się na

wzmiankę o mężczyźnie zatrzymanym i przesłuchanym w związku ze zniknięciem Rachel Beckett, lecz to było wszystko. Odłożył gazety, skończył drinka, a potem przepchnął się do baru i powtórzył zamówienie. Straszny hałas, pomyślał. Głośna muzyka grzmiała z głośników, butelki i szklanki brzęczały, stopy waliły w drewnianą podłogę. Cały lokal był błyszczący i nowy, wszyscy goście młodzi.

Zapłacił i wrócił do swojego stolika. Spojrzał na kręcące się na parkiecie dziewczyny. Amy wyglądała jak jedna z nich. Śmiała, pewna siebie, z przekutymi uszami i obnażonym brzuchem. Wcześniej niż zwykle poszedł do kawiarni, zamówił kawę i ciastko, żartował i śmiał się razem z nią. Przed wyjściem zaprosił ją na drinka, a ona zgodziła się bez śladu wahania, wypychając do przodu drobne piersi i opierając dłonie na biodrach. Kiedy skończyła pracę, był wczesny wieczór. Daniel wysiadł z półciężarówki i ruszył w stronę dziewczyny. Zauważył, że umalowała się mocniej niż zwykle i użyła nowych perfum. Pomógł jej wsiąść i pojechali do miasta. Była zdenerwowana, podekscytowana. Zapaliła papierosa. W pubie zamówiła wódkę z colą. Siedziała, bawiąc się kolczykami i czekając, aż on zrobi pierwszy krok. Wtedy powiedział, kim naprawdę jest. Jej ojcem. Wpatrywał się w jej twarz, czekając, aż pierwszy szok minie. Czekał na pytania.

Jak to możliwe? Dlaczego? Jak to się stało?

- Kochałem mojego brata - powiedział. - Bardzo go kochałem.

- Ją też kochałeś? - zapytała ze złością.

Co miał jej powiedzieć? Co chciała usłyszeć?

- Wtedy tak - odparł. - Ale ona chciała zostać z Martinem. Gdybym wiedział, że jesteś moją córką, zmusiłbym ją, żeby mu wszystko wyznała. Dowiedziałem się o tym jednak dopiero później.

- Twierdziła, że to ty go zabiłeś. Zrobiłeś to? - Dziewczyna rzuciła twarde spojrzenie, przed którym trudno było mu uciec.

Odpowiedział, patrząc jej w oczy równie wyzywająco.

- Nie, nie zabiłem go. Ona go zastrzeliła. Była przerażona i bardzo się wstydyła.

- I próbowała zrzucić winę na ciebie? Tak było?

- Tak. A teraz próbuje mnie ukarać. Zaaranżowała swoje zniknięcie, wyreżyserowała je. To gra. Policja uważa, że ja zabiłem. Znaleźli wszystkie podłożone przez nią dowody. Zastawiła na mnie pułapkę, przysięgam, że mówię prawdę, Amy. Nie zrobiłem jej żadnej krzywdy, nie potrafiłbym... Nie jestem taki...

- Dlaczego mówisz mi o tym dopiero teraz? Dlaczego przez cały ten czas przychodziłeś do kawiarni? O co tu chodzi?

Ujął jej dłoń, odwrócił wierzchem do dołu i pogładził przecinające ją linie.

- Mam wrażenie, że starałem się o tobie zapomnieć - powiedział. - Odłożyłem wszystkie wspomnienia do szuflady i zamknąłem na klucz. Przychodziłem cię zobaczyć, kiedy jeszcze mieszkałaś z dziadkami, ale oni nie chcieli, żebym cię odwiedzał. Nie wiedzieli, co o mnie myśleć, nie mogli się zdecydować, czy mają wierzyć swojej córce, czy mnie. Później, gdy nie mogli się już tobą zajmować i przeprowadziłaś się do przybranych rodziców, doszedłem do wniosku, że najlepiej zrobię, trzymając się od ciebie z daleka. Wolałem, żebyś dorastała bez tych paskudnych historii z przeszłości, bo one mogłyby tylko skomplikować ci życie. Gdy dowiedziałem się, że Rachel wychodzi na wolność, znowu zacząłem o tobie myśleć. Zrozumiałem, że muszę nawiązać z tobą kontakt, i udało się. Nie chciałem mówić ci o tym wszystkim ani na siłę wciągać w tak przykrą sytuację. Ale naprawdę bardzo pragnąłem cię zobaczyć.

Rozejrzała się i zatrzymała wzrok na lustrze nad barem. Podążył za jej spojrzeniem.

- Jesteśmy do siebie bardzo podobni, prawda? - odezwała się. - Widzę to. Znacznie bardziej niż ona i ja...

- Tak - powiedział. - Bardzo. Jesteś moją córką, nie

mógłbym się ciebie wyprzeć. Moim pierworodnym dzieckiem. Muszę cię teraz o coś poprosić, Amy. Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobiła.

Pił za dużo i za szybko, ale nie przejmował się tym. Zamówił następne piwo, zapłacił i poszedł do toalety. Była pusta. Stał przed urynałem, rozpiął rozporek i przyglądał się, jak strumień moczu tworzy złocisty łuk. Umył ręce i wyszedł na korytarz. Nie było tu nikogo. Zawrócił w kierunku tylnej części budynku i znalazł wyjście. Obok drzwi wisiał automat telefoniczny. Rozejrzył się jeszcze raz, potem podniósł słuchawkę, poszukał w kieszeni monet, po czym wybrał numer.

- Tak, to ja - odezwał się. - Wszystko w porządku? Zjadłaś coś? Telewizor działa? Łapiesz wszystkie programy? Świetnie. Nie martw się, to nie potrwa długo. Piszą o tobie we wszystkich niedzielnych wydaniach. Ona zjawi się jak na gwizdek, zobaczysz, i zanim się obejrzyysz, już będziesz z powrotem w domu. Mam nadzieję, że wiesz, jak bardzo cenię sobie twoją pomoc, Amy. Jestem ci za nią bardzo, bardzo wdzięczny. A kiedy minie ten cały koszmar i policja wreszcie da mi spokój, spróbujemy lepiej się poznać. Teraz już nigdy się ciebie nie wyrzeknę. Jesteś moją córką. Kocham cię. - Przerwał i chwilę słuchał, co mówi. Potem się obejrzał. - Śpij dobrze, kochanie. Jutro porozmawiamy. Nie, nie wiem, o której, muszę być ostrożny. Nie mogę dzwonić z domu ani z komórki, przecież wiesz. Dobrze, mała, idź teraz spać. Dobranoc.

Wyszedł z baru bardzo późno, tuż przed drugą. Gliniarze nadal siedzieli w wozie zaparkowanym za jego samochodem. Ruszył w kierunku Glasthule, prawie nie zwracając na nich uwagi. Szedł niepewnym krokiem, zataczał się. Tuż za Sandycove złapał taksówkę. Kierowca wysadził go przy samej bramie, za co Daniel nagroził go sporym napiwkiem.

- Dobranoc, kolego - powiedział głośno.

Zanim wszedł do domu, sprawdził, czy gliniarze już przyjechali. Byli na miejscu. Rzucił gazety na podłogę koło łóżka. Postanowił, że z samego rana przeczyta wszystkie i obejrzy najświeższe wiadomości. Potem będzie czekał. Na pewno niezbyt długo. Rachel wyjdzie z ukrycia, kiedy się dowie, że Amy ma kłopoty. Amy także o tym wiedziała. Dlatego zgodziła się mu pomóc. Wytłumaczył jej, co chce zrobić. Wpadł na pomysł, żeby ukryć ją w mieszkaniu w mieście. Będzie tam miała wszystko, czego mogłaby potrzebować, zresztą cała ta zabawa potrwa najwyżej parę dni, dopóki Rachel się nie pokaże. Potem Amy będzie wolna i on także. Natomiast Rachel wróci tam, gdzie jej miejsce, czyli za kratki.

- Pomożesz mi, Amy, prawda? Postaram się wynagrodzić ci wszystkie stracone lata. Wiesz, że chciałem być przy tobie, chciałem, żebyśmy byli rodziną, ale ona mnie wyśmiała. Nie zawahała się pozbawić nas siebie, lecz kiedy to się skończy, już nigdy się nie rozstaniemy. Zgodzisz się?

Wcześniej dokładnie wszystko przemyślał, zastanowił się, co robi, jeżeli Amy odmówi. Znajdował się w rozpaczliwej sytuacji i po prostu nie miał wyjścia. Jeżeli się zgodzi, będzie łatwiej, myślał, ale był przygotowany także i na inne rozwiązanie. Miał butelkę chloroformu, tampon waty, kajdanki i knebel. Kiedy zapytał, czy się zgodzi, nie był do końca pewny, czy nie będzie musiał zrealizować tej drugiej wersji, lecz Amy popatrzyła na niego szarymi oczami, ściągnęła czarne brwi w jedną linię nad nosem, dokładnie tak jak on, i lekko wyduła wargi.

- Zgadzam się, oczywiście - powiedziała. - Nie można pozwolić, żeby uszło jej to płazem.

Zdecydowali, że Amy najpierw spędzi trochę czasu w towarzystwie przyjaciół, a potem nie wróci do domu, tylko spotka się z Danielem w mieście.

- Pamiętaj, że nikomu nie możesz o tym mówić, Amy. Twoi przybrani rodzice na pewno bardzo by się zaniepokoiли, więc lepiej, żeby nic nie wiedzieli.

Skinęła głową.

- W porządku. Kiedy później im to wyjaśnię, zrozumieją, że musiałam tak postąpić. Nie będą mieli mi tego za złe.

- Nie wiem, jak ci dziękować, naprawdę - powiedział i delikatnie pocałował ją w policzek.

Teraz czekał. Gdziekolwiek przebywa Rachel, na pewno wcześniej czy później zechce przejrzeć gazety. Sprawdzić, czy został już oskarżony o morderstwo. Ale kiedy dowie się o Amy, zrozumie, kto stoi za jej zniknięciem i zjawi się, aby ratować swoje dziecko. On będzie na nią czekał.

Rozdział trzydziesty

Andrew przestał przychodzić do pracy. Poszedł do lekarza, lekarza Clare, i powiedział mu, że nie może sobie z niczym poradzić. Poprosił o lekarstwa, środki antydepresyjne, uspokajające, czy jak one się tam nazywają. Lekarz zbadał go, zmierzył ciśnienie, zwrócił uwagę na chorobliwie bladą cerę i wychudzenie. Powiedział, że Andrew nie odżywia się prawidłowo, za dużo pije i powinien bardziej o siebie dbać, bo w takim stanie na pewno nie przyda się żonie.

- Może przyszedł czas, żeby załatwić dla Clare pobyt w domu opieki. Wtedy byś trochę odpoczął, Andy.

Ale Andrew nie chciał o tym słyszeć. Co by mu zostało, gdyby Clare odeszła? Jego życie było tak całkowicie nastawione na jej potrzeby... Nie wyobrażał sobie, czym wypełniłby czas, gdyby nie musiał opiekować się Clare.

Wykupił leki, wetknął je do kieszeni, wrócił do domu i nalał sobie dużą porcję wódki. Tego wieczoru siedzieli razem w jej pokoju. Drzwi do ogrodu były otwarte, w powietrzu czuło się zapach świeżej, wilgotnej trawy, którą chłopiec z sąsiedniego domu skosił i poukładał w małe okrągłe wżgórki.

Clare poprosiła, żeby włączył jakąś muzykę.

- Wybierz coś przyjemnego - powiedziała.

Wybrał Elgara, pieśń Tam gdzie leżą korale w wykonaniu Janet Baker. Nastawił odtwarzacz CD na funkcję powtarzania.

Słuchali Janet Baker i odpoczywali w ciemności. Clare chciała wiedzieć, czy są jakieś nowiny o Rachel Beckett.

- Tęsknię za nią - powiedziała. - Lubiłam ją. Myślisz, że nie żyje?

Zaniósła się ciężkim kaszlem. Znowu miała zajęte, mocno zaflegmione oskrzela. Andrew był pewny, że czeka ją kolejne zapalenie płuc. Postanowił nie myśleć o tym, przynajmniej na razie, i wsłuchał się w słowa pieśni.

W głębinie muzyka brzmi cicho i słodko,
Gdy wichry budzą morską pianą.
Ten dźwięk wciąż kusi, kusi mnie,
Aby zobaczyć krainą, gdzie spoczywają korale.

- Czy miała po co żyć? - zapytał.

- Tak. Swoją córkę i przyszłość. Chciała odzyskać jej miłość. Wiem, że bardzo tego pragnęła.

Andrew milczał.

- Rozmawialiśmy o tym, jak... No, wiesz... O tym, jak przeżyjesz moje odejście. Mówiłam jej, co chcemy zrobić. Zapytałam, jak to jest, jak będziesz się czuł. Jak ona to odczuła.

- I?

Clare nie odpowiedziała. Spojrzał na nią. Leżała bez ruchu, zwinięta na boku, z zamkniętymi oczami. Przestała przyjmować antybiotyki. Stwierdziła, że ma już dosyć.

- Przyszedeł czas, Andy. Już czas.

Skoncentrował się na muzyce.

- Strasznie mi zimno. Proszę cię...

Wstał i podszedł do łóżka. Położył się koło Clare i oparł jej głowę na swojej piersi. Znowu zaczęła kasłać i krztusiła się bez końca. Usiadł i podciągnął ją wyżej.

- Ciii... - powiedział. - Spokojnie. Spróbuj zasnąć. Rano będzie lepiej, zobaczysz.

Włożył jej tabletki do ust i delikatnie wlał odrobinę soku między wargi. Przełknęła, zakasłała, znowu przełknęła, po

czym zamknęła oczy. Andrew ze wszystkich sił starał się słuchać słów pieśni.

Twoje wargi są jak poblask zachodu,
Twój uśmiech jak niebo o poranku,
Ale zostaw mnie, zostaw i pozwól pójść
Do krainy, gdzie spoczywają korale.

Przypomniawszy sobie, jak pewnego wieczoru wrócił do domu i zobaczył Rachel z Clare. Przeszedł przez ogród, przystanął przed oknem i obserwował je chwilę. Widział Rachel podtrzymującą Clare, widział, jak otulała ją kocem, jak nie bała się być blisko chorej. Nie obawiała się jej zależności, słabości i bólu. Wsłuchał się w ciche, powolne oddechy Clare. Ułożył ją na wznak i sięgnął po poduszkę. Mocno przycisnął ją do twarzy żony i czekał. Nagle jedna z jej rąk poruszyła się, drgnęła, podniosła i opadła z powrotem na łóżko.

- Nie! - wybuchnął.

Rzucił poduszkę na ziemię i przyłożył głowę do piersi Clare. Usłyszał słaby, cichutki rytm oddechu. Ujął jej twarz w dłoń i delikatnie pocałował w oba policzki, a potem w usta. Poruszyła się. Położył się i przytulił ją do siebie. Zamknął oczy i zapadł w sen.

Rozdział trzydziesty pierwszy

To był głos dziewczyny, jeszcze niezupełnie dorosłej, lecz głębszy, mocniej brzmiący niż głos dziecka. Jack nigdy wcześniej go nie słyszał, lecz natychmiast się zorientował, kim jest to rozszlochane, błagające o pomoc stworzenie.

- Mamo, mamusiu, proszę cię... Mamo, pomóż mi! Słyszysz mnie, mamo? Słuchasz mnie? Proszę, przyjeźdź tu i odszukaj mnie. Wiem, że gdzieś tam jesteś i że chcesz mi pomóc. Teraz potrzebuję cię bardziej niż kiedykolwiek, mamusiu, proszę, wszystko jedno gdzie jesteś, wróć do mnie... Błagam cię...

Potem krzyk, długi skowyt bólu i przerażenia. I cisza. Taśma kończyła się nagle, dalej słychać było tylko syk magnetofonu.

Przesyłka nadeszła z samego rana. Leżała na jego biurku z całą resztą codziennych śmieci. Podniósł i zważył grubą, a jednocześnie miękką kopertę w dłoni, spojrzął na znaczek i naklejkę ze swoim nazwiskiem oraz adresem, i poszedł do automatu kupić kawę. Był zmęczony. Alison została u niego na noc i oboje przespali w najlepszym razie ledwie parę godzin. Gdy usiadł przy biurku, senność ogarnęła go wielką falą. Przez chwilę się zastanawiał, czy nie udać choroby, wrócić do domu i runąć na łóżko, wtulając twarz w poduszki pachnące jeszcze Alison, ale zaraz odepchnął od siebie tę myśl. Otworzył górną szufladę biurka, poszperał w niej w poszukiwaniu walkmana, wsunął taśmę i nacisnął guzik PLAY. Prze-

słuchał nagranie i poczuł się tak, jakby po plecach spłynęła mu wielka struga lodowatej wody. Przewinał taśmę i odsłuchiwał jeszcze raz.

Było przedpołudnie i na drodze biegnącej wzdłuż morza, zwłaszcza przy wjeździe na autostradę, panował duży ruch, być może wcale nie mniejszy niż w godzinach szczytu. Jack wziął taśmę ze sobą i odsłuchiwał ją raz po raz, siedząc w powoli posuwającym się do przodu samochodzie. Lało jak z cebra, strumienie bez przerwy zalewały przednią szybę. Jack słuchał głosu Amy, wpatrywał się w leniwie poruszające się wycieraczki i czekał.

Taśmę otrzymali także przybrani rodzice Amy i policjanci z miejscowego posterunku, zajmujący się sprawą jej zniknięcia. Rodzice byli nieprzytomni z rozpaczy, natomiast Phil Brady, inspektor z Clontarf, najzwyczajniej w świecie nie wiedział, co robić.

- Lepiej przyjedź tutaj, Jack i pomóż nam trochę - powiedział. - Może ty coś z tego wszystkiego zrozumiesz, bo ja nie potrafię rozgryźć tej sprawy.

Jezu Chryste, zrozpaczeni rodzice... Jack miał wrażenie, że już nie umie radzić sobie z tego typu sytuacjami. Może problem tkwił w tym, że na początku kariery z większą łatwością porozumiewał się z ludźmi, a może wtedy przywiązywano do tej strony pracy policji mniejszą wagę, sam już nie wiedział... Tak czy inaczej, nikt nie spodziewał się po nim dyplomu z prowadzenia rozmów na tematy filozoficzne czy też, jak on to nazywał, pieprzenia o bólu po utracie najbliższych.

Na szczęście w tym wypadku sprawy nie zaszły jeszcze tak daleko. Dziewczyny nie można było uznać za martwą, jeszcze nie. Wszystko wskazywało jednak na to, że rodzice, przybrani rodzice, przypomniał sobie szybko, mieli na ten temat inne zdanie. Nie ulegało wątpliwości, że powoli przygotowują się na najgorsze. Wyraźnie wypisane to było na ich nieruchomych, białych twarzach, brzmiało w tonie głosu, gdy mówili o Amy, najczęściej używając czasu przeszłego.

Siedział z nimi w niewielkim pokoju, gdzie poczęstowano

go herbatą i ciasteczkami. Nic w sposobie zachowania Williamsów nie świadczyło o tym, że Amy Beckett, lub Williams, jak teraz się nazywała, nie jest ich rodzonym dzieckiem. W domu było mnóstwo fotografii Amy, podobnie jak pozostałych czworga dzieci, lecz Jack z łatwością zauważył „brzydkie kaczątko”. Dzieci Williamsów miały jasne albo brązowoszare, „mysie” włosy, okrągłe twarze i zadarte nosy. W wieku kilku lat na pewno były urocze, ale później traciły wdzięk i stawały się przeciętnymi, niczym nie wyróżniającymi się nastolatkami i młodymi ludźmi. Takimi, za którymi nikt nie ogląda się na ulicy. W przeciwieństwie do Amy. Powoli obszedł salon Williamsów, przyglądając się wiszącym na ścianach fotografiom. Były to głównie zdjęcia ze szkoły, z pierwszej komunii i bierzmowania. Spokojne spojrzenie Amy podążało za nim wszędzie. Kiedy odwracał się, czuł je na plecach. Przypomniał mu się obraz Najświętszego Serca Pana Jezusa, który wisiał na półpiętrze rodzinnego domu. Ukrzyżowany Chrystus patrzył Jackowi prosto w oczy, gdy ten wspinał się po schodach i obserwował go, kiedy chłopiec odwracał się, by nań spojrzeć na najwyższym stopniu. Miał takie samo smutne, przygnębione spojrzenie jak Amy.

Zapytał panią Williams, czy mógłby zobaczyć pokój Amy. Bez słowa otworzyła drzwi i pokazała mu drogę. Na półpiętrze tego domu nie było obrazu Najświętszego Serca, lecz akwarelki przedstawiające kwiaty. Szczegółowe, precyzyjne, zupełnie jak szkice z podręcznika botanicznego. Przystanął i przyjrzał im się z bliska.

- To pani dzieło? - zapytał.
- Nie, mojego męża.
- Przyjemne hobby.
- Och, właściwie trudno uznać to za hobby. - Przybrana matka Amy rzuciła mu przelotne spojrzenie. - Bardziej przypomina obsesję. Amy podzielała ją, kiedy była młodsza. Zwykle razem wyruszali na wycieczki połączone ze zbieraniem roślin. Była prawdziwym ekspertem, zwracała uwagę na wszystkie szczegóły. Ona zbierała rośliny, a Dave je malował.

- Potem przestała się tym interesować?
- Cóż... - Pani Williams pchnęła drzwi do pokoju Amy. - Jak widać, wiek dorastania okazał się silniejszy od hobby.

Więc to mnie czeka, pomyślał, wpatrując się w plakaty pokrywające cztery ściany i sufit pokoju.

- Robi wrażenie, prawda? - Przekrzywiła głowę i zerknęła na plakat na suficie. - Taka ona już jest, ta nasza Amy. Kiedy na coś się decyduje, idzie na całość.

- Wasza Amy? - Jack usiadł na taborecie przy niewielkim drewnianym biurczku. - Państwo rzeczywiście uważają ją za swoją Amy...

- A czyja miałyby być? Przyszła do nas jako niespełna pięcioletnie dziecko. Chyba można powiedzieć, że nauczyliśmy ją wszystkiego, co umie i wie. Nasze dzieci nauczyły ją, jak być siostrą, mój mąż i ja, jak być córką, a moi rodzice, jak być wnuczką.

- A jej rodzona matka? Czego ją nauczyła?

W małym, dusznym pokoju zapadła cisza.

- Trzeba przyznać, że właściwie nie miała czasu i szans... Na pewno dbała o jej rozwój, zwłaszcza intelektualny. Amy była bardzo inteligentna. Gdy z nami zamieszkała, znała już alfabet, umiała liczyć, miała ulubione książeczki i bajki. Proszę posłuchać... - Przerwała i podniosła ku niemu pobladłą, ściągniętą ze zmartwienia twarz. - Wiem, że Amy nie jest nasza, nie jest nawet naszym adoptowanym dzieckiem. Jesteśmy jej rodziną zastępczą i od początku zdawaliśmy sobie sprawę, że być może zostanie z nami tylko na krótki czas. Jesteśmy tego wszystkiego świadomi, proszę mi wierzyć. Już wcześniej przyjmowaliśmy inne dzieci i gdyby Amy nas opuściła, zapewne wzięlibyśmy następne. Lecz w niej zawsze było coś wyjątkowego, coś, czego się nie spotyka. Amy jest niezwykłą osobą. Zauważyliśmy to już pierwszego dnia, kiedy ją poznaliśmy, a była wtedy małą dziewczuszką.

Wzięła z biurka oprawioną fotografię i podała mu. Ujrzał małą dziewczynkę w jasnoniebieskiej sukience, która stała między uśmiechniętymi mężczyzną i kobietą, trzymając ich za ręce.

- Zrobiliśmy je tego pierwszego dnia. Zawsze usiłowaliśmy od początku budować w tych biednych dzieciach przekonanie, że są komuś potrzebne, a kiedy odchodziły, dawaliśmy im takie zdjęcie na pamiątkę. Wie pan, większość ich w ogóle nie ma takich pamiątek... - Jej głos się załamał i z kącików oczu pociekły łzy. Wyciągnęła chusteczkę zza mankietu białej bluzki i wytarła nos. - Przepraszam... Usiłuję nie płakać, ze względu na rodzinę staram się ze wszystkich sił, ale tak strasznie się o nią martwię...

Gdy wracał do centrum miasta, nadal czuł zapach jej perfum. Blue Grass, przypominał sobie, tak się nazywały. Jedna z jego ciotek po prostu je uwielbiała, na najwyższej półce w szafie miała zwykle kilka opakowań mydła i talku o tym samym delikatnym aromacie. Ta nazwa go fascynowała, bo nie wyobrażał sobie, aby trawa mogła mieć inny kolor niż zielony. Wrócił myślami do zaginionej dziewczyny. Pani Williams powiedziała, że w zachowaniu córki nie dostrzegła nic nadzwyczajnego. Amy zdała egzaminy końcowe w szkole średniej i czekała na wyniki. Dostała pracę w pobliskiej kawiarni i była taka jak zawsze.

- Ale jak zareagowała na wiadomość o zniknięciu matki i ukazujące się w prasie i telewizji informacje? Wszyscy dziennikarze usiłowali ubarwić doniesienia szczegółami ze sprawy o zabójstwo ojca Amy sprzed dwunastu lat. Sugerowali też, że Rachel Beckett mogło spotkać coś złego. Czy Amy nie denerwowała się tym?

Pani Williams ciężko westchnęła.

- Nie mówiła dużo na ten temat. Mieliśmy nadzieję, że to fałszywy alarm, nic naprawdę poważnego i chyba staraliśmy się zminimalizować znaczenie zniknięcia Rachel Beckett. Oczywiście, nie mówiliśmy jej, że wszystko jest w porządku, ale podkreślaliśmy, że w gruncie rzeczy nie wiadomo, co się dzieje. Ostatnio Amy była trochę milcząca, ale w tym także nie upatrywaliśmy niczego znaczącego, ponieważ to jej się zdarza od czasu do czasu. Zamyka się wtedy w sobie, spędza dużo czasu w pokoju, słucha muzyki, rysuje i czyta.

Przywykliśmy do tego. Po pewnym czasie, kiedy jest gotowa, sama wraca do normalnego życia.

- Czy ostatnio wspominała, że poznała kogoś lub że ktoś próbował nawiązać z nią znajomość?

Pani Williams zdecydowanie zaprzeczyła. Jack zorientował się już, że Amy nie należy do dziewcząt, które chętnie zwierzają się ze swoich przeżyć. Na pewno wolą zachowywać wiele rzeczy dla siebie. Pomyślał, że mimo wszystko pokaże jednak pani Williams zdjęcie Dana Becketta i uważnie obserwował jej twarz, kiedy przyglądała się fotografii. Nie spieszyła się. Po dłuższej chwili potrząsnęła głową.

- Nie wiem, dlaczego, ale wydaje mi się znajomy... Z drugiej strony Amy nie ma przyjaciół czy znajomych w jego wieku. Nie, nigdy go nie widziałam. Na pewno nie.

Zapytał, czy mogłaby zostawić go na parę minut samego. Wzruszyła ramionami, poprawiła kwiecistą narzutę na łóżku, strzepnęła poduszki i wyszła. Jack usiadł wygodnie i rozejrzał się dookoła. Pokój sprawiał wrażenie przytulnego gniazdka. Pojedyncze łóżko wyglądało zachęcająco, ogarnęła go nawet ochota, by na moment przytulić głowę do poduszki, zaraz jednak uświadomił sobie, że nogi od połowy łydek sterczałyby mu poza materac.

- Kto spał w moim łóżeczku? - wyrecytował cicho.

Uśmiechnął się. Pomyślał, że w takim pokoju każde dziecko mogłoby być szczęśliwe. Nagle przypomniał sobie pokój Judith Hill, który widział tamtego dnia, gdy po raz pierwszy poszedł zobaczyć się z jej ojcem. Zimny, czysty i pusty, nie było w nim żadnych rzeczy osobistych i nic, co mogłoby stanowić jakąś wskazówkę. A teraz wszystkie sekrety Judith spoczywały w rodzinnym grobowcu na cmentarzu w Deans Grange. Jeden grób, jeden nagrobek z dwoma imionami. Jack był tym trochę zaskoczony, ale decyzję podjęli oczywiście Elizabeth i Stephen. Niezależnie od wszystkiego, co się stało, Judith i Mark byli ojcem i córką, krwią z krwi, kością z kości...

Żegnając się z Pat Williams, zastanawiał się, czy więź biologiczna rzeczywiście ma jakiegokolwiek znaczenie.

- Zawiadomi nas pan, jeżeli wyjdzie na jaw coś nowego? I zrobi pan wszystko, żeby ją odnaleźć, prawda?

Odprowadziła go do furki. Jej ręce drżały jak liście na wietrze. Nie umiała nad tym zapanować. Miał ochotę ująć obie dłonie, złożyć je, uspokoić, dodać jej otuchy, lecz zamiast tego tylko skinął głową i powiedział, że zrobi wszystko, co w jego mocy. Obiecał, że później zadzwoni, i dodał, by się nie martwili, Amy na pewno wkrótce wróci do domu.

Kiedy był tuż za przejazdem kolejowym pod Merrion Gates, odezwała się jego komórka. Na ekraniku wyskoczył numer Sweeneya. Zrobiło mu się zimno. Z czym mógł dzwonić do niego Sweeney, jeżeli nie ze złymi wieściami?

- Jakaś kobieta próbowała się z tobą skontaktować, Jack. Bardzo jej zależało, żeby z tobą porozmawiać. Podam ci adres, choć dobrze go znasz...

Powietrze znowu nasycone było potwornym odorem gnijącego mięsa. Smród zaatakował go natychmiast, ledwo wszedł do holu wysokiego domu z czerwonej cegły w Rathmines. Frontowe drzwi były tylko przytknięte. Przystanął na środku holu i rozejrzał się dookoła. Pamięć od razu podsunęła mu obraz ciała Marka Hilla, zwisającego z poręczy schodów.

- Pani Hill, jest pani tutaj? - zawołał. - Elizabeth?

Żadnej odpowiedzi. Postąpił kilka kroków i zajrzał do salonu po prawej stronie. Był pusty, lecz odór wydawał się tu jeszcze gęściejszy. Wtedy usłyszał głosy dobiegające z jadalni za salonem. Znowu zawołał i tym razem Elizabeth odpowiedziała.

Otworzył drzwi, wszedł do jadalni i natychmiast zakrztusił się porażającym smrodem. Zrobiło mu się niedobrze, cudem zapanował nad odruchem wymiotnym. Szybko wyjął chusteczkę i splunął w nią, nie będąc w stanie wydobyć z siebie ani słowa. Krew i kawałki mięsa były tu wszędzie. Widział kształty, które wydawały mu się znajome, a jednak inne. Elizabeth Hill stała w drzwiach wychodzących na ogród, obok niej tkwił wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna.

- Pamięta pan George'a Bradleya, prawda? - odezwała się Elizabeth.

Jack skinął głową i potoczył wzrokiem po pokoju. Usiłował znaleźć słowa, sformułować pytania, ale okazało się, że przekracza to jego możliwości.

- Stephen to zrobił - powiedziała cicho, monotonnym głosem. - To wszystko jego dzieło...

Nad krwawymi szczątkami głośno bzyczały muchy.

- Z jakiegoś powodu starał się skopiować ten obraz - do dała.

Wskazała dużą reprodukcję Judyty i Holofernesa, którą ktoś przypiął do ściany. Teraz wielki arkusz zwisał, rozdarty na rogach i przez środek. Jack zatkał nos chustką i schylił się, żeby z bliska przyjrzeć się rozrzuconym wszędzie głowom zwierząt - kurcząt, innych ptaków, owcy, czegoś, co przypominało kota, a nawet, co zauważył z najwyższym obrzydzeniem, szczurów. Znowu ogarnęła go fala mdłości, więc wyprostował się i cofnął pospiesznie.

- Tędy. - Elizabeth usunęła się na bok. - Niech pan wyjdzie na świeże powietrze...

Nieco później, kiedy usiedli przy stole w jasnej, czystej kuchni Bradleyów, wyjaśniła mu, co się stało. Gdy przyjechała, Bradleyowie poinformowali ją, że Stephen już się od nich wyprowadził. Zdecydował się wrócić do domu. Niepokoili się o niego. Dzwonili, kilka razy pukali do drzwi, ale nie reagował.

- Oczywiście wiedzieliśmy, że tam jest - powiedział George Bradley. - Widzieliśmy go z przerobionego z dawnych stajni pawilonu, w którym mam biuro. Na pewno pamięta pan, gdzie to jest, inspektorze, bo rozmawiał pan tam ze mną po śmierci Judith. No i naturalnie możemy zajrzeć do domu Hillów z naszych okien. Widziałem zapalone lampy, więc nie miałem wątpliwości, że Stephen jest w domu.

Jack przypomniał sobie jasne, nowoczesne biuro w przerobionym budynku. George Bradley miał firmę komputerową, zajmującą się instalacją wysoce wyspecjalizowanych programów. Jack pomyślał wtedy nawet, że Bradley nie wygląda na

szefa takiego przedsiębiorstwa. Z posiwiałymi włosami, wąskimi okularami, ubrany w wypchane na kolanach sztruksowe spodnie i wełnianą kamizelę, sprawiał raczej wrażenie nauczyciela elitarniej szkoły.

- Krótko mówiąc, w końcu postanowiliśmy tam pójść i sprawdzić, co się z nim dzieje. Jenny ma klucze, ale wcześniej nie chciała nachodzić Stephena. Kiedy weszliśmy, siedział na podłodze w jadalni, wymazany krwią i otoczony tymi okropnymi rzeczami. Bełkotał coś, śmiał się...

Elizabeth zaczęła cicho płakać.

- Przepraszam... - powiedziała. - To takie straszne...

- Gdzie on teraz jest? - Jack spojrzął na George'a Bradleya.

- Wezwaliśmy lekarza, który natychmiast zabrał go do szpitala. Podali mu silne środki uspokajające, zamierzają dokładnie go przebadać - Bradley wstał, otworzył szafkę i wyjął butelkę brandy. - Napij się, Elizabeth, chociaż kropelkę. Zaskakująco dobrze pasuje do herbaty...

Jack rozejrzał się po wypełnionej słońcem kuchni. W koszyku na parapecie spał pręgowany kocur. Sapał i pochrapywał cicho, wąsy mu drgały. Na ścianie obok wisiała duża korkowa tablica, prawie w całości pokryta notatkami, uwagami, liścikami i zdjęciami. Jack pomyślał, że musi kupić coś takiego, bo na pewno przyda się i jemu, i dziewczynkom. Nigdy nie mógł zapamiętać, kiedy mają basen, kiedy lekcje pływania, wolne dni, wystawianie stopni na semestr i wywiadówki.

- Mogę coś zrobić? - zapytał, dopijając herbatę i dziękując za następną filiżankę.

Elizabeth pokręciła głową.

- Chyba nie, ale dziękuję, że pan przyjechał. Chciałam, żeby pan o tym wiedział. Och, proszę mnie źle nie zrozumieć... - Wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni. - Za nic pana nie winię. Stan umysłowy Stephena nie jest rezultatem wyłącznie ostatnich wydarzeń. W dużej mierze to ja ponoszę odpowiedzialność za jego załamanie. Mam rację, George, prawda?

George Bradley spojrzął na nią i przez sekundę jego oczy były zimne i wrogie, jakby nigdy nie wybaczył jej tego, co kiedyś zrobiła. Potem uśmiechnął się, ale był to tylko mechaniczny grymas.

- Skądże znowu, moja droga. Tamto zdarzyło się dawno temu. Bardzo dawno.

Jadąc do domu, zastanawiał się, czym właściwie jest wybaczenie. Wydawało mu się, że przebaczył Joan jej grzechy. Był wściekły, że go zdradziła, oszukała i że zrobiła z niego głupka, ale chyba nigdy naprawdę nie kochał Joan, więc jej postępowanie nie zraniło go zbyt głęboko. Myślał o George'u Bradleyu i Marku Hillu. Jeden wybaczył, drugi nie. Jeden żył, drugi był martwy. Jeden miał przynajmniej pozornie normalną rodzinę, dorastające dzieci, których przyszłość na pewno napawała go radosną nadzieją. Przypomniwał sobie straszną scenę w jadalni Hillów, smród, widok zaschniętej krwi na podłodze i ścianach, rozdęte gazami szczątki zwierząt. Co działo się w głowie tego biednego dzieciaka? Jak to się stało, że niepostrzeżenie osiągnął stan pozwalający na zrealizowanie tego koszmarnego planu?

Kiedy dotarł do domu, deszcz przestał padać. Zaparkował samochód i zawrócił w stronę portu. Usiadł na wielkim granitowym bloku. W dole było tłoczno, mnóstwo ludzi wybierało się na przejażdżki łodziami i jachtami. Była to radosna, barwna scena. W dniu, kiedy Rachel wypływała z Danem Beckettem, wszystko musiało wyglądać mniej więcej tak samo. Policja zebrała zeznania wielu osób, które ich wtedy widziały. Na pytanie, jak wyglądała Rachel, wszyscy odpowiadali tak samo: jak może wyglądać osoba, która wypływa w morze w ładny, miły dzień? Wyglądała normalnie. Jack westchnął. Szukali jej wszędzie - w portach, na lotniskach, na dworcach autobusowych i kolejowych. Nic nie znaleźli, niczego się nie dowiedzieli. Zdjęcie Rachel pojawiło się na pierwszych stronach gazet oraz w wiadomościach telewizyjnych. Wszystko na nic, nikt nic nie widział. Rachel weszła na pokład jachtu razem z Beckettem i, jeśli można było powiedzieć na ten temat coś pewnego, nie wróciła. Coś się tam stało, coś złego. Jack

przeliczył w pamięci zgromadzone dotychczas dowody. Krew Rachel (zgodnie z wynikami badań laboratoryjnych) w kabynie pod pokładem. Nóż zaplamiony jej krwią, z odciskami palców Becketta na rękojeści. Jej krew na jego ubraniu. I oczywiście dowody zebrane w jego domu - włosy i nitki pobrane z łóżka i sofy, torba w ognisku, ubranie wyłowione z morza przez załogę kutra. Zeznania sąsiadów Rachel, mówiące o przynajmniej jednej gwałtownej kłótni między nią i Beckettem. Wreszcie zeznanie Clare Bowen. Clare powiedziała Jackowi, że Rachel była cała posiniaczona. I przerażona. Więc dlaczego zdecydowała się wypłynąć z Beckettem? W jaki sposób ją do tego zmusił?

Czy dysponowali wystarczającą liczbą dowodów, aby wystąpić z oskarżeniem? Jack uważał, że tak. Beckett miał środki, możliwość i motywację do popełnienia zbrodni, ale prokurator okręgowy jeszcze nie podjął decyzji. Jack postanowił, że wobec tego będą nadal obserwować Becketta, nie dadzą mu spokoju. Wcześniej czy później coś wyjdzie na jaw, Jack był tego pewny.

Biedna Rachel Beckett, pomyślał. Najprawdopodobniej Andy Bowen miał rację - nigdy nie powinna była siedzieć tak długo w więzieniu... Nagle ogarnęły go wyrzuty sumienia. Próbował się z nich otrząsnąć. W końcu on prawie w ogóle nie był zaangażowany w tamtą sprawę, był wtedy nowy i naiwny jak szczypiorek. Starsze, mądrzejsze głowy orzekły, że należy oskarżyć ją o morderstwo z premedytacją. Wniosek o zmianę kwalifikacji czynu na zabójstwo w afekcie został odrzucony. Rachel miała zapłacić za zbrodnię, której się dopuściła. Jack sięgnął do kieszeni po komórkę. Czuł, że musi zadzwonić do Alison. W taki wieczór jak ten przyda mu się trochę czułości i pocieszenia.

Rozdział trzydziesty drugi

Przewiezenie dziewczyny z mieszkania przy North Quays do domu w Killiney okazało się łatwiejsze, niż Daniel sądził. Musiał też przyznać, że kiedy przyszło co do czego, mimo całego napięcia zachowała się zupełnie spokojnie. Wiedziała, jak sobie radzić i jak na osiemnastolatkę robiła to doskonale. Cóż, nie wzięło się to z powietrza. Jej matka była tak samo opanowana i twarda. Pamiętał tamten dzień na jachcie. Krew ciekła jej z ręki, kiedy mówiła mu, żeby podniósł nóż, i powieka nawet jej nie drgnęła. Wszędzie zostawiła ślady swojej obecności - na jachcie, w domu i w samochodzie. Potem pozostało jej już tylko czekać, aż ktoś je znajdzie.

Mógł zostawić Amy w mieszkaniu w mieście, ponieważ w zasadzie było to zupełnie bezpieczne rozwiązanie. Wpadał do niej mniej więcej dwa razy dziennie, zostawiając furgonetkę na podziemnym parkingu jednej z firm, z którymi miał podpisany kontrakt. Potem prześlizgiwał się wśród tłumów i okrężną drogą docierał do bocznego wejścia budynku. Miał wrażenie, że Amy czuje się dobrze. Sporo rozmawiali, Daniel przygotowywał dla niej posiłki - spaghetti po bolońsku, które było jego specjalnością, i pieczywo czosnkowe. Przynosił wino, głównie chianti w butelkach. Wypytywała go, co zdarzyło się wtedy, dwanaście lat temu. Chciała wiedzieć wszystko o jego związku z Rachel.

- Dlaczego sama mi o tym nie powiedziała? - pytała ciągle. - Dlaczego ciągle mnie okłamywała?

Nie potrafił jej odpowiedzieć.

- Chyba nie chciała, żeby cała ta sprawa wypadła jeszcze gorzej - mówił. - Nie chciała cię w to wciągać. Wydaje mi się, że próbowała cię osłaniać.

- Akurat! - prychnęła Amy. - Wcale nie! Była zwyczajnym tchórzem, nie umiała wyznać mi całej prawdy. I posłuchaj... - Nachyliła się nad stołem i wzięła go za rękę. Jej policzki były mocno zaróżowione, chyba od wina. - I posłuchaj, czy to nie było okrutne z jej strony, że pozbawiła cię możliwości kontaktów ze mną? Przecież ty nie miałeś żadnej rodziny, nikogo. Gdybyś wiedział, na pewno chciałbyś być przy mnie, prawda? Chciałbyś, żebyśmy byli razem...

Tak więc mógł zostawić ją w tym mieszkaniu, ale zorientował się, że zaczęła odczuwać niepokój. Nie podobało jej się, że przebywa w zamknięciu, prawie ciągle sama. Powtarzał, że to nie potrwa długo, lecz po trzech dniach wyczuł w niej zniecierpliwienie. On także trochę się niepokoił. Mieszkanie było zarejestrowane na Ursulę, ale nie był pewny, czy wkrótce jakiś detektyw-mądrala nie zajrzy do biura hipotecznego i nie dopatry się zbieżności nazwisk. Dlatego postanowił przewieźć dziewczynę do domu w Killiney. Policja już przeprowadziła tam szczegółową rewizję i nic nie znalazła. Daniel sądził, że bez nowych dowodów raczej nie uzyskają ponownego nakazu, poza tym uznał, że lepiej mieć Amy pod ręką.

Opracował plan i postanowił czekać. Znał zasady prowadzenia obserwacji i wiedział, że policjanci nie tkwią pod bramą domu przez całą noc. Czekają na jego pojawienie się i kiedy są przekonani, że położył się spać, znikają. Było już bardzo późno, kiedy ostrożnie wykradł się z domu i ścieżką wzdłuż urwiska pobiegł w kierunku parkingu przy stacji benzynowej DART, gdzie zostawił nieoznakowaną firmową furgonetkę. Pojechał do miasta i cicho wszedł do mieszkania. Amy leżała na sofie, pogrążona w głębokim śnie, obejmując ramionami poduszkę. Kiedy dotknął jej ramienia i wyszeptał

imię, poderwała się, podciągając koc pod szyję, przerażona i nieprzytomna. Na jej drobnej bladej twarzy malował się wyraz zaskoczenia. Ale szybko oprzytomniała, włożyła dzinsy i adidasy. Potem chwyciła skórzany plecak, przeczesała palcami krótkie włosy i bez słowa wyszła z nim w chłodną noc. Nie zadała żadnego pytania. Stała spokojnie przy samochodzie, chociaż wargi lekko jej zadrżały, kiedy Daniel otworzył bagażnik furgonetki i gestem pokazał, że powinna wsiąść. Podniósł zwinięty na materacu śpiwór i czekał, aż Amy ułoży się w miarę wygodnie i przykryje śpiworem. Otworzył bagażnik na parkingu przy stacji DART, pomógł jej wysiąść, wziął ją za rękę i przeprowadził przez kawałek piaszczystej plaży, potem przez skały i w górę, ścieżką między sosnami do domu. Idąc, słyszał za sobą jej przyspieszony oddech. Gdy dotarli na miejsce, tuż nad linią horyzontu widać było cieniutką smugę jasnej szarości.

- To dla twojego bezpieczeństwa - powiedział, otwierając drzwi na poddasze.

Zapalił światło i wskazał polowe łóżko pod ścianą, nocnik w rogu pomieszczenia, zgrzewkę wody mineralnej, chleb, ser i owoce, a także stojące na podłodze małe tranzystorowe radio.

- Tak będzie lepiej - oświadczył. - Tu nic ci nie grozi. Na razie nie bardzo wiadomo, co się dzieje. Nie wychodź stąd w ciągu dnia. Postaraj się jak najwięcej spać, a kiedy wieczorem wrócę, zejdziesz na dół i spokojnie porozmawiamy.

Tym razem nie zwrócił uwagi na wyraz jej twarzy. Dopiero później uświadomił sobie, że popełnił błąd. Amy poczuła się urażona, że uwięził ją na poddaszu, że nie przywitał jako swojej pierworodnej córki. Usłyszał, że woła coś do niego, kiedy już zbiegał po schodach, nawet przystanął i słuchał przez chwilę. Odkrzyknął, żeby się nie martwiła i porządnie wyspała. W dzień myślał o niej od czasu do czasu, ale bez niepokoju. Poddasze było całkowicie bezpieczne. Miało tylko jeden niewielki świetlik w dachu, który w dodatku się nie otwierał. Zasuwa w drzwiach była nadzwyczaj solidna. Zresztą, tak czy inaczej, cała ta sytuacja nie potrwa długo, doszedł do

wniosku. Zdawał sobie sprawę, jakie wrażenie wywrze taśma, którą nagrała Amy. Rachel szybko opuści swoją kryjówkę i popędzi z powrotem do Dublina, był tego pewny. A wtedy wszystko się skończy.

Wrócił do domu późno, już po zmroku. Jadąc, przez cały czas widział za sobą światła nieoznakowanego samochodu policyjnego, który zaparkował w pobliżu bramy. Kiedy znalazł się na podejździe, zamrugał do nich tylnymi światłami. Postanowił, że gdy już będzie po wszystkim, wytoczy im sprawę o nieuzasadnione zatrzymanie i złe traktowanie, zażąda odszkodowania za to, że spieprzyli mu życie, i dopilnuje, żeby ten dupek Jack Donnelly słono zapłacił za swoją bezczelność. Zaparkował tuż przed frontowymi drzwiami i wszedł do środka. W domu panowała absolutna cisza. Dziewczyna na pewno była głodna, śmiertelnie znudzona i zniechęcona. Ale to nic - zaraz ją wypuści, przygotuje kąpiel, zrobi smaczną kolację, wyjmie jakieś dobre wino. Pokaże dom, pochwali się, jak sobie świetnie w życiu poradził. I kto wie, może po wszystkim Amy zamieszka z nimi? Ursula z pewnością by ją polubiła, nie miał co do tego cienia wątpliwości.

Chociaż z drugiej strony... Z drugiej strony nie jest to chyba taki świetny pomysł... Przystanął, usiadł na schodach i oparł głowę o ścianę. Dotąd tylko trzy osoby wiedziały, że jest ojcem Amy i chyba tak to trzeba zostawić. Tego tylko brakowało, żeby ktoś zaczął zadawać pytania i ponownie zainteresował się sprawą śmierci Martina...

Wstał i przez chwilę nasłuchiwał. Z poddasza nadal nie dobiegały żadne odgłosy. Otworzył drzwi i schylił głowę, żeby nie uderzyć się o framugę. W środku było ciemno. Najwyraźniej spała. Powoli ruszył w stronę łóżka, cicho wołając jej imię, żeby jej nie przestraszyć.

- Amy, Amy, obudź się... Już jestem. Jak tu sobie radziłaś przez cały dzień?

Powietrze było duszne, zdecydowanie nieświeże, trochę cuchnęło moczem. Daniel widział przed sobą tylko kształt łóżka z rozrzuconymi kocami.

- Amy, to ja, Dan. Obudź się. Usmażę ci najlepszy stek, jaki kiedykolwiek jadłeś...

Właśnie wtedy raczej wyczuł, niż usłyszał ruch powietrza tuż za plecami. Odwrócił się i ujrzał ją, stojącą za drzwiami, z jakimś przedmiotem w prawej ręce. Co to było? Dość jasne, wydłużone... Kiedy wzięła zamach, aby uderzyć go tym czymś w głowę, uświadomił sobie, że jest to kawałek metalu i że połowe łóżko zostało rozebrane prawie na części. Dziewczyna trzymała fragment ramy. Błyskawicznie uskoczył i znalazł się poza bezpośrednim zasięgiem jej ciosu, więc metalowa rurka uderzyła go nie w tył głowy, zgodnie z planem Amy, lecz w bark. Siła uderzenia sprawiła, że poleciał do tyłu i runął na ziemię. Upadając, zdał sobie sprawę, że dziewczyna zamierza odwrócić się i wybiec przez otwarte drzwi. Wyciągnął rękę i zacisnął dłoń na jej kostce. Szarpnął mocno do siebie. Upadła obok niego, z jej gardła wyrwał się głośny krzyk, potem jęk. Podciągnął się na łokciu, poczołgał wyżej, aż wreszcie zdołał objąć ją w pasie, przygnieść do ziemi ciężarem całego ciała, zanurzyć palce w krótkich włosach. Krzyknęła z bólu. Daniel poczuł zapach jej potu i przerażenia.

- Chciałaś mnie podejść, co?! - wrzasnął. - Myślałem, że zawarliśmy umowę, że stoisz po mojej stronie! Sama przecież mówiłaś, że twoja matka jest złą, podłą kobietą! I że trzeba ją zmusić do powrotu! Myślałem, że to rozumiesz!

Odchylił jej głowę do tyłu i z całej siły uderzył nią o drewnianą podłogę, raz, drugi i trzeci. Krzyczała, łzy napłynęły jej do oczu. Poderwał ją do pozycji siedzącej, potem podciągnął do góry, wykręcając ręce do tyłu. Gniew podniósł się w nim wielką falą. Miał ochotę zadać jej jeszcze większy ból, kazać jej zapłacić za zdradę. Uderzył ją mocno w twarz, a kiedy z nosa trysnęła krew, wbił pięść w żołądek. Jęczała z bólu. Jak kukłę rzucił ją przez cały strych w kierunku łóżka. Usłyszał, jak błaga o wybaczenie.

- Przepraszam, przepraszam, tak strasznie się bałam, to wszystko dlatego... Myślałam, że nie wrócisz, że zostawisz mnie tutaj... Próbowałam otworzyć drzwi, ale je zamknąłeś.

Nie mogłam znieść poczucia, że jestem zamknięta. I w dodatku usłyszałam dziś w radiu to nagranie i zrozumiałam, że źle zrobiłam. Był też wywiad z moimi przybranymi rodzicami. Okropnie się o mnie martwią, oboje płakali, to było straszne... I zrozumiałam, że chcę do domu. Nie powinnam była się na to zgodzić, chyba oszalałam, przecież ja cię w ogóle nie znam... Z jakiej racji mam ci wierzyć? Skąd mam wiedzieć, że naprawdę jesteś moim ojcem? Że nie kłamiesz...

Zastoniła twarz dłońmi, żeby się przed nim obronić, i nagle Daniel cofnął się w czasie, aż do tamtej nocy ponad dwanaście lat temu, kiedy Martin leżał na podłodze, zasłaniając rękami bladą twarz. Jego ręce były pokryte krwią z rany w udzie, pełnymi przerażonego zdumienia oczami patrzył na Daniela, który powoli podnosił pistolet.

Teraz także podniósł prawą rękę, wyciągając palec wskazujący i zaciskając pozostałe palce.

- Bang, bang! - powiedział, biorąc ją na muszkę. - Jeszcze z tobą nie skończyłem. Niedługo wrócę, a wtedy pożałujesz tego, co zrobiłaś.

Cofnął się, jego sylwetka na moment ostro zarysowała się w prostokącie światła, mocno zatrzasnął drzwi i zamknął je. Amy krzyczała, aby jej nie zostawiał, żeby ją wypuścił. Dysząc ciężko, zbiegł na dół, pokonując po dwa stopnie naraz, szybkim krokiem przeszedł przez hol i wpadł do ciepłej, jasnej kuchni.

Były tu ciężkie, brokatowe zasłony, przesuwające się nad wysokimi, ciemnymi oknami po gładkich szynach oraz butelka whisky na stole. Podniósł ją i przytknął do ust, czując lekkie uderzenie chłodnego szkła o zęby. Alkohol spłynął przełykiem do żołądka, niosąc płomienne gorąco. Nalał whisky do dużego pucharka, którego kryształowa podstawa zostawiła głębokie ślady na jego dłoni, i wypił do dna. Usiadł przy stole. Adrenalina wyciekła z jego ciała, pozostawiając uczucie znużenia i senności. Głowa zaczęła opadać mu na piersi. Na chwilę poderwał ją, usiłując skupić spojrzenie na jakimś drobiazgu, lecz zaraz pucharek wypadł mu z dłoni i potoczył się po

podłódze. Zataczał coraz mniejsze kręgi i w końcu znieruchomiał na brzegu chodnika.

Z drzemki wyrwał go ostry, niepokojący dźwięk. Jeszcze oszołomiony, zerwał się z bijącym sercem z krzesła, szybko łapiąc powietrze. Pies, pomyślał nieprzytomnie. Szczeka, bo jest głodny. Pies, oczywiście. Zapomniał, że przywiązał go w garażu, bo teraz, po wyjeździe Ursuli i dzieci nie było nikogo, kto zająłby się durnym kundlem. Jak on hałasował... Krótkie, ostre szczeknięcia, pełne gniewu i rozpacz. Daniel wyprostował się z pewnym trudem i z butelką w ręku zaczął szukać psiej karmy i otwieracza do puszek. Aby się wzmocnić, wypił jeszcze jedną whisky. Słyszał swoje kroki na kafelkach podłogi, dziwnie głośne w pustym domu. Odwrócił się do szklanych drzwi, wychodzących na ogród, i znieruchomiał. Na zewnątrz, wpatrzona w niego, stała drobna, smukła kobieta w ciemnym ubraniu, o ciemnych, krótko ostrzyżonych włosach i bladej twarzy. Uśmiechnęła się, a potem podniosła rękę i przyłożyła dłoń do szklanej tafli. Dłoń z długą czerwoną blizną między kciukiem i palcem wskazującym. Wyżej widział tę twarz, jednocześnie znajomą i obcą. Obciąła włosy i ufarbowała je na czarno. Przez moment wydawało mu się, że ma przed sobą dziewczynę, którą zamknął na poddaszu. Kiedy tak stał nieruchomo, ona wyjęła z kieszeni kawałek materiału i starannie wytarła szybę w miejscu, gdzie przed chwilą zostawiła odciski palców. Cały czas uśmiechała się do niego, a kiedy szkło było już idealnie czyste, cofnęła się, podniosła dłoń z blizną w geście pozdrowienia i zniknęła w ciemności.

Stał przez chwilę jak sparaliżowany. Zamrugał, jakby chciał otrząsnąć się ze snu, i sięgnął po wiszący obok drzwi klucz, ale klucza nie było. Drzwi były zamknięte i chociaż rzucił się całym ciałem na kuloodporne szyby, nawet nie drgnęły. Z okrzykiem wściekłości odwrócił się na pięcie, pognął do drzwi wejściowych i wypadł na podjazd, wyjąc głośniejsz niż uwiązany w garażu pies.

- Wracaj tu, ty suko, wracaj! Wiem, że gdzieś tu jesteś! Nie uciekniesz! Wracaj, pokaż mi się!

Obiegł dom i ruszył w stronę warzywniaka, ślizgając się na pokrytej gęstą rosą trawie. Chwycił łopatę, która stała tam, gdzie zostawił ją ogrodnik, wbita w ciężką, żywną ziemię, zważył ją w rękę i szybko przeciągnął palcem po błyszczącym metalowym ostrzu. Potem zamarł bez ruchu, nasłuchując. Pies dalej szczekał, jakiś samochód zmieniał bieg, wjeżdżając na wzgórze od strony plaży. Daniel uspokoił się, zaczął normalnie oddychać. Z oddali dobiegał go szum uderzającego o skały morza i poświstywanie wiatru w gałęziach sosen. Zobaczył huśtającą się na wietrze latarnię u wejścia do starego tunelu z folii, w którym dzieci często ukrywały się podczas zabawy w chowanego.

Chodź, tato, chodź i pobaw się z nami. Policz do dwudziestu i od dwudziestu do jednego, a potem nas szukaj...

Patrzył, jak małe światełko przesuwa się z jednego miejsca na drugie, i wreszcie ruszył za nim. Zrzucił sobie łopatę na ramię i poczuł, jak kij mocno wbija mu się w bark. Nagle światło zgasło. Drzwi szopy trzasnęły głośno i Daniel ruszył pędem w tamtym kierunku, tratując krzaki czarnej porzeczki i kosząc je łopatą. Wreszcie dopadł szopy i skoczył do środka, głośno wołając jej imię. Potknął się o stos plastikowych doniczek i odwrócił twarzą do wejścia. Światło znowu migotało w ogrodzie, tym razem wśród gałęzi dębu przy bramie, tam gdzie zbudował domek na drzewie na siódme urodziny Jonathana. Wybiegł z szopy i ruszył do dębu. Był dosyć blisko, kiedy smukła postać zeskoczyła z gałęzi, światło zgasło i znowu otoczyła go ciemność.

Miał ochotę wrzeszczeć ze złości i z poczucia bezradności. Wydawało mu się, że zna swój ogród, każdy krzew i drzewo, każdy zakamarek, tymczasem ona sprawiła, że wszystko było tu dla niego obce i nowe, i trudno mu było znaleźć właściwą ścieżkę. Odwrócił się w kierunku domu. Pies przestał ujadać, ale z garażu dobiegał teraz zupełnie inny hałas. Ktoś uderzał metalem o metal. Tym razem Daniel posuwał się bardzo ostrożnie, krok po kroku. Co chwilę przystawał i nasłuchiwał. Wreszcie dotarł do otwartych drzwi. Wewnątrz było ciemno i cicho.

Znalazł kontakt i nacisnął. Nic. Nacisnął jeszcze raz, i jeszcze. Nadal nic. Powoli zrobił krok do przodu. Pies gdzieś zniknął, nie było go w kącie obok kosza, w którym zwykle sypiał, ale pod ścianą naprzeciwko wejścia, obok ławki, na której trzymał narzędzia, coś się poruszało. I nagle usłyszał jej głos, cicho wołający jego imię.

- Danielu, Danielu...

Ruszył naprzód, czując pod stopami twardy beton. Niespodziewanie runął w dół, prosto do małej piwniczki, w której czasami pracował. Wylądował na jednej nodze, chrupnęło w kostce i ostry ból wystrzelił w górę, obejmując łydkę, kolano i udo. Pośliznął się i upadł w rozlaną kałużę oleju silnikowego.

- Ty pieprzona suko, zabiję cię! Poczekaj tylko, aż cię dopadnę! - zaskowyczał.

Podźwignął się i jakoś dotarł do drzwi, podpierając się łopata i wlokąc za sobą bolącą nogę. Był już na podjeździe przed domem, kiedy nagle z okien huknęła muzyka. Ktoś odsunął zasłony, drzwi balkonowe otworzyły się i stanęła w nich ta sama drobna postać. Patrzyła na niego. Zaczął biec, kuśtykając i wymachując łopata. Przypomniawszy sobie ten szczególnie głośny, głuchy dźwięk, z jakim łopata uderzała o ziemię, miażdżąc ciała szczurów. Wbiegł na taras, do domu i przez salon do holu. Drzwi wejściowe stały otworem. Znowu usłyszał jej głos.

- Danielu, Danielu... Idę na górę. Spróbujesz mnie złapać? Znajdziesz mnie?

W tym momencie przez głowę przemknęła mu myśl, że przecież przed bramą stoi zaparkowany samochód policyjny, a w nim dwaj gliniarze po cywilnemu. Nawet z tarasu widział czerwony ognik żarzącego się papierosa. Pognał w ich stronę.

- Ona jest tutaj! - wrzeszczał. - Jest tutaj! Mówiłem wam, że żyje! Jest tutaj, w domu! Musicie ją znaleźć!

Dopał do samochodu, jednym szarpnięciem otworzył drzwiczki i wywłócił policjanta zza kierownicy. Biegł przed nimi, kiedy szli w stronę domu.

- Mówiłem, że nie kłamię! - krzyczał. - Jest tutaj! Przed chwilą ją widziałem! Musicie ją znaleźć! Poszła na górę! Szybciej, szybciej! Widziałem ją!

Dwaj mężczyźni weszli do holu i pobiegli na górę. Daniel przystanął, wielkimi haustami chwyając powietrze, z ulgą wdychając słodkawy, lekko kokosowy zapach kwitnących krzewów janowca, porastających okoliczne pagórki. Potem odwrócił się twarzą do holu i znowu zobaczył drobną, smukłą kobietę, stojącą między dwoma policjantami, którzy trzymali ją za ramiona. Z gardła wyrwał mu się głośny okrzyk radości i triumfu. Teraz wreszcie mu uwierzą. Teraz wreszcie uwolni się od tego koszmaru. Odzyska stracone życie. Ruszył ku nim, lecz nagle zachwiał się i przystanął. Na jego twarzy odmalowało się zdumienie, a potem przerażenie. Jeden z policjantów podszedł do niego i położył ciężką rękę na jego ramieniu.

- Może nam pan to wyjaśnić, panie Beckett? Dlaczego ta młoda kobieta była zamknięta na strychu w pańskim domu? Skąd wzięły się jej obrażenia?

Odwróciła się do niego. Ujrzał krótko obcięte ciemne włosy, bladą twarz, siniaki na policzkach i pod jednym okiem, ramię, które zwisało pod dziwnym kątem, kiedy przyciskała je do piersi, podarte, brudne dżinsy... Poczuł odór moczu i wymiocin, i usłyszał jej urywany szloch.

- Nie chciał mnie wypuścić! - wyrzuciła z siebie, zwracając się do policjantów. - Zmusił mnie, żebym tu z nim przyjechała! Tak się bałam! Myślałam, że mnie zabije!

Łopata z brzękiem wypadła mu z rąk. Spojrzał na nią i zobaczył grudki ziemi z ogrodu, powoli opadające na jasny dywan. Ursula nigdy mu nie wybaczy, że narobił takiego bałaganu. Schylił się, żeby podnieść łopatę i przez sekundę, wając jej ciężar w dłoń, zastanawiał się, co mógłby z nią zrobić. Mógłby opuścić ją na czaszkę dziewczyny, w pół słowa przerywając oskarżenia. A potem zaatakować policjanta, na zawsze ścierając pełen satysfakcji uśmiešek z jego okrągłej twarzy. Mógłby wydusić z niego krzyk bólu i przerażenia, i zostawić go krwawiącego na podłodze, upokorzonego, zniszczonego. Trzymał

trzonek w rękę, czując jego chybliwy, wahadłowy ruch. I nagle wszystko się skończyło. Ktoś wykręcił mu ramiona do tyłu, wyrwał łopatę i zacisnął zimne obrączki kajdanek na przegubach dłoni. Wywlekli go z domu, poprowadzili podjazdem do bramy i wpełnęli do samochodu.

W oknie wozu ujrzał uśmiechniętą twarz Jacka Donnelly'ego.

- Mam cię! - powiedział inspektor.

Uderzył zaciśniętą pięścią w dach samochodu i cofnął się. Kierowca przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszyli pod górę. Daniel z każdą sekundą oddalał się od domu, morza i wolności.

KONIEC

Rok później sala Sądu Okręgowego nr 4, ta sama, gdzie Rachel Beckett została skazana na dożywocie za zamordowanie męża, była znowu pełna ludzi. Przebieg procesu obserwowali widzowie, dziennikarze, policjanci, prawnicy, sędziowie przysięgli, świadkowie i Daniel James Beckett, oskarżony o morderstwo Rachel Beckett oraz o uwięzienie i próbę zamordowania Amy Beckett. Daniel Beckett nie przyznawał się do popełnienia zarzucanych mu czynów. Urząd prokuratorski nie miał problemów z przedstawieniem wystarczających dowodów na poparcie drugiego oskarżenia, o uwięzienie i próbę morderstwa, natomiast co do pierwszego nadal istniały spore wątpliwości. Zwłok Rachel Beckett nie odnaleziono, obrońcy i oskarżyciele snuli niekończące się przypuszczenia na ten temat, i odwoływali się do procesów precedensowych. W 1955 roku Michał Onufrejczyk, Polak, został skazany za zamordowanie niejakiego Sykuta, którego ciała również nie odnaleziono. Chociaż oskarżony nie przyznał się do winy, sąd skazał go na karę śmierci. Była także sprawa oficera brytyjskiego wywiadu wojskowego, kapitana Roberta Nairaca, który w latach siedemdziesiątych zaginął w South Armagh. Jego ciała nie odnaleziono. Za morderstwo skazano w 1977 roku niejakiego Liama Townsona. Dziesięć lat temu policja prowadziła dochodzenie w sprawie zaginięcia Helen McCourt z Liverpoolu. Jej ciała również nie odnaleziono, lecz w bagażniku samochodu barmana oskarżonego o zamordowanie Helen McCourt odkryto zakrwawione ubranie i kawałek sznura. To wystarczyło, aby skazać podejrzanego.

Jack obserwował przebieg procesu i złożył zeznania jako świadek. Potem przysłuchiwał się zeznaniom Becketta. Beckett utrzymywał, że jest niewinny, i opowiadał, jak tamtego wieczoru w jego domu zjawiała się Rachel Beckett. Innych świadków jej domniemanego powrotu nie było. Kiedy policjanci weszli do domu, znaleźli jedynie córkę Rachel, Amy. Słyszeli jej krzyki i błaganie o pomoc. Wyłamali zamknięte drzwi i ujrzeli leżącą na podłodze dziewczynę, ciężko pobitą, z poważnymi obrażeniami głowy i ciała, w stanie szoku, półprzytomną. Amy nie miała cienia wątpliwości, że Beckett zamierza wrócić i dokończyć rozpoczęte dzieło.

Jack widział wzburzenie i gniew na twarzach obecnych, gdy Amy opowiadała, co ją spotkało. Daniel Beckett przekonał ją, że jej matka nadal żyje i wróci jedynie wtedy, gdy będzie pewna, iż Amy grozi niebezpieczeństwo. Zmusił ją, żeby pojechała z nim do domu w Killiney, i nie chciał jej wypuścić. Groził, że ją zabije. Wcale mu na mnie nie zależało, powiedziała. Chciał się mną tylko posłużyć, a kiedy to nie wyszło, postanowił mnie usunąć. Wcześniej, na samym początku, powiedział mi, że jestem jego córką.

Kiedy skończyła mówić, w sali panowała śmiertelna cisza. Potem Jack uważnie wysłuchał podsumowania prokuratora. Jego zdaniem Beckett chciał usunąć ze swej przeszłości wszystko, co mogło mu zaszkodzić w nowym życiu. Jeżeli Beckett okazał się dość bezwzględny, aby porwać własną córkę i dopuścić się wobec niej przemocy, to z pewnością nie cofnąłby się przed morderstwem, dowodził oskarżyciel. Policja przedstawiła cały materiał dowodowy: plamy krwi w kabinie jachtu, nóż z odciskami palców Becketta, jego zakrwawione ubranie, zakrwawione i pocięte rzeczy Rachel, w plastikowej torbie wrzucone do morza, zeznania świadków o kłótni między Rachel i Beckettem oraz o jej obawach. Jack siedział spokojnie i czekał na werdykt ławy przysięgłych. Obrady sądu trwały długo, cały dzień. Jack rozmawiał przez telefon z Alison i dziewczynkami.

- Widziałyśmy cię w telewizji - powiedziała Rosa. -

W wiadomościach. Wszyscy moi koledzy też cię widzieli. Jesteś sławny, tato.

Obrady przysięgłych przeciągały się. Na noc przewieziono ich do hotelu. Jack nie był pewien, czy to dobry znak. Wiedział jedno - rzeczywiście mieli się nad czym zastanawiać. Dałby wiele, żeby być muchą siedzącą na ścianie pokoju, w którym obradowali. Co będzie, jeżeli nie ustalą werdyktu? Przypomniawsobnie, że podczas procesu Rachel o mały włos tak by się właśnie stało. Przysięgli poprosili wtedy sędziego o wskazówki, on zaś oświadczył, że zadowolony jest decyzją większości. I tak było. A co, jeśli ci przysięgli nie zdołają ustalić werdyktu większością głosów? Wtedy sędzia będzie miał prawo wznowić proces. Jack nie chciał dopuścić do siebie myśli o takim rozwiązaniu. Chryste, tylko nie to, myślał gorączkowo. Wreszcie nadeszła wiadomość - przysięgli wydali werdykt. Beckett dostał dożywocie.

Dopiero potem Jack sobie uświadomił, w jak wielkim napięciu trwał. Bolały go nogi, kark i ramiona. Alison musiała się mocno natrudzić, aby rozmasować mu mięśnie.

- Uczcijmy to jakoś - zaproponował.

Dziewczynki także chciały się nacieszyć jego świeżą sławą.

- Zabierz nas gdzieś, tato - zażądała Ruth. - Chcemy pójść do prawdziwej restauracji, nie do McDonalda czy Burger Kinga, ale do takiej z kelnerami i świecami. Mamy dla ciebie niespodziankę.

Niespodzianką okazał się polaroid, który dał dziewczynom przyjaciel Joan.

- Chyba chce, żebyśmy go polubiły - powiedziała Rosa. - Ten aparat to łabówka.

- Jaka znowu „łabówka”, głupia! - wykrzyknęła Ruth. - Łapówka. Łapówka, głuptasie.

Zabrał je do Brasserie na Mara w Dun Laoghaire. Była to „prawdziwa restauracja” z kelnerami, świecami, obrusami, dobrym jedzeniem i świetnym winem. Ruth sama mianowała się głównym fotografem i wkrótce stół zasypany był zdjęciami.

Jack obudził się w środku nocy, z bólem głowy i uczuciem suchości w ustach. Alison pojechała do domu. Dziewczynki

nadal nie wyobrażały sobie, by mogła zostać z nim na noc. Obiecał jej, że spróbuje to z nimi wyjaśnić. Rosa spała przytulona do jego pleców, Ruth wyciągnięta na sofie. Stos zrobionych przez nią zdjęć leżał na kuchennym stole. Jack wypił duszkiem dwie szklanki wody i obejrzał fotografie. Autorką tej, która podobała mu się najbardziej, była Alison. Ja i moje córki, pomyślał z dumą. Przypiął zdjęcie do korkowej tablicy nad lodówką, obok tygodniowego planu zajęć dziewczynek. Ponownie napełnił szklankę wodą i spojrzał na roześmiane twarze. Zmarszczył brwi. Fotografia z czymś mu się kojarzyła. Ale z czym? Nagle pamięć podsunęła mu obraz ciała Judith Hill i zdjęć, które znalazł w studio jej matki, w pokoju na najwyższym piętrze domu w spokojnej, zielonej dzielnicy. Nadal nie był do końca pewny, kto ją zabił. Elizabeth z uporem twierdziła, że ojciec Judith był niewinny. Kiedy brat Judith, Stephen, oszalał, Jack zaczął się zastanawiać, czy to nie on zamordował siostrę, ale wyniki DNA nienarodzonego dziecka dziewczyny wykluczyły zarówno Stephena, jak i Marka. Jack często czuł wyrzuty sumienia, że nie może powiedzieć Elizabeth Hill, kto zabił jej córkę. Polubił Elizabeth i szczerze jej współczuł.

Umył szklankę, odstawił ją na suszarkę i znowu zerknął na tablicę. Tym razem z jego pamięci wyłonił się inny obraz - podobny zbiór drobnych notatek, planów szkolnych i pozaszkolnych zajęć, zawiadomień o wywozie śmieci i tak dalej. I polaroidowych zdjęć. Zdjęć innej rodziny, zdjęć przedstawiających kobietę w średnim wieku, z doskonałą fryzurą i bardzo złą figurą, mężczyzny z dłuższymi, siwiejącymi włosami i pobrużdżoną twarzą, dwojga nastoletnich dzieci - syna i córki - oraz dwóch małych dziewczynek, siedzących na kolanach rodziców. Co takiego powiedziała mu wtedy Jenny Bradley? Że Judith często opiekowała się ich najmłodszymi dziećmi. Że więzy łączące mieszkające po sąsiedzku rodziny wzmocniły się za sprawą tamtego nieszczęsnego zamieszania, które dotknęło ich wszystkich. Jack wrócił do pokoju, pocałował zarumieniony policzek Ruth, otulił kołdrą drobne, chudziutkie ciało Rosy i zaczął się zastanawiać. Rozmyślał bardzo długo.

Rano przyszło mu do głowy, że najprawdopodobniej traci czas, ale jednak złożył wniosek o przejrzenie akt.

Nazwisko: Bradley.

Imię: George.

Miejsce zamieszkania: Piane Tree Parade 15, Rathmines.

Potem pojechał oglądać domy z Alison, która w końcu postawiła go pod ścianą.

- Słuchaj, Jack, odłożyłeś tę decyzję do zakończenia procesu Becketta, więc teraz nadszedł czas. Musimy mieć jakiś dom, prawda?

Nic nie powiedział. Kiedy Alison odezwała się znowu, w jej głosie brzmiała twarda nuta.

- Cóż, jeżeli się ze mną nie zgadzasz, to nie widzę dla nas przyszłości, szczerze mówiąc. Nie zamierzam dalej tak żyć.

W tej chwili zobaczył taką Alison, o jakiej często opowiadał mu Andrew Bowen.

Później, gdy wstąpił do kawiarni, aby przy drinku omówić zalety i wady trzech domów, jakie zdążyli obejrzeć, zabrzczał telefon komórkowy Jacka. Dzwonił Sweeney.

- Mam dla ciebie niespodziankę. Ten Bradley, którego akta kazałeś mi przejrzeć, był oskarżony o molestowanie seksualne dziewczynek w szkole, gdzie uczył matematyki i fizyki, mniej więcej szesnaście lat temu. Kilka dziewcząt złożyło skargę na niego i jeszcze jednego faceta, ale niewiele z tego wynikało, bo w tamtych latach takie sprawy najczęściej załatwiano polubownie. Tak czy inaczej, zaraz potem Bradley odszedł ze szkoły i założył własną firmę komputerową.

Jack wrócił do biura i wyjął z szafy akta sprawy Judith Hill. Jeszcze raz dokładnie przeczytał wszystkie zeznania. Jenny Bradley doskonale pamiętała tamten weekend, podczas którego zginęła Judith. W sobotę Jenny obchodziła urodziny i Judith wpadła złożyć jej życzenia, zaraz po lunchu. Spędziły razem dwie, może trzy godziny. Siedziały w ogrodzie i plotkowały. Pani Bradley cieszyła się, że znowu ma przy sobie dawną Judith, tę Judith sprzed więzienia i uzależnienia od narkotyków.

- Byłyście same? - zapytał Jack.

- Tak - odpowiedziała Jenny Bradley. - Dzieci były zajęte własnymi sprawami, a mąż był w swoim biurze. Wie pan, w pawilonie przy końcu ogrodu. Widziałyśmy, jak stał w oknie. Judith pomachała do niego. Potem nachyliła się ku mnie i szepnęła mi do ucha: „Udawajmy, że rozmawiamy o nim”. Uśmiełyśmy się do łez.

- A potem? Co wydarzyło się później?

- Nic ważnego, jeżeli dobrze pamiętam. Judith wróciła do domu. Powiedziała, że musi posprzątać. Zaprosiłam ją na urodzinową kolację, ale odmówiła. Powiedziała, że wieczorem musi wrócić do akademika. Więcej już jej nie widziałam.

Jack zjrzał do zeznań George'a Bradleya. Mąż Jenny ani słowem nie wspomniał, że widział żonę i Judith w ogrodzie. Powiedział, że tamtego dnia w ogóle nie widział Judith. Pracował przez całe popołudnie. Dostał pilne zlecenie.

- Przecież to była sobota i urodziny pańskiej żony - zauważył Jack.

Bradley odpowiedział chłodno, że w wieku Jenny urodziny nie są szczególnie radosnym świętem. Dodał, że jego żona świetnie zdaje sobie sprawę, skąd biorą się pieniądze na comiesięczne rachunki i inne wydatki.

Mógłbym pójść i chwilę z nim porozmawiać, pomyślał Jack. Nie mam teraz nic specjalnego do roboty, więc dlaczego nie...

Zjawił się u Bradleyów następnego dnia z samego rana, bez uprzedzenia. Przystanął na ścieżce na tyłach domów przy tej ulicy i nacisnął dzwonek z boku nowoczesnych stalowych drzwi. Stare kamienne ściany dawnych stajni otynkowano i pomalowano na biało, w okna wprawiono szyby z mrożonego szkła. Całość wyglądała bardzo ładnie i nowocześnie, zgodnie z najnowszymi trendami w architektonicznej modzie. Na posesji obok trwały prace budowlane. Ktoś przebudowywał garaż, w którym rodzina Hillów trzymała kiedyś samochód, rowery i narzędzia ogrodnicze. Jack przypuszczał, że dom został sprzedany. Wydawało się mało prawdopodobne, by Stephen Hill opuścił kiedykolwiek bezpieczny szpitalny pokój, w którym obecnie przebywał.

Jeżeli George Bradley był zaskoczony wizytą Jacka, to zdołał to starannie ukryć. Jego biuro było pełne światła. Na trzech ścianach wisiały duże abstrakcyjne obrazy, czwartą tworzyło ogromne okno, wychodzące na dom i ogród. Było też stąd widać całą sąsiednią posesję.

- Wspaniały widok - powiedział Jack, siadając na wskazanym przez gospodarza krześle.

Bradley odchrząknął.

- Zależy mi na świetle, nie na widoku. Będę wdzięczny, jeżeli od razu przejdziesz pan do rzeczy. Jestem zajęty.

Razem przejrzeni pierwotne zeznania Bradleya. Jack nie rozumiał, jak mógł to przegapić. Facet nie miał żadnego alibi. Nikt go nie widział i nikt z nim nie rozmawiał od chwili, kiedy Judith i Jenny Bradley obserwowały go z ogrodu aż do ósmej trzydzieści, może nawet dziewiętej wieczorem, kiedy wrócił na kolację.

- Był pan tu sam? - zapytał Jack, już po raz trzeci. - Nikt z panem nie pracował?

Bradley po raz trzeci oświadczył, że pracował sam.

- Dla kogo wykonywał pan tamto pilne zlecenie?

Zapisał informacje, przez cały czas zerkając na dom Hillów. Widział okna jadalni i kuchni na parterze, pokoiów sypialnych na pierwszym i drugim piętrze, i wreszcie duże okno w dachu studia Elizabeth Hill. Północne światło... Tak jest, północne światło, idealne dla malarki.

- Proszę powiedzieć mi coś o Judith - rzekł. - Znał ją pan bardzo długo, prawda?

Bradley kiwnął głową.

- No więc?

Mąż Jenny odwrócił się i utkwiał wzrok w oknie.

- Cóż, była miłą dziewczyną. Bystrą, ale nieśmiałą.

- Była ładna?

Bradley spojrzał na niego i uśmiechnął się.

- Tak, była ładna, jak to dziewczynki w tym wieku. Szkoda, że tak szybko tracą tę świeżość...

- Nie była szczęśliwa i pogodna?

- Nie. Ona i jej brat przeżyli trudne chwile. Wie pan przecież, jak zachowała się ich matka.

- Pana rodzina także przeżyła trudne chwile, prawda?

- Wyszliśmy z tego zwycięsko. Jenny popełniła głupi błąd, to wszystko. Była pod wpływem Elizabeth Hill, ale to już przeszłość. Zapomnieliśmy o tym wszystkim.

- Więc przebaczył pan żonie?

- Właśnie o tym przed chwilą mówiłem. Oczywiście, że jej przebaczyłem. Popełniła błąd, przyznała się do niego i zrobiła wszystko, by go naprawić. A teraz, jeżeli nie ma pan dalszych pytań, chciałbym zabrać się do pracy. Nie rozumiem, dlaczego po roku znowu wywleka pan tę sprawę na światło dzienne. Nie rozumiem też, co ja mam z tym wspólnego.

Jack musiał powiedzieć, o co chodzi. Nie miał innego wyjścia.

- Na pewno pan wie, że Judith była w ciąży, kiedy zginęła. Naturalnie, staraliśmy się ustalić, kim był ojciec dziecka. Wyeliminowaliśmy Marka i Stephena Hillów, wobec których mieliśmy pewne podejrzenia. Wyeliminowaliśmy też kilku mężczyzn, z którymi Judith utrzymywała stosunki seksualne w ciągu ostatnich paru lat. Chciałbym wyeliminować również pana. Zgodzi się pan na przeprowadzenie testu DNA, prawda?

Bradley wstał i podszedł do okna. Oparł czoło o szybę. Jego twarz przybrała ciemnoczerwony kolor. Odwrócił się do Jacka.

- Jak może pan podejrzewać, że chciałbym mieć coś wspólnego z tą dziewczyną po wszystkim, co zrobiła? - zapytał głośno, ze złością. - Za kogo mnie pan bierze? Jak mógłbym ryzykować zdrowie własne i mojej żony?

- Zdrowie? To wszystko, co pana obchodzi? Nie fakt, że Judith mogłaby być pańską córką? Że była córką pana sąsiada i dobrego znajomego, podobno nawet przyjaciela? Że była przyjaciółką pańskich dzieci? Że właściwie sama była jeszcze dzieckiem?

Jack nie potrafił ukryć oburzenia. Pomyślał o własnych córkach i na moment zrobiło mu się ciemno przed oczami.

- Niech pan nie udaje świętego, inspektorze Donnelly. Judith Hill była kobietą, a wie pan chyba, jakie są kobiety.

Bradley został przesłuchany na okoliczność oskarżeń, jakie wytoczyły uczennice przeciwko niemu i drugiemu nauczycielowi. Wszystkiemu zaprzeczył, i to w kategorięczny sposób. Powiedział, że dziewczęta podkochały się w nim, że zawsze usiłowały zwrócić na siebie jego uwagę, że często starały się zostać z nim sam na sam. Utrzymywał, że nie reagował na czynione przez nie propozycje i dlatego postanowiły się na nim zemścić. Uwierzono mu. Po szczegółowym przesłuchaniu uczennice wycofały oskarżenie. Ich rodzice byli wyraźnie zażenowani, nie wiedzieli, co radzić córkom. Teraz nie poszłoby to tak łatwo, pomyślał Jack. Nie po wszystkich sensacjach dotyczących molestowania seksualnego w szkołach, internatach i sierocińcach. Teraz ludzie zdawali już sobie sprawę, że osoby na wysokich stanowiskach potrafią wykorzystywać władzę w zły, sprzeczny z zasadami moralnymi sposób. Dziś zeznań tamtych uczennic wysłuchano by ze znacznie większym zrozumieniem, Jack miał przynajmniej taką nadzieję.

- Więc zrobi pan to badanie, panie Bradley? Dziś po południu będziemy na pana czekać. Która godzina panu odpowiada? Trzecia? Trzecia trzydzieści?

Po powrocie do biura zadzwonił do Elizabeth Hill. Chciał, żeby wiedziała, jak toczy się dochodzenie. Poczłwł rozczerowanie, kiedy usłyszał jej głos, nagrany na taśmę automatycznej sekretarki. Poprosił, żeby oddzwoniła i pojechał obejrzeć następne dwa domy. Alison była zdeterminowana. Mieli kupić dom, żeby nie wiem co.

Następnego dnia zaraz po przerwie na lunch zadzwonił do niego sierżant pełniący służbę w recepcji.

- Masz gościa, Jack. Jakaś pani chce się z tobą widzieć.

Błyskawiczna akcja, pomyślał. Jego telefon musiał tak zaciekawić Elizabeth Hill, że postanowiła z nim natychmiast porozmawiać. Zdziwił się, kiedy w drzwiach stanęła nie Elizabeth, lecz Jenny Bradley.

Zabrał ją do pubu po drugiej stronie ulicy. Wpadające przez okna słońce wydobywało głębokie zmarszczki na jej czole i ciemne kręgi pod oczami. Kiedy zaczęła mówić, jej głos drżał.

- Powinam była przyjść już dawno. Czuję, że wcześniej czy później wszystkiego się pan dowie...

- To znaczy czego?

- O George'u i tych dziewczętach. Widzi pan, ja wiedziałam, że on skłamał. Wiedziałam, co zrobił. I wiedziałam, co robił z Judith.

- Z Judith?

Kiwnęła głową.

- Zaczęło się, kiedy miała mniej więcej trzynaście lat. Przez pewien czas przyjaźniła się z naszą córką Sally. Obie były w tym samym wieku. Judith przesiadywała u nas całąmi dniami, często spędzała z nami weekendy. George uwielbiał piesze wędrówki po okolicznych pagórkach i zwykle zabierał ze sobą dzieci. Latem brali namiot i znikali na dwa, trzy dni. Sally dość szybko to znudziło, ale Judith nadal wędrowała z George'em. Wiedziałam, że nie wyniknie z tego nic dobrego.

- Ale nic pani nie zrobiła?

Potrząsnęła głową i utkwiała wzrok w swoich dłoniach. Nerwowo obracała obrączkę na pulchnym palcu.

- Nic nie zrobiłam, ponieważ uważałam, że jeśli nie będzie miał Judith, spróbuje robić to z Sally. Tak to sobie wytłumaczyłam. Wmówiłam też sobie, że Judith na pewno tego chciała, bo w ten sposób miała przynajmniej trochę czułości. Wiedziałam, że jej ojciec jest zimnym człowiekiem, który wszystkich trzyma na dystans. A potem...

- Co było potem? - Jackowi nagle zrobiło się niedobrze.

- Potem Judith wpakowała się w kłopoty, a ja, zamiast dojrzeć w tym reakcję na jej związek z George'em, usprawiedliwiłam przed sobą jego postępowanie. Uznałam, że Judith sama ściągnęła na siebie to wszystko...

Na chwilę zapadła cisza.

- Chętnie bym się czegoś napiła. Może koniaku...

Jack zamówił dwa koniaki. Jenny podniosła pękaty kieliszek i pociągnęła łyk alkoholu.

- Oczywiście wie pan, co wykaże to badanie? Wie pan, że to było jego dziecko...

- Jest pani tego pewna?
Skinęła głową.
- Tak samo pewna, jak tego, że tamtego wieczoru zabił Judith. Podczas gdy ja lukrowałam swój urodzinowy tort, on był w dawnym studiu Elizabeth...

Jack zmierzył ją uważnym spojrzeniem.
- Tak pani podejrzewa, czy wie pani, że tak było?
- Naturalnie, nie poinformował mnie o tym, jeżeli o to panu chodzi. Nie wpadł do kuchni i nie obwieścił, że ją zabił, ale wiem, że to zrobił. Tamtego wieczoru zachowywał się bardzo głośno, wręcz hałaśliwie. W pewnej chwili jedno z dzieci zapytało go, gdzie jest aparat fotograficzny. George przyniósł go, ale w środku nie było filmu. Lecz ja pamiętam, że dwa dni wcześniej włożyliśmy do środka nowy film, więc co mogłoby się z nim stać...

- Dlaczego mówi mi pani o tym właśnie teraz? - Jack wypił odrobinę koniaku.

- Ponieważ tak czy inaczej wszystkiego się pan dowie. Od początku miałam świadomość, że to tylko kwestia czasu. Może też dlatego, że już się poddałam i teraz jestem przygotowana na skandal. I dlatego, że robi mi się niedobrze z obrzydzenia na myśl o moim własnym postępowaniu. Czuję, że nadszedł czas, aby naprawić błędy.

- Złoży pani oficjalne zeznanie? Potwierdzi pani wszystko, co od pani usłyszałem?

- Tak. I zrobię jeszcze coś - pokażę panu jedyne zdjęcie, którego wtedy nie zostawił w studiu Elizabeth. Znalazłam je, kiedy pewnego dnia sprzątałam w jego biurze.

Długą chwilę siedzieli w milczeniu, które w końcu przerwał Jack.

- Wie pani, dlaczego ją zabił?

Potrząsnęła głową.

- Nie jestem pewna, ale podejrzewam, że zamierzała go wydać. Gdy wyszła z więzienia, była inną dziewczyną, silną i pewną siebie. Zrozumiała, że ma przed sobą całe życie. Dziwię się, że nadal miała z nim stosunki. Być może w jakiś

sposób była jeszcze z nim związana, uzależniona od niego, sama nie wiem. Tak czy inaczej, widziałam, że podjęła pewne ważne decyzje co do swojej przyszłości. Myślę, że stało się to dzięki tej kobiecie, którą poznała w więzieniu. Judith dużo mi o niej opowiadała. Mówiła, że tamta bardzo jej pomogła i że była zdumiewającą, wspaniałą osobą.

Kiedy Jenny Bradley skończyła składać zeznania, było już późno. Sweeney pojechał po jej męża, który oświadczył, że chce skontaktować się z adwokatem, i zamilkł. Jack miał jednak fotografię, która był wystarczającym dowodem. Martwa dziewczyna i mężczyzna... Jack wiedział, że sąd nie wypuści Bradleya nawet za najwyższą kaucją. Wrócił do swojego biura, żeby uporządkować papiery na biurku. Spojrzał na zegarek. Dochodziła północ. Sięgnął po słuchawkę i wybrał numer Elizabeth Hill. Czuł, że powinna wiedzieć, co się stało. Chwilę słuchał długiego sygnału. Oczyma wyobraźni widział jej pokój z freskami na ścianach i suficie.

- Halo? - Jej głos, z muzyką w tle.

- Dobry wieczór, Elizabeth. Mówi Jack Donnelly.

Milczała przez chwilę. Jack usłyszał nagle inny kobiecy głos, nucący jakąś melodię.

- Jack! Co u ciebie? Masz dla mnie jakieś nowiny?

- Tak. Pomyślałem, że chciałabyś o wszystkim wiedzieć. Opowiedział jej wszystko, nie pomijając żadnych szczegółów. Wysłuchiła go w milczeniu.

- Dziękuję. Dziękuję ci, że nie zapomniałeś o nas.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

Westchnęła.

- Tak, wszystko w porządku. Jestem zadowolona, że ktoś odpowie za śmierć Judith.

Miał się już pożegnać i odłożyć słuchawkę, gdy nagle powiedziała z wyraźnym napięciem w głosie.

- Zaczekaj, powiedz mi jeszcze o tej drugiej sprawie, którą prowadziłeś. Czytałam o niej w Internecie. O morderstwie Rachel Beckett.

- Och, jasne. Znałaś ją, prawda?

- Nie osobiście, ale wiem, że była kimś wyjątkowo ważnym dla Judith. Bardzo pomogła Judith w więzieniu. Byłam wstrząśnięta, kiedy się dowiedziałam, co się z nią stało. Myślałam, że zacznie nowe życie, że wykorzysta szansę, żeby zostawić przeszłość daleko za sobą. Ucieszyłam się, że udało ci się doprowadzić do skazania jej zabójcy.

- Nie byłem pewny, jakim wyrokiem zakończy się sprawa, ale ława przysięgłych podjęła właściwą decyzję. Jestem przekonany, że facet na to zasłużył.

- Dostał dożywocie, prawda?

- Tak. A George Bradley nie wyjdzie za kaucją, więc dzisiejszą noc obaj spędzą na koszt państwa...

- George zawsze lubił spartańskie warunki - powiedziała Elizabeth. - Co stało się z tą dziewczyną, którą porwał ten... Beckett, tak? Nic jej się nie stało? Jak zniosła proces i całą tę historię?

- Zaskakująco dobrze - odparł Jack. - Amy Beckett to wspinała dziewczyna. Bardzo niezależna i opanowana. No i ma szczęście, bo jej przybrani rodzice bardzo ją kochają i świetnie rozumieją. Pomogli jej to przeżyć.

Zapadła cisza. Jack znowu usłyszał dźwięczny kobiecy głos, śpiewający piękną melodię. Ziewnął.

- Przepraszam - powiedziała Elizabeth. - Zawracam ci głowę, a jest już późno. Powinieneś być w domu, w łóżku. To chyba wszystko, Jack. Jeszcze raz ci dziękuję, dziękuję za wszystko.

Jack zamknął drzwi i wyszedł na zewnątrz. Księżyc nie świecił i między pomarańczowymi latarniami leżały spore jeziora ciemności. Poszedł w dół Marine Road, prosto do portu. Widzieli dziś z Alison dom, który spodobał się im obojgu. Znajdował się w cichym zaułku niedaleko głównej ulicy. Pięć minut drogi do sklepów i portu. Zamierzał zapisać dziewczynki na kurs żeglarski i był przekonany, że będą zachwycone. Za domem rozciągał się piękny, chociaż trochę zaniedbany ogród. Alison była w siódmym niebie, ponieważ taki ogród na pewno okaże się prawdziwym wyzwaniem dla jej sprawnych, kochających rośliny dłoni.

Przystanął u zejścia do portu i popatrzył na morze, leniwie oblizujące mury. Pomyślał o stojącym w środku lasu domku Elizabeth. Prawdopodobnie czuje się w nim trochę osamotnioną, zwłaszcza zimą. Rozpoznał piosenkę, której słuchała, i jej wykonawczynię. Była to Billie Holiday, jedna z ulubionych piosenkarek Alison. Ciekawe, czy Elizabeth była sama. Miał nadzieję, że nie. Była miłą kobietą i zasługiwała na odrobinę miłości. Odwrócił się i spojrzął na domy przy biegnącej wzdłuż portu ulicy. W każdym z nich znajdowało się wiele mieszkań, a w tych mieszkaniach ludzie, zupełnie bezbronni we śnie.

Ze wschodu powiał nagle wiatr. Wzburzył mu włosy, przebiegł dreszczem po plecach. Jack zamknął oczy i otworzył usta, wciągając potężne hausty oczyszczającego, przesyconego solą powietrza. Piękna noc, świeża i spokojna. Wyobraził sobie, jak by się czuł, gdyby teraz przebywał w zamkniętej celi. Kiedy był jeszcze policjantem mundurowym, często był w więzieniu. Nigdy nie przywykł do tego gwaru i hałasu, zapachu, zgrzytu klucza w zamku. Zastanawiał się, jak poradzi sobie z tym wszystkim ktoś taki jak Daniel Beckett. Widział, jak po procesie strażnicy więzienni wyprowadzali go z sali. Nie był już tamtym silnym, przystojnym mężczyzną - włosy miał zaniedbane i zmierzwione, ubranie zwisało, jakby było za duże. Zaciśnięte na przegubach dłoni kajdanki uczyniły go innym człowiekiem, odmieniły go. Teraz był więźniem. Zwyczajnym skazańcem.

Jack spojrzął na zegarek. Druga w nocy. Miał za sobą długi dzień. Znowu odwrócił się w kierunku morza. Gdzie jest teraz Rachel Beckett, pomyślał. Chyba gdzieś tam, za Kish. Nie było już żadnych szans na odnalezienie jej ciała. Upłynęło za dużo czasu. Kochała morze, tak mu powiedziała, więc chyba dobrze, że spoczęła na jego dnie. Miał nadzieję, że nie cierpiała. Musiała jednak cierpieć w chwili, gdy zdała sobie sprawę, że nic i nikt jej już nie uratuje.

Odwrócił się i ruszył w stronę domu. Mieszkanie było ciemne i ciche. Szybko rozebrał się i wśliznął do łóżka, otaczając

Alison ramionami i opierając jej głowę na swojej piersi. Zamknął oczy i natychmiast zapadł w sen.

Wschodni wiatr zaszumił w gałęziach drzew otaczających domek Elizabeth Hill. Powietrze pachniało żywicą, trawą i dojrzwiałymi szyszkami chmielowymi. Rachel leżała zwinięta w kłębek na sofie, z kieliszkiem wina w ręce. Słuchała muzyki, dobiegającej z głośników odtwarzacza CD. Przysłuchiwała się też rozmowie, którą Elizabeth prowadziła z policjantem z Dublina.

- Opowiedz mi wszystko - poprosiła, kiedy Elizabeth odłożyła słuchawkę.

Przypomniała sobie, jak to było, gdy po raz pierwszy ujrzała więźnienie. Zobaczyła je przez metalową siatkę w oknie furgonetki, którą przywieziono ją prosto z gmachu sądu. Była zima. Późne popołudnie, może raczej wczesny wieczór. W Dublinie godzina szczytu. Było ciemno, w każdym razie powinno być ciemno, ale jasne białe światła zalewały blaskiem asfaltowy podjazd. Furgonetka zatrzymała się przed pierwszą bramą. Dalej znajdowała się druga brama, a jeszcze dalej drzwi jej celi.

Wiedziała, jak to będzie, gdy Daniel po raz pierwszy ujrzy więźnienie. Zobaczy je przez metalową siatkę w oknie furgonetki, którą przywiozą go prosto z gmachu sądu. Łańcuszek łączący obrączki kajdanek nie pozwoli mu nawet na drobny ruch, kiedy spróbuje odsunąć się od strażnika i innych sfłoczonych wokół niego więźniów. Jasne światła oślepią go, więc będzie mrugał nerwowo, wychodząc na więzienny dziedziniec. Ogłuszy go hałas odbijający się od twardych powierzchni. Wszędzie dookoła tylko kamień i cegła, metal i beton. W otworze w drzwiach celi znajdzie kartkę sztywnego papieru. Formularz P30 z jego nazwiskiem, numerem, wyznaniem, datą skazania i wyrokiem. Nie będzie daty zwolnienia, ponieważ Daniel został skazany na dożywocie. Dlatego w jego przyszłości nie będzie żadnego punktu odniesienia, żadnej

nadziei. Aż w końcu, po wielu latach, komisja rozpatrzy jego akta. I być może powiedzą mu, że nadszedł czas. Czas warunkowego zwolnienia.

Czy ktoś będzie na niego czekał? Dzieci dorosną i może nie będą chciały go znać. A żona? Rachel uśmiechnęła się na myśl o Ursuli, tonie jej głosu, manierach, zachowaniu... Ursula raz na zawsze pożegna się z przeszłością, uzyska rozwód i postara się o korzystne dla siebie ustalenia majątkowe. Nie dla niej poniżenie osoby odwiedzającej więźnia, nie dla niej upokorzenie stukania do wielkiej metalowej bramy, przesiadywania na ławkach w brudnych, zatłoczonych poczekalniach razem z innymi żonami i dziewczynami.

Jak Daniel poradzi sobie w więzieniu? Dzięki czemu przetrwa długie dni i jeszcze dłuższe noce? Zamknięty w maleńkiej, ciasnej celi, przesyconej smrodem moczu i kału innych mężczyzn... Będzie słuchał wrzasków i jęków więźniów, którzy nie potrafią spać bez koszmarnych snów, i będzie się zastanawiał, w jaki sposób tam się znalazł. Będzie bez przerwy starał się odgadnąć, jak jej się udało.

Właściwie miałyby ochotę opowiedzieć mu o tym. Że wszystko zaczęło się bardzo dawno temu, kiedy siedziała w więzieniu i oglądała kolorowe zdjęcia, zamieszczone w jakimś magazynie, zdjęcia jego domu i żony. Miała wtedy mnóstwo czasu, dość czasu na to, aby się zastanawiać, co powinna zrobić i kto mógłby jej pomóc. Niedługo potem poznała Judith i zaczęła pisywać do jej matki. Kiedy wyszła z więzienia, nie przestała do niej pisywać. I gdy przyszedł dzień wyprawy jachtem, zabrała ze sobą wszystko, co było jej potrzebne. Daniel zwrócił uwagę na ciężar jej torby, ale nie miał pojęcia, co znajdowało się w środku - ubrania na zmianę, plik listów i duża koperta, a w niej większość pieniędzy, które zostawiła jej matka. Rachel zostawiła trochę pieniędzy w mieszkaniu, tyle, żeby zainteresował się tym ktoś, kto przyjdzie szukać jej śladów. Po zejściu na ląd pożegnała się z Danielem i poszła drogą nad morzem. Wkrótce tuż przed nią zatrzymała się mała biała furgonetka z Elizabeth Hill za kierownicą. Rachel wsiadła do bagażnika,

ułożyła się na materacu, rozebrała się i przykryła kocem. Potem połknęła tabletki nasenne, które podała jej Elizabeth. Zasnęła i przespała przeprawę promem z portu koło North Wall. Spała, kiedy Elizabeth poszarpała jej zakrwawioną bluzę nożem, włożyła wraz z innymi częściami ubrania do plastikowej torby i wyrzuciła za burtę promu tuż za latarnią morską w Kish, gdzie nie ma prądu, który mógłby ją przesunąć poza zasięg tras kutrów. Przespała też większą część drogi z Holyhead do Chester, potem autostradą M6 i drogą M40 na południe. Furgonetka dygotała, wstrząsana ostrym powiewem powietrza, który zostawiały za sobą mijające ją wielkie ciężarówki, i dopiero wtedy Rachel się obudziła, czując ból pełnący od dłoni po przedramieniu.

Już niedługo, krzyknęła Elizabeth, podając jej butelkę wody mineralnej i kanapkę z żółtym serem. Mijały właśnie Londyn, pędząc obwodnicą M25. Rachel znowu zapadła w sen. We śnie słyszała chrzęst olinowania i trzask wypełniających się wiatrem żagli. Kiedy ocknęła się ponownie, ciężarówka skręcała właśnie z głównej drogi w boczną. Zatrzymały się w morzu zieleni i Elizabeth na rękach zaniósła Rachel do domu. Położyła ją do łóżka, zdjęła z ręki posklejane, zbrązowiałe od zaschniętej krwi bandaż. Przemyła ranę środkiem dezynfekującym, robiąc to możliwie najdelikatniej, ponieważ Rachel krzyknęła z bólu, i powiedziała, że na założenie szwów jest już za późno i trzeba czekać, aż rozcięcie zasklepi się samo. Ale nawet gdy zagoi się całkowicie, zostanie blizna, i to duża.

- Nie szkodzi - powiedziała Rachel. - Było warto. W końcu to tylko ręka, nie twarz.

Elizabeth uprzedziła, że ranę będzie codziennie przemywać roztworem z wyciągu z krwawnika pospolitego. Jej matka zawsze stosowała ten wyciąg jako idealny lek na wszelkiego rodzaju rozcięcie, otarcia i zadrapania. Był lepszy od wszystkich chemicznych lekarstw razem wziętych, Elizabeth wielokrotnie sprawdziła jego skuteczność na sobie i swoich bliskich.

Przez następne dwa tygodnie pielęgnowała Rachel, obserwując, jak rana zamyka się od środka, tworząc gruby grzbiet

nowej skóry. Siadała przy łóżku Rachel, czuwała nad jej snem i czekała, aż znowu będzie gotowa stawić czoło światu. Gdy uznała, że ta chwila nadeszła, powiedziała jej, co przeczytała w zamieszczanych w Internecie irlandzkich gazetach. Zaginęła Rachel Beckett, kobieta skazana na dożywocie za morderstwo i warunkowo zwolniona z więzienia. Policja obawiała się o jej bezpieczeństwo. Detektywi zatrzymali i przesłuchali w tej sprawie pewnego mężczyznę. Kilka dni później gazety poinformowały o zniknięciu córki Rachel Beckett. Przybrani rodzice dziewczyny byli zrozpaczeni i nie mieli pojęcia, co mogło się z nią stać.

Rachel natychmiast odgadła, co zrobił Daniel. Wykorzystał pułapkę, jaką zastawiła na niego, i obrócił ją przeciwko niej, używając Amy jako przynęty. Rachel wiedziała, co musi zrobić.

Gdzie Daniel mógł umieścić Amy, zapytała Elizabeth. Rachel nie miała cienia wątpliwości, że przywiózł ją do domu, podobnie jak wcześniej ją. Tam czuł się bezpieczny, tam miał kontrolę nad swoim światem. W swoim domu z wielkim ogrodem, kończącym się nad samym urwiskiem, wysokim granitowym murem i żelazną bramą mógł robić, co chciał. Lecz Rachel знаła ten dom i ogród jak własną kieszeń. Wyjęła z torby pęk kluczy i potrząsnęła nimi, aż zadźwięczały.

- Spójrz. - Uśmiechnęła się do Elizabeth. - Popatrz, co tutaj mam...

Tamta noc była zupełnie wyjątkowa. Ogród wydał jej się jeszcze piękniejszy, niż zapamiętała. Na niebie wisiał księżyc w drugiej kwadrze, bogactwo srebrzystego światła na ciemnym tle. Rachel potrafiła wyliczyć z pamięci znajdujące się na Księżycu morza - Mare Serenitatis, Mare Tranquillitatis, Mare Fecunditatis. Dawno temu Martin pokazał jej, gdzie są położone i dużo o nich opowiadał. Usiadła pod wielkim dębem, pod domkiem na drzewie, gdzie jeszcze niedawno bawiły się dzieci Daniela, oparła się plecami o potężny pień i długo wpatrywała się w księżyc. Czuła spokój. Lekko musnęła wypukłą bliznę na dłoni. Wydawała się inna, bardziej delikatna i wrażliwa na dotyk niż pozostała część dłoni. Podniosła rękę

i uważnie przyjrzała się jej w świetle księżyca. Blizna była dokładnie tym, czego potrzebowała.

Podniosła się z trawy i ruszyła w stronę domu. Światła były zapalone, okna otwarte. Otworzyła prowadzące do kuchni szklane drzwi. Usłyszała błagalne krzyki Amy i pełny wściekłości głos Daniela. Zdjęła klucz z gwoździa i wsunęła go do kieszeni. Potem wyszła na zewnątrz, starannie zamykając za sobą drzwi. Wszystko było przygotowane. Wyjęła kilka desek z podłogi w garażu i zaplanowała trasę ucieczki przez ogród, wybierając miejsca, w których się ukryje. Dzieci pokazały jej swoje kryjówki, były sojusznikami. Zaczekała w mroku, aż zszedł do kuchni i wtedy podeszła do szyby i przycisnęła do niej otwartą dłoń. Szkło było zimne, ale w miejscu, gdzie znajdowała się blizna, nie czuła chłodu. Nie czuła w ogóle nic. Daniel jednym skokiem znalazł się po drugiej stronie okna. Stali naprzeciwko siebie. Rachel wyjęła płócienną chusteczkę z kieszeni i starannie wytarła odcisk dłoni i palców. Potem cofnęła się w mrok. Słyszała, jak Daniel wrzeszczy z wściekłości i tłucze zaciśniętymi pięściami w szybę.

Ta gonitwa była całkiem przyjemna. Rachel kilka razy bawiła się z dziećmi w chowanego w ogrodzie, a także w ciuciubabkę, potrafiła więc na ślepo poruszać się po terenie. Pędził za nią jak wielkie, ciężkie, niezdarne zwierzę. Ciężko dyszał. Zawył z bólu, kiedy wpadł do odsłoniętej piwniczki w garażu i z trudem się z niej wydobył, głucho stękając. I wreszcie nadeszła chwila ostatecznego triumfu - Rachel zaprowadziła go z powrotem do domu.

- Jestem tutaj! - zawołała. - Chodź i złap mnie! Czekam!

Znowu usłyszała krzyki Amy. Z całego serca pragnęła otworzyć drzwi i uwolnić córkę, ale wiedziała, że nie może tego zrobić. To zadanie należało do policjantów, którzy obserwowali dom z zaparkowanego pod bramą samochodu. Rachel była pewna, że Daniel zaraz ich wezwie. Był przekonany, że schwycił ją w pułapkę, ale nie zdawał sobie sprawy, że ona wie dużo więcej od niego. Nie wiedział, że nauczyła się czekać na właściwy moment, do ostatniej chwili, i nie tracić głowy.

Opanowała tę sztukę do perfekcji. W dużej mierze nauczyła się jej od niego.

I kiedy wreszcie się poddał i wybiegł z domu do policjantów, ona także się wysliznęła i pobięła prosto przed siebie. Ścieżką nad urwiskiem i przez plażę na parking przy stacji benzynowej DART, gdzie już czekała na nią Elizabeth.

Skulona na materacu z tyłu furgonetki, Rachel wybuchnęła płaczem. Myślała o córce i jej cierpieniu.

- Wybacz mi - powiedziała głośno. - Wybacz mi, proszę. Musiałam to zrobić. Nie miałam innego wyjścia, ale teraz dałam ci wolność. Możesz żyć własnym życiem. I będzie ci łatwiej, kiedy pomyślisz, że mnie już nie ma. Więc proszę, moja najdroższa, wspominaj mnie z miłością, bo ty też będziesz popełniać błędy i uświadomisz sobie, jak łatwo jest potknąć się i upaść...

Wróciły do Anglii tą samą trasą. Rachel nie była w stanie myśleć o przyszłości. Czuła się jak Clare Bowen, bezbronna, bezradna i zagubiona. Widziała nekrolog Clare w gazecie. Odeszła w spokoju, szczerze opłakiwana przez kochającego męża, Andrew... Rachel cieszyła się, że dla Clare jest już po wszystkim. I była jej wdzięczna. Powiedziała Clare, co planuje, i Clare obiecała, że w odpowiednim momencie zezna, co trzeba.

Teraz Rachel co noc leżała obok Elizabeth i słuchała jej spokojnego oddechu. Od czasu do czasu Elizabeth krzyczała przez sen, tak jak kiedyś jej córka, Judith. Wtedy Rachel odwracała się do niej i przytulała ją do siebie. Nie myślała już o zemście i odwecie, lecz o miłości i przebaczeniu. Może kiedyś także i Amy pomyśli o niej z czułością. Może pokaże swoim dzieciom zdjęcie Rachel i powie: „To wasza babcia. Nie żyje, ale ja nigdy jej nie zapomnę. I wy też musicie o niej pamiętać”.

Uśmiechnęła się. Jej powieki opadły i wreszcie zapadła w sen.

PODZIĘKOWANIA

Chciałabym wyrazić ogromną wdzięczność następującym osobom:

Johnowi Lonerganowi, dyrektorowi więzienia w Mountjoy; strażniczkom i strażnikom, nauczycielom i kobietom, z którymi rozmawiałam w więzieniu dla kobiet; psychologom i kuratorom sądowym, którzy podzielili się ze mną swoimi przeżyciami oraz odczuciami; Donaldowi Taylorowi Blackowi i Veronice O'Mara z Poolbeg Productions; Mavis Arnold; Bernardowi Condonowi i doktorowi Kevinowi Strongowi; Gillian Hackett oraz Alistairowi Rumbold z Irlandzkiej Państwowej Szkoły Żeglarskiej; Peterowi Harveyowi z gazety „Liverpool Echo”; Sue Colley i Johnowi Staffordowi z Forest Enterprise w hrabstwie Kent. Alison Dye za wielką mądrość, współczucie i poczucie humoru. Renatę Ahrens-Kramer, Sheili Barrett, Catherine Phil McCarthy, Cecylii McGovern oraz Joan O'Neill za konstruktywną krytykę, rozsądek i przyjaźń. Treasie Coady, Suzanne Baboneau, Beverly Cousins, Alice Mayhew oraz Ninie Salter za ogromną wiedzę, doświadczenie i szczerze wsparcie.